

Pod redakcją Petera Haininga

Czarujące obiekty latające

The Flying Sorcerers

More Comic Tales Of Fantasy

Opowieści ze świata fantastyki i humoru

Przełożyli

Małgorzata Dobrowolska, Paulina Arbiter, Marek Cegiela, Irena Doleżał-
Nowicka, Jarosław Kotarski, Jolanta Kozak, Zofia Uhrynowska-Hanasz

*Tyle fantazji miłość w sobie mieści
Że tylko ona jest fantastycznością*

William Szekspir, „Wieczór Trzech Króli”
przełożył Stanisław Dygat

WSTĘP

Trzydzieści lat temu po raz pierwszy ujrzałem pamiętny żart rysunkowy Gahana Wilsona, amerykańskiego artysty i twórcy fantastyki obdarowanego makabrycznym, przewrotnym poczuciem humoru. Na rysunku widnieje statek kosmiczny NASA, który dopiero co wylądował, otoczony tanecznym kręgiem Chrupaczy — małych, ciekawskich istot, znanych z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”. Dwaj nieco zdezorientowani astronauta zerkają z władu ewakuacyjnego na pływające stworki oraz na dwie nogi w czarnych pończochach i spiczastych pantoflach z klamrami, należące do kogoś, kogo najwyraźniej przywalił lądujący statek. Podpis pod obrazkiem objaśnia, że Chrupacze śpiewają radośnie: „Hip, hip, hurra, wiedźma nie żyje!”.

Ten obrazek, którego autor bawi czytelników „Playboya” oraz „Magazine of Fantasy and Science Fiction” od połowy lat sześćdziesiątych i jest jednym z głównych inicjatorów zwołania pierwszej Światowej Konwencji Fantastyki w 1975 roku, w sposób idealny ilustruje nieprzebraną różnorodność humorystycznej fantastyki. Widzimy tu bowiem postacie całkowicie wymaginowane, Chrupaczy, wiedźmę, czyli przedstawicielkę rzeczywistości nadprzyrodzonej, oraz astronautów reprezentujących fantastykę naukową. I to właśnie — w największym skrócie — stanowi przedmiot niniejszego zbioru, który jest, zgodnie z prośbą wydawcy, kontynuacją mojej poprzedniej antologii fantastyki humorystycznej „Czarnoksiężnicy z Krainy Osobliwości” (1996, wyd. pol. 2007).

Od tamtego czasu popularność fantastyki jeszcze się zwiększyła. W Wielkiej Brytanii każda kolejna pozycja ze „Świata Dysku” Terry’ego Prachetta staje się automatycznie bestsellerem numer jeden, co w Stanach Zjednoczonych jest z kolei udziałem Stephena Donaldsona i Anthony’ego Piersa. W niedawnym sondażu przeprowadzonym w Wielkiej Brytanii wśród 25 tysięcy nabywców książek epicki cykl J. R. R. Tolkiena „Władca pierścieni” uzyskał tytuł książki stulecia, wyprzedzając dzieła T. S. Eliota, Ernesta Hemingwaya, Samuela Becketta i wszystkich pozostałych gigantów literatury. „Rok 1984” i „Folwark zwierzęcy” George’a Orwella, które również zaliczają się do fantastyki, uplasowały się na drugim i trzecim miejscu, „Lew, czarownica i stara szafa” C. S. Lewisa na 21. miejscu, „Autostopem przez galaktykę” Douglasa Adamsa na 24., „Charlie i fabryka czekolady” Roalda Dahla na 34., a znakomita saga Mervyna Peake’a — trylogia o Gormenghast — na 55.

Wniosek nasuwa się sam. Ogromna rzesza czytelników lubi pełną wyobraźni prozę pozwalającą uciec w inny świat, zwłaszcza świat fantazji, a fantastyka mająca walory humorystyczne również jest ceniona bardzo wysoko. W tym zbioru czytelnik znajdzie przykłady najlepszych opowiadań tego gatunku. Wielu spośród ich autorów zajęło poczesne miejsca we wspomnianym sondażu, m.in. Lewis, Dahl, Peake, Kurt Vonnegut (jego „Rzeźnia numer pięć” znalazła się na 67. pozycji) i Artur C. Ciarkę (którego „Odyseja kosmiczna” była w rankingu 87.). Łącznie — jak na rysunku Gahana Wilsona — obejmują one fantasy, zjawiska nadprzyrodzone i science fiction.

Tytuł zbioru wziął się stąd, że bohaterowie wielu prezentowanych w nim opowiadań posiadli sztukę latania — bądź o własnych siłach, bądź z pomocą maszyn, które wynoszą ich w przestworza — albo popadają w kłopoty za przyczyną latających obiektów pierwszego lub drugiego rodzaju. Mam nadzieję, że społeczność miłośników UFO wybaczy mi moją grę słów. Mam też nadzieję, że opowiadania te wprawią państwa — używając słów profesora Tolkiena z jednej z jego wypowiedzi dotyczących fantastyki — w „zachwyty i zdumienie”, a zarazem rozśmieszają.

Niewiele pozostało do powiedzenia. Może jedynie należałoby na zachętę powtórzyć zawołanie, które stało się nie wiedzieć kiedy

obowiązującym elementem języka młodych ludzi, ilekroć ich rozmowy schodzą na temat ucieczki w nowe światy frapujących przeżyć. Zdanie to pochodzi z filmu Walta Disneya „Toy Story” i stanowi sygnał do uruchomienia nakręcanej zabawki, co wprowadza w czyn misterny plan ucieczki, kulminacyjną sekwencję filmu. A więc — nakręćmy żabę!

Boxford, Suffolk

Peter Haining

1

HORDY DZIWACZNYCH ISTOT

Fantastyka z przymrużeniem oka

WIRUJĄCE KRĘGI NOCY

Dla nieprzebranej rzeszy czytelników fantastyki najpopularniejszą postacią współczesnej literatury jest Śmierć Terry'ego Pratchetta — kościsty jegomość z kosą, dosiadający konia o imieniu Pimpus. Wciąż zdumiewa go niepojęte i nieludzkie zachowanie ludzkiego rodzaju i Chyc może z tego powodu) zawsze mówi kapitalikami. We wszystkich bestsellerach Pratchetta z cyklu „Świat Dysku” rozgrywających się w świecie dryfującym poprzez przestrzeń kosmiczną na grzbietach czterech słoni oraz żółwiu, pojawia się on na kształt podróżującej w czasie walkirii, często spotykając innych ulubieńców czytelników tego cyklu, takich jak czarodziej Rincewind, wiedźma zwana babcią Weatherwax czy Bagaż — drewniany kufer wyposażony w niezliczone nóżki. W „Wiedźmikolaju” (1966) Śmierć, nieprzewidywalny i ekscentryczny jak zawsze, postanawia wcielić się w tamtejszy odpowiednik Świętego Mikołaja, aby udaremnić knowania niesamowitych istot pragnących pokrzyżować świąteczne plany mieszkańców Świata Dysku. Ludzie mają naprawdę wiele do zawdzięczenia temu konkretnemu wcieleniu Śmierci.

Według „Timesa” Terry Pratchett (ur. 1948) jest najbardziej uprawnionym pretendentem do tronu opuszczonego przed wielu laty przez P.G. Wodehouse'a. Opinię tę podziela „The Mail on Sunday”: „«Świat Dysku», to najdłuższy cykl humorystyczny o jakiegokolwiek tematyce od 1975 roku, kiedy to, wraz ze śmiercią Wodehouse'a, zamknęły się wrota zamku Blandings” Dla wielu ów były reporter i rzecznik prasowy Centralnego Zarządu Elektroenergetyki jest po prostu najpopularniejszym żyjącym pisarzem. Pierwsza humorystyczna powieść Pratchetta, „Kolor magii”, wydana w 1983 roku, stanowiła punkt zwrotny w rozwoju gatunku, jakim jest fantastyka komiczna, kładąc podwaliny pod międzynarodowy kult, jaki stał się z czasem udziałem jej autora. Ze swoją siwiejącą brodą, nieodłącznym czarnym kapeluszem i ujmującym poczuciem humoru Terry Pratchett jest wyrafinowanym w każdym calu literackim kpiarzem. W „Wirujących kręgach nocy” Śmierć pojawia się w jednej ze swoich misji, tym razem jako kolekcjoner gwiazd rocka. Powiedzieć więcej, znaczyłoby jednak zepsuć komizm sytuacyjny i zdradzić niespodzianki, które autor ma w zanadrzu...

* * *

Wie pan, panie posterunkowy, jednego w tym wszystkim nie rozumiem. Przecież to do Wayne'a zupełnie niepodobne, żeby się wpakować w jakiegoś zasmarkanego bluesa, prawda? Bo tym właśnie było jego życie. Bluesowym singlem. Gdyby ludzie byli nagraniami, Wayne byłby jak jedna z tych starych zdartych płyt, wie pan, przegrywanych po raz setny z oryginalnego cylindra fonografu, z jakimś starszym gościem, który się nazywa Deaf Orange Robinson czy jakoś tak, stojącym po kolana w Missisipi i wydającym nosowe jęki.

Człowiek spodziewałby się raczej, że Wayne pójdzie w heavy metal czy coś takiego jak Meat Loaf. Ale myślę, że w sumie to poszedł we wszystko. Koniec końców.

Proszę? Tak, to jest moja furgonetka, z wymalowanym logo naszej Piekielnej Dyskoteki. Wayne nie umie prowadzić, wie pan. Takie rzeczy go po prostu nie interesują. Pamiętam, jak kupiłem swój pierwszy wóz i wybraliśmy się razem na wakacje. Do mnie należało prowadzenie, no tak, naprawy też, a Wayne zajmował się radiem. Łapał pirackie stacje. Było mu wszystko jedno, dokąd jedziemy, dopóki byliśmy dostatecznie wysoko, żeby mógł złapać Karolinę czy Londyn, czy co tam innego. Mnie też było wszystko jedno, dopóki jechaliśmy.

Zawsze bardziej mnie ciągnęło do samochodów niż do muzyki. To znaczy, aż do tej pory. Nie sądzę, żebym nabrał jeszcze kiedyś ochoty na jazdę. Wciąż bym się zastanawiał, kto nagle może się pojawić na siedzeniu obok mnie...

Przepraszam. Co to ja... Aha, dyskoteka. No więc umówiliśmy się, że ja daję pojazd, zrzucamy się na sprzęt, a Wayne dostarcza płyty. Pomysł był mój, jeśli chodzi o ścisłość. Całkiem niezły pomysł, mogłoby się wydawać. Wayne mieszka z matką, muszą się cisnąć w dwóch pokojach z powodu jego zbiorów. Wielu ludzi kolekcjonuje płyty, ale wydaje mi się, że Wayne naprawdę chce — chciał — mieć każdą, jaka kiedykolwiek została wyprodukowana. Rozrywkowy wypadek w jego wydaniu to była jazda do jakiejś zapadłej dziury i grzebanie w starociach. Grzebał, aż wygrzebał krążek kapeli o nazwie w stylu Sid Sputnik i jego Kosmici. Ale najdziwniejsze i najśmieszniejsze było w tym wszystkim to, że po powrocie do domu podchodził do regału, rozsuwał płyty, a tam już czekała schludna brązowa koperta z nazwą, datą i wszystkim co trzeba.

Albo kazał się wieźć kawał świata, żeby odszukać gościa, który dzisiaj naprawia krany i spłuczki, ale kiedyś tam, w 1961 roku przybrał miano Ronie Seqiun i doszedł do 152. miejsca na listach przebojów. I po to tam jechaliśmy, żeby Wayne mógł spytać tego faceta, czy przypadkiem nie ma zapasowego egzemplarza swojej jedynej płyty, tak kosztarnej, że nie można jej znaleźć nawet w specjalistycznych sklepach.

Był typem kolekcjonera, który nie może ścierpieć luki w swojej kolekcji. To było niemal jak religia, naprawdę. W temacie nagrań mógłby przegadać radiowego prezentera, ale płyty, które naprawdę znał, to były te, których nie miał. Potrafił czekać latami, żeby zdobyć demówkę jakiejś punkowej grupy, która najprawdopodobniej wymarła na skutek zakażenia od brudnej agrafki, ale nim dostał krążek w swoje ręce, potrafił wyrecytować każdy szczegół, aż po nazwisko sprzątaczkki, która szorowała studio po nagraniu. Jak powiedziałem, kolekcjoner.

Pomyślałem więc sobie: Czego więcej potrzeba, żeby prowadzić dyskotekę?

Cóż, właściwie wszystkiego, czego Wayne nie posiadał: prezencji, ciuchów, trzeźwego pomysłu, elementarnego pojęcia o tych wszystkich drutach i durnowatej nawijki. Ale wtedy nie patrzyliśmy na to w ten sposób, więc opchnąłem swojego forda i kupiłem furgonetkę, której strzeliłem nowy, nieomal profesjonalny lakier. Przebijający napis „Zarząd Elektroenergetyki w Midland” zauważy tylko ten, kto wie, gdzie patrzeć. Chciałem, żeby wyglądała jak autko z „Drużyny A”, i tak wygląda, z tą drobną różnicą, że tamto przeskakuje cztery samochody i dalej pruje szosą, a moje ma problemy ze studzienkami kanalizacyjnymi.

Tak, rozmawiałem z pańskim kolegą na temat podatku, ubezpieczenia i przeglądu. Naprawdę może pan to sobie darować, sierżancie. Nigdy więcej nie usiądę za kółkiem. Nigdy.

Kupiliśmy furę wzmacniaczy i innych rzeczy od lana Curtisa z Wyrecliff, który miał się żenić i Tracey chciała, żeby wieczorami siedział w domu. Rozwiesiliśmy trochę ogłoszeń na wystawach kiosków z gazetami i czekaliśmy.

No cóż, ludzie nie pchali się do nas drzwiami i oknami, jako że styl Wayne’a to nie jest to, co ludzie lubią najbardziej. Nie trzeba być geniuszem słowa, żeby robić za dyskdżokeja. Ludzie oczekują po prostu, że będziesz pokrzykiwał „Hej!”, „Ale jazda!”, „Wszyscy odlatują!”. Nie ma znaczenia, jeżeli brzmi to głupkowato. To im tylko poprawia samopoczucie. Natomiast ludzie nie lubią, w czasie gdy dają sobie w gaz po ceremonii ślubnej czy jakiegokolwiek innej, kiedy ktoś staje przed nimi, syjąc z oczu iskry jaśniejsze niż światła dyskoteki, i oznajmia: „Z tą płytą związana jest bardzo interesująca historia”.

Ale, ciekawa rzecz, po jakimś czasie, dziwnym sposobem, dzięki wieściom przekazywanym z ust do ust, zaczęliśmy sobie wyrabiać markę. Myślę, że to się zaczęło od rocznicy ślubu mojej siostry. Wie pan, Beryl jest starsza ode mnie. No więc okazało się, że Wayne przywiózł ze sobą dosłownie każdą płytę, która została wydana w roku poprzedzającym jej ślub. Nie tylko z pierwszej dziesiątki. Wszyscy goście byli w podobnym wieku i wkrótce na sali zrobiło się tak gęsto od nostalgii, że ledwie się można było poruszać.

Wayne po prostu odpalił „na drut” ich świece zapłonowe i zabrał ich na radosną przejażdżkę autostradą wspomnień.

Potem zaczęliśmy dostawać zamówienia od klienteli, którą można by określić jako nieco starszą, wie pan, już nie smarkateria, ale próchno się jeszcze nie sypie. Byliśmy czymś w rodzaju dyskoteki dla koneserów. W przerwach ludzie podchodzili do niego, żeby pogadać o jakimś fantastycznym kawałku, który pamiętali z dawnych czasów, i zawsze się okazywało, że Wayne miał go w furgonetce. Jeżeli ktoś o nim słyszał, on go miał. Całkiem możliwe, że miałby go nawet, gdyby nikt o nim nie słyszał. Gdyż Wayne, trzeba to powiedzieć, był kolekcjonerem z prawdziwego zdarzenia — nie obchodziło go, czy płyta jest dobra, czy nie. Wystarczyło, że istniała.

Oczywiście, on nie patrzył na to w ten sposób. Mówił, że każda płyta ma w sobie coś niepowtarzalnego. Może pan uważać to za bzdurę, ale to był facet, który miał dosłownie wszystko, co się ukazało w ciągu ostatnich czterdziestu lat, i ten facet naprawdę wierzył, że w każdym z tych krążków jest coś szczególnego. Kochał je. Przez całą noc w swoim pokoju wypełnionym brązowymi kopertami puszczał je jedną po drugiej. Płyty, o których zapomnieli nawet ci, którzy je nagrali. Mógłbym przysiąc, że kochał je wszystkie.

Tak, oczywiście. Ale trzeba trochę o nim wiedzieć, żeby zrozumieć, co się stało.

No więc wynajęli nas na tę zabawę w Halloween. Od razu można było poznać, że to Halloween, przez tych małych gnojzków ganiających po ulicach, wrzeszczących: „Wykup albo chlup!” i straszących ludzi butelkami z mlekiem.

Wayne powybierał mnóstwo krążków w rodzaju „Monster Mash”. Wyglądał fatalnie, ale wtedy nie dało mi to do myślenia. To znaczy... on zawsze wyglądał fatalnie. To był jego normalny wygląd. Nabawił się go, siedząc całymi latami w zamkniętych pomieszczeniach i słuchając płyt, no i miał słabe serce, i astmę, i w ogóle.

Impreza miała się odbyć w... no jasne, wiecie to wszystko. Zabawa z okazji święta Halloween, z której dochód miał być przeznaczony na dom parafialny. Wayne powiedział, że to jedna wielka kpina, ale nie powiedział dlaczego. Myślę, że musiał mieć jakiś mądry powód. Zawsze był dobry w takich rzeczach. Wiedział o różnych drobiazgach, o których inni nie wiedzieli. Często mu się za to obrywało w szkole, o ile mnie nie było w pobliżu. Był typem chudzielca w okularach sklejonych plastrem. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek podniósł na kogoś bodaj mały palec, z wyjątkiem tamtego dnia, kiedy Greebo Greaves stłukł płytę, którą Wayne przyniósł na jakąś szkolną dyskotekę, i musieliśmy odrywać Wayne’a od niego i podważać mu palce zaciśnięte na żelaznym pręcie, i była policja, pogotowie i w ogóle.

Mniejsza o to.

Pozwoliłem mu zająć się wszystkim, co było wielką pomyłką, ale zależało mu na tym, więc poszedłem i usiadłem przy tym, co się nazywało barem — stoły na kozłach przykryte serwetą.

Nie, nic nie piłem. No, może jedną filiżankę ponczu, ale to był właściwie sok owocowy. Dobra, dwie filiżanki.

Ale wiem, co słyszałem, i jestem absolutnie pewien tego, co widziałem.

Tak sędzę.

Na podobnych imprezach publika zawsze jest taka sama. Organizator, kilku członków komitetu, trochę chłopaków z okolicy, których przyniosło, bo w telewizji nie pokazywali nic oprócz bilardu. Wszyscy mieli maski, ale nikt nie zawracał sobie głowy resztą przebrania, więc efekt był taki, jakby Frankenstein i spółka wybrali się na zakupy do Marks and Sparks. Na ścianach wisiały harcerskie plakaty. Kaloryfery, jak zwykle w wiejskich salach, zasysały ciepło do środka. Śmierdziało tenisówkami. Ukoronowaniem urody tego niepowtarzalnego lokalu była mała lustrzana kula wirująca pod sufitem. Połowa lusterek zdążyła poodpadać.

No dobra, może trzy filiżanki. Ale w tym pływały kawałki jabłka. W żadnym poważniejszym napitku nie będzie pływających kawałków jabłka.

Wayne zaczął od kilku mocniejszych kawałków, żeby ludzi rozruszać. Mówię w przenośni, oczywiście. Żadnego łubudu, nic z tych rzeczy, tylko smętki, że człowiek nie jest już taki młody jak kiedyś.

Jak już powiedziałem, Wayne nie był stworzony do prowadzenia zabawy, a tamtego wieczoru — ostatniego wieczoru — był gorszy niż kiedykolwiek. Cały czas mamrotał pod nosem i gapił się na tańczących jak sroka w gnat. Pomieszał płyty. Jedną nawet zarysował. Tak na marginesie, odkąd pamiętam, jedyne, co go było w stanie naprawdę rozjuszyć nie licząc tamtej sprawy z Greebo, to była porysowana płyta.

Wtrącanie się byłoby grubym nietaktem, więc podszedłem do niego dopiero na pierwszej przerwie. Nie uwierzy pan, był tak zlany potem, że aż na konsolę kapąło.

— To tamten gość na parkiecie — powiedział. — Ten w dzwonach.

— Matuzalem? — zapytałem.

— Nie rób sobie jaj. Czarny jedwabny garnitur ze sztucznymi świecidełkami. Przez cały wieczór odstawiał Johna Travoltę. Nie wyglupiaj się, musiałeś go zauważyć. Buty na słoninie. Srebrny medalion wielkości talerza. Maską kościotrupa. Był tam przy drzwiach.

Nie widziałem wcześniej nikogo takiego. Człowiek by zapamiętał, no nie?

Twarz Wayne'a zastygła w wyrazie przerażenia.

— Musiałeś go widzieć!

— Gdyby nawet, to co z tego?

— Cały czas się na mnie gapi! Poklepałem go po ramieniu.

— Imponująca technika, staruszku. Jestem pod wrażeniem.

Rozejrzałem się po sali. Większość towarzystwa kręciła się w tej chwili przy ponczu, skubańczy jedni. Wayne chwycił mnie za ramię.

— Nie odchódź!

— Chciałem odetchnąć świeżym powietrzem.

— Nie... — Wziął się w garść. — Nie wychodź. Zostań. Proszę.

— Co z tobą?

— Proszę, John! Wciąż się na mnie tak dziwnie gapi. Wyglądało na to, że naprawdę ma pietra. Dałem za wygraną.

— Dobra. Ale pokaż mi go, jak znów się pojawi.

Pozwoliłem mu dalej robić swoje, a sam próbowałem opanować niebotyczny chaos wtyczek, rozgałęźników i przedłużaczy, co było normalnym wkładem Wayne'a w bezpieczeństwo instalacji elektrycznej. Kiedy ma się taki sprzęt, jak my mamy... dobra, jak mieliśmy, to jest zabawa na długie godziny. Czy zdaje pan sobie sprawę, ile różnych rodzajów końcówek... tak, oczywiście.

W połowie następnego kawałka Wayne pociągnął mnie z powrotem w stronę pulpitu.

— Tam! Widzisz go? Na samym środku!

No więc... nie widziałem. Zobaczyłem kilka dziewczyn tańczących ze sobą, reszta to były pary usiłujące udawać, że lata siedemdziesiąte nigdy nie nadeszły. Każdy kowboj ze sztucznymi szkiełkami rzuciłby się w oczy w tym towarzystwie niczym truskawka w gulaszu. Zdawałem sobie sprawę, że sytuacja wymaga taktu i dyplomacji.

— Wayne — powiedziałem. — Chyba masz nierówno pod sufitem.

— Nie widzisz go?

Cóż, nie widziałem. Ale...

...skoro o tym mowa...

...widziałem wolne miejsce.

Był taki kawałek podłogi mniej więcej na środku sali, który wszyscy omijali. Nie unikali go, rozumie pan, tylko jakoś na niego nie trafiali. Po prostu tak się składało, że sobie tam był. I nie znikał. Przemieszczał się trochę to tu, to tam, ale nie znikał.

Zgoda, wiem, że kawałek podłogi nie może się przemieszczać. Proszę mi wierzyć. Ten kawałek podłogi to robił.

Płyta się kończyła, ale Wayne miał jeszcze dość przytomności umysłu, żeby puścić następną. Stary, poczciwy kawałek, który wszyscy powinni znać.

— Ciągłe tam jest? — zapytał ze wzrokiem wbitym w stół.

— Teraz trochę bliżej — powiedziałem. — Może poluje na jakiegoś fanta?

...*A ja chcę żyć na zaaawszeeee...*

— Chyba masz rację...

...*Kto ujrzy mnie, zapłaaaczeee...*

Tańczących jakby przybyło, ale puste miejsce wciąż się kręciło to tu, to tam, tak, oczywiście, wciąż było omijane. Podszedłem i stanąłem na nim. Było zimne.

— DOBRY WIECZÓR — powiedziało.

Głos dochodził zewsząd dookoła mnie i wszystko jakby nagle zwolniło. Tańczący byli tylko figurami w czarnej mgłę, muzyka — głuchym dudnieniem.

— Gdzie jesteś?

— ZA TOBĄ.

Naturalny odruch w takiej chwili to odwrócić się, ale nie uwierzy pan, jak skutecznie mu się przeciwstawiąłem.

— Przestraszyłeś mojego kumpla.

— NIE CHCIAŁEM.

— Zabieraj się stąd.

— OBAWIAM SIĘ, ŻE TO SIĘ NIE DA ZROBIĆ.

Wtedy się odwróciłem. Miał dobrze ponad dwa metry w tych swoich — tak jest — butach na słoninie. I zgadza się, miał dzwony. Wayne mówił, że były czarne, ale to nieprawda. Nie miały żadnego koloru, to były po prostu mające kształt ubrania dziury prowadzące Gdzie Indziej. Czerń byłaby przy nich oślepiająco biała. Może i przypominał trochę Johna Travoltę od pasa w dół, ale Johna Travoltę, który od trzech miesięcy spoczywa w grobie.

Rzeczywiście miał maskę w kształcie trupiej czaszki. Widać było sznurek.

— Często tu przychodzisz?

— ZAWSZE JESTEM W POBLIŻU.

— Nigdy cię jakoś nie zauważyłem. — A zauważyłbym. Nie co dzień widuje się facetów wzrostu dwa metry dziesięć, ważących około czterdziestu kilo, zwłaszcza takich, którzy chodzą, jakby musieli zawczasu obmyślać każdy ruch mięśni, a zachowują się, jakby byli równocześnie żywi i martwi, niczym Cliff Richard.

— TWÓJ PRZYJACIEL MA BARDZO INTERESUJĄCY ZBIÓR.

— To prawda. Jest kolekcjonerem, wiesz...

— WIEM. CZY MÓGLBYŚ MNIE PRZEDSTAWIĆ?

— Jestem w stanie cię powstrzymać?

— WĄTPIĘ.

No dobra, może cztery filizanki. Ale kobieta, która nalewała ten napitek, mówiła, że właściwie nic tam nie ma oprócz soku pomarańczowego i domowego wina. A robiła wrażenie poczciwiny. To znaczy robiłaby, gdyby nie maska wilczycy.

Wszyscy tańczący stali jak posągi, muzyka zmieniła się w ledwie dosłyszalne brzęczenie i wokół wszystkiego były niebieskie i fioletowe cienie i w ogóle, przecież trunek czegoś takiego nie robi.

Wayne'a te efekty nie dotyczyły. Stał z rozdziawionymi ustami i gapił się na nas.

— Wayne — powiedziałem — to jest...

— PRZYJACIEL.

— Czyj? — zapytałem. Nie przypadł mi do gustu. Te jego zamaszyste nogawki i pretensjonalna srebrna bransoleta z łańcucha, do którego można by doczepić kotwicę okrętu wojennego. Fakt, że jego nadgarstek to była naga kość, też nie stanowił okoliczności łagodzącej. Cały czas chodziło mi po głowie, że jest w tym coś oczywistego, ale nie mogłem zebrać myśli. Jakby głowę wypełniała mi wata.

— KAŻDEGO — powiedział. — WCZEŚNIEJ CZY PÓZNIEJ. ROZUMIEM, ŻE JEST PAN KOLEKCJONEREM.

— Cóż, w swoim skromnym... — zaczął Wayne.

— ODNOSZĘ WRAŻENIE, ŻE PAŃSKA GORLIWOŚĆ NIEMAL DORÓWNUJE MOJEJ.

Wayne się rozpromienił, jak to on. Przysięgam, że gdyby go pan zastrzelił, ożyłby, gdyby nadarzyła mu się okazja pogadania o swoim koniku, przepraszam, o swojej profesji.

— O rany — powiedział. — Pan jest kolekcjonerem?

— O TAK.

Wayne przyjrzał mu się uważnie.

— Chyba się jeszcze nie spotkałiśmy, prawda? Bywam na większości imprez. Był pan może na festynie i aukcji płytowej w Blenheim?

— NIE PAMIĘTAM. CIĄGLE JESTEM W ROZJAZDACH.

— To było wtedy, kiedy licytator dostał zawału.

— ACH TAK, TERAZ SOBIE PRZYPOMINAM. WPADŁEM, ZDAJE SIĘ, NA PARĘ MINUT.

— Nie było tam jakichś nadzwyczajnych okazji.

— CZY JA WIEM? MIAŁ TYLKO CZTERDZIEŚCI TRZY LATA.

Dobra, inspektorze. Może i sześć drinków. A może w ogóle nie w drinkach sprawa. Człowiek miewa czasem uczucie, że może zajrzeć na chwilę w przyszłość, prawda? Pan nie miewa, aha. Nieważne. Może i nie byłem wtedy całkiem trzeźwy, ale czułem się coraz bardziej nieswojo. Każdy by się tak czuł. Nawet pan.

— Wayne, dosyć tego — powiedziałem. — Jeżeli się skoncentrujesz, on zniknie. Opanuj się, proszę. Weź głęboki wdech. To jest bez sensu.

Ściana po drugiej stronie sali słuchała mnie z większą uwagą. Wiem, jaki jest Wayne, kiedy spotyka się ze swoimi kumplami zbieraczami. Mają weekendowe zjazdy. Widuje się ich w sklepach. Dziwni ludzie. Ale żaden nie był tak dziwny jak ten.

— Wayne!

Nie zwracali na mnie uwagi. A w mojej głowie strzępki świadomości podskakiwały i wrzeszczały, pokazując mi coś, w co nie byłem w stanie uwierzyć.

— MAM ICH WSZYSTKICH — powiedział ten gość, odwracając się z powrotem do Wayne'a.

— ELVIS PRESLEY, BUDDY HOLLY, JIM MORRISON, JIMI HENDRIX, JOHN LENNON...

— Bardzo szeroki wachlarz, patrząc od strony muzycznej — uznał Wayne. — Czy ma pan kompletnych Beatlesów?

— JESZCZE NIE.

I zaczęli gadać o płytach. Pamiętam, jak pan Przyjaciel powiedział, że ma komplet siedemnasto-, osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych kompozytorów. No cóż... ma ich, prawda?

Zawsze musiałem bić się za Wayne'a, od czasów podstawówki, a ta sprawa zaszła już wystarczająco daleko, więc złapałem pana Przyjaciela za ramię i właśnie miałem mu przyłożyć w sam środek tej uśmiechniętej maski.

Podniósł rękę i poczułem, jak moja pięść trafia w niewidzialną ścianę, grząską niczym melasa, po czym ten gość zdjął maskę, powiedział do mnie dwa słowa, wyciągnął rękę, ujął dłoń Wayne'a niezwykle łagodnym ruchem...

I wtedy wzmacniacz eksplodował. Jak już wspomniałem, Wayne nie był dobry w tych kabelkach a elektrykę w domu parafialnym zakładano chyba na początku ubiegłego stulecia.

Kiedy zajęły się dekoracje, wszyscy zaczęli krzyczeć i biegać jak opętani. Nie wiem, co było dalej, dopóki mnie nie ocucili na parkingu. Połowę włosów miałem spalonych, a budynek się hajcował niczym fajerwerk.

Nie, też nie wiem, dlaczego go nie znaleźli. Nawet jednego zęba?

Nie, nie wiem, gdzie jest. Nie, nie sądzę, żeby był komuś winien pieniądze.

Ale tak sobie myślę, że znalazł nową pracę. Istnieje kolekcjoner, który ma wszystkich: Presleya, Hendrixa, Lennona, Holly'ego. I jest to jedyny spośród wszystkich kolekcjonerów, który kiedyś będzie miał kompletny zbiór. A Wayne nie przepuściłby takiej okazji. Gdziekolwiek jest w tej chwili, z niezwykłą pieczołowitością wyjmuje płyty z opakowań i z miłością układa na wirujących kręgach nocy...

Przepraszam, mówiłem do siebie.

Jednego w tym wszystkim nie rozumiem. No, miliona rzeczy, jeśli chodzi o ścisłość, ale jedno mnie w tej chwili zastanawia.

Nie pojmuję, czemu pan Przyjaciół zawracał sobie głowę maską.

Bo pod maską wyglądał dokładnie tak samo, idio... panie władzo.

Co mi powiedział? Cóż, myślę, że on do każdego podchodzi indywidualnie. Może chciał mi dać coś do zrozumienia? Powiedział: BEZPIECZNEJ JAZDY.

Nie, naprawdę nie trzeba. Dziękuję, wrócę pieszo.

Dobrze, będę na siebie uważał.

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

SAMO ŻYCIE

Porównanie Terry'ego Pratchetta do P. G. Wodehouse'a, uczynione we wstępie do poprzedniego opowiadania, jest w pełni zasłużone nie tylko dlatego, że obaj autorzy są niekwestionowanymi mistrzami humorystycznej prozy. Choć może się to wydawać zaskakujące, Wodehouse również ma na swoim koncie szereg opowiadań fantastycznych oraz powieść „*The Swoopl Or How Clarence Saved England: A Tale of the Great Invasion*”, wydaną w 1909 roku, a należącą obecnie do najrzadszych i zarazem najbardziej poszukiwanych książek tego autora, zarówno wśród kolekcjonerów jego dzieł, jak i wśród miłośników fantastyki. Powieść, będąca parodią futury — styki wojennej, przepowiadała w nadchodzącym dziesięcioleciu najazd na Wielką Brytanię, co okazało się bliskie spełnienia, kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa. Bohaterem „*The Swoopl!*” jest Clarence Chugwater, młody Anglik, któremu udaje się przechytryć niemieckich i rosyjskich najeźdźców, donosząc żołnierzom obu stron, że ci drudzy dostają wyższy żołd. Wywołuje takie wrzenie, że inwazja zamienia się w farsę i kończy fiaskiem. Elementy fantastyki komicznej pojawiły się też w powieści Wodehouse'a „*Pod gazem*” (1936), w której hrabia i rozwydrzony dzieciak zamieniają się tożsamością, w opowiadaniu o nawiedzonym domu „*Honeysuckle Cottage*” (1928) i w traktującym o dziwnych wynalazkach trochę zwariowanego naukowca opowiadaniu „*Mulliners Buck-Uppo*” (1933), a zwłaszcza w przedrukowanym w niniejszym zbiorze opowiadaniu „*Samo życie*” (1926)

Pelham Granville Wodehouse (1881–1975), w swoim czasie autor równie poczytny jak dzisiaj Terry Pratchett, pracował przez dwa lata w *Hong Kong and Shanghai Bank*, nim został felietonistą „*London Globe*” i pisarzem. Opowieści o nieśmiertelnym lokaju Jeevesie i jego panu Woosterze dały autorowi światową sławę. W sumie Wodehouse napisał ponad dziewięćdziesiąt książek, które zostały przetłumaczone na wiele języków i zyskały mu miano geniusza humoru, jak określił go „*Times*”. Choć większość życia spędził w Ameryce — od 1956 roku jako obywatel Stanów Zjednoczonych — został w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat, na sześć tygodni przed śmiercią, uhonorowany tytułem szlacheckim, co odnotowuje brytyjska noworoczna lista odznaczeń. „*Samo życie*” to jedna z niezrównanych historii opowiedzianych przez popularnego bohatera książek Wodehouse'a, pana Mullinera, w której mamy do czynienia ze złowieszczym baronetem sir Jasperem Finch-Farrowmere, z zakochanym młodzieńcem oraz z majstrowaniem przy sekretach natury. Owocem jest komizm, jaki tylko pióro starego mistrza potrafiło wyczarować.

* * *

Rozmowa w Przystani Wędkarza toczyła się wokół sztuki: ktoś zapytał, czy ta seria „*Przypadki Very*”, którą pokazywano ostatnio w *Bijou Dream*, to rzecz warta obejrzenia.

— Bardzo dobry film — powiedziała panna Posdethwaite, nasza miła i sprawna barmanka, ceniona bywalczyni premierowych seansów. — To o tym szalonym profesorze, który zastawia sidła na pewną młodą dziewczynę i chce ją zamienić w homara.

— Chce ją zamienić w homara? — powtórzyliśmy jak echo, zaskoczeni.

— Tak, w homara. To było jakoś tak, że zgromadził tysiące homarów, porozgniatał je na miazgę i sporządził wywar z ich gruczołów. Właśnie miał go wstrzyknąć do kręgosłupa tej Very Darlymple, kiedy Jack Frobisher wdarł się do laboratorium i go powstrzymał.

— Dlaczego to zrobił?

— Bo nie chciał, żeby dziewczyna, którą kochał, została zamieniona w homara.

— Mieliśmy na myśli powody, dla których profesor chciał zamienić dziewczynę w homara.

— Czymś mu się naraziła.

Brzmiało to dość logicznie. Zastanawialiśmy się nad tym przez chwilę, po czym jeden z nas pokręcił głową z dezaprobatą.

— Nie podobają mi się takie historie — powiedział. — Są całkowicie wysrane z palca.

— Zechce mi pan wybaczyć — usłyszeliśmy niespodziewanie i w ten sposób dowiedzieliśmy się, że pan Mulliner jest wśród nas. — Przepraszam, że wtrącam się do rozmowy, która ma zapewne charakter prywatny, ale przypadkiem dosłyszałem ostatnie uwagi. Dotknął pan sprawy, na którą, tak się składa, mam dość zdecydowany pogląd, a mianowicie tego, co jest, a co nie jest wysrane z palca. Jak przy naszym ograniczonym doświadczeniu możemy odpowiedzieć na to pytanie? Kto wie, czy setki młodych kobiet w całym kraju nie są właśnie w tej chwili zamieniane w homary? Proszę wybaczyć moje wzburzenie, ale doznałem w życiu wielu przykrości z powodu tak dzisiaj rozpowszechnionej postawy sceptycznej. Spotkałem nawet ludzi, którzy nie chcieli uwierzyć w to, co się przydarzyło mojemu bratu Wilfredowi, tylko dlatego, że odbiegało to nieco od typowych doświadczeń przeciętnego człowieka.

Głęboko poruszony, pan Mulliner zamówił szkocką z plasterkiem cytryny.

— Co takiego się przydarzyło pańskiemu bratu? Został zamieniony w homara?

— Nie. — Mulliner wbił w rozmówcę swoje szczerze, niebieskie oczy. — Bez trudu mógłbym udawać, że tak właśnie się stało, lecz moją żelazną zasadą jest — i zawsze będzie — mówienie wyłącznie nagiej prawdy. Mój brat Wilfred przeżył jedynie dość dziwną przygodę.

* * *

Wilfred — ciągnął pan Mulliner — zawsze był w naszej rodzinie najtęższą głową. Już jako dzieciak bawił się chemikaliami, a po wstąpieniu na uniwersytet bez reszty poświęcił się badaniom naukowym. W rezultacie jeszcze jako młody człowiek wyrobił sobie markę uznanego wynalazcy, twórcy linii produktów znanej w branży jako Magiczne Preparaty Mullinera, obejmującej takie pozycje jak krem do twarzy „Kruczowłosa Cyganka”, emulsja „Górski Śnieg” i wiele innych specyfików o przeznaczeniu bądź wyłącznie kosmetycznym, bądź również leczniczym — stworzonych, by nieść ulgę w licznych cierpieniach nękających ludzki organizm.

Naturalnie był człowiekiem bardzo zajęтым i właśnie owo zamiłowanie do pracy sprawiło, moim zdaniem, że choć obdarzony — jak wszyscy Mullinerowie — niepospolitym urokiem osobistym, ukończył trzydziesty pierwszy rok życia, nie mając za sobą żadnych doświadczeń w sprawach sercowych. Powiedział mi kiedyś, że zwyczajnie nie ma czasu na dziewczyny.

Ale na wszystkich przychodzi pora, wcześniej czy później, a silni, zapracowani mężczyźni zakochują się mocniej niż ktokolwiek inny. Pewnego roku, podczas krótkich wakacji, które spędzał w Cannes, Wilfred poznał pannę Angelę Purdue, która zatrzymała się w tym samym hotelu co on, i zupełnie stracił dla niej głowę. Była to jedna z tych żywych, wesołych dziewcząt lubiących spędzać czas na świeżym powietrzu. Wilfred zwierzył mi się kiedyś, że tym, co go w niej od pierwszej chwili urzekło, była jej zdrowa, opalona cera. Prawdę mówiąc, to samo powiedział pannie Purdue, kiedy, wkrótce po jego — przyjętych — oświadczeniach, zapytała go z dziewczęcą ciekawością, co sprawiło, że się w niej zakochał.

— Jaka szkoda, że opalenizna tak szybko blednie! — westchnęła. — Chciałabym znać sposób, żeby ją zatrzymać na dłużej.

Nawet w chwilach najgłębszego wzruszenia Wilfred nigdy nie zapominał, że jest człowiekiem interesu.

— Powinnaś spróbować kremu do twarzy „Kruczowłosa Cyganka” marki Mulliner. Jest sprzedawany w dwóch rodzajach opakowań: mniejszym, po pół korony, oraz trzyipółkrotnie większym, po siedem szylingów i sześć pensów. Nakłada się go raz dziennie gąbeczką przed udaniem się na spoczynek. Posiadamy referencje licznych przedstawicieli arystokracji. Są do wglądu w naszym biurze, udostępniamy je każdej osobie o czystych intencjach, która zechce się z nimi zapoznać.

— Naprawdę jest taki dobry?

— To ja go wynalazłem — rzekł po prostu.

Panna Purdue spojrzała na niego z uwielbieniem.

— Jakiś ty mądry! Każda dziewczyna powinna czuć się zaszczycona, mogąc poślubić kogoś takiego.

Wilfred machnął lekceważąco ręką.

— Mimo to mój prawny opiekun będzie strasznie zły, kiedy mu powiem o naszych zaręczynach — mówiła dalej panna Purdue.

— Dlaczego?

— Po śmierci wuja odziedziczyłam miliony Purdue’ów, a mój opiekun zawsze chciał, żebym poślubiła jego syna Percy’ego.

Wilfred ucałował ją serdecznie i roześmiał się nonszalancko.

— Gwiżdżę na to — powiedział lekkim tonem.

Ale w kilka dni po powrocie do Londynu, dokąd dziewczyna przyjechała przed nim, miał okazję przypomnieć sobie jej słowa. Siedział w swojej pracowni, rozmyślając nad lekarstwem na pycie dla kanarków, kiedy przyniesiono mu kartę wizytową. „Sir Jasper ffinch–ffarrowmere” — przeczytał. Nazwisko nic mu nie mówiło.

Prosić — powiedział.

Do pracowni wkroczył bardzo tęgi jegomość o szerokiej różowej twarzy. Wilfred pomyślał, że naturalny wyraz tej twarzy powinien być jowialny, ale w tej chwili malowała się na niej powaga.

— Sir Jasper Finch–Farrowmere? — zapytał Wilfred.

— ffinch–ffarrowmere — poprawił go gość, którego wyczulone ucho rozpoznało wielkie litery.

— Ach tak. Pisane przez dwa małe „f”.

— Przez cztery małe „f”.

— Czemu zawdzięczam zaszczyt...?

— Jestem prawnym opiekunem Angeli Purdue.

— Bardzo mi miło. Whisky z wodą sodową?

— Nie, dziękuję. Jestem całkowitym abstynentem. Zauważyłem, że alkohol ma niekorzystny wpływ na moją wagę, więc go odstawiłem. Zrezygnowałem też z masła, ziemniaków, wszelkiego rodzaju zup i... Jednakże — urwał, a fanatyczny błysk, jaki pojawia się w oku każdego grubasa, kiedy zaczyna opowiadać o swojej diecie, powoli przygasł — nie jest to wizyta towarzyska i nie mogę marnować pańskiego czasu na pogaduszki. Panie Mulliner, mam dla pana wiadomość. Od Angeli.

— Jakże się cieszę! — zawołał Wilfred. — Sir Jasperze, kocham tę dziewczynę z każdym dniem bardziej.

— Czyżby? — powiedział baronet. — Cóż, przynoszę panu wiadomość, że sprawa jest nieaktualna.

— Co takiego?

— Nieaktualna. Angela przysyła mnie do pana z wiadomością, że przemyślała sprawę i postanowiła zerwać zaręczyny.

Wilfred nie zapomniał, co Angela mu powiedziała o planach tego człowieka względem niej. Zlustrował gościa przenikliwym spojrzeniem, nie dając się dłużej zwodzić jego pozorną dobroduszością. Przeczytał zbyt wiele powieści kryminalnych, w których wesoły grubas o czerwonej twarzy przeistaczał się w diabła wcielonego, aby się na to nabrać.

— Doprawdy? — powiedział chłodno. — Wolałbym usłyszeć tę informację z własnych ust panny Purdue.

— Panna Purdue nie chce pana widzieć. Ale, przewidując pańską reakcję, przywiozłem jej list. Poznaje pan pismo?

Wilfred wziął od niego list. Pismo z całą pewnością należało do Angeli, a treść nie pozostawiała wątpliwości. Mimo to, zwracając go, Wilfred uśmiechnął się wyzywająco.

— Istnieje coś takiego, jak napisanie listu pod przymusem — powiedział.

Różowa twarz baroneta stała się purpurowa.

— Co pan chciał przez to powiedzieć?

— To co powiedziałem.

— Insynuuje pan...

— Insynuuję!

— Kpi pan sobie!

— Tak, kpię sobie! — rzekł Wilfred. — I jeśli chce pan znać moje zdanie, żaloszny panie ffish, to jestem przekonany, że pańskie nazwisko pisze się wielką literą, tak jak każde inne.

Ugodzony w najczulszy punkt, baronet odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa.

Choć Wilfred Mulliner poświęcił życie badaniom naukowym, nie był jakimś tam marzycielem. Potrafił być człowiekiem czynu, kiedy sytuacja tego wymagała. Ledwie gość opuścił jego dom, już zmierzał w kierunku Szacownej Probówki, słynnego klubu chemików w St James's. W klubie przejrzał „Rody według hrabstw” Kelly'ego i dowiedział się, że sir Jasper zamieszkuje ffinch Hall w hrabstwie Yorkshire. Uznał, że tam właśnie musi być uwięziona jego narzeczona.

Bo że została uwięziona, nie ulegało według niego wątpliwości. Był przekonany, że do napisania listu zmuszono ją groźbami. Pismo wprawdzie było Angeli, ale nie mógł uwierzyć, że sformułowania i ton też są jej autorstwa. Czytał kiedyś opowiadanie, którego bohaterka została zmuszona do popełnienia czynów, jakie nawet przez myśl by jej nie przeszły, gdyby nie fakt, że ktoś stał nad nią z butelką wotriolu. Wysoce prawdopodobne, że ten wieprz tak właśnie postąpił z Angelą.

Biorąc to pod uwagę, Wilfred nie winił narzeczonej za to, co o nim napisała w drugim akapicie swojego listu. Nie miał jej też za złe, że podpisała się: „Zobowiązana A. Purdue”. Kiedy jakiś baronet grozi ci wylaniem wotriolu za kołnierz, trudno wymagać od wrażliwej młodej dziewczyny, aby zwracała uwagę na dobór słów. Takie okoliczności muszą nieuchronnie zakłócić proces doboru właściwych sformułowań.

Po południu Wilfred siedział w pociągu zmierzającym do Yorkshire, a wieczorem stanął w gospodzie ffinch Arms we wsi należącej do dóbr sir Jaspera. Nocą bezszelestnie przemknął przez ogrody ffinch Hall, okrążając dom i pilnie nasłuchując.

Gdy się tak skradał, do jego uszu dobiegł z jednego z górnych okien dźwięk, który sprawił, że stanął jak skamieniały, zaciskając pięści. Było to kobiece łkanie.

* * *

Spędził bezsenną noc, ale rano miał gotowy plan działania. Nie będę was zanudzał opisem długotrwałych i żmudnych zabiegów, dzięki którym najpierw zawarł znajomość z lokajem sir Jaspera, stałym bywalcem wiejskiej gospody, a następnie, krok po kroku, starannie dozując życzliwe słowa i kufle piwa, zaskarbił sobie jego zaufanie. Dość będzie

powiedzieć, że Wilfred nakłonił starego lokaja, przemawiając mu do kieszeni, aby zaaranżował swój nagły wyjazd pod pretekstem choroby cioci, polecając w zastępstwie — by nie narażać chlebobdawcy na niedogodność — swojego kuzyna.

Owym kuzynem, jak się zapewne domyślicie, był Wilfred we własnej osobie. Ale był to Wilfred zupełnie nie przypominający ciemnowłosego naukowca o nienagannym wyglądzie, który kilka miesięcy wcześniej zrewolucjonizował świat chemii, dowodząc, że $H_2O + b3g4z7 - m9z8 = g6f5p3x$. Nim opuścił Londyn, udając się na tę niebezpieczną eskapadę, przedsięwziął stosowne środki ostrożności. Od znanego kostiumologa nabył rudą perukę. Zakupił też niebieskie okulary, ale wobec roli, jaką przyszło mu odegrać, okazały się, rzecz jasna, bezużyteczne. Poprzestał więc na przywdzianiu peruki, zgoleniu wąsów oraz pokryciu twarzy cienką warstwą kremu „Kruczowłosa Cyganka”. Uporawszy się z tym, ruszył do ffinch Hall.

Z zewnątrz posiadłość robiła wrażenie typowego posepnego wiejskiego domostwa, które istnieje jedynie po to, aby być sceną zbrodni mrozących krew w żyłach. Już krótki rekonesans pozwolił mu odkryć kilka mrocznych zakątków, którym brakowało jedynie krzyża wskazującego miejsce, gdzie policja odkryła zwłoki denata. W takim domu krakanie kruków w ogrodzie oznajmia rychłą śmierć właściciela, a w nocnej ciszy zza okratowanych okien dobiegają przeraźliwe krzyki.

Wnętrze nie było bardziej radosne. Co do służby zaś, stanowiła zdecydowanie najmniej zachęcający element całości. Leciwa kucharka, kiedy pochylała się nad kotłami, przywodziła nieodparcie na myśl wiedźmę z „Makbeta”, a kamerdyner Murgatroyd, zwalisty typ o aparycji złoczyńcy, miał zeza w jednym oku i złowieszczy błysk w drugim.

Te okoliczności odstraszyłyby niejednego śmiałka, ale nie Wilfreda Mullinera. Pomijając fakt, że jak wszyscy Mullinerowie był odważny niczym lew, był też w jakiejś mierze przygotowany na to, co zastał. Wdrażał się więc do nowych obowiązków, mając oczy szeroko otwarte i nie upłynęło wiele czasu, a jego czujność została nagrodzona.

Pewnego dnia, kiedy ukradkiem przemierzał mroczne korytarze, zauważył, że sir Jasper wchodzi po schodach na górę z tacą w rękach. Był tam koszyczek na tosty, pół butelki wina, sól, pieprz, jarzynka, a na półmisku pod przykryciem coś, co Wilfred, pociągając ostrożnie nosem, uznał za kotlet.

Kryjąc się w cieniu, podążył za baronetem na górę. Sir Jasper zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami na pierwszym piętrze i zapukał. Drzwi się otworzyły, wysunęła się ręka, taca zniknęła, drzwi zamknęły się z powrotem i baronet odszedł, a w ślad za nim to samo uczynił Wilfred.

Zobaczył to, co chciał zobaczyć, odnalazł to, co chciał odnaleźć. Wrócił do pomieszczeń dla służby i pod posepnym spojrzeniem Murgatroyda zaczął obmyślać swój plan.

— Gdzie się wałęsałeś? — zapytał kamerdyner podejrzliwie.

— Tu i ówdzie — bąknął Wilfred, udając niedbały ton.

Murgatroyd spiorunował go wzrokiem.

— Lepiej siedź tam, gdzie twoje miejsce — powiedział swoim głębokim, chrapliwym basem. — W tym domu dzieją się rzeczy, których lepiej nie oglądać.

— O tak! — zawtórowała mu kucharka, wrzucając cebulę do kotła.

Wilfred wzdrygnął się mimo woli, ale zarazem odczuł pewną ulgę. Przynajmniej nie głodzili jego ukochanej. Ten kotlet pachniał wyjątkowo smakowicie i jeśli menu zawsze odpowiadało tym standardom, nie miała powodu się uskarżać na aprowizację.

Ale uczucie ulgi nie trwało długo. Czym są kotlety dla dziewczyny uwięzionej w zamkniętym pokoju, w ponurym domu na odludziu i przymuszanej do małżeństwa z człowiekiem, którego nie kocha? Kiedy serce jest chore, kotlet może jedynie złagodzić ból, ale nie może go uleczyć. Wilfred poprzysiągł sobie z pasją, że choćby nie wiem co się działo,

w najbliższych dniach znajdzie klucz do tych zamkniętych drzwi i uprowadzi pannę Purdue ku wolności i szczęściu.

Jedyną przeszkodę w realizacji tego planu stanowił fakt, że znalezienie klucza okazało się zadaniem nadzwyczaj trudnym. Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy sir Jasper siedział przy kolacji, Wilfred starannie przeszukał jego pokój. Bez rezultatu. Zmuszony był przyjąć, że baronet nosi klucz stale przy sobie.

Jak więc miał go zdobyć?

Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że Wilfred Mulliner był skonsternowany. Umysł, który zelektryzował świat nauki odkryciem, że gdy zmiesza się stały tlen z sodem, odrobiną trójnitoluenu i kapką starej brandy, uzyska się coś, co w Ameryce ujdzie za szampan po sto pięćdziesiąt dolarów za skrzynkę, musiał przyznać, że znalazł się w kropce.

* * *

Roztrząsanie stanu ducha Wilfreda podczas kolejnego, wlokącego się niemiłosiernie tygodnia, byłoby częścią udręki. Życie nie może, rzecz jasna, składać się z samych słonecznych dni i opowiadając taką jak ta, z życia wziętą historię, narrator musi dbać o zachowanie równowagi między blaskiem a cieniem. Mimo to znużyłbym was, panowie, gdybym szczegółowo opisywał duchowe katusze, jakie cierpiał, gdy mijał dzień za dniem, a żadne rozwiązanie problemu nie pojawiało się na horyzoncie. Jesteście, panowie, inteligentnymi ludźmi i potrafcie sobie wyobrazić, jak musiał się czuć ów pełen ducha, zakochany miody człowiek, wiedząc, że jego miła trawi dni w zamknięciu, które należy uznać — pomimo usytuowania na piętze — za loch i zżyma się, że on nie potrafi jej uwolnić.

Oczy mu się zapadły, kości policzkowe się uwydatniły, stracił na wadze. Zmiany w jego wyglądzie były tak wyraźne, że któregoś wieczoru sir Jasper ffinch—ffarrowmere napomknął o nich tonem nieukrywanej zawiści.

— Powiedz mi, Straker — zagadnął go, gdyż pod takim pseudonimem Wilfred występował — jak ty to robisz, u diabła, że jesteś taki chudy? Sądząc z tygodniowych rachunków, jesz jak wygłodniały Eskimos, i mimo to nie przybierasz na wadze. A ja nie dość, że odmawiam sobie masła i ziemniaków, to jeszcze zacząłem codziennie przed snem pić gorący, niesłodzony sok cytrynowy, i nic. Niech to szlag trafi — zaklął, gdyż, jak to baronet, nie przebierał w słowach — ważyłem się dziś rano i znów przytyłem o siedemnaście deko. Jak to wytłumaczysz?

— Tak, proszę pana — powiedział Wilfred machinalnie.

— Co znaczy „Tak, proszę pana”? Co, u licha, chciałeś przez to powiedzieć?

— Nie, proszę pana.

Baronet westchnął smętnie.

— Badałem tę sprawę szczegółowo — powiedział — i jest to jeden z siedmiu cudów świata. Widział kto kiedyś grubego lokaja? Nigdy. A jednak trudno znaleźć w ciągu dnia chwilę, kiedy lokaj akurat się nie posila. Wstaje o wpół do siódmej, o siódmej pije kawę i zjada tosta z masłem. O ósmej je śniadanie, złożone z owsianki, śmietanki, jajek, bekonu, dżemu, chleba, masła, dokładki jajek, dokładki bekonu, dolewki herbaty, kończąc plasterkiem zimnej szynki i sardynką. O jedenastej ma drugie śniadanie, złożone z kawy, śmietanki oraz kolejnych porcji chleba z masłem. O pierwszej je lunch, suty posiłek obfitujący w kalorie, i wypija mnóstwo piwa. Jeśli ma dostęp do porto, wychyla szklaneczkę porto. O trzeciej przekąska. O czwartej następna przekąska. O piątej herbata i tost z masłem. O siódmej kolacja, prawdopodobnie z bogatymi w węglowodany ziemniakami i znów mnóstwem piwa. O dziewiątej kolejna przekąska. O wpół do jedenastej idzie do łóżka, zabierając ze sobą szklanek mleka i talerz herbatników, na wypadek gdyby w nocy zgłodniał. A mimo to jest

chudy jak szczypiopek, podczas gdy ja, przestrzegając diety od lat, dobijam do stu dwudziestu dwóch kilogramów i rośnie mi czwarty podbródek. To jest niepojęte, Straker.

— Tak, proszę pana.

— Coś ci powiem, Straker. Zamówiłem w Londynie przenośną, szafkową łaźnię turecką. Jeśli to nie pomoże, daję za wygraną.

* * *

Przenośna łaźnia turecka przyjechała w oznaczonym terminie i została rozpakowana. Jakies trzy dni później, kiedy Wilfred siedział w służbówce pogrążony w myślach, z zadumy wyrwał go głos kamerdynera.

— Obudź się. Sir Jasper cię wzywa.

— Jak mnie nazywa? — zapytał Wilfred, przytomniejąc gwałtownie.

— Wzywa cię bardzo głośno! — ryknął kamerdyner.

Miał rację. Z górnych rejonów domu dochodziły rozpaczliwe wrzaski, niewątpliwie będące objawem śmiertelnej opresji. Wilfred nie miał wielkiej ochoty wkraczać, jeśli, jak się wydawało, jego pracodawca konał właśnie w męczarniach, ale był człowiekiem obowiązkowym, a dopóki przebywał w tym domu, jego obowiązkiem było wykonywać pracę, za którą pobierał wynagrodzenie. Popędził więc na górę do sypialni sir Jaspera i ujrzał jego szkarłatne oblicze wyczernione z przenośnej łaźni tureckiej.

— Zjawiłeś się w końcu! — krzyknął sir Jasper. — Co zrobiłeś z tą piekielną maszyną, kiedy mnie do niej wpakowałeś?

— Nic poza tym, co było napisane w instrukcji obsługi dostarczonej wraz z urządzeniem, sir Jasper. Wsunąłem bolec A w rowek B, zatrzasnąłem zatrzask C...

— Musiałeś coś pokręcić. Zacięło się. Nie mogę się wydostać.

— Nie może pan?! — wykrzyknął Wilfred.

— Nie mogę. A to diabelstwo robi się gorętsze niż samo piekło. — Muszę panów przeprosić za język sir Jaspera, ale wiecie, jacy są baroneci. — Smażę się jak frytka.

Wilferd Mulliner doznał nagłego olśnienia.

— Uwolnię pana, sir Jasperze...

— Pospiesz się.

— Pod jednym warunkiem. — Wilfred utkwiał w nim przeszywające spojrzenie. — Najpierw muszę dostać klucz.

— Nie ma żadnego klucza, idioto. Tego się nie zamyka na klucz. Zatrzaskuje się, kiedy wsunie się dynks D w ustrojstwo E.

— Mówię o kluczu do pokoju, w którym więzi pan Angelę Purdue.

— Co ty bredzisz, u diabła?!

— Wyjaśnię to panu, panie ffinch–ffarrowmere. Jestem Wilfred Mulliner!

— Nie gadaj bzdur. Wilfred Mulliner ma czarne włosy. Twoje są rude. Musiałeś go z kimś pomylić.

— To jest peruka. Od Clarksona. Nie przyszło panu do głowy, panie ffinch–ffarrowmere, kiedy wprowadzał pan w życie swój niecny plan — ciągnął Wilfred, celując w baroneta oskarżycielsko palcem — że Wilfred Mulliner śledzi każdy pański krok. Przejrzałem cię od samego początku i oto nadeszła chwila, żeby powiedzieć: „Szach i mat”. Daj mi klucz, ty Lucyferze.

— Lucyfferze — poprawił go machinalnie sir Jasper.

— Mam zamiar uwolnić moją ukochaną i zabrać ją z tego straszliwego domu, a następnie poślubić ją na mocy specjalnej dyspensy, jak tylko zostaną uregulowane kwestie prawne.

Pomimo cierpienia sir Jasper wybuchnął upiornym śmiechem.

— Masz zamiar, doprawdy?

— Doprawdy.

— To wspaniale!

— Daj mi klucz.

— Nie mam go, głupcze. Jest w drzwiach.

— Cha, cha!

— Nie ma się z czego śmiać. Klucz jest w drzwiach. Od wewnątrz.

— Miałbym w to uwierzyć! Nie będę tu stał i tracił czasu. Jeśli nie dostanę klucza, pójdę na górę i wyważę drzwi.

— Proszę bardzo! — Baronet znów się zaśmiał niczym dusza potępiona na mękach. — Zobaczysz, co Angela na to powie.

Wilfred nie mógł pojąć, o co chodzi. Potrafił sobie doskonale wyobrazić, co powie Angela. Wyobrażał ją sobie szlochającą na jego piersi, szepczącą, że wiedziała... że ani przez chwilę w niego nie zwątpiła. Skoczył do drzwi.

— Czekaj! Hej! Nie masz zamiaru mnie wypuścić?!

— Chwileczkę! Proszę się nie gorączkować — rzucił Wilfred i wybiegł.

Popędził schodami na górę.

— Angelo! — zawołał, przykładając usta do drzwi. — Angelo!

— Kto tam? — odezwał się z wnętrza dobrze znany głos.

— To ja, Wilfred. Zaraz wyważę drzwi. Cofnij się.

Wziął kilka kroków rozbiegu i z rozmachem uderzył w drzwi. Zamek poddał się ze zgrzytem i Wilfred, zataczając się, wyładował w kompletnie ciemnym pokoju.

— Angelo, gdzie jesteś?

— Tutaj. I chciałabym wiedzieć, co tu robisz po otrzymaniu listu, który do ciebie napisałam. — Angela mówiła dziwnie chłodnym tonem. — Niektórzy mężczyźni są wyjątkowo mało pojętni.

Wilfred się zachwiał i byłby upadł, gdyby nie złapał się za głowę.

— List? — wyjąkał. — Nie napisałaś w nim przecież tego, co myślisz?

— Dokładnie to, co myślę. I żałuję, że byłam tak powściągliwa.

— Ale... ależ... ależ... Ty mnie nie kochasz, Angelo?

Twardy, ironiczny śmiech wypełnił pokój.

— Kochać cię? Kochać człowieka, który polecił mi krem do twarzy „Kruczowłosa Cyganka” marki Mulliner?

— O czym ty mówisz?

— Zaraz się dowiesz, o czym mówię. Wilfredzie Mulliner, spójrz na swoje dzieło!

Niespodziewanie zabłyśło światło. I oto, z ręką na wyłączniku, stała Angela. Królewska, zachwycająca postać, w której promiennej urodzie nawet najsurowszy krytyk dopatryłby się jednego tylko mankamentu, a mianowicie — była... dwukolorowa.

Wilfred wpatrywał się w nią z uwielbieniem. Angela miała twarz po części brązową, a po części białą, na jej śnieżnobiałej szyi widniały plamy barwy sepia, przypominające ślady palców, jakie widuje się na kartach książek w bibliotekach publicznych. Mimo to Wilfred pomyślał, że to najpiękniejsza istota na świecie. Marzył, by wziąć ją w ramiona. Nie uczynił tego tylko dlatego, że gniewnym wzrokiem komunikowała mu ponad wszelką wątpliwość, iż dostanie po głowie, jeśli się zbliży.

— Tak — ciągnęła Angela. — Oto co ze mnie zrobiłeś, Wilfredzie Mulliner. Ty i ten twój krem do twarzy „Kruczowłosa Cyganka”. Za twoją radą kupiłam duży słoiczek za siedem szylingów i sześć pensów. Nie minęły dwadzieścia cztery godziny od nałożenia tego mazidła na twarz i mogłam zgłosić się do pierwszego lepszego cyrku, dyktując swoje warunki jako Łaciata Księżniczka z wysp Fidżi. Uciekłam szukać schronienia tutaj, w domu mojego dzieciństwa. Na mój widok — tu głos jej się załamał — mój ulubiony ogar zaczął gryźć

własną budę ze strachu, a Ponto, mały piesek, którego wychowałam od szczenięcia, spojrział tylko raz na moją twarz i jest teraz w rękach weterynarzy. Mało prawdopodobne, żeby doszedł do siebie. I to ty, Wilfredzie Mulliner, sprowadziłeś na mnie to przekleństwo.

Niejeden mężczyzna zadrżałby wobec tych palących słów, ale nie Wilfred Mulliner, który uśmiechnął się tylko z nieopisanym współczuciem i zrozumieniem.

— To nic wielkiego. Powinienem być cię uprzedzić, że to się czasem zdarza, kiedy cera jest wyjątkowo delikatna i wrażliwa. Można to błyskawicznie usunąć za pomocą emulsji „Górski Śnieg” marki Mulliner, cztery szylingi za średnią buteleczkę.

— Wilfredzie, czy to prawda?

— Oczywiście, najdroższa. Czy to jedyna przeszkoda, jaka stoi pomiędzy nami?

— Nie! — zagrział potężny głos.

Wilfred odwrócił się gwałtownie. W drzwiach stał Jasper Finch-Farrowmere owinięty ręcznikiem kąpielowym, a to, co było widać spod ręcznika, miało barwę jaskrawego szkarłatu. Za nim, bawiąc się biczem, stał kamerdyner Murgatroyd.

— Nie spodziewałeś się mnie, prawda? — zapytał sir Jasper.

— Z pewnością — powiedział Wilfred surowym tonem — nie spodziewałem się ujrzeć pana w obecności damy w takim stroju.

— Mniejsza o strój — uciął sir Jasper. — Murgatroyd, czyń swoją powinność!

Kamerdyner, ze straszliwym grymasem na twarzy, wkroczył do pokoju.

— Przestań! — krzyknęła Angela.

— Jeszcze nie zacząłem, panienko — powiedział kamerdyner z szacunkiem.

— Nie tkniesz Wilfreda. Ja go kocham!

— Co takiego?! — krzyknął sir Jasper. — Po tym, co się stało?!

— Tak. Wszystko mi wyjaśnił.

Purpurowe oblicze baroneta przybrało posępny wyraz.

— Z pewnością nie wyjaśnił ci, dlaczego zostawił mnie, żebym ugotował się żywcem w tej piekielnej łaźni tureckiej. Zaczynałem już dymić, kiedy Murgatroyd, wierny sługa, usłyszał krzyki i mnie uwolnił.

— Chociaż nie należy to do moich obowiązków — uzupełnił kamerdyner.

Wilfred wytrzymał wzrok baroneta.

— Gdyby stosował pan Reductin marki Mulliner, uznany środek przeciw otyłości, bądź w pastylkach, po trzy szylingi za opakowanie, bądź w płynie, po pięć szylingów i sześć pensów za butelkę, nie musiałby się pan smażyć w łaźni tureckiej. Zazwyczaj Reductin, który nie zawiera szkodliwych chemikaliów, jedynie dobroczynne zioła, ma pan gwarancję systematycznej redukcji nadwagi, bez osłabiających organizm, niepożądanych skutków ubocznych, z szybkością jednego kilograma na tydzień. Jak potwierdzają klienci z wyższych sfer.

Wściekłość baroneta przygasła.

— Czy to są fakty? — zapytał szeptem.

— Tak.

— Ręczy pan za to?

— Wszystkie produkty marki Mulliner są objęte stuprocentową gwarancją.

— Mój chłopcze! — Baronet uściskał dłoń Wilfreda. — Bierz tę dziewczynę — powiedział łamiącym się głosem. — Z moim błogosławieństwem.

Za nimi dało się słyszeć dyskretne kasznięcie.

— Czy przypadkiem nie posiada pan czegoś na lumbago? — zapytał Murgatroyd.

— Niebólet marki Mulliner wyleczy najbardziej uporczywe przypadki w ciągu sześciu dni.

— Niech pana Bóg błogosławi! — wyszlochał Murgatroyd. — Gdzie mogę to dostać?

— W każdej aptece.

— Najbardziej, wie pan, łupie mnie w krzyżu.

— Nie będzie pana więcej łupać — zapewnił go Wilfred.

Nie ma wiele do dodania. Murgatroyd jest dzisiaj najbardziej gibkim kamerdynerem w Yorkshire. Waga sir Jaspera spadła poniżej dziewięćdziesięciu kilogramów i baronet poważnie myśli o tym, żeby znów zacząć polować. Wilfred i Angela są mężem i żoną. Nigdy ponoć dzwony weselne starego kościółka w posiadłości ffinchów nie rozbrzmiewały radośniej niż owego czerwcowego poranka, kiedy Angela, unosząc ku swojemu ukochanemu twarzyczkę, na której brązowy pigment rozłożony był tak równomiernie, jak na antycznym orzechowym stoliku, odpowiedziała nieśmiałym „Tak” na pytanie pastora: „Angelo, czy chcesz pojąć tego oto Wilfreda za męża?”. Obecnie mają dwóch dorodnych synów: młodszego, Percivala, w prywatnej szkole w Sussex, i starszego, Ferdynanda, w Eton.

* * *

To powiedziawszy, pan Mulliner dopił swoją szkocką, pożegnał towarzystwo i opuścił lokal.

Po jego wyjściu zapadła cisza. Towarzystwo wydawało się pogrążone w głębokiej zadumie. Po chwili ktoś wstał.

— Cóż, dobranoc wszystkim — powiedział.

Była to, jak się wydawało, dobra puenta.

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

UDOSKONALONA PUŁAPKA NA MYSZY

Inna słynna seria opowieści z baru, może nie tak szeroko znana jak historie pana Mullinera pióra Wodehouse'a, za to mocniej osadzona w fantastyce komicznej, to „Gavagan's Bar Stories”, o których Anthony Boucher napisał kiedyś: „U Gavagana znajdziecie wszelkiego rodzaju ludzkie typy, które składają się na zjawisko zwane harem” Przy takich bywalcach jak profesor Thott, pan Gross, pan Witherwax (czyżby krewniak babci Weatherwax Terry'ego Pratchetta?) czy barman żądający, by zwracać się niego per Cohan (z akcentem na drugiej sylabie), z pewnością nie ma w tym stwierdzeniu przesady. Podobnie jak w przypadku ich odpowiedników z Przystani Wędkarza, tych wesołych biesiadników nie jest w stanie wprowadzić w zdumienie żadna z zasłyszanych historii, nawet opowieść o młodzieńcu, który zakochał się w driadzie, o domu nawiedzanym przez złośliwego i... smrodliwego ducha czy — jak w przypadku „Udoskonalonej pułapki na myszy” — nieszczęśniku, który zaangażował smoka, aby uporać się z plagą gryzoni.

Lyon Sprague De Camp (1907–2000) i Murray Fletcher Pratt (1897–1956) przez lata stanowili najbardziej wszechstronny duet autorów amerykańskiej fantastyki komicznej. De Campa, który studiował inżynierię lotniczą, i Pratta, historyka i tłumacza literatury niemieckiej, połączyło zamiłowanie do legend, języków obcych i humoru. Wkrótce zyskali popularność wśród czytelników magazynów poświęconych fantastyce naukowej, dzięki zabawnym sagom o Haroldzie Shea, nieodmiennie pakującym, się w kłopoty podczas swoich niefortunnych wypraw w świat nordyckiej mitologii czy do krainy „Faerie Queene” Spensera. Dwaj przyjaciele rozpoczęli swój cykl niestworzonych historii opowiadanych przez bywalców baru Gavagana w 1940 roku. Wspólnie obmyślali akcję opowiadania, De Camp pisał pierwszy szkic, i Pratt szlifował ostateczną wersję tekstu. Bar niestety zamknął swoje podwoje po śmierci Pratta, ale De Camp nadal udzielał się jako jeden z wiodących twórców fantastyki, pisząc opowieści heroiczne i kontynuując przygody potężnego bohatera, Conana Barbarzyńcy, powołanego do życia przez Roberta E. Howarda. Historie te roją się od smoków, ale żaden z nich nie przypomina okazu, o którym pan Murdoch opowiedział kiedyś towarzystwu pijącemu w barze U Gavagana.

* * *

Wypychacz zwierząt puścił pijackie oko do wypchanej sowy nad barem. Pan Witherwax mrugnął porozumiewawczo w odpowiedzi, patrząc uporczywie w górę, świadom, że gdy tylko opuści wzrok, pan Gross natychmiast pospieszy z anegdotką. Biorąc pod uwagę jakość tych anegdot, należało zrobić wszystko, aby do tego nie dopuścić, ale kiedyś musiał nadejść moment, gdy w szklance ukazało się dno i pan Witherwax zmuszony był spojrzeć w dół, aby została ponownie napełniona. Obok niego pan Gross odchrząknął złowróźnie. Pan Witherwax rozmyślnie odwrócił się plecami do tych odgłosów, wzrokiem podążył wzdłuż mahoniowej gładzi w kierunku drzwi, po czym gestem przywołał barmana.

— Kto to taki, ten co tam pije sam jeden? — zapytał. — Może zechciałby do nas dołączyć? Człowiek nie powinien pić w samotności. Tym razem poproszę bez wisienki, panie Cohan.

— Cohan, na litość boską! — poprawił go barman. — Tamten? Nazywa się Murdoch czy może Mud i nie wiem, czy zawieranie z nim znajomości to dobry pomysł. Może paść wkrótce ofiarą morderstwa... Co dla pana, panie Gross?

— Piwo z wkładką, jak zwykle. Przypomniało mi się w związku z tym, że znałem kiedyś gościa...

— Kim on jest, gangsterem? — przerwał mu pan Witherwax. — Nie mam zamiaru się do niczego mieszać, chcę mu wyświadczyć grzeszność, to wszystko. Niech pan go tutaj przyprowadzi i naleje mu drinka, ja stawiam. Proszę mu powiedzieć, że diabeł umarł we wtorek wieczorem i właśnie mamy stypę.

Na twarz pana Cohana poprzez fałdy tłuszczu wypłynął chytry, pełen wyższości uśmieszek.

— Nie, nie jest gangsterem. To gorsza sprawa. Ten człowiek zgubił smoka.

— Kumpla mojego wuja Pincusa kopnął raz w brzuch kangur — wtrącił się pan Gross. — On...

— Nie obchodzi mnie, czy zgubił smoka, czy znalazł syrenę — przerwał mu rozpaczliwie pan Witherwax. — Niech pan go tutaj przyprowadzi i naleje mu drinka.

Barman, wzruszając ramionami jak człowiek, który spełnił swój obowiązek i nie ponosi odpowiedzialności za dalsze następstwa, ruszył na drugi koniec sali. Zagadnął Murdocha, który po chwili zwrócił swoją szczupłą, melancholijną twarz w stronę zasiedziałyh gości, po czym skinął głową. Jego chód nie nosił żadnych śladów wcześniej wypitych kolejek. I owszem, poprosi o podwójnego zombi, dzięki. Pan Gross przyjrzał mu się z ojcowskim zainteresowaniem.

— Czy to prawda, że zgubił pan swojego smoka? — zapytał.

Murdoch zakrzuszył się, odstawił szklanekę i spojrział z bólem na rozmówcę.

— Gdyby to był mój smok, tobym się nie przejmował. Ale on był pożyczony.

— Racja, wyraziłem się nieściśle — rzekł pan Cohan serdecznym tonem. — Pamiętam, właśnie tutaj, w tym barze pożyczył go pan od tego magika, co się raczył swoim specjalnym napitkiem.

Murdoch upił kolejny łyk, rozlał nieco płynu na brodek, kiedy drzwi się otworzyły, po czym odetchnął z ulgą na widok nieznanego.

Witherwax znów zerknął na wypchaną sowę gapiącą się na niego szklanym wzrokiem.

— Nigdy nie widziałem smoka i nie spodziewam się go zobaczyć — powiedział. — Czy święty Jerzy lub ktoś w tym rodzaju nie rozprawił się przypadkiem z ostatnim egzemplarzem?

— Nie — stwierdził pan Cohan, który właśnie podał piwo przybyszowi. — Tego zwierzaka, o którym rozmawiamy, widziałem na własne oczy. Był to smok jak się patrzy i należał do magika Abarisa.

— Nadal do niego należy — dodał Murdoch posępnym tonem. — Nie wiem właściwie, dlaczego wdałem się z nim w rozmowę. Nie podobał mi się... Ach, czemu, u diabła! — Pociągnął długi łyk swojego podwójnego zombi.

Witherwax odwrócił się i spojrział na pana Cohana.

— Kim jest ten właściciel smoka? Uczonym?

— Magikiem, mówię przecież — powtórzył barman. — Dał mi kiedyś swoją wizytówkę, gdzie ją tu mam... Theophrastus V. Albaris — przesyłabizował powoli. — Pan musiał go widywać, panie Gross, przychodził w czwartkowe wieczory, tak jak pan. Wielka beczka łożu, nie uczciwego tłuszczu wyhodowanego na żoninym wikcie, jak ja. Błady jak trup, z włosami opadającymi na kołnierz marynarki i skrzypiącym głosikiem, jak u chłopczyka z dziecięcego chóru. Niełatwo byłoby go przeoczyć. Jeden z tych, co to piją naprawdę w pojedynkę. Nigdy nie postawią drinka barmanowi ani sami nie dostaną darmowej kolejki. Co nie znaczy, że nie jest towarzysko usposobiony. Potrafiłby przegadać filadelfijskiego prawnika, tyle że człowiek nie rozumiał połowy z tego, o czym gadał. Zapytałem go kiedyś, czym się trudni, a on powiedział coś, co brzmiało jak nazwa religii, zapomniałem...

— Pitagoreizm — powiedział Murdoch smętnym tonem, po czym wychylił następną kolejkę.

— O to to, dzięki, panie Murdoch, nigdy wcześniej o tym nie słyszałem, ale zapytałem mojego brata Juliusza, który służy w policji, i on mi powiedział, że nie wygląda to dobrze, ale nie ma na nich paragrafu, dopóki nie zaczynają wróżyć. To ma coś wspólnego z książkami. Są wśród nich takie, które są warte każdych pieniędzy. Kiedy go widziałem po raz ostatni, właśnie jechał po książkę jakiegoś Nebulusa...

— Zebulona — wtrącił Murdoch.

— Trzeba było słyszeć, jak o niej rozprawił. Mówił, że szukał jej od setek lat, co jest zresztą w jego stylu, tak że jeśli rozumiesz, co mówi, to nie wierzysz ani jednemu słowu. Wygląda na to, że kiedyś miał tę książkę, mówił, że znalazł ją na jakiejś wyspie na różowym Morzu Arabskim, jakbym nie wiedział, że woda morska nie jest różowa. Twierdził, że potem sprzątnął mu ją święty Piotr, i pomijając już fakt, że opowiadał androny, to nie powinien wycierać sobie buzi imionami świętych, co mu zresztą powiedziałem. Ale teraz miał nadzieję ją odzyskać, bo organizowano jakiś zjazd wszystkich gości z jego branży, w Brooklinie, tak chyba powiedział.

— W Brocken — poprawił go Murdoch.

— Dobra, w Brocken. Utkwiło mi to w pamięci, bo rzecz się miała odbyć pierwszego maja i zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie jakaś banda komuchów, ale mój brat Juliusz, który służy w policji, powiedział, że nie. Mimo wszystko interes lepiej się kręci, kiedy ten człowiek czasem tu zachodzi, pokazuje sztuczki, przebierając bez przerwy palcami, jak gdyby grał na pianinie, którego nie ma. Czy pokazywałem już panu jego prywatny trunek, którym się raczy, panie Gross?

Cohan dał nurka pod kontuar, żeby wydobyć butelkę.

— *Vin sable* — odczytał Witherwax z etykiety. — To jest po francusku i znaczy „wino piaskowe”. Niech pan tym razem i sobie naleje kolejkę, panie Cohan.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pierwszą tego wieczoru, ale nie ostatnią, dziękuję panu. Coś mi się zdaje, że muszą używać do produkcji czarnego piasku, sami panowie widzą, jakie to jest ciemne, jakby było zmieszane z atramentem. Gavagan kupuje to od Costella, importera. Nie, nie sprzedalbym panu drinka z tej butelki, nie mam zamiaru stracić roboty. Ten Abaris jest bardzo drobiazgowy, a nie chciałbym mu się narazić, bo potrafi robić dziwne rzeczy.

Murdoch wydał przy tych słowach dźwięk przypominający nieco skrzypt zardzewiałych zawiasów.

— Nie uwierzyłby pan w niektóre z nich i ja sam też pewnie bym nie uwierzył, gdybym nie widział na własne oczy. Zna pan pana Jeffersa, prawda, panie Witherwax? To dzisiaj nie ten sam człowiek co dawniej, a wszystko za sprawą Abarisa. Cóż, kiedyś Jeffers byłby sympatycznym młodym człowiekiem, gdyby nie jedna sprawa. Otóż przed laty, jeszcze nim zaczął pan tutaj bywać, miał trochę za dużo pieniędzy i trochę za dużo z tych pieniędzy wydawał na dziewczyny. Biorąc każdą z tych rzeczy z osobna, pieniądze bez kobiet czy dobrą dziewczynę bez pieniędzy, tak jedno, jak i drugie może wyjść młodemu człowiekowi na dobre i ustawić go na całe życie, lecz jedno połączone z drugim często sprawia, że młody człowiek się rozpija.

Nie ma się z czego śmiać, panie Gross. Nie jestem przeciwny dobrym trunkom, ale nie chciałbym, żeby ktokolwiek, opuszczając ten lokal, nie był w stanie dojść do domu na własnych nogach. Dobry trunek pomaga człowiekowi uświadomić sobie, że jego problemy to w gruncie rzeczy drobiazg, ale kiedy zaczynasz go stosować, nie mając problemów, wtedy sam trunek staje się problemem i w tym sęk.

Tak właśnie rzecz się miała z panem Jeffersem. Zaczął popijać w towarzystwie kobiet, potem bez kobiet, a gdy sobie podpił, bywał naprawdę nieprzyjemny. Kiedy próbowałem go przystopować, potrafił pójść za róg do tych Włochów, a oni nie patrzą, co człowiekowi sprzedają, i zaprawić się dokumentnie. Nie raz i nie dwa mój brat Juliusz musiał go odstawiać

do domu pijanego jak bela. Tamtego wieczoru pan Jeffers był tutaj i ten Abaris też. Doktor Abaris, tak sam o sobie mawiał, wspominałem już o tym? Ale kiedy go spytałem, czy potrafi usunąć mojej żonie kurzajkę z palca, powiedział, że nie, więc nie będę go tak tytułował.

Tak więc spytałem Abarisa, czy potrafiłby zrobić jakąś sztuczkę, żeby pan Jeffers przestał pić. Coś jak wtedy, kiedy pożyczył na chwilę butelkę i wydobyl z niej trzy różne płyny. „Tak, mój drogi Cohan, oczywiście, mój drogi Cohan. Proszę napełnić tę szklankę”, zaświergolił tym swoim babskim głosikiem i zaczął swoim zwyczajem przebierać palcami, jakby grał na pianinie.

Nalałem brandy do szklanki, jak polecił, a kiedy pan Jeffers wyciągnął rękę, brandy znalazła się z powrotem w butelce, nim zdążył przyłożyć szklankę do ust. Bóg mi świadkiem. Po trzech kolejnych próbach pan Jeffers zostawił szklankę w spokoju, zmienił się na twarzy i wyszedł. Pomyślałem sobie, że może znów poszedł do tej włoskiej spelunki, ale następnego wieczoru pojawił się znowu i może mnie pan nazwać oranżystą, jeśli to samo nie powtórzyło się znowu, kiedy zamówił pierwszego drinka, trzeźwy jak niemowlę. Nie wiem, jak by się sprawy potoczyły, gdyby tu przyszedł dzisiaj, ale od tamtego czasu pan Jeffers nie tknął ani kropli niczego mocniejszego niż piwo, o czym wszyscy panowie wiecie równie dobrze jak ja. Sam Abaris twierdzi, że sztuczka jest prosta, nieprzerwana akrobacja i nic więcej.

— Aportacja — sprostował Murdoch.

— Dziękuję panu, panie Murdoch. Proszę wybaczyć, muszę zapytać, czego tamten pan się napije.

— Mój kuzyn z Milwaukee kiedyś... — zaczął Gross.

— Co to za sprawa z tym smokiem? — przerwał mu pospiesznie Witherwax, zwracając się do Murdocha. — Sprawił, że zobaczył pan, jak wychodzi z pańskiej szklanki?

Młody człowiek pociągnął łyk koktajlu.

— Nie, nic z tych rzeczy — powiedział w zadumie, na wpół do siebie. — Prawdę mówiąc, sądziłem, że to jakiś niewybredny żart, jak natrząsanie się z czyjegoś pecha przy grze w kości czy z odstających uszu. Jak każdy z nas widziałem wielu magików, w różnych klubach i na scenie, i ten Abaris nie zrobił na mnie szczególnego wrażenia. Nawet zastanawiałem się, jak sobie w ogóle daje radę, bo, jak zaznaczył pan Cohan, wyglądał nieświeżo i nigdy nie był dobrze ubrany. Ludzie lubią, kiedy się ich robi w balona, ale chcą, żeby zostało to zrobione w eleganckim stylu, przez faceta o wypomadowanych wąsikach, w białym krawacie i we fraku.

Tak więc żartobliwie zapytałem, czy naprawdę jest magikiem. — Murdoch wzdrygnął się lekko i pociągnął następny łyk. — Miał czarne oczy o źrenicach, które wydawały się jakby pionowe, nie potrafię opisać, na czym to polegało. Spojrzał na mnie tymi oczami i powiedział, że owszem, jest i czyżbym miał coś przeciwko temu? Po sposobie, w jaki to powiedział, zorientowałem się natychmiast, że popełniłem błąd. Ale nie pozostało mi nic innego, jak udawać, że niczego nie zauważyłem, tak więc roześmiałem się i powiedziałem, że wobec tego jest człowiekiem, jakiego szukam. Potrzebowałem magika, a przynajmniej flecisty szczurołapa, żeby pozbyć się myszy ze swojego mieszkania.

Witherwax położył banknot na kontuarze, wskazując okrągłym ruchem puste szklanki. Pan Cohan pochylił się, aby je ponownie napełnić.

— Mieszkam przy ulicy Piątej — ciągnął Murdoch — na trzecim piętrze, nad jedną z restauracji Fairfielda. Lokum to ma jedną wadę, mianowicie jest, a właściwie było opanowane przez myszy. Musiałem trzymać całe jedzenie w metalowych lub szklanych pojemnikach, myszy obgryzały oprawy moich książek, prawdziwe nieszczęście. Nie macie pojęcia, panowie, jakie szkody potrafią wyrządzić, kiedy się rozpanoszą.

— Niech pan zaczeka. — Murdoch powstrzymał ruchem ręki Witherwaxa, który najwyraźniej chciał się wtrącić. — Wiem, co chce pan powiedzieć. Chce pan zapytać, dlaczego nie wynająłem deratyzatora lub nie sprawiłem sobie kota. Cóż, mieszkam sam i sporo podróżuję, tak więc trzymanie kota nie wchodziło w rachubę. Co do specjalistów od

deratyzacji, to wynająłem niejednego, ale z pół tuzina, jednego po drugim. Pojawiali się mniej więcej raz w tygodniu z pułapkami i trutką, którą rozsypywali po podłodze, aż chrzęściła pod nogami. Myślę, że uśmiercili wiele myszy. Przynajmniej sądząc po zapachu. Ale wciąż przychodziły nowe.

A kłopotem była restauracja U Fairfielda, która służyła im za wylegarnię. Wie pan, sieć jest własnością pewnej starszej pani, panny Gwen Conybeare.

Jak wiele innych starych panien, które nie wiedzą, co zrobić z pieniędzmi i czasem, zapalała miłością do jednej z hinduskich sekt. Wie pan, spotkania w półmroku i prorok w ręczniku na głowie. Cóż, uważam, że to jej sprawa, w jaki sposób spędza swój wolny czas i na co wydaje swoje pieniądze, ale ta konkretna religia miała pewien szczególny rys, który uczynił z niej również moją sprawę. Nauczyciel przekonał pannę Conybeare, że odbieranie życia jest złem, nie tylko ludzkiego życia, ale jakiegokolwiek, tak jak w Indiach, gdzie człowiek pozbywa się wszy, zdejmując ją z siebie i przekładając na kogoś innego.

No i panna Conybeare wydała bezwzględny zakaz uśmiercania czegokolwiek na terenie swoich restauracji. Nie pozwoliłaby wpuścić deratyzatora za próg. Tak więc, gdy tylko pozbyłem się myszy, z dołu przybywała świeża partia i byłem w prawdziwym kłopotcie.

Ów Abaris, rzecz jasna, nie mógł tego wszystkiego wiedzieć. Kiedy powiedziałem, że potrzebuję magika, by pozbyć się myszy, wbił w mnie te swoje jakby pionowe źrenice, a z jego gardła wydobył się dźwięk, od którego, przysięgam, dreszcz przeszedł mnie na wskroś. — Murdoch znów się otrząsnął i pociągnął spory łyk zombi. — Miałem uczucie, jakby chciał mnie zahipnotyzować albo odesłać mojego drinka z powrotem do butelki, jak wtedy z Jeffersem, więc zanim zdążył, pospieszyłem z wyjaśnieniem, że bynajmniej nie żartuję. Jak tylko dotarłem do sprawy panny Conybeare, uśmiechnął się szeroko.

„Drogi młodzieńcze — powiedział — jeśli sprawa dotyczy tych psychozofów, nic mnie tak nie uraduje jak możliwość przyjscia panu z pomocą. To najbardziej odrażające spośród istniejących stworzeń. Pomyślmy chwilę... Ha, dostarczę panu króla kotów i mysie zwłoki zaścielią wkrótce progi restauracji U Fairfielda”.

Wyjaśniłem mu, że z króla kotów miałbym nie więcej pożytku niż z następcy tronu z powodu moich podróży.

„Hm — mruknął. — To nieco utrudnia sprawę, ale nie poddam się tak łatwo. Wypożyczę panu mojego smoka”.

Roześmiałem się, myśląc, że ten człowiek jest znacznie inteligentniejszy, niż można sądzić z pozoru, skoro sobie ze mnie w ten sposób niewinnie zakpił. Lecz Abaris mi nie zawtórował.

„To jest bardzo młody smok — powiedział. — Wyhodowałem go z jajka, które podarował mi mój wieloletni przyjaciel. Na ile jestem w stanie ustalić, jest to pierwszy tego typu przypadek, muszę więc prosić, aby miał pan o niego szczególne staranie, gdyż chcę wygłosić na ten temat wykład na najbliższym spotkaniu Królewskiego Stowarzyszenia”.

Pomyślałem, że posunął się w żartach trochę za daleko i zaczyna przeciągać strunę, więc powiedziałem, że oczywiście zapewnię jego smokowi jak najlepszą opiekę, a gdyby mysia dieta mu się przejadła, z przyjemnością zapewnię mu dostawę pięknych młodych dziewcząt przywiązanych do drzewa, choć nie mogę ręczyć za następstwa, które, o ile mi wiadomo, bywają w takich przypadkach niezbyt dla smoków fortunate.

Abaris się zaśmiał, ale jego chichot urwał się w nieprzyjemny sposób i mój rozmówca zastukał kilkakrotnie palcami o kontuar. „Odnoszę wrażenie, że traktuje pan to zbyt lekko — rzekł. — Są to jednak sprawy poważne, więc z czystej ostrożności chcę obwarować wypożyczenie smoka pewnym zobowiązaniem. Wyrazi pan mianowicie zgodę, abym rzucił na pana klątwę, o ile po moim powrocie z Brocken smok nie zostanie mi zwrócony w dobrym stanie. — Wyciągnął nóż, ostry niczym skalpel. — Proszę wystawić kciuk”.

Cóż, sprawy zaszły już zbyt daleko, abym mógł się w tym momencie wycofać, nie narażając się na śmieszność, poza tym byłem ciekaw, co to za szarlataneria z tym smokiem,

tak więc dałem zaciąć się w palec. Kropla krwi spłynęła na kontuar. Abaris pochylił się nad nią i zaczął buczeć pod nosem coś jakby melodię, w tonacji zdecydowanie molowej, przebierając palcami w sposób opisany przez pana Cohana. Kropla zniknęła.

Pan Cohan stał dotąd wsparty pod boki, opierając się o tylną ścianę baru. Nagle się ożywił.

— Zniknęła, czyżby? — zaprotestował. — Diabelnie długo próbowałem usunąć ślad po tej kropce i nadal tam jest. Jeśli spojrzysz pan pod odpowiednim kątem i przyjrzy się dokładnie... widzi pan? Jest tam, jakby przeniknęła przez lakier aż do drewna. Niesamowite, prawda?

— Natomiast smok nie miał w sobie nic niesamowitego — powiedział Murdoch. Dopiero teraz język zaczynał mu się nieco plątać po kolejnych zombi. — To był prawdziwy smok, zrozumiałem to, jak tylko Abaris przyniósł go do mnie w metalowym pudełku, i wtedy też zacząłem się naprawdę trochę niepokoić. Trawił swoją pieczeń, to jest, chciałem powiedzieć, piekł swoją strawę żywcem. Zdechłej myszy nie ruszyłby za nic, ale jak tylko napatoczyła mu się żywa, robił „puff”, odpalał płomień i mysz była ugotowana.

— Nigdy się nad tym wcześniej nie zastanawiałem — powiedział Witherwax — ale przecież do czegoś im ten ogień musi służyć. O ile to był prawdziwy smok.

Murdoch wycelował w niego palec.

— Ej, szanowny panie, czyżby mi pan nie wierzył?

— Panowie, panowie! — wtrącił się zdecydowanie pan Cohan. — U Gavagana nie będzie żadnych połajanek. Panie Murdoch, zdumiewa mnie pan. Pan Witherwax ani słowem nie okazał, że panu nie wierzy. A co do smoka, to widziałem go na własne oczy, tutaj na tym kontuarze.

Pan Murdoch przyniósł smoka tutaj w puszcze po soku pomidorowym — ciągnął barman — żeby mi go pokazać, bo tutaj po raz pierwszy o nim usłyszał, i żeby się pochwalić, jak wspaniale oczyszcza jego mieszkanie z myszy, tak że mało która się uchowała. Przyznam, że nie było za bardzo na co popatrzeć. Coś jak aligator, długi mniej więcej na pół metra, z parą przykrótkich skrzydełek sterczących na grzbiecie.

Może mu się nie spodobało, że został wyłożony na blat, bo zanim pan Murdoch zdążył wsadzić go z powrotem do puszek, pobiegł na koniec kontuaru, gdzie siedział jakiś gość popijający Toma Collinsa i zajęty swoimi sprawami. Smok wypuścił długi płomień, który opalił temu człowiekowi wszystkie włosy na grzbiecie dłoni, i nie uwierzy pan, ale Tom Collins wykupiał ze szklanki i zostawił ślad na lakierze. Facet zerwał się na równe nogi i wybiegł, a że takie sprawy nie służą interesom, powiedziałem panu Murdochowi, żeby zwierzątko tu więcej nie przynosił, i tak się zaczęły kłopoty.

...Ależ panie Murdoch, wszystko jest w porządku, chciałem tylko wytłumaczyć panom, że przyniósł go pan tutaj w nadziei, że pomoże nam się rozprawić ze szczurami w naszej piwnicy, zresztą zaczynał się robić głodny. Myszy zostały wyjedzone do czysta i choć pan Murdoch przynosił smokowi do domu befsztyki czy kotlety, maluch ich nie ruszył. Musiał sam sobie upolować pożywienie. Zaczął chudnąć, skrzeczał żałośnie, coś jak „kwark, kwark”, i próbował nawet łowić muchy, z których nie miał żadnego pożytku, bo były doszczętnie spalone i nie zostawało z nich nic, czym by się mógł pożywić.

Co wobec tego zrobił pan Murdoch? To, co każdy rozsądny człowiek by zrobił na jego miejscu, czyli próbował umieścić zwierzątko w zoo do czasu, kiedy pan Abaris wróci. Wsadził go do puszek po soku pomidorowym z kartonowym wieczkiem, ale smokowi nie podobała się ostatnia wycieczka do baru, więc wypalił w wieczku dziurę i wylazł. Pan Murdoch wsadził go do drewnianej skrzyneczki i skończyło się tak samo, tyle że tym razem bestia omal nie spaliła mieszkania. Więc spróbował skontaktować się z ogrodem zoologicznym, żeby po smoka przyjechali, ale nawet nie kiwnęli palcem.

— Dlaczego? — zdziwił się Witherwax.

— Ach, to długa historia — westchnął Murdoch. — Bardzo, bardzo długa. Powiedzieli, że nie mogą go przyjąć, jeśli im go nie dostarczę, na co ja im wyjaśniłem, że nie mogę tego

zrobić, na co oni z kolei powiedzieli, żebym go oddał do sklepu zoologicznego... tak, do sklepu zoologicznego, więc im powiedziałem, że wypalił mi dziurę w skrzynce. To nie było dobre, bo ludzie z zoo powiedzieli wtedy... zaraz, co oni takiego powiedzieli? Aha, że przyślą po smoka transport pod dozorem Napoleona Bonaparte... Odłożyłem słuchawkę. A może to wszystko w ogóle się nie zdarzyło.

— Zdarzyło się, jestem przecież żyjącym świadkiem — powiedział pan Cohan pryncypialnym tonem. — Kiedy pan Murdoch mi o tym napomknął, stwierdziłem, że skoro nie można zawieźć smoka do pożywienia, to trzeba zrobić kolejną rzecz, jaką podpowiada rozsądek. Doktor Brenner powiedział mi, że można kupić szczury i inne gryzonie do eksperymentów, a jeśli to nie był eksperyment, to w takim razie co to było? Uzyskałem od doktora Brennera adres, pan Murdoch postanowił udać się tam niezwłocznie, ale wtedy przypomniał sobie, że zamówił drewno, z którego miały być wykonane regały na książki. Tak więc zanim wyruszył, zostawił klucz do swojego mieszkania w restauracji na dole.

Cóż, chłopak, który przywiózł tamtego dnia deski, przyszedł tu potem i mimo że był bardzo młody, nie odmówiłem mu drinka, bo naprawdę tego potrzebował. No więc ten chłopak położył deski, kiedy nagle z kąta pokoju, tam gdzie przebiegały rury, wyskoczyła mysz, a za nią smok. To musiała być nowa mysz. Smok nie skradał się za nią po kociemu, jak zazwyczaj robił, tylko skakał przez pokój, drapiąc pazurami podłogę, próbując wznieść się na skrzydłach i co trzeci skok wypuszczał z pyska długi płomień.

Mysz dała nurka pod stos drewna, a smok za nią. Chłopaka, który przyniósł deski, dosięgnął język ognia. Miał wypaloną w nogawce spodni dziurę, przez którą można było przełożyć pięść. Doszedł do wniosku, że bar Gavagana będzie dla niego odpowiedniejszym miejscem. Co było dalej, tego panu nie powiem, ale można się domyślić, że mysz wpełzła pod deski, a smok je podpalił, próbując ją usmażyć.

Kiedy pan Murdoch wrócił z pudełkiem żywych myszy pod pachą, jego mieszkanie paliło się na całego, strażacy lali przez okno wodę z sikawki i rąbali sprzęty toporkami aż miło. Pół biedy, jeśli o to chodzi, bo mieszkanie było ubezpieczone. Ale zwierzątko nie było. I znikło, ani śladu. Czy spłonęło, czy spłynęło z wodą, czy uciekło do restauracji Fairfielda, nie wiadomo. Ten cały Abaris wróci teraz z Brooklynu, a pan Murdoch nie ma dla niego smoka, nie ma nic oprócz pudełka myszy, które trzyma w nadziei, że smok wróci.

Tak więc Abaris rzuci na niego klątwę, a na czym będzie polegała, tego nie wiem ani ja, ani on. Nie, panie Murdoch, wybaczy pan, ale dziś nie dam już panu więcej podwójnego zombi.

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

LEPSZA POŁOWA SAMA SMALLA

Postacią kultową wśród miłośników fantastyki był w latach czterdziestych Sam Small, maleńki szpakowaty mieszkaniec hrabstwa Yorkshire, pół śmiertelnik, pół bóg, który lubił przychodzić w sukurs, kiedy prawo i porządek były zagrożone, posiadał sztukę latania (widzimy tu cień Supermana w wydaniu wiejskim) i potrafił nawet zamieniać zwierzęta w młode dziewczyny! Jego przygody, mające formę krótkich opowiadań, były najpierw publikowane — poczynając od 1938 roku — w amerykańskim periodyku „Harpers Magazine”. Przez całe lata sądzono, że ich autor, Eric Knight, mieszkający w Dolinie San Fernando w Kalifornii, jest Amerykaninem. W rzeczywistości urodził się w Yorkshire, tak samo jako jego bohater Sam Small, mieszkaniec fikcyjnej maleńkiej wioski Polkingthorpe Brig, położonej „niezbyt daleko” od Huddersfield. Knight wspomnienia z własnego dzieciństwa przetworzył w fantastycznie opowieści o zadziornym maleńkim młynarzu, który stał się zamożny, kiedy wynalazł „samozdejmujące się wrzeciono” Uwolniony dzięki bogactwu od codziennego mozołu, wkrótce zaczyna pakować się z jednej komicznej przygody w drugą.

Eric Mowbray Knight (1897–1943) urodził się w pobliżu Leeds i prawdopodobnie zostałby młynarzem, jak Sam, gdyby zamiłowanie do przygód nie popchnęło go do emigracji. Wyjechał do Bostonu w USA na krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Początkowo myślał o karierze ilustratora, ale testy ujawniły, że nie rozróżnia kolorów. Został więc dziennikarzem filadelfijskiego dziennika „Public Ledger” gdzie zasłynął zjadliwymi recenzjami filmowymi. Jego publikacje zwróciły uwagę szefa jednego z hollywoodzkich studiów filmowych, który z czystego wyrachowania ściągnął Knighta do stolicy filmu jako scenarzystę. W krótkim czasie Knight stracił złudzenia co do przemysłu filmowego i zajął się pisaniem powieści. Zadebiutował w 1935 roku parodią popularnego wówczas czarnego kryminału, „You play the Red and the Black Cones Up” po której nastąpiły dwie bardziej tradycyjne powieści, „The Happy Land” (1940) i „This Above All” (1941). Rok później ukazała się powieść dla dzieci, „Lassie wróć!” (1942) o dzielnym owczarku collie, którego pierwowzorem był pies Knighta Toots (wystąpił później w adaptacji książki u boku jedenastoletniej debiutantki, ślicznej Elizabeth Taylor! Nadzwyczajny sukces filmu zaowocował licznymi sequelami i utrzymującym się długo na antenie telewizyjnym serialem. Tragicznym zrzędzeniem losu Eric Knight zginął w katastrofie samolotowej, nim sława Lassie zdążyła się dopisać do kultu, jaki już wcześniej otaczał Sama Smalla. W „Lepszej połowie Sama Smalla” bohater niespodziewanie stwierdza, że podzielił się na dwie osoby — początkowo widzi w tej sytuacji wspaniałe możliwości, aż tu jego druga połowa postanawia zamieszkać z jego żoną...

* * *

— O jednym w życiu marzę — westchnęła Mully Small, siedząc przed kominkiem — mianowicie o podróżach. Teraz, kiedy jesteśmy zamożni, a ty na zasłużonym odpoczynku — jak się to mówi — chciałabym odbyć podróż naokoło świata.

Sam, który właśnie odkładał wieczorną gazetę, zupełnie zignorował tę uwagę.

— Cóż byłby wart brytyjski robotnik — spytał retorycznie, ale wojowniczo — bez swego kufła piwa pod koniec dnia?

— Przekona się o tym, kiedy tego spróbuje — powiedziała Mully z przekąsem. — Ponieważ jednak nie jesteś w nastroju do przeprowadzania szlachetnych eksperymentów, idź

do gospody, bo widzę, że nie dasz mi spokoju. Co prawda myślałam, że choć jeden wieczór spędzisz ze mną, przecież wiesz, że jestem zaziębiona.

Sam wstał niezdecydowany. Rzeczywiście Mully nie wyglądała dobrze i właściwie miał ochotę zostać w domu. Jednak miał również ochotę na wieczorny kufel piwa. Po krótkiej wewnętrznej walce piwo zwyciężyło.

— Niedługo wrócę — przyrzekł pojednawczym tonem. Lecz Mully odtrąciła tę gałązkę oliwną.

— Mogę się założyć, że będziesz tam siedział aż do zamknięcia! — W jej głosie brzmiało szyderstwo.

— To typowo babskie podejrzenie! — rzucił Sam w powietrze. — Będę na długo przed zamknięciem.

W tym momencie naprawdę wierzył, że wróci wcześniej — choćby tylko żeby dowieść Mully, jak bardzo krzywdzące są jej zarzuty. Ale kiedy wszedł do piwiarni, okazało się na nieszczęście, że toczy się tam ożywiona dyskusja. Ponadto była to właśnie dyskusja, która wymagała roztropności, erudycji i wiedzy prawniczej Sama Smalla — a jak wiadomo, Sam Small najlepiej w całym Yorkshire potrafił zabierać głos.

— Wiesz, Sam, powiadają tutaj — zaczął wyjaśniać mu Rowlie Helliker — że zdaniem pewnego lekarza Hitler ma... — spojrzał na gazetę — ...w każdym razie chodzi o to, że ma podwójną osobowość.

— Ach, tak — odparł nonszalancko Sam — jest schizoperennikiem.

— Na czym to polega? — spytał zaciekawiony Huckle, właściciel gospody.

— To taka techniczna nazwa tej choroby — wyjaśnił Sam. — To znaczy, że facet składa się jak gdyby z dwóch osobowości.

— Ja już widziałam kiedyś takie dwie osobowości — wtrąciła się Annie, kelnerka. — W kinie. Jeden nazywał się...

— Wiecie, moim zdaniem — przerwał jej Gaffer Sitherthwick — jeżeli zamierzacie mi tu bajdurzyć, że jakiś facet może się podzielić na dwóch, ja wam powiem, że to niemożliwe w przypadku człowieka, to po prostu brudna propaganda.

— Zaczekaj, Gaffer — powiedział Sam. — Nauka odkryła, że każdy z nas składa się jak gdyby z kilku ludzi. A jeżeli takie jest zdanie nauki, nie można tego obalić. Nauka to nauka.

— Jeżeli nauka będzie dalej odkrywała takie rzeczy, to będzie musiała schować się kiedyś do mysiej dziury — ostrzegł ponuro Capper Wambley.

— A o bliźniakach słyszeliście? — wtrącił się Rowlie Helliker. — Zdarza się, że takim schizoperennikiem jest jegomość, który po urodzeniu przekonał się, że składa się z bliźniaków.

— Nonsens — zgasił go Capper. — Przecież musiałbym słyszeć o czymś takim, jestem tu najstarszym człowiekiem i nigdy nic mi się takiego nie obiło o uszy.

— Ale to tylko taki przykład — wyjaśnił Sam.

— A ja nadal nie wierzę, żeby człowiek mógł się podzielić na dwóch ludzi! — zahuczał Gaffer.

— Ja również — poparł go Capper Wambley.

— Panowie, nie zapominajcie, że w Wielkiej Brytanii obowiązuje zasada fair play! — krzyknął Rowlie Helliker. — Wstyd, żeby było dwóch przeciwko jednemu. A teraz chciałbym powiedzieć...

I tak toczyła się dyskusja, przerzucano się słowami uroczyście, z rozwagą, jak to bywa w Yorkshire, a białe ramiona Annie tylko migwały, kiedy nalewała coraz to nowe kufle piwa. Wreszcie ponad gwar wzniósł się głos Huckle'a, który wypowiedział tak dobrze wszystkim znane słowa zwiastujące zamknięcie gospody:

— Czas już, panowie, czas zamykać!

Sam Small zerwał się jak Kopciuszek, który usłyszał wybitcie północy.

— Tam do licha! — mruknął przerażony. — Obiecałem przecież Mully, że będę w domu przed zamknięciem gospody... — I wybiegł spod Orła tak szybko, jak mu na to pozwalały jego grube nogi. Kiedy szedł wzdłuż Błoń, przyszło mu do głowy, że gdyby przyspieszył kroku, mógłby powiedzieć, że wyszedł przed zamknięciem gospody, ale mimo to nie przyspieszył.

Zaczął czuć się winny — nie dlatego jednak, że miał w zanadrzu następne kłamstwo, ale że zostawił Mully samą na cały długi wieczór. Żałował, że to zrobił.

Był na siebie zły i wtedy właśnie... stało się!

Błysk, jak gdyby nastąpiła cicha eksplozja, zamęt gwiazd i komet w szkarłatnej próżni i Sam Small zorientował się, że na pół oszołomiony siedzi na chodniku.

— Tam do licha — mruknął ochryple — musiałem uderzyć głową o latarnię.

Ale po chwili, kiedy przyszedł do siebie, zobaczył jakiegoś mężczyznę siedzącego podobnie jak on na chodniku.

— A więc to ty wpadłeś na mnie — zaczął Sam zaczepnie. — Uważaj, jak chodzisz!

— Taka sama wina twoja, jak i moja.

— Tylko się ze mną nie kłóć — jęknął Sam. — Podaj mi rękę, żebym mógł wstać.

— Równie dobrze ty możesz mi podać rękę — odparł tamten, — Jeszcze nigdy nie spotkałem równie niegrzecznego człowieka — stwierdził Sam. — Ale nie mam teraz czasu na dyskusje z tobą. Moja żona marnie się czuje i obiecałem jej, że wrócę przed zamknięciem gospody, a tymczasem siedzę tutaj i...

— Wstrętny opoju! — skarcił go tamten. — Jeżeli twoja żona źle się czuje, dlaczego nie siedzisz z nią? Ja właśnie tak zrobiłem — siedziałem w moim domu, z drugiej strony Błoń.

— Siedziałeś w swoim domu? — zdumiał się Sam.

W głosie jego zabrzmiało podejrzenie i poczuł zimny dreszcz na plecach.

Bo nagle miał niesamowite wrażenie, że zna głos tego człowieka — zbyt dobrze zna!

— Kto ty jesteś?!

Obaj wstali z chodnika i Sam zaciągnął tamtego pod latarnię. Potem jęknął głośno, gdyż przekonał się, że patrzy na samego siebie!

Ale tylko przez krótką chwilę był oszołomiony; jego umysł natychmiast zaczął pracować. Chwycił tamtego mocno za klapy.

— Ty wstrętny oszuście! Złapałem cię!

— Sam jesteś oszustem — odparł tamten. — To ja jestem Sam Small.

— Ooo, kłamco! Ja jestem Sam Small!

— Daj spokój, nie zaprzeczaj. Spójrz na mnie i powiedz szczerze, czy nie wyglądam jak Sam Small?

— Tam do licha, masz rację — przyznał Sam. — Zaraz tak mnie skołujesz, że nie będę wiedział, co myśleć. Jak możesz dowieść, że jesteś Sam Small?

— No cóż — zaczął tamten z podejrzaną skwapliwością. — Moja żona ma na imię Mully. Mamy siedemnastoletnią córkę Vinnie i...

— Jak babcię kocham! — przerwał mu Sam. — I do tego jesteś bardzo sprytnym oszustem. Bo zadałeś sobie trud, żeby się o mnie wszystkiego dowiedzieć. Ale nie udało ci się, mój kochany, bo zaraz cię zapędzę w kozi róg.

Mówiąc to, Sam wyszarpnął z kamizelki ciężki złoty łańcuch i wyciągnął wielki złoty zegarek, otwierając go z trzaskiem.

— Proszę, czytaj — powiedział triumfalnie. — Ja ten napis znam na pamięć: „Drogiemu Samowi od kochającej żony Millicent w dniu ich zaślubin”.

— Jak babcię kocham! — wykrzyknął tamten. — Na moim jest taki sam napis!

I tym samym gestem wyciągnął podobny łańcuszek i otworzył identyczny zegarek.

— Tam do licha! — jęknął Sam. — To dopiero kłopot! Musiałem coś źle zrobić. I teraz stoję tu i nie wiem, czy ja jestem ja, czy ty jesteś ja, a może my obaj jesteśmy my.

Chwilę stał w milczeniu.

— No tak! — krzyknął.

— Co tak?

— My jesteśmy ja, my obydwoj. Typowy przykład schizoperenii. Moja osobowość się rozdziwiła, mówiliśmy o tym właśnie w gospodzie i stałem się nami dwoma.

— Tam do licha, chyba masz rację. Ale co teraz zrobimy?

— Słuchaj, chłopie, to niezwykle wydarzenie. Musimy więc postępować bardzo ostrożnie. Sądzę, że zanim ktokolwiek nas zobaczy i zepsuje to, powinniśmy się przespacerować po wrzosowisku i przedyskutować gruntownie całą sprawę. Żeby jednak nieco uprościć naszą rozmowę, będę cię nazywał Sammywell, a siebie po prostu Sam. To rozróżnienie ułatwi nam dyskusję.

I tak poszli na wrzosowisko, a Sam zaczął wyjaśniać swój pogląd na to, co się stało.

— Jeżeli będziemy postępowali rozważnie, to mamy złotą żyłę w rękach. Na przykład lekarze i ludzie o zainteresowaniach naukowych zapłaciliby nam masę pieniędzy, żeby poznać nasz przypadek.

— Daj spokój z lekarzami, Sam. Jeszcze zechcą nas operować — ostrzegł go Sammywell.

— Tak, ja też za nimi nie przepadam. Ale założmy, że udałoby się nam zdobyć namiot, jeździlibyśmy po jarmarkach jako główna atrakcja, a ludzie płaciliby nam po szylingu, żeby tylko nas zobaczyć.

— Wcale nie chcę być takim wybrykiem natury — zaprotestował Sammywell.

— Mój drogi, nie ma nic złego w tym, żeby zarobić trochę pieniędzy, jeszcze wszystkiego dokładnie nie przemyślałem, ale na tym można dużo zarobić. Ja sam zarobiłem sporo na tym samozdejmującym się wrzecionie.

— Tak, ale wynalazek to realny fakt.

— Tutaj też mamy do czynienia z faktem. Zastanów się tylko! Nawet rząd by się nami zainteresował. Gdyby tak potrafił mieć z każdego obywatela dwóch, mogliby w łatwy sposób podwoić armię!

— Nie możemy jednak spędzić tutaj całej nocy. Przecież Mully czeka na mnie.

— Nie pójdziemy przecież we dwójkę do domu — sprzeciwił się Sam.

— Masz rację — przyznał Sammywell. — Wystarczy, żeby jeden z nas został tutaj i zastanowił się, co dalej robić. Drugi wróci do domu i nic nie powie Mully. Nie będzie ci tu zimno spać, Sam, a rano przyniosę ci coś do jedzenia.

— Hola, mój panie, wcale mi się ten pomysł nie podoba, żebyś ty szedł do domu, do mojej żony. To... to jest amoralne!

— Sam mi wyjaśniałeś, że jesteśmy teraz jedno, kiedy więc pójdę do domu, to właściwie pójdiesz ty, rozumiesz? — tłumaczył rzeczowo Sammywell. — Bądź rozsądny, jeden z nas musi się na pewien czas wycofać, dopóki wszystkiego nie przemyślimy. Może byś wyjechał na kilka dni, a przez ten czas obaj gruntownie się zastanowimy?

— Ja miałbym wyjechać? — powtórzył Sam.

Przez chwilę to rozważał. Zaczął dostrzegać miłe strony tej propozycji. Gdyby wyjechał, mógłby się znakomicie zabawić. Wewnętrznie rozjaśnił się, ale zrobił smutną minę.

— Jakież to przykre, opuścić swoje ognisko rodzinne i iść na tułaczkę po świecie jak samotny pielgrzym. Ale dla dobra Mully i dla jej spokoju poniosę tę ofiarę. Do widzenia.

— Gdzie idziesz?

— Przez wrzosowisko, rano dojdę do Bradley. Wpadnę tam do banku, podejmę trochę pieniędzy...

— Hej, tylko obchodź się ostrożnie z moimi oszczędnościami! — ostrzegł go Sammywell.

— Z naszymi oszczędnościami, Sammywellu. Bywaj! — I Sam odszedł.

— Kiedy wrócisz?! — zawołał Sammywell.

— Wtedy wrócę, kiedy mnie zobaczysz — usłyszał z oddali głos Sama. — Czuwaj, Sammywellu, nad domowym ogniskiem. Czuwaj nad domowym ogniskiem!

— Pan życzy bilet kolejowy? — spytał uprzejmie kasjer na stacji zza swoich kratek.

— Tak, istotnie. Ale zwykle bilety kupuje Mully i trochę się czuję bez niej nieswojo. Jakiego rodzaju bilety pan ma?

— Pierwszej klasy, drugiej, trzeciej, wycieczkowe, powrotne.

— Poproszę o powrotny. — Jeden powrotny? Dokąd? — Jak to dokąd? Oczywiście tutaj.

Kasjer myślał, że Sam z niego żartuje, i bardzo się zdenerwował. I tak wynikła sprzeczka. Sam poczuł się dotknięty w swoim jorkszyrskim honorze i nie chciał, by go zmuszono do wyjaśnienia, dokąd zamierza się udać.

— Byle pętał może ludziom sprzedawać to, co zechcą kupić — stwierdził Sam. — Ale czytałem gdzieś, że trzeba sprzedawcy z prawdziwego zdarzenia, żeby obsłużyć niezdecydowanego klienta.

— No to dokąd chce pan jechać?

— Skądże mam wiedzieć, jeśli dotąd nie słyszałem, ile mam za to zapłacić? Żaden rozsądny człowiek nie lubi na próżno wydawać pieniędzy. Proszę, niech mi pan wyliczy kilka możliwości.

Kasjer głęboko westchnął i wziął jakiś drukowany spis.

— Llandudno, piękna miejscowość, dwadzieścia sześć szylingów, sześć pensów — zaproponował.

— Nie potrafię tej nazwy wymówić — pożalił się Sam. — Nie chciałbym przebywać w mieście, którego nazwy nie potrafię wymówić. Czuję się upokorzony.

— Scarborough, piętnaście szylingów i...

— Za żadne skarby nie. Miałem kumpla, który tam kiedyś pojechał i złamał sobie nogę. Byłoby mi tam bardzo smutno, bo stale myślałbym o nim. Wkładał właśnie spodnie, przewrócił się i noga poszła.

— Ale na pewno dawno już jest zrosnięta.

— Tak, lecz jego żona martwiła się tym bardzo, ponieważ ta noga była potem krótsza, i stale go męczyła, żeby dał sobie złamać drugą. Od tego wypadku wiecznie się kłócili. On był hydraulikiem, nazywał się Billy Sandyson. Może go pan kiedy spotkał?

— Nie! Proponuję Blackpool, dwanaście szylingów, sześć pensów, wycieczkowy ważny dziesięć dni.

— Blackpool? To zaczyna być interesujące.

— Decyduje się pan na Blackpool?

— Niech pan chwileczkę zaczeka. Jeżeli nie zużyłbym biletu powrotnego w ciągu dziesięciu dni, czy mógłbym dostać za niego gotówkę, teraz płacąc oczywiście za powrót pełną należność?

— Tak — westchnął kasjer. — Tak.

— Wobec tego kupuję!

I wyjechał do Blackpool.

W Blackpool świetnie się bawił. Co rano robił wypadki na miasto, nie wracając nawet na posiłki do swego pensjonatu. Ale wcale mu to nie szkodziło, bo tyle było jadłodajni i sklepów, gdzie mógł sobie kupić ślimaki, morskie przysmaki, smażoną rybę, puree z grochu i lody. A ponieważ był bez Mully, wydawał pieniądze z lekkim sercem.

Poza tym robił oko do spacerujących dziewcząt, bo chociaż miał już przyprószone siwizną włosy, był w świetnym humorze.

Pewnego dnia w czasie koncertu pod gołym niebem zobaczył, że uśmiecha się do niego bardzo przystojna pani. Wobec tego kupił sobie imponującą laskę. Następnego dnia nieznamiona znowu się uśmiechnęła, wobec tego kupił sobie słomiany kapelusz za szylinga i trzy pensy.

Zrobiło się gorąco i na plaży zaroilo się od ludzi. W Blackpool piasek jest brzydki i wilgotny, ale Sam w beztróskim nastroju się tym nie przejmował. Z podwiniętymi spodniami brodził po wodzie i chlapał się, ile dusza zapragnie, przez cały dzień. Kiedy czerwone słońce zaczęło się kłonić ku zachodowi, nagle od morza powiało zimnym wiatrem.

Sam Small zadrzał.

Pewno mam mokre spodnie. Gdyby Mully to zobaczyła, już miałbym za swoje! — pomyślał.

Poszedł na piasek nieco wyżej, by włożyć skarpetki i buty, a potem pójść na koncert w muszli i zobaczyć, co sądzi o jego słomianym kapeluszu piękna nieznajoma. Dziwna rzecz, kiedy się ubrał, odeszła mu chęć na spacer. A jednak czuł, że czegoś mu brak.

Co to może być? — zadał sobie pytanie. Może chce mi się po prostu jeść?

Zaczął myśleć o suszonej kiełbasie i pasztecie, i parówkach, i ostrygach, i o tych wszystkich pysznych rzeczach sprzedawanych w Blackpool, ale to nie było to.

A może ma chęć na spacer promenadą albo po molo, a może na wyprawę do zoo czy przejażdżkę karuzelą, a może diabelskim młynem? Ale tak naprawdę na żadną z tych rzeczy nie miał ochoty.

Gdy tak siedział zamyślony, słońce zaszło; patrzył na wilgotny piasek lśniący w półmroku i poczuł, że z kosmicznym smutkiem żegna odchodzący dzień. Sklepy za jego plecami rozjarzyły się światłami, ukazały się reklamy świetlne nad frontami domów, stwarzając świąteczny nastrój, ludzie śmiali się i głośno rozmawiali. Nad horyzontem dzień odpłynął do innych krajów, a morze zniknęło, dając o sobie znać tylko cichym szumem.

Wreszcie Sam dał spokój zgadywaniu, czego pragnie, i wrócił do swego pensjonatu. Był w bardzo złym nastroju.

— Chyba się zaziębiłem — oświadczył ponuro swojej gospodyni.

— Raczej zaszkoziło panu to świństwo, które pan jada na mieście. Te flaki i nóżki w galarecie, i smażona kiełbasa, węgorze, te podejrzane pasztety, lody i...

— Pani ma coś do sprzedania, że tak pani wylicza? — spytał Sam. — Wróciłem do domu zupełnie spokojny, natomiast teraz jestem cholernie zdenerwowany.

— Dam panu proszek na przeczyszczenie. Mojemu mężowi zawsze dawałam proszek na przeczyszczenie. To był bardzo porządny człowiek...

— Pani mąż? A gdzie jest teraz?

— Nie żyje.

— Powiadam pani, że nic mi nie zaszkoziło zjedzenia. I dlatego nie wezmę żadnego proszku na przeczyszczenie. Po prostu jestem zaziębiony.

— To wymoczy pan nogi w gorącej wodzie z liśćmi gorczycy.

— Nie chcę moczyć nóg. Na przeziębienie Mully zawsze mi daje syrop i gorący rum.

— Nie mam rumu, ale zaraz dam panu syrop, a rumu napije się pan rano.

— O Boże, te kobiety nigdy człowiekowi nie pomogą! Zupełnie jakbym słyszał Mully.

— Bardzo mi jej żal, biedaczka, ciężkie musi mieć z panem życie.

— Tam do licha, powinienem był wiedzieć, że w Lancashire nie spotkam się ani z dobrą radą, ani z życzliwością.

— Phi! — parsknęła pogardliwie gospodyni. — Yorkshire, wielkie mi rzeczy!

— Tego już za wiele! — wrzasnął Sam. — Takiej obrazy nie zniosę. Jutro z samego rana wracam do domu, do Mully.

I tak zrobił.

Kiedy o zmierzchu szedł przez Błonia, nagle opuściła go cała radość, bo po raz pierwszy przypomniał sobie o Sammywellu.

— Tam do licha! — mruknął pod nosem. — Jeżeli on jeszcze siedzi u nas i Mully dowie się o wszystkim, i będzie chciała wiedzieć, gdzie byłem przez ten czas, to zdrowo oberwę. Muszę po cichutku podejść do domu.

Podkradł się pod swój dom i zajrzał przez okno. Zobaczył, że Mully siedzi w fotelu na biegunach przed kominkiem i robi na drutach, a Sammywell czyta jej na głos.

Zmęczony Sam poczuł się dziwnie niepotrzebny, widząc innego mężczyznę przed kominkiem; a do tego miał wielką chęć na filiżankę herbaty.

Cofnął się do ogródka i zaczął rzucać kamyki w okno. Po dłuższej chwili drzwi się otworzyły i ukazała się smuga światła.

Z głębi pokoju słychać było głos Mully. Sama ogarnęła fala wielkiego wzruszenia.

— Sam, jeżeli to znowu te dzieciaki Kidderleyów, zrób z nimi porządek.

— Psst! — szepnął Sam. — Sammywellu, to ja, chcę z tobą chwilę porozmawiać. Spotkajmy się tam, gdzie zaczynają się Błonia.

— O co chodzi, Sam, kochanie? — zapytała Mully.

— Nic takiego — odparł Sammywell. — Wezmę kurtkę i przejdę się, żeby wypalić fajkę, nie chcę nadymić w mieszkaniu.

— Idź, świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Kiedy drzwi się zamknęły, Sam powłókł się na umówione miejsce. W uszach ciągle rozbrzmiewał mu głos Mully — jej słowa i ton. Mówiła łagodnie, ciepło. Do Sammywella powiedziała: „Sam, kochanie”. Zupełnie to było do niej niepodobne. Do niego nigdy nie mówiła „kochanie”.

Kiedy wreszcie Sammywell nadszedł, Sam kipiał gniewem i zazdrością.

— Musimy porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną — powiedział ostrym tonem.

— Coś nie w porządku, Samie?

— Do licha! Po prostu zdecydowałem, że już najwyższy czas, bym wracał do domu i zajął należne mi miejsce przy żonie, ty... ty judaszu!

— Ależ Samie, byłem pewien, że chciałeś się przewietrzyć i zabawić trochę.

— Już się wystarczająco przewietrzyłem, a teraz twoja kolej, żebyś wyjechał.

— O nie — odparł Sammywell z godnością. — Jest mi bardzo dobrze. Wieczorami siaduję z Mully i...

— Tak, słyszałem, jak mówi do ciebie tym słodziutkim głosem. Ale to przecież moja żona!

— Nasza żona, Samie.

— Tylko mnie nie wyprowadzaj z równowagi! — krzyknął Sam. — Spędziłeś wygodnie cały tydzień, teraz moja kolej. Wyjedź z wizytą do kogoś.

— Ależ Samie, to ty lubisz wyjeżdżać. Ja wolę siedzieć w domu.

— Tam do licha! — jęknął Sam. — Czy mam się z tobą kłócić? Zobacz tylko, jestem głodny, nawet nie piłem jeszcze popołudniowej herbaty i czuję się bardzo podle. Bądź dobrym kolegą.

— Ja się na to nie nabiorę. Moje miejsce jest w domu i zaraz tam wracam.

— Wobec tego idę z tobą.

— Chcesz, żeby Mully wszystkiego się dowiedziała? Nie pozwolę jej denerwować.

— Słuchaj, Sammywellu, jeżeli znam Mully, to dowie się o wszystkim wcześniej czy później. Może nawet lepiej będzie, jeżeli to stanie się wcześniej. Bo w ten sposób przynajmniej wreszcie napiję się herbaty!

— A ja ci powiadam, że...

Ale Sam ruszył już pędem, gdyż zrozumiał, że jeżeli pierwszy dopadnie domu, rozwikłanie całego problemu spadnie na barki Sammywella.

Za nim Błoniami pędził jego sobowtór. Oczywiście mieli równe siły. Niestety jednak Sam musiał otworzyć furtkę i drzwi. Z pierwszą przeszkodą poradził sobie gładko, ale przed drzwiami Sammywell go pochwycił. Bijąc się, upadli na ziemię. Tak zaciekle się mocowali, że nie spostrzegli, iż otwierają się drzwi, i dopiero otrzeźwił ich głos Mully:

— Co się tu dzieje?

Przestali się bić i oślepieni światłem zaczęli mrugać.

— O mój Boże! — jęknęła Mully. — W tej chwili wchodźcie do domu, zanim ktoś was zobaczy.

Zawstydzeni posłuchali jej i zatrzymali się przy kominku. Mully przyjrzała im się uważnie, a potem opadła na fotel na biegunach i zaczęła płakać.

— Co to za nowe pomysły, Samie Small? Który z was jest Samem?

— Obaj — odparł Sammywell.

— I pomyśleć, żeś ty mi nigdy nie powiedział o bracie bliźniaku — łkała Mully. — Ale jeden z was jest prawdziwym Samem, a kiedy to sprawdzę, to pożałuje dnia, w którym się urodził.

— Słuchaj, Mully — zaczął pojednawczo Sam. — My obaj jesteśmy... obaj jesteśmy mną.

I wyjaśnił jej, jak potrafił najprzystępniej, rozdwojenie osobowości, które miało miejsce tydzień temu.

— A który z was dwóch był tutaj przez ostatni tydzień? — spytała Mully.

— Ja — odparł szybko Sammywell. — On wyjechał sobie do Blackpool.

— A, ty wstrętny łobuzie! — krzyknęła Mully triumfalnie. — Teraz już wiem, który z was jest Sam Small. To ty! Wałęsasz się Bóg wie gdzie i zostawiasz żonę z jakimś obcym facetem...

Chciała podejść do Sama, ale Sammywell ją delikatnie powstrzymał.

— Daj spokój, moja droga, nie gniewaj się. Czyż bez niego nie było lepiej? Przecież cały tydzień spędziłem z tobą w domu i wyleczyłem cię z zaziębienia.

— To prawda, byłeś miły i troskliwy. Od razu zaczęłam podejrzewać, że coś nie jest w porządku. Zbyt było mi dobrze, żeby to mogło być prawdziwe.

Usiadła i znowu zaczęła płakać, a Sam stał ze spuszczoną głową, przestępując z nogi na nogę. Przez dłuższą chwilę się zastanawiał, aż wreszcie podszedł do żony.

— Mully Small, czy naprawdę tak sądzisz? Czy naprawdę byłaś szczęśliwa z tym... tutaj, kiedy ja wyjechałem?

No cóż, Mully ostatecznie była kobietą, nie mogła więc powstrzymać się od pewnej drwiny w odpowiedzi:

— Samie Small, nigdy w życiu jeszcze nikt o mnie tak nie dbał. To był najlepszy tydzień mego małżeńskiego życia.

Sam spojrzał w ogień i głęboko westchnął.

— Tak, rozumiem — odezwał się cicho. — No cóż, niewiele jest do powiedzenia, kiedy mężczyzna przekonuje się, że poniósł klęskę. I marny to mężczyzna, który chciałby stanąć na drodze do szczęścia własnej żonie, a więc żegnaj, kochana, życzę ci wiele dobrego.

Skierował się do drzwi, a Mully przyglądała mu się jak urzeczona. Może i nie przeszkodziłaby mu w wyjściu, ale oprzytomniała na dźwięk głosu Sammywella, który zawołał triumfalnie:

— Nawet ty, Samie, zrozumiałeś, że tylko ja mogę ją uszczęśliwić! To zaniepokoiło Mully.

— Zaczekaj, ja też tu mam coś do powiedzenia. Wracaj, chłopie, i siadaj przy kominku. Jeżeli to prawda z tym rozdwojeniem osobowości, musimy się nad tym zastanowić.

— Myśmy to już przemyśleli na wszystkie strony. Ale dlaczego nie moglibyśmy zostać we trójkę? — zaproponował Sammywell.

— Co takiego?! Ja miałabym żyć z dwoma mężami?! — zaperzyła się Mully. — Przecież to byłaby bigamia.

— Ja i Sam jesteśmy tym samym mężczyzną — przypomniał jej Sammywell.

— Może — powiedziała Mully — ale tylko my o tym wiemy, bo jesteśmy ludźmi o szerokich horyzontach, obawiam się jednak, że prawo brytyjskie nie toleruje takich nowomodnych pomysłów i stwierdzi, że dwaj mężowie to jednak dwaj mężowie.

— Dobrze, ale było tylko jedno małżeństwo — rzekł Sam.

— Wobec tego jeden z was jest legalnym mężem, a drugi nielegalnym i to jest niezgodne z prawem.

— Tak, masz rację — przyznał Sam.

— Nie przerywaj mi — skarciła go Mully. — Muszę teraz mieć chwilę spokoju i skupić się.

Przez dłuższy czas siedziała w milczeniu, aż wreszcie z westchnieniem wstała.

— Już zdecydowałam. Matka zawsze mówiła mi: „Kiedy masz wątpliwości, jak postąpić, prześpij się”.

— Ależ oczywiście — powiedział przymilnie Sammywell.

— I tak zrobię — stwierdziła, nic zwracając na niego uwagi. — Idę teraz spać, a wy obaj jazda na dwór.

— Ależ Mully — jęknął Sammywell. — Wcale nie mam ochoty.

— Ja również — ucięła. — Rozdwoiliście się sami bez mojej pomocy. Może więc uda wam się załatwić sprawę w ten sam sposób.

Stanowczo otworzyła drzwi i wypchnęła ich na zewnątrz. Kiedy mijał ją Sam, powiedziała z całym spokojem:

— Do domu może wrócić tylko jeden z was.

Drzwi się zatrzasnęły, zgrzytnął zamek, a ich obu ogarnął nocny mrok.

— Chodźmy się przejść, może coś wymyślimy — zaproponował Sam. — Ale radzę ci po dobroci, trzymaj się blisko mnie. Chodźmy na wrzosowisko.

Gdy znaleźli się na Błoniach, obydwaj byli bardzo zamyśleni.

— No co, wpadłeś na jakiś pomysł? — spytał Sammywell.

— Słuchaj, mam ciebie dosyć po dziurki w nosie, zamknij dziób! — warknął Sam i urwał, rozglądając się wokół. Byli pod latarnią. — Tutaj spotkaliśmy się po raz pierwszy — zauważył w zadumie.

— Wielka szkoda, żeś tu nie został... — zaczął Sammywell.

— Słuchaj, stary — przerwał mu Sam. — Jeżeli nie przestaniesz kłapać dziobem, rozkwazę ci gębę. Czy nie rozumiesz, że... — W tym momencie wydało mu się, że słyszy słowa, które tylko jemu szepnęła Mully: „Do domu może wrócić tylko jeden z was”.

Olśnił go błysk zrozumienia.

— Samie Small! — krzyknął przerażony Sammywell. — W twoim sercu czai się mord!

Sam uśmiechnął się łagodnie.

— Masz rację, chłopie. Podejdz bliżej, nastaw pięści i stań do walki z godnością, jak przystało na prawdziwego obywatela [Yorkshire](#).

— Ale ja wcale nie lubię się bić.

— Już ja cię do tego zachęcę, nie obawiaj się. Zaczynamy! — Sam lewą pięścią uderzył Sammywella prosto w nos. — I jeszcze raz. — Prawą pięścią dołożył z drugiej strony.

— Pismo święte powiada — rzekł oburzony Sammywell — że jeżeli ktoś uderzy cię w jeden policzek, to nadstaw drugi, ale nie daje żadnych wskazówek, co robić w wypadku, kiedy człowiek został uderzony w obydwie. Wydaje mi się, że w takiej sytuacji trzeba się kierować własnym rozsądkiem. A masz! — Walnął Sama prosto w nos.

— Aj! — krzyknął Sam. — Nie pójdzie ci ze mną tak łatwo!

I wywiązała się regularna, na dobrym poziomie walka. A ponieważ obydwaj byli tym samym Samem Smallem, mieli tak wyrównane siły, jak jeszcze nigdy nie zdarzyło się w historii pięściarstwa. Obaj mieli identyczne siły, obaj tak samo rozgrywali walkę taktycznie. Jeżeli Sam zadał cios prawą, Sammywell natychmiast blokował gardą lewej. Przypominało to boksowanie się przed lustrem. I tak walka się toczyła, a żaden z nich nie zyskiwał przewagi, tylko obaj stawali się coraz bardziej zmęczeni.

Wtedy Samowi wpadł pewien pomysł do głowy.

Kiedy mnie zaatakuję, pomyślał sobie, nie będę się zasłaniał, lecz przyjmę wszystkie jego ciosy.

Ale w tej samej chwili Sammywell pomyślał identycznie to samo. W rezultacie każdy odebrał serię ciosów, po której obu zawirowały wszystkie gwiazdy w oczach.

Nagle Sam poczuł, że jego duch opuścił ciało. W dole pod sobą widział dwa nieruchome ciała, a za nim unosił się drugi duch.

— Tam do licha! — jęknął Sam. — Teraz jest nas czterech.

— Nie — pocieszył go Sammywell. — Spójrz tylko.

I na ich oczach dwa ciała w dole zbliżyły się do siebie i połączyły w jedno.

— A teraz my musimy tam się zmieścić — rzekł Sammywell. Spłynęli więc na dół i z trudem wcisnęli się w leżące ciało. Wtedy Sam usłyszał jakieś głosy.

— Biedny stary Sam — powiedział ktoś. — Musiał uderzyć głową o latarnię.

Sam chciał im wyjaśnić, że została stoczona walka, ale nie mógł wymówić słowa. I tak — jak mu się wydało — w następnej chwili znalazł się w domu, gdzie pochylała się nad nim Mully.

— Ach, Samie, znowu zmartwienie przez ciebie.

— Nie, Mully — powiedział ochryple. — Ja wcale nie jestem pijany.

Pochyliła się nad nim jeszcze niżej.

— Masz rację — przyznała. — Nie jesteś pijany.

Sam spojrział jej w oczy.

— Zabiłem go.

— Kogo?

— Sammywella.

— Jakiego znowuż Sammywella?

Sam zastanowił się chwilę, a potem uśmiechnął.

Kobiety to cudowne istoty, wiedzą, o jakich momentach z życia mężczyzny należy zapomnieć.

Sam poczuł przyływ miłości do Mully, pulchnej, niezbyt młodej Mully, która właśnie przemywała mu głowę chłodną wodą.

— Czy mi wybaczysz, Mully?

— Oj, Samie — westchnęła — tyle lat ci już wybaczałam, że trudno, żebym nagle teraz się od tego odzwyczaiła.

— Będę teraz dla ciebie lepszy. Po pierwsze, w Blackpool wcale nie było mi dobrze, a po drugie, po tym jak zabiłem Sammywella, myśmy się jak gdyby stopili, powstała fuzja. Teraz on jest we mnie, a jest tą moją lepszą połową, i od dziś ta lepsza część we mnie będzie zawsze górowała.

— Jesteś więc anatomicznym połączeniem — stwierdziła Mully.

— I nigdy już nie pójdę pod Złotego Orła. Będę co wieczór siedział w domu i głośno ci czytał, a ty będziesz robiła na drutach.

— Broń Boże! — wykrzyknęła Mully. — Nie miałabym nawet chwili spokoju. Przecież kocham cię takiego, jaki jesteś, ty stary łobuzie.

— Naprawdę, Mully? Ale ja już postanowiłem, od dziś będę taki jak Sammywell, on naprawdę jest moją lepszą połową.

— Co to, to nie — zaprotestowała Mully. — Twoją lepszą połową jestem ja. A teraz dość tych głupstw i marsz do łóżka!

przełożyła Irena Doleżał-Nowicka

DANSE MACABRE

Niektórzy krytycy są zdania, że trylogia Mervyna Peake'a o Gormenghast — murszejącym, osadzonym w odległej — przyszłości świecie — przewyższa w dziedzinie literatury fantastycznej nawet „Władcę pierścieni” Tolkiena. Niewątpliwie przygody Tytusa, siedemdziesiątego siódmego hrabiego Gormenghast i dziedzica rodu Groanów, opowiedziane z inteligentnym humorem i zapierającą dech wyobraźnią, należą do wybitnych dzieł tego gatunku i w pełni zasługują na słowa uznania. John Clute w „Encyclopedia of Science Fiction” (1995) nazwał Gormenghast „jednym z najbogatszych alternatywnych światów w całej fantastyce”. Do miłośników trylogii należą muzycy Nigel Kennedy, Sting i Phil Collins, kucharz Keith Tloyd, który twierdzi, że widywał w Hiszpanii kuchnię jak z tych powieści, oraz pisarze Michael Moorcock i Anikony Burgess, który nazwał kiedyś dzieło Peake'a „mocnym winem fantazji, schłodzonym przez intelekt do właściwej temperatury”. Powstała już sceniczna wersja „Gormenghast” a wytwórnia Walta Disneya posiada prawa do adaptacji filmowej.

Mervyn Laurence Peake (1911–68) urodził się w Kuling w południowych Chinach, gdzie jego ojciec prowadził szpital misyjny. Wspomnienie tych „intensywnych, przeżytych w innym świecie lat” w znacznej mierze ukształtowało karierę Peake'a, kiedy po powrocie do Anglii zaczął pracować jako plastyk i człowiek pióra. Jego zamiłowanie do fantastyki ujawniło się już w pierwszej książce „Captain Slaughterboard Drops Anchor” opublikowanej w 1939 roku. W czasie wojny, służąc w Królewskim Korpusie Inżynieryjnym, rozpoczął pracę nad dziełem, które ostatecznie miało przybrać kształt trylogii o Gormenghast. Pod koniec działań wojennych został wysłany do oswobodzonego obozu koncentracyjnego w Belsen — przeżycie to odcisnęło na nim głębokie piętno. Wkrótce po zakończeniu pracy nad humorystycznym arcydziełem o Tytusie Groanie okazało się, że autor cierpi na chorobę Parkinsona, która w tragiczny sposób skróciła jego życie. „Danse macabre” po raz pierwszy opublikowany w magazynie „Science Fantasy” w 1963 roku, jest jednym z nielicznych opowiadań autorstwa Mervyna Peake'a, równie osobliwym jak wszystko, co wyszło spod jego pióra. Jest w nim mowa o umiejętności latania, ale nie w wydaniu ludzi, tylko ich garderoby.

* * *

Czy obudziła mnie pełnia księżycy, tego nie wiem. A może melancholia, która opanowała moją duszę i zabarwiła moje sny, osiągnęła zbyt wielkie natężenie, abym był w stanie to dłużej znosić, przedarła się przez mój sen i pozostawiła mnie, rozbudzonego i drżącego.

Wyjaśnienie nieszczęśliwych okoliczności, które rozdzieliły mnie z moją drogą żoną, nie należy do tej opowieści. Nie jestem w stanie opisać tej strasznej rozłąki. Niech wystarczy stwierdzenie, że pomimo, a może właśnie z powodu naszej nieszczęsnej miłości, nad którą zawisły czarne chmury, przyszło nam się rozstać, choć jak się przekonacie, ów desperacki akt nie przyniósł nam koniec końców niczego oprócz tragedii.

Rozsunąłem zasłony, kiedy kładłem się spać. Moją sypialnię zalewał księżycowy blask.

Leżałem na boku. Mój wzrok błądził po ściankach wysokiej szafy, aż się zatrzymał na jednej z metalowych gałek przy drzwiach. Choć czułem się nieswojo, nie miałem dotąd żadnego konkretnego powodu do niepokoju i zamknąłem oczy z powrotem, gdyby moje serce nagle nie stanęło. Metalowa gałka zaczęła się bardzo powoli, bardzo zdecydowanie i zupełnie bezszelestnie obracać.

Nie jestem w stanie dokładnie sobie przypomnieć, o czym myślałem podczas tego ciągnącego się w nieskończoność obrotu. Byłem złany potem, jakieś gorączkowe myśli się we mnie kołatały, tonęły w panicznym strachu. Nie mogłem odwrócić wzroku ani Umknąć oczu. Mogłem jedynie patrzeć, jak drzwi szafy same z siebie zaczynają się powoli uchylać, z ohydny rozmysłem, aż otworzyły się szeroko na wypełniony księżycowym światłem pokój.

I wtedy to się stało... W nieruchomej ciszy, kiedy nawet wołane sówki z pobliskiego lasu czy westchnienie poruszające liśćmi nie zakłócało późnych godzin tej letniej nocy, moje wiszące na wieszaku ubranie wypłynęło powoli z głębi szafy i nieskończenie miękkim ruchem zawisło w powietrzu tuż przed toaletką.

* * *

To było tak nieoczekiwane, tak absurdalne, aż dziw, że nie straciłem panowania nad sobą i nie krzyknąłem przeraźliwie. Ale krzyk trwogi uwiązał mi w gardle i nie wydałem żadnego dźwięku, tylko patrzyłem, jak spodnie zsuwają się z poprzeczki wieszaka, dopóki końce nogawek nie znalazły się tuż nad podłogą. W tej pozycji pozostały, bezwładne i puste. Poruszenie na wieszaku wskazywało niedwuznacznie, że biała kamizelka i długi czarny frak też chcą się wyswobodzić. I oto nagle były wolne, a wieszak, pozostawiając w pokoju bezgłową, bezręką, pozbawioną stóp zjawę, pozegłował z powrotem w głąb szafy, po czym drzwi się za nim zamknęły.

Tymczasem wiotkie ręce, pomimo braku dłoni, wykonywały pantomimę, udając, że zawiązują biały krawat wokół białego kołnierzyka, po czym — rzecz najbardziej zdumiewająca ze wszystkiego — pusta sylwetka pochyliła się pod kątem trzydziestu stopni do podłogi, wyrzucając przed siebie luźne rękawy, jak gdyby chciała skoczyć na główkę, i powiewając połami fraka, wyleciała przez okno.

Nim zdałem sobie sprawę z tego, co robię, już byłem przy oknie. Zdażyłem ujrzeć w oddali, za trawnikiem, swój wieczorowy strój sunący nad ziemią w stronę dębowego lasu i znikający w ciemności pod drzewami.

* * *

Nie wiem, jak długo tak stałem, wpatrzony ponad trawnikiem w długą, ciemną wstęgę lasu. Ani też jak długo — kiedy w końcu wróciłem pod szafę — wpatrywałem się w mosiężną gałkę, nim zdobyłem się na odwagę, żeby ją ująć, przekreślić i otworzyć drzwi. Wiem tylko, że w końcu to zrobiłem i ujrzałem wiszący w środku nagi drewniany wieszak.

Wreszcie zatrzasnąłem drzwi i odwróciłem się do szafy plecami. Zacząłem chodzić tam i z powrotem po pokoju, trawiony gorączką budzących trwogę przeczuć. Dopiero o świcie, wyczerpany, osunąłem się w lepki, wilgotny sen.

Kiedy się ocknąłem, południe już minęło. Za oknem rozbrzmiewały swojskie dźwięki: wróble swary w dzikim winie za oknem, szczekanie psa, monotony terkot traktora na którymś z dalekich pól. Na wpół rozbudzony, dopiero po upływie pełnej minuty przypomniałem sobie koszmar, który przeżyłem w nocy. Jasne, że to był tylko koszmarny sen! Parskając śmiechem, odrzuciłem kołdrę, wstałem rażno i zacząłem się ubierać. Dopiero kiedy miałem otworzyć szafę, zatrzymałem się na chwilę. Sen był zbyt wyrazisty, aby go całkowicie zlekceważyć, nawet w świetle letniego dnia, ale roześmiałem się znowu i dźwięk własnego śmiechu mnie zmroził. Przypominało mi się, jak kiedyś słyszałem dziecko krzyczące w trwodze: „Nie boję się ciebie, nie boję się ciebie!”.

* * *

Otworzyłem drzwi szafy i odetchnąłem z ulgą, gdyż tam, w półmroku, przykładnie wisiało moje wieczorowe ubranie. Zdjąłem z wieszaka tweedową marynarkę i już miałem zamknąć drzwi, kiedy zauważyłem, że do nogawki wyjściowych spodni, w okolicy kolana, przylepiło się źdźbło trawy.

Zawsze miałem zwyczaj, nieomal obsesję, utrzymywania swoich ubrań w nienagannym stanie. Ten garnitur czyściłem szczotką dzień czy dwa wcześniej. Jakim sposobem owo źdźbło trawy uszło mojej uwagi? Jednak pomimo zdziwienia powiedziałem sobie, że musi — rzecz jasna — istnieć jakieś proste wyjaśnienie tego faktu i nakazałem sobie przestać myśleć o tym drobiazgu.

Sam dobrze nie wiem, dlaczego nikomu nie opowiedziałem o swoim śnie. Może przyczyną była moja awersja do wszystkiego co dziwaczne i niepojęte, którą, jak zapewne mylnie zakładałem, podzielać musieli inni. Wspomnienie tej strasznej nocy prześladowało mnie przez cały dzień i gdyby nie obawa, że mógłbym zostać posądzony o jakąś aberrację, pewnie znalazłbym ulgę, zwierając się komuś z tego głupiego snu. Widzicie, to nie było jedynie przerażające, to było również absurdalnie komiczne. Coś, co powinno wywoływać raczej uśmiech niż lęk. Ale stwierdziłem, że nie potrafię się z tego śmiać.

* * *

Minęło sześć kolejnych dni, podczas których nie wydarzyło się nic szczególnego. Siódmego dnia wieczorem — był to piątek — poszedłem spać znacznie później niż zwykle, gdyż gościłem na kolacji kilku przyjaciół, którzy zasiedzieli się potem przy rozmowie i wyszli dobrze po północy. Po ich odejściu zacząłem czytać, tak więc zbliżała się druga, kiedy poszedłem z książką na górę do sypialni, położyłem się w ubraniu na łóżku i czytałem jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut.

Sen zaczynał mnie już morzyć, ale nim wstałem, żeby się rozebrać, wbrew woli spojrzałem na szafę. Choć nie wątpiłem, że tamten sen był jedynie snem i niczym więcej niż snem, popadłem w przykry nawyk — ostatnią rzeczą, jaką zawsze widziałem przed zaśnięciem, była gałka od drzwi szafy.

I znów, jak wtedy, gałka się poruszyła, i znów, w sposób równie przerażający jak poprzednio, zaczęła się z rozmysłem obracać, a moje serce uwięzione między żebrami łomotało, jakby się chciało wyrwać na wolność w ciszy upiornej nocy.

Zalałem się potem, w wyschniętych ustach czułem smak trwogi.

Fakt, że działo się to ponownie, bynajmniej nie stanowił pociechy, gdyż to, co przedtem wydawało się niewiarygodne, teraz okazało się bezdyskusyjnym faktem.

Powoli, nieubłagane gałka się obróciła, drzwi szafy stanęły otworem i tak jak poprzednio wypłynął z niej mój wizytowy strój. Tak jak przedtem spodnie zsunęły się z wieszaka, wieszak wyswobodził się z objęć fraka i kamizelki. Wydawało się, że nie ma żadnej zmiany w tym absurdalnym rytuale, dopóki nie nadszedł moment, w którym zjawa miała się zwrócić w stronę okna. Tym razem odwróciła się do mnie i choć nie miała twarzy, wiedziałem, że na mnie patrzy.

Zatrzęsa się gwałtownie. Zamknąłem oczy najwyżej na sekundę, ale w tej krótkiej chwili ubranie znikło.

* * *

Zerwałem się na nogi i skoczyłem do okna. W pierwszej chwili nie spostrzegłem nic nadzwyczajnego, gdyż patrzyłem ponad trawnikiem ciągnącym się po oddalony o jakieś sześćdziesiąt kroków skraj lasu. Żadna istota, duchowa ani śmiertelna, nie byłaby w stanie pokonać tej odległości w kilka sekund, jakie zajęło mi dotarcie do okna. Ale poruszenie w półmroku kazało mi spojrzeć w dół i moje ubranie tam było, stało na wąskiej zwirowanej ścieżce dokładnie pode mną. Było zwrócone tyłem do domu, a oba rękawy, choć puste, unosiły się z lekka po obu stronach.

Znajdując się dokładnie nad bezgłową istotą, poczułem nieodparty przymus spojrzenia w głąb okrągłej jamy obrzeżonej sztywnym, białym kołnierzykiem. Gdy tak patrzyłem, czując mdłości, zjawisko zaczęło sunąć, czy może raczej szybować w kierunku trawnika. Trudno znaleźć właściwe słowo na opisanie sposobu, w jaki się przemieszczało — frak nienaturalnie wyprostowany, nogawki spodni zdające się wlec po trawie, choć nie dotykały ziemi.

To, że byłem ubrany, przypuszczalnie dodało mi odwagi, bo mimo trwogi zbiegłem pędem po schodach i wypadłem z domu w samą porę, by ujrzeć zjawę znikającą w lesie za trawnikiem. Biegając, zapamiętałem sobie miejsce, w którym znikła między drzewami. Pędziłem jak szalony i kiedy dopadłem skraju dąbrowy, biały wysoki kołnierzyk i połyskujące mankiety mignęły mi po prawej stronie, daleko w przodzie.

* * *

Las, który oczywiście znałem dobrze za dnia, wydawał się w nocy zupełnie inny, starałem się jednak ze wszystkich sił nadażyć za tym unoszącym się nad ziemią, pomykającym między drzewami zjawiskiem, choć potykałem się co chwila i niemal traciłem je z oczu. Zjawa wydawała się dążyć naprzód bez wahania i zdałem sobie sprawę, sądząc z kierunku, w jakim zmierzała, że musi wkrótce dotrzeć do pierwszej z długich przecinek ciągnących się ze wschodu na zachód przez cały las.

I nie myliłem się, bo wkrótce korony drzew nad moją głową zaczęły rzednąć i znalazłem się na skraju długiej, porośniętej trawą dębowej alei. Nie dalej niż sto kroków ode mnie spostrzegłem bezgłowe okrycie.

Może ta istota i było bezcielesna, ale nie sprawiała takiego wrażenia, gdyż pomimo braku stóp, dłoni i głowy najwidoczniej znajdowała się w stanie silnego wzburzenia. Zwracała się raz w jedną, raz w drugą stronę, to okrążając dąb rosnący po drugiej stronie alei, to zawisając tuż nad ziemią, wychylona w przód, jak gdyby, pomimo braku głowy, wypatrywała czegoś na leśnej drodze.

* * *

I nagle serce podeszło mi do gardła, bo mój wizytowy strój, jaśniejący w nikłym świetle białą kołnierzyka i mankiatów, zadygotał. Ujrzałem w dali płynącą w naszym kierunku, wieczorową suknię barwy lodowatego błękitu.

Była coraz bliżej i bliżej, bliżej i bliżej. Sunęła z gracją, muskając ziemię skrajem długiej spódnicy. Ale nie było stóp, nie było ramion ani dłoni. Nie było głowy, a mimo to dostrzegłem w niej coś znajomego, kiedy wreszcie znalazła się przy moim czarnym garniturze i ujrzałem, jak rękaw fraka otacza jedwabną, pustą talię lodowobłękitnej damy. Rozpoczął się

powolny taniec, od którego krew stężała mi w żyłach, bo bezgłowa istota w moim fraku wibrowała niczym szarpnięta struna skrzypiec.

Z tym strasznym rozdygotaniem kontrastowała wieczorowa suknia, poruszająca się w tańcu sztywno, co wyglądało jeszcze bardziej przerażająco przy braku ramion. Nogi się pode mną ugięły. Szukając oparcia, chwyciłem się rosnącej z boku gałęzi, która — o zgrozo! — pękła mi w dłoniach z trzaskiem brzmiącym w tej nocnej ciszy jak wystrzał z karabinu. Straciłem równowagę i upadłem na kolana, ale podniosłem się natychmiast. Nie zobaczyłem tancerzy. Zniknęli. Zniknęli, jakby ich tu nigdy nie było. Aleja wysokich drzew ciągnęła się w dal w uroczystej, rozjaśnionej księżycowym blaskiem ciszy.

I wówczas ujrzałem coś, co przypominało niewielki stos skłębionego materiału rzuconego bezładnie na leśne poszycie. Zbierając się w sobie, wyszedłem na oświetloną przestrzeń i krok za krokiem zacząłem się zbliżać do nieruchomego kopczyka. Zobaczyłem, że składa się z czarnej tkaniny i splątanej z nią subtelniejszej materii barwy błękitnego lodu.

* * *

Stałem, spływając potem, i nie potrafię powiedzieć, jak długo to trwało. Żołądek podszedł mi do gardła, kiedy w bezładnie leżących ubraniach coś się poruszyło lekko, potem gwałtowniej i oto na moich oczach części garderoby zaczęły się wyplątywać ze stosu i podnosić z ziemi, dopasowując się z powrotem do siebie w powietrzu, po czym się rozpięzchły — cudowna suknia pomknęła, ledwie muskając trawę, i po chwili pozostała z niej jedynie błękitna plamka w dalekiej perspektywie alei. Mój garnitur w nie mniejszym pośpiechu oddalił się w przeciwnym kierunku i zniknął. Zostałem sam.

Nie wiem, jak dotarłem do domu. Raczej kierując się instynktem niż rozumem, gdyż byłem rozgorączkowany i śmiertelnie znużony.

Gdy w końcu, potykając się, dowlokłem się po schodach do swojego pokoju, osunąłem się na kolana i przez kilka minut nie byłem w stanie się podnieść. Gdy to wreszcie zrobiłem, podszedłem do szafy. Długo wpatrywałem się w mosiężną gałkę, aż zdobyłem się na odwagę, żeby ją przekreślić i otworzyć drzwi na oścież.

W środku, jak gdyby nigdy nic, wisiały grzecznie moje spodnie i frak.

* * *

Tydzień przeżyłem w stanie nieznośnego nerwowego podniecenia. Byłem przerażony, ale równocześnie zafascynowany. Przyłapałem się na tym, że bezustannie myślę o tym, co się wydarzy w kolejny piątek. Nieliczni znajomi, którzy mnie widywali, doznawali szoku, gdyż moja zazwyczaj zdrowa i czerstwa twarz poszarzała, ręce mi drżały, oczy miałem rozbiegane, jakbym się czuł osaczony.

Nie powiedziałem nikomu, co się stało. Stchórzyłem. Zawsze miałem wstręt do wszystkiego, co choćby z daleka trąciło zjawiskami nadprzyrodzonymi i nie mógłbym już nigdy chodzić wśród ludzi z podniesioną głową, wiedząc, że posądzają mnie o jakieś metafizyczne odchylenia. Wolałem mimo przerażenia przejść przez to wszystko samotnie, niż narazić się na uniesione brwi i znaczące spojrzenia z ukosa. Ale istniało jedno zobowiązanie towarzyskie, od którego nie mogłem ani nie chciałem się wymawiać.

Obiecałem, solennie obiecałem wziąć udział w małym wieczornym przyjęciu, które wydawali moi przyjaciele w nadchodzący piątek. Ale nie obietnica była powodem. Gdyby tylko o to chodziło, wynalazłbym jakąś wiarygodną wymówkę. Nie, powód był zupełnie inny.

Otóż miała tam być moja żona — nasi wspólni znajomi, w swej nieświadomości, pragnęli nas koniecznie pogodzić. Widzieli, jak oboje marniejemy w oczach. Ja bez niej czułem się ciężko chory. A ona? Zostawiła mnie, bo nie widziała dla nas nadziei, jedynie dalsze nasilanie się perwersji prowadzącej mężczyzn do samozniszczenia — im większa miłość, tym większy przymus zadawania bólu. Przyjaciele mi donosili, że ona też, podobnie jak ja, miała się z każdym dniem gorzej.

Byliśmy zbyt dumni, by się spotkać z własnej inicjatywy. Zbyt dumni lub zbyt samolubni. Tak więc chytrze zaaranżowano ową proszoną kolację i oto nadeszła ta chwila. Zostałem powitany przez gospodarzy i wmieszałem się między gości.

Podano kolację, potem trochę tańczono. Gdybym nie był bliski obłądu, pewnie cieszyłby mnie ten miły wieczór, ale wciąż patrzyłem to na mały pozłacany zegar stojący na kominku, to na zasłonę, za którą były drzwi prowadzące do holu.

W miarę jak wieczór upływał, moja dusza zaczęła się pogrążyć w absolutnej ciemności, kiedy nagle pojawiła się ona. Serce załomotało mi gwałtownie, drżałem rozpaczliwie. Chociaż była skończenie piękna, mój wzrok przykuła nie jej twarz, tylko suknia barwy błękitnego lodu.

Podeszliśmy do siebie, jakbyśmy się nigdy nie rozstawali. Przepelniająca nas radość okazała się nagle zbyt wielka, aby jakakolwiek uraza była w stanie ją przyćmić.

Ale ta radość była podszyta lękiem, gdyż widzieliśmy nawzajem w swoich oczach, że mieliśmy ten sam koszmarny sen. Wiedzieliśmy, że kiedy tańczymy, nasze ubrania jedynie czekają na sposobność mającą nadejść za kilka godzin.

Cóż mieliśmy zrobić? Jednego byliśmy pewni, tego mianowicie, że powinniśmy się oddalić od muzyki i tłumu ludzi — ludzi, którzy żegnali nas zadowoleni z siebie, gdyż musieliśmy wyglądać na parę zakochanych, kiedy opuszczaliśmy pomieszczenie cali drżący, trzymając się za ręce.

Wiedzieliśmy, że musimy być razem. Ale wiedzieliśmy też, że jeśli mamy złamać zaklęcie, musimy zaatakować i wyzwolić się ze swoich ról. Ale w jaki sposób? Co mogliśmy zrobić? Po pierwsze, nie powinniśmy się rozłączać. Po drugie, musieliśmy pozostać w swoich wieczorowych ubraniach.

* * *

Ostatnie godziny przed nadejściem trzeciej w nocy wlokły się dłużej niż jakikolwiek dzień w naszym życiu. Odwiozłem żonę do swojego — teraz znów naszego — domu i tam czekaliśmy beczynnie, po większej części w milczeniu. Z początku próbowaliśmy rozmawiać o tym, co to wszystko mogło oznaczać, ale sprawa nas przerastała. Wyglądało na to, że jakiś demon upatrzył nas sobie na obiekt swoich igraszek.

* * *

Już prawie zasypialiśmy, kiedy pierwsze drzenie przebiegło nu po plecach. Żona odpoczywała z głową na moim ramieniu. Ocknęła się natychmiast, gdy wstałem, dygocąc na całym ciele. Materiał okrywający moje plecy i barki zaczął łopotać łagodnie niczym żagiel na lekkim wietrze. Przejęty grozą ujrzałem, że ona też się podnosi z otomany, jakby unoszona w górę przez dziwną siłę, a najbardziej przerażające było to, że jej śliczna twarz wydawała się rozmywać.

— Harry! Harry, gdzie jesteś?! — zawołała żona, łapiąc mnie za rękę. Ach, jakże cenny był dotyk naszych palców! Palców, których — zdawało się — już tam nie ma. Nasze twarze również uleciały, i stopy, i dłonie, ale nadal czuliśmy ziemię pod nogami i wzajemny uścisk naszych chłodnych rąk.

Wtedy nadszedł długi wstrząs i pojawiła się wrogość. Jakieś niszczycielskie zło, jakiś złowrogi niepokój zdawał się wstępować w nasze ubrania. Coś oderwało nas od siebie i od tej chwili nie było mi już dane jej dotknąć. Wbrew naszej woli zaczęliśmy się przemieszczać. Kiedy zbliżaliśmy się do okien, znów usłyszałem jej krzyk „Harry! Harry!”, nikły i dochodzący z oddali, choć byliśmy całkiem blisko siebie. „Harry! Harry, nie zostawiaj mnie!”.

* * *

Nie mogłem nic zrobić, bo wylecieliśmy oboje na dwór przez szerokie okna. Nie dotykając trawnika nogami, miotaliśmy się w powietrzu we wszystkie strony, jak gdyby nasze ubrania chciały wytrząsnąć nas z siebie. Nie sposób powiedzieć, jak długo to trwało, ale ich gwałtowność słabła. I choć zło było nadal wyczuwalne i w swojej istocie bardziej perfidne, wydawało się, że ubrania opadają z sił. Kiedy dotarły na skraj lasu, mieliśmy wrażenie, że wspierają się ciężko na naszych ciałach. Jak gdyby wola pozbawienia nas życia wciąż istniała, ale możliwości wprowadzenia jej w czyn uleciały. Dowlekliśmy się z trudem do leśnej przecinki i chwilę później osunęliśmy się na ziemię pod dębem.

Ocknąłem się tuż przed świtem, mokry od lodowatej rosy.

W pierwszej chwili nie miałem pojęcia, gdzie jestem, ale potem wszystko do mnie wróciło. Rozejrzałem się wokół. Byłem sam. Moja żona zniknęła.

Cierpiąc duchowe katusze, dowlokłem się do domu i z trudem wdrapałem się po schodach do swojej sypialni. Było ciemno, więc zapaliłem zapałkę. Przede mną ukazało się wysokie lustro umieszczone na drzwiach szafy. W świetle zapałki ujrzałem bezgłowego mężczyznę. Gors jego koszuli, mankiety i kołnierzyk jaśniały w mroku.

Odwracając się z przerażeniem, nie tylko na ten widok, ale również na myśl, że widmo nadal nie zostało poskromione i nasze zmaganie z demonami było daremne, zapaliłem następną zapałkę i spojrzałem na łóżko.

Leżało na nim dwoje ludzi, byli spokojni, uśmiechnięci. Moja żona leżała bliżej okna, ja na swoim zwykłym miejscu, w cieniu szafy.

Oboje byliśmy martwi.

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

ŚWIAT BYLEJAKI

Grupa Inklingów — pracowników naukowych Uniwersytetu Oksfordzkiego, do których należeli m. in. J.R.R. Tolkien, Charles Williams i C.S. Lewis — wywarła głęboki wpływ na współczesną literaturę fantastyczną. Do tolkienowskich opowieści o Śródziemiu i fantastyki Williamsa na temat świętego Graala, Lewis dodał swój cykl opowieści z Narnii dla dzieci oraz kosmiczną trylogię o przygodach międzyplanetarnego podróżnika, doktora Kanson. Książki o Narnii, królestwie rządzone przez Iwa Aslana, które Lewis napisał w latach pięćdziesiątych XX wieku, wciąż należą do najpopularniejszej fantastyki dziecięcej, podczas gdy jego kosmiczna epika, z jej mieszaniną elementów nauki, mitologii i fantastyki, nadal przyciąga dorosłych czytelników. Była porównywana do powieści H.G. Wellsa, który, jak chętnie przyznał sam autor trylogii, wywarł niezaprzeczalny wpływ na jego dzieło. Spotkania Inklingów, podczas których członkowie grupy odczytywali fragmenty swych utworów, stały się legendą i powodem intrygujących pogłosek na temat wzajemnego wpływu pisarzy na klasyczne pozycje literatury fantastycznej ich autorstwa.

Clive Staples Lewis (1898–1963) urodził się w Belfaście, a ukoronowaniem jego błyskotliwej kariery akademickiej było stanowisko profesora literatury średniowiecznej i renesansowej na Uniwersytecie Cambridge. Jednak jako utalentowany twórca fantastyki dał się poznać już wcześniej, kiedy był wykładowcą oksfordzkiego Magdalen College. Pierwsza część jego kosmicznej trylogii, „Z milczącej planety” wydana w 1938 roku, została natychmiast zauważona, ale dopiero wydanie w 1950 roku pierwszej opowieści z Narnii, „Lew, czarownica i stara szafa” zapewniło Lewisowi światową sławę. Inne znane pozycje literatury fantastycznej tego autora, przeznaczone dla dorosłych czytelników, którym smaku dodaje inteligentny humor, to — poemat epicki „Dymer” (1920) „Rozwód ostateczny” (1945) alegoria nieba i ziemi, oraz opowiadanie „Póki mamy twarze” (1956) osnute na motywach mitu o Amorze i Psyche. Lewis pisał też krótkie opowiadania, do których należy poniższe, opublikowane po raz pierwszy w lutym 1956 roku, w „The Magazine of Fantasy and Science Fiction”. „Świat bylejaki” to zdumiewające miejsce, gdzie drzewa nie mają gałęzi, trawa nie dzieli się na źdźbła, a ludzie są chodzącymi sylwetkami. Mijmy się na baczności!

* * *

Będąc, jak mniemam, przy zdrowych zmysłach i ciesząc się dobrym zdrowiem, siedzę o drugiej po południu i opisuję zdumiewające wydarzenie z dzisiejszego ranka, dopóki mam je świeżo w pamięci.

Działo się to w moim gabinecie na uczelni, w którym piszę te słowa, a wszystko zaczęło się najzwyczajniej w świecie od telefonu.

— Mówi Durward — odezwał się głos w słuchawce. — Dzwonię z portierni. Będę w Oksfordzie przez kilka godzin. Czy mógłbym wpaść do pana na chwilę?

— Oczywiście — powiedziałem.

Durward jest moim byłym uczniem i przyzwoitym człowiekiem; było mi miło, że znów go zobaczę. Chwilę później stanął w drzwiach i zirykowałem się, bo przyprowadził ze sobą młodą kobietę. Nie znoszę, kiedy ktoś stwarza w rozmowie wrażenie, jakby miał przyjść na spotkanie sam, po czym pojawia się nagle z mężem lub żoną, narzeczonym lub narzeczoną. O tym należy człowieka uprzedzać.

Dziewczyna nie była ani szczególnie ładna, ani zupełnie nijaka i oczywiście z rozmowy nic nie wyszło. Nie mogliśmy rozmawiać z Durwardem o sprawach, które nas łączyły, bo oznaczałoby to wyłączenie z konwersacji jego towarzyszk. Ona i Durward również nie mogli rozmawiać na wspólne tematy, które (jak zakładam) istniały, gdyż z kolei ja nie mógłbym się włączyć do ich rozmowy. Gość przedstawił swoją towarzyszkę jako Peggy i oznajmił, że są zaręczeni. Potem we trójkę wymienialiśmy zdawkowe uwagi na temat pogody i prasowych nowinek.

Kiedy jestem znudzony, często gapię się przed siebie i chyba musiałem się gapić wówczas na tę dziewczynę, bez najmniejszego zainteresowania. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wpatrywałem się w nią bezwiednie, kiedy zaczęło się ze mną dziać coś dziwnego. Znajomy gabinet zniknął, Durward i Peggy również. Byłem sam i stałem.

W pierwszej chwili pomyślałem, że coś się stało z moimi oczami. Nie otaczały mnie ciemności ani nawet półmrok, ale kiedy spojrzałem w górę, nie ujrzałem niczego, co mógłbym z całą pewnością uznać za niebo. Mogłoby to od biedy być niebo, w jakiś wyjątkowo nijaki, pochmurny, szary dzień, gdyby nie brak jakiegokolwiek poczucia odległości. „Nieokreślone”, to słowo, jakim bym je opisał. Niżej i bliżej mnie widniały pionowe kształty niezdecydowanej, brudnozielonej barwy. Wpatrywałem się w nie przez dłuższy czas, nim do mnie dotarło, że mogą to być drzewa. Podeszedłem bliżej, żeby im się lepiej przyjrzeć. Trudno ująć w słowa wrażenie, jakie na mnie wywarły. „Coś w rodzaju drzew”, „Hm, drzewa, jeśli można coś takiego nazwać drzewem” albo „Coś, co miało być drzewem” — to by były najbliższe określenia. Najbardziej toporna, najmarniejsza namiastka drzew, jaką można sobie wyobrazić. Nie miały nawet prawdziwych gałęzi. Bardziej przypominały słupy od latarni z zatkniętym na czubku wielkim, bezkształtnym kleksem zieleni. Każde dziecko umie narysować lepsze drzewo z pamięci.

Dostrzegłem światło, jednostajny srebrzysty poblask w widniejącym w pewnej odległości byle jakim lesie. Niezwłocznie ruszyłem w tamtym kierunku i wtedy zwróciłem uwagę na to, po czym szedłem. Podłoże było wygodne, miękkie i chłodne, ugięło się sprężysto pod stopami, ale kiedy się na nie spojrzało, oko doznawało nieopisanego zawodu. To coś miało, mówiąc oględnie, kolor trawy, ale taki, jaki trawa przybiera w bardzo pochmurny dzień, kiedy patrzy się na nią, a myśli zaabsorbowane są czymś zupełnie innym. Nie było oddzielnych źdźbeł. Pochyliłem się i usiłowałem je wypatrzeć, ale im uważniej się przyglądałem, tym mniej wyraźne się owo podłoże wydawało. W gruncie rzeczy sprawiało takie samo rozmazane, niewykończone wrażenie jak drzewa. Byle jakie.

Powoli zaczął do mnie docierać niepojęty charakter mojej przygody. Wraz z tą świadomością pojawił się lęk i... niesmak. Nie sądzę, aby dało się to w pełni wytłumaczyć komuś, kto sam nie przeżył czegoś podobnego. Czułem się, jak gdybym nagle został wypędzony z rzeczywistego, jasnego, konkretnego i rozróżnialnego w swojej złożoności świata do jakiegoś wszechświata drugiej kategorii, skleconego tanim sumptem przez naśladowcę.

Nadal szedłem w stronę światła. Tu i ówdzie widniały plamy czegoś, co z daleka wyglądało na kwiaty. Ale każda z tych plam, kiedy podchodziło się bliżej, okazywała się równie nieciekawa jak trawa i drzewa. Kwiaty nie miały prawdziwych łodyg i płatków, były zwykłymi kleksami. Nie dało się rozpoznać gatunku, do którego miałyby należeć. Jeśli chodzi o kolory, poradziłbym sobie lepiej, mając pudełko farb za szylinga.

Bardzo chciałem wierzyć, że śnię, ale — nie wiem czemu — miałem pewność, że tak nie jest. Tak naprawdę byłem przekonany, że umarłem. Obudził się we mnie żal, że życie, które przeżyłem, nie było lepsze.

Zatrważająca hipoteza zaczęła, jak widzicie, formować się w moim umyśle. Ale chwilę później została w pięknym stylu obalona. Niespodziewanie natrafiłem na żonkile. Prawdziwe żonkile, eleganckie, chłodne i doskonałe. Nachyliłem się, żeby ich dotknąć. Syciłem oczy ich urodą. I nie tylko urodą, lecz, co było dla mnie w tej chwili nawet ważniejsze, ich, że tak

powiem, rzetelnością — prawdziwe, uczciwe, dopracowane żonkile, żywe, niezagrożone dyskwalifikacją przy bliższych oględzinach.

Gdzie ja jestem? — zastanawiałem się. Podejdźmy do tego światła. Może tam wszystko stanie się jasne? Może to jest centrum tego dziwnego miejsca?

Dotarłem tam szybciej, niż się spodziewałem, ale wtedy miałem kolejny twardy orzech do zgryzienia, bo pojawiły się sylwetki. Muszę je nazwać w ten sposób, gdyż nie były ludźmi. Miały ludzkie rozmiary i chodziły na dwóch nogach, ale po większej części miały z prawdziwymi ludźmi tyle wspólnego, co tamte niby-drzewa z prawdziwymi drzewami. Widziałem je niewyraźnie. Z pewnością nie były nagie, lecz nie dało się określić, jakie ubranie mają na sobie i choć każda miała u góry jasny kleks, nie można było powiedzieć, że mają twarze. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Potem zacząłem zauważać dziwne odstępstwa od tej reguły. Od czasu do czasu fragment jakiejś postaci stawał się wyraźny: twarz, kapelusz czy suknia ukazywała się w najdrobniejszych szczegółach. Co dziwne, wyraźnie widoczne części garderoby zawsze były elementami damskiego stroju, a wyraźne twarze zawsze należały do mężczyzn. Oba te fakty sprawiały, że tłum był — przynajmniej dla mnie — nieciekawym. Mężczyźni nie należeli do tych, którzy przyciągają moją uwagę: tandetne towarzystwo, szelmy i żigolaki. Ale wydawali się całkiem zadowoleni z siebie. Wszystkie twarze miały ten sam wyraz głupkowatego zachwyty.

Teraz zobaczyłem, skąd pochodzi światło. Znajdowałem się na czymś w rodzaju ulicy. W każdym razie za tłumem sylwetek po obu stronach widniało coś, co wyglądało na sklepowe wystawy i światło dochodziło stamtąd. Zacząłem się przeciskać przez tłum po mojej lewej stronie, co — jak się wydawało — nie powodowało fizycznego kontaktu, po czym spojrzałem w okno wystawowe jednego ze sklepów.

I tu czekała mnie kolejna niespodzianka. Był to sklep jubilerski i po ogólnej bylejakości niemal wszystkiego w tym dziwnym świecie, widok dosłownie zaparł mi dech w piersiach. Wszystko na tej wystawie było doskonałe: każda fasetka każdego brylantu wyrazista, każda brosza czy diadem dopracowane z absolutną perfekcją w najdrobniejszych, finezyjnych szczegółach. Biżuteria była dobrej klasy, co nawet ja byłem w stanie stwierdzić, musiało to być warte setki tysięcy funtów.

Dzięki Bogu! — westchnąłem. Tylko czy dalej też tak będzie?

Pospiesznie zerknąłem na następną wystawę. Było. Był to sklep z sukniami. Nie jestem znawcą, więc nie potrafię ocenić ich jakości. W następnym sklepie sprzedawano damskie obuwie. I nadal było tak samo. Były to prawdziwe buty, z wąskimi noskami, na bardzo wysokich obcasach, w jakich, moim zdaniem, nawet najładniejsza stopa wygląda fatalnie, ale w każdym razie prawdziwe.

Myślałem sobie właśnie, że niektórym osobom ten świat nie wydałby się ani w połowie tak nudny jak mnie, kiedy cała jego dziwaczność uderzyła mnie ze świeżą siłą.

Gdzie, u diabła... — zacząłem, ale natychmiast się poprawiłem, gdyż ostatnie słowo, uwzględniając okoliczności, wydawało się wyjątkowo niefortunne.

Gdzież ja wylądowałem, na miły Bóg? Drzewa do luftu, trawa do luftu, niebo do luftu, kwiaty do luftu, z wyjątkiem żonkili, ludzie do luftu, sklepy pierwsza klasa. Co to wszystko ma znaczyć?

Wszystkie sklepy, nawiasem mówiąc, były przeznaczone dla żeńskiej klienteli, więc wkrótce straciłem dla nich zainteresowanie. Doszedłem do końca ulicy i wtedy, niezbyt daleko stamtąd, ujrzałem światło słońca.

Oczywiście nie było to prawdziwe słoneczne światło. W szarym niebie nie było prześwitu ani padających przez ów prześwit ukośnych promieni, które by to światło uzasadniały. O to, jak o tyle innych szczegółów w tym świecie, się nie zatroszczono. Na ziemi widniała po prostu słoneczna plama, niewyjaśniona, niemożliwa (gdyby nie to, że istniała), a więc budząca niepokój. Ale nie miałem czasu, aby się nad tym zastanowić, gdyż coś, co

znajdowało się pośrodku tej świetlnej plamy — początkowo wziąłem to za niewielki budynek — niespodziewanie się poruszyło i z uczuciem nagłej, przyprawiającej o mdłości paniki uświadomiłem sobie, że patrzę na monstrualnych rozmiarów ludzką postać. Postać się odwróciła. Patrzyła teraz prosto na mnie.

Była nie tylko olbrzymia, ale stanowiła jedyny kompletny ludzki kształt, jaki ujrzałem, odkąd znalazłem się w tym świecie. Kobieta. Leżała na oświetlonym słońcem piasku, jakby na plaży, choć nigdzie nie było widać morza. Była prawie naga, jedynie wokół bioder miała skrawek czegoś jaskrawego, a wokół piersi drugi, coś jakby strój, jaki dzisiejsza dziewczyna nosi na prawdziwej plaży. Całość robiła odpychające wrażenie, choć po chwili uświadomiłem sobie, że powodem były przerażające rozmiary. Gdyby pominąć ten fakt, olbrzymka miała dobrą figurę, niemal idealną, jeśli ktoś gustuje w dzisiejszych typach. Twarz... gdy tylko spojrzałem w jej twarz, z ust wyrwał mi się okrzyk.

— A, tu jesteś! Gdzie Durward? I gdzie my jesteśmy? Co się z nami stało?

Nadal patrzyła prosto na mnie i przeze mnie na wylot. Najwyraźniej byłem dla niej niewidoczny i niesłyszalny. Ale nie miałem wątpliwości, że to Peggy. Peggy rozpoznawalna, lecz odmieniona. Nie tylko pod względem rozmiarów. Jeśli chodzi o figurę, była to Peggy ulepszona. Nikt, jak sądzę, nie mógłby temu zaprzeczyć. Co do twarzy, opinie mogły być bardziej zróżnicowane. Osobiście nie uznałbym tego za zmianę na lepsze. Szczeroci czy dobroci było w tej twarzy nie więcej — a może nawet mniej — niż u oryginalnej Peggy. Chociaż rysy stały się bardziej regularne. Zwłaszcza zęby, które, jak zauważyłem, u dawnej Peggy stanowiły słaby punkt, tu były nieskazitelne, niczym dobra proteza. Wargi pełniejsze. Cera tak doskonała, że przywodziła na myśl kosztowną lalkę. Całość najlepiej opisze stwierdzenie, że Peggy wyglądała teraz dokładnie tak jak każda dziewczyna z reklamy.

Gdybym zmuszony był poślubić którąś z dwóch Peggy, wybrałbym dawną, nie tę udoskonaloną. Miałem jednak nadzieję, że nawet w piekle nigdy do czegoś takiego nie dojdzie.

Tło — ów absurdalny skrawek plaży — zaczęło się zmieniać. Olbrzymka się podniosła. Stała teraz na dywanie, a wokół niej wyrastały ściany, okna i meble. Znajdowała się w sypialni. Nawet ja byłem w stanie stwierdzić, że sypialnia jest urządzona bardzo kosztownie, chociaż zupełnie niezgodnie z moim pojęciem o dobrym smaku. Było tam mnóstwo kwiatów, głównie orchidei i róż, wyczelowanych jeszcze skrupulatniej niż żonkile, zwłaszcza ogromny bukiet z przyczepioną do niego karteczką. Drzwi po drugiej stronie były otwarte, widziałem łazienkę, jaką — i owszem — sam bym chętnie posiadał, z wpuszczoną w podłogę głęboką wanną. Francuska pokojówka krzątała się tam z ręcznikami, solami kąpielowymi i innymi akcesoriami. Nie była nawet w przybliżeniu tak dopracowana jak róże czy chociażby ręczniki, ale twarz, choć niewyraźna, miała bardziej francuską niż jakakolwiek autentyczna Francuzka.

Olbrzymia Peggy zrzuciła swoje plażowe szmatki i stała teraz nago przed wielkim lustrem. Najwyraźniej podobało jej się to, co w nim widziała, choć nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo ja byłem od tego daleki. Po części z powodu jej rozmiarów (o których należy pamiętać), ale jeszcze bardziej z powodu nagłego szoku, jakiego doznałem, choć dzisiejsi kochankowie i mężowie muszą być, jak przypuszczam, uodpornieni na ten wstrząsający efekt. Ciało Peggy miało oczywiście tę samą brązową barwę co ciała w plażowych reklamach, ale wokół jej bioder i piersi widniały dwa pasy śmiertelnie bladej bieli, więc przez kontrast z opalenizną wyglądała jak dotknięta trądem. Przez chwilę poczułem na ten widok niemal fizyczne mdłości. Byłem zszokowany, że Peggy się podziwiała. Czy nie zdawała sobie sprawy, jakie wrażenie musiałoby to zrobić na normalnym mężczyźnie? Zaczęło w mnie kiełkować bardzo niemiłe przeświadczenie, że to jej nie interesuje, że wszystkie te stroje, sole kąpielowe i dwuczęściowe kostiumy plażowe, cała zmysłowość każdego jej spojrzenia i gestu nie ma i nigdy nie miała znaczenia, jakie każdy mężczyzna by im przypisał. Była to wielka uwertura

do opery, która jej kompletnie nie interesowała, procesja koronacyjna bez królowej w centrum tego wydarzenia; gesty, gesty, nic nieznaczące gesty...

Zdałem sobie sprawę, że od dłuższego czasu docierają do mnie dwa dźwięki, jedyne, jakie zdarzyło mi się dotąd usłyszeć w tym świecie. Ale te dźwięki dochodziły z zewnątrz, gdzieś spoza niskiej szarej powłoki, która pełniła w byle jakim świecie funkcję nieba. W obu wypadkach było to stukanie — cierpliwe stukanie, nieskończenie dalekie, jak gdyby dwaj banici dobijali się do ścian tego świata. Pierwszy dźwięk był słabutki, ale twardy, a towarzyszący mu głos powtarzał: „Peggy, Peggy, wpuść mnie”. To głos Durwarda, pomyślałem. Ale w jaki sposób miałbym opisać drugi dźwięk? Ten był, jakimś dziwnym sposobem, miękki; „miękki jak wełna i ostry jak śmierć” — miękki, ale nieznośnie ciężki, jak gdyby przy każdym uderzeniu ogromna dłoń opadała na zewnętrzną stronę byle jakiego nieba, przykrywając je całkowicie. Temu kołataniu towarzyszył głos, od którego moje kości zamieniły się w wodę: „Dziecko, dziecko, dziecko, wpuść mnie, nim zapadnie noc”.

Nim zapadnie noc... Niespodziewanie zalało mnie z powrotem swojskie dzienne światło. Byłem w swoim gabinecie, para moich gości siedziała naprzeciw mnie. Nie zauważyli, jak się wydaje, że coś niezwykłego mi się przydarzyło, choć przez resztę naszej rozmowy mogli odnosić wrażenie, że jestem pijany. Byłem taki szczęśliwy! Faktycznie, w jakimś sensie byłem pijany — pijany czystym zachwytem, że jestem wolny, że znalazłem się na powrót w rzeczywistym świecie, uwolniony z okropnego więzienia tamtej krainy. Za oknem śpiewały ptaki, prawdziwe słońce padało na płytę boazerii. Ta płyta wymagała naprawy, ale gotów byłem uklęknąć i ucałować ją, bezcenną, prawdziwą, solidną. Zauważyłem niewielką rysę na policzku Durwarda — zapewne ślad po tym, jak się zaciął rano przy goleniu — i poczułem to samo. Właściwie każda prawdziwa rzecz wystarczyła, aby mnie uszczęśliwić.

Cóż, takie są fakty, każdy może wysnuć z nich to, co mu się podoba. Moja hipoteza jest tą najbardziej oczywistą, która przyszlaby zapewne do głowy większości czytelników. Otóż wydaje mi się, że na mocy jakiegoś nieznanego prawa psychologii — czy też patologii — znalazłem się na krótką chwilę w umyśle Peggy i ujrzałem jej świat. Świat taki, jaki istnieje dla niej. W centrum tego świata znajduje się rozdęty wizerunek jej samej, przetworzony w taki sposób, aby możliwie jak najbardziej przypominał dziewczyny z reklam. Wokół niego zgrupowane są wyraziste obrazy rzeczy, które ją obchodzą. Poza nimi cała ziemia i niebo to nieokreślona, rozmazana nijakość. Wiele do myślenia dają żonkile i róże. Kwiaty istnieją dla niej tylko wtedy, gdy można je ścinać i wstawić do wazonu albo posłać w postaci bukietu. Kwiaty same w sobie, kwiaty w lesie są pomijalne.

Przypuszczalnie nie jest to jedyna hipoteza, jaka mogłaby owe fakty wyjaśnić. Ale było to dla mnie naprawdę zatrważające doświadczenie. Nie tylko żał mi biednego Durwarda. Wyobraźmy sobie, że tego typu sytuacje stałyby się powszechne. A jeżeli, innym razem, znalazłbym się nie w sytuacji badacza, lecz badanego...?

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

HARRISEM BERGEREM

Kurt Vonnegut junior jest wśród twórców fantastyki mistrzem czarnego humoru, ci jego Tralfamadorianie, kosmici manipulujący biegiem ziemskich dziejów, oraz dziwna religia, Kościół Boga Doskonale Obojętnego, należą do klasycznych wynalazków tego gatunku. Pozaziemskie istoty, które pojawiają się zarówno w „Syrenach z Tytana” (1959), jak w „Rzeźni numer pięć” (1969), ucieleśniają filozofię autora — według niego tajemnica życia polega na tym, aby żyć wyłącznie w szczęśliwych chwilach. W swoim ostatnim wywiadzie, opublikowanym w magazynie „Inc. Technology” mówiąc o swoich odczuciach na temat życia w coraz bardziej skomputeryzowanym świecie, stwierdził: „Mówię wam, jesteśmy na tym świecie po to, żeby zbijać baki, i nie pozwólcie sobie wmówić, że jest inaczej!”

Kurt Vonnegut (1922–2007) urodził się w Indianapolis. W czasie drugiej wojny światowej służył w amerykańskiej armii w Europie. Dostał się do niemieckiej niewoli i jako jeńiec przeżył w Dreźnie nalot dywanowy alianckiego lotnictwa, które zasypało miasto bombami zapalającymi. To traumatyczne przeżycie naznaczyło go głęboko i wywarło przemożny wpływ na jego późniejszą, bardzo specyficzną twórczość. Przez pewien czas pracował w dziale public relations firmy General Electric, dopóki nie był w stanie utrzymać się z pisarstwa. Ogromną sławę zapewniły mu powieści — m.in. „Pianola” (1952), w której maszyny przejmują kontrolę nad społeczeństwem, „Kocia kołyska” (1963), gdzie wynalezienie substancji o nazwie „lód-9” zagraża światu, oraz „Śniadanie mistrzów” (1973), gdzie pojawia się niewydarzony autor science fiction, Kilgore Trout. Vonnegut jest uznawany za jednego z największych współczesnych pisarzy amerykańskich. Zastąpił też jako pierwszy pisarz, którzy użył słowa „fuck” w tytule publikacji — opowiadaniu „The Big Space Fuck.” które ukazało się w zbiorze „Again, Dangerous Vision” (1972) pod redakcją Harlana Ellisona. Napisane dziesięć lat później dla „The Magazine of Fantasy and Science Fiction” opowiadanie „Harrison Bergeron” opisuje niezbyt odległą przyszłość Ameryki, kiedy wszyscy są wreszcie równi, a każdy, kto próbuje złamać prawo, ryzykuje, że narazi się budzącej grozę Naczelniej Wyrównywaczce, Dianie Moon Glangers i jej agentom...

* * *

Nastał rok 2081 i nareszcie wszyscy byli równi. Równi nie tylko przed Bogiem i prawem. Równi pod każdym względem. Nikt nie był już mądrzejszy od bliźniego swego. Nikt nie był przystojniejszy od bliźniego swego. Nikt nie był silniejszy ani szybszy od bliźniego swego. Powszechna równość zapanowała dzięki trzem poprawkom do konstytucji — dwieście jedenastej, dwieście dwunastej i dwieście trzynastej — oraz dzięki niezmordowanej czujności agentów Głównego Urzędu Równości Stanów Zjednoczonych.

Nadal jednak nie wszystko układało się idealnie. Kwiecień, na przykład, po staremu doprowadzał ludzi do szału tym, że właściwie nie jest jeszcze wiosną. I właśnie w pogrążonym w błocie kwietniu GUR aresztował czternastoletniego syna George’a i Hazel Bergeronów — Harrisona.

Fakt był ze wszech miar żaloszny, a jednak George i Hazel nie mieli możliwości zbytnio się nad nim zastanawiać. Hazel legitymowała się doskonale przeciętną inteligencją, co oznaczało, że potrafiła myśleć wyłącznie krótkimi zrywami, niezależnie od tematu. George natomiast, którego inteligencja znacznie przewyższała normę, nosił w uchu małe radyjko wyrównawcze. Prawo wymagało, aby nosił je stale. Radyjko nastrojone było na nadajnik rządowy. Mniej więcej co dwadzieścia sekund nadajnik ten emitował przeraźliwe odgłosy, aby powstrzymać

osobników w rodzaju George'a przed wykorzystywaniem niesprawiedliwej przewagi umysłowej.

George i Hazel oglądali telewizję. Hazel roniła łzy, ale nie pamiętała chwilowo, o co poszło.

W telewizji pokazywali balet.

W głowie George'a rozległ się brzęczyk. Myśli pierzchły w panice jak bandyci na odgłos syreny alarmowej.

— Ładnie tańczyły, naprawdę ładnie — powiedziała Hazel.

— Co takiego? — ocknął się George.

— Tańczyły. Bardzo ładnie — powtórzyła Hazel.

— No — powiedział na to George. Spróbował przez chwilę myśleć o baletnicach. Właściwie nie były takie świetne... w każdym razie nie lepsze niż dowolne inne osoby na ich miejscu. Tańczyły obciążone szarfami nadzianymi piaskiem i woreczkami śrutu, a do tego w maskach, żeby nikt z widzów, widząc swobodny i wdzięczny gest albo ładną buzię, nie poczuł się jak coś, co kot przywłókł ze śmietnika. George bawił się w myślach niesprecyzowaną opinią, że balet nie powinien, być może, podlegać polityce wyrównawczej. Nie zabrnął jednak zbyt daleko w swoich rozważaniach, bo radyjko zarzuciło jego myśli nowym kobiercem hałasu.

George się skrzywił. To samo uczyniły dwie z ośmiu baletnic.

Hazel zauważyła grymas George'a. Ponieważ sama nie była objęta wyrównaniem umysłowym, ciekawiło ją, co George usłyszał.

— Jakby ktoś walił młotkiem w butelkę od mleka — objaśnił George.

— To musi być bardzo ciekawe, słyszeć tyle różnych dźwięków — powiedziała Hazel nie bez zawiści. — Czego to ludzie nie wymyślą.

— No — powiedział George.

— Wiesz, co ja bym zrobiła, gdybym była Naczelną Wyrównywaczką? — Hazel się ożywiła. Nawiasem mówiąc, była bardzo podobna do Naczelnej Wyrównywaczki, Diany Moon Glampers. — Gdybym była Dianą Moon Glampers — ciągnęła Hazel — w niedzielę nadawałabym dzwony. Tylko dzwony. Taki ukłon w stronę religii.

— Przy dzwonach mógłbym myśleć — powiedział George.

— No to... puszczałabym je strasznie głośno. Mnie się wydaje, że byłabym dobrą Naczelną Wyrównywaczką.

— Jak każdy — powiedział George.

— A kto lepiej ode mnie wie, co jest normalne? — spytała Hazel retorycznie.

— Słusznie — zgodził się George. Zaczął nieśmiało przemyśliwać o swoim anormalnym synu, który siedzi w więzieniu — o Harrisonie — ale salwa z dwudziestu jeden dział położyła temu kres.

— O rety! — Hazel podskoczyła. — Cięższy kaliber, co? Kaliber był tak ciężki, że George pobladł jak ściana, trząsł się na całym ciele, a w przekrwionych oczach stanęły mu łzy. Dwie z ośmiu baletnic padły na podłogę studia, trzymając się za skronie.

— Jak ty źle wyglądasz — zauważyła Hazel. — Wyciągnij się na kanapie, koteczku, połóż worek wyrównawczy na poduszce. — Mówiła o dwudziestokilogramowym worku śrutu uwiązany do szyi George'a. — No, połóż się, oprzyj ten worek — zachęcała. — Mnie to nie przeszkadza, że przez chwilę nie będziemy równi.

George zważył worek w rękach.

— To mi już nie robi różnicy. Przestałem go zauważać. Jest częścią mnie.

— Taki ostatnio chodzisz zmęczony, po prostu padasz na nos — użalała się nad nim Hazel. — A gdyby tak zrobić w worku na dnie małą dziurkę i wyciągnąć kilka tych ołowianych kulek? Tylko kilka...

— Dwa lata więzienia i dwa tysiące dolarów grzywny za każdą wyjętą kulkę — wyrecytował George. — Marny interes.

— Mógłbyś przynajmniej wyjmować trochę, jak wracasz z pracy. Przecież tutaj, w domu, z nikim nie konkurujesz. Powinieneś spróbować.

— Gdyby mi się udało, wówczas innym też by się udało i w niedługim czasie cofnęlibyśmy się do wieku ciemnoty, kiedy ludzie rywalizowali z sobą na lewo, prawo i środkiem. A tego byś chyba nie chciała, co?

— Za nic w świecie — przyznała Hazel.

— No widzisz — podsumował George. — Z chwilą gdy ludzie zaczynają omijać przepisy, co się dzieje ze społeczeństwem?

Hazel nie знаła odpowiedzi, a George chwilowo nie był w stanie jej pouczyć. W jego głowie wyla syrena.

— Chyba się rozpada — powiedziała Hazel.

— Co się rozpada? — spytał George, jakby spadł z księżycy.

— Społeczeństwo. — Hazel nie była pewna. — Przecież sam mówiłeś.

— Kto to może wiedzieć — zauważył filozoficznie George. Nagle przerwano program telewizyjny, by podać nadzwyczajną wiadomość. Z początku nie bardzo było wiadomo, czego dotyczy nadzwyczajna wiadomość, ponieważ spiker — jak wszyscy spikerzy — miał poważną wadę wymowy. Przez blisko pół minuty, zdradzając oznaki silnego wzburzenia, usiłował wydukać: „Szanowni państwo...”. W końcu poddał się i przekazał kartkę baletnicy.

— Nic nie szkodzi — skomentowała Hazel wyczyn spikera. — Przynajmniej się starał. A to jest najważniejsze. Starał się zrobić jak najlepszy użytek z tego, co mu Bozia dała. Należy mu się solidna podwyżka za to, że się tak ładnie starał.

— Szanowni państwo — odczytała baletnica. Musiała być wyjątkowo piękna, bo maska, którą nosiła na twarzy, była wyjątkowo szpetna. Ponadto rzucało się w oczy, że jest to najsilniejsza i najzgrabniejsza z tancerek, gdyż takie same woreczki wyrównawcze jak ona nosili mężczyźni o wadze dziewięćdziesięciu kilogramów.

I natychmiast musiała przeprosić widownię za swój głos, bo taki głos u kobiety był czymś wybitnie niestosownym. Jej głos był ciepłą, świetlistą muzyką spoza czasu.

— Przepraszam — powiedziała i zaczęła od nowa, tym razem głosem wybitnie niekonkurencyjnym. — Harrison Bergeron, lat czternaście — skrzeczała — zbiegł właśnie z zakładu karnego, gdzie przebywał podejrzany o spisek mający na celu obalenie rządu. Harrison Bergeron jest geniuszem i arieta. Ponieważ chodzi niedorównany, należy go uważać za szczególnie niebezpiecznego dla otoczenia.

Na ekranie pojawiła się policyjna fotografia Harrisona Bergerona, najpierw do góry nogami, potem bokiem, potem znów do góry nogami, w końcu jak należy. Fotografia ukazywała całą postać Harrisona na tle miarki. Miał dokładnie dwa metry dwanaście centymetrów wzrostu.

Poza tym na urodę Harrisona składały się: maska — lampion z wydrążonej dyni i wyroby metalowe. Nikt nigdy nie nosił cięższych akcesoriów wyrównawczych. Harrison Bergeron wyrastał z obciążeń szybciej, niż GUR wymyślał nowe. Zamiast radyjka wyrównującego poziom inteligencji nosił potężne słuchawki. Na jego nosie tkwiły okulary z grubymi falistymi soczewkami. Okulary nie tylko czyniły Harrisona półślepy, ponadto gwarantowały mu mordercze bóle głowy.

Na całym ciele obwieszony był kawałkami metalu. Zazwyczaj w sprzęcie wyrównawczym wydanym osobnikom o silnej konstrukcji panowała swoista symetria, swoisty wojskowy porządek, lecz Harrison wyglądał jak chodząca kupa złomu. W wyścigu życia dźwigał na sobie sto trzydzieści kilogramów.

A żeby nie był taki przystojny, urzędnicy GUR nakazywali mu stale chodzić z czerwoną gumową piłeczką na nosie, golić brwi i osłaniać równe białe zęby czarnymi nasadkami w nieregularnych odstępach.

— Ktokolwiek spotkałby tego młodzieńca — kontynuowała baletnica — nie powinien pod żadnym pozorem — powtarzam: pod żadnym pozorem — wdawać się z nim w rozmowę.

Rozległ się piskliwy zgrzyt drzwi zdejmowanych z zawiasów.

Z odbiornika dobiegły piski i szczekliwe nawoływania.

Fotografia Harrisona Bergerona na ekranie zaczęła podskakiwać, jakby tańczyła w rytm trzęsienia ziemi. George Bergeron natychmiast zidentyfikował to trzęsienie ziemi, i nie bez kozery — nieraz bowiem jego domostwo płaśało w rytm tych samych druzgocących tonów.

— O mój Boże, to na pewno Harrison! — Refleksję tę natychmiast wyrugował mu z głowy odgłos kraksy samochodowej, nadany usłudze przez radyjko wyrównawcze.

Kiedy George zdołał ponownie otworzyć oczy, fotografii Harrisona już nie było. Ekran zapelniał żywy Harrison, z krwi i kości.

Brzęczący żelastwem, błazeński i ogromny, stał na samym środku studia. Nadal dzierzył w dłoni klamkę wyrwanych z korzeniami drzwi. Baletnice, technicy, orkiestra i spikerzy czołgali się na kolanach u jego stóp, pewni rychłej śmierci.

— Jestem Imperatorem! — zawołał Harrison. — Czy mnie słyszycie? Jestem Imperatorem! Wszyscy muszą spełniać moje rozkazy!

Tupnął nogą, a studio zadrzało w posadach.

— Nawet w tej postaci — grzmiał Harrison — okaleczony, spętany, osłabiony, jestem najpotężniejszym władcą, jaki kiedykolwiek urodził się na ziemi! Patrzcie, jak stoję się tym, kim jestem naprawdę!

Zerwał paski plombujące sprzęt wyrównawczy, jakby to była rozmiękła bibuła. Zerwał plomby zdolne, według gwarancji, wytrzymać nacisk dwóch i pół tony.

Całe żelastwo wyrównawcze opadło z niego na ziemię.

Wetknął kciuk pod sztabę klamry zabezpieczającej urządzenia wyrównawcze, które nosił na głowie. Sztaba pękła jak łodyga selera naciowego. Harrison roztrzaskał słuchawki i okulary o ścianę.

Na koniec ściągnął z nosa gumową piłkę i zademonstrował oczom widowni mężczyznę, wobec którego nawet bóg burzy Thor poczułby się jak gnojek.

— A teraz wybiorę sobie Imperatorową! — obwieścił, patrząc pod nogi na kulące się tam postacie. — Niechaj pierwsza kobieta, która ośmieli się wstać, sama sięgnie po swego towarzysza i tron.

Po chwili jedna z baletnic wstała, gnąc się jak wierzbowy witek.

Harrison wyluskał z jej ucha wyrównywacz intelektu i z czarodziejską delikatnością pozbawił dziewczynę reszty wyrównawczy fizycznych. Na koniec uwolnił jej twarz od maski.

Dziewczyna była olśniewająco piękna. Harrison wziął ją za rękę.

— Może unaocznimy pospólstwu znaczenie słowa „taniec”? Muzyka! — rozkazał.

Orkiestra wgramoliła się na miejsca, a Harrison wszystkich muzyków po kolei też oswobodził z akcesoriów wyrównawczych.

— Grajcie najlepiej, jak umiecie — nakazał im — a uczynię was baronami, księżętami i hrabiami.

Zabrzmiała muzyka. Z początku normalna — tania, głupawa, fałszowana. Ale Harrison wyrwał dwóch grajków z krzesel i potrząsając nimi jak grzechotkami, zanucił im, jak ma brzmieć muzyka, której sobie życzy. Po czym z rozmachem wcisnął obu na miejsca.

Muzyka zabrzmiała po raz wtóry — znacznie lepsza.

Harrison i jego Imperatorową przez chwilę tylko słuchali z chmurną powagą, jakby synchronizowali bicie własnych serc z rytmem melodii.

Unieśli się na palce.

Harrison oparł wielkie dłonie na filigranowej talii dziewczyny, dając jej przedsmak nieważkości, której niebawem miała zaznać.

A potem, w eksplozji radości i gracji, poszybowali w górę!

Łamali nie tylko prawo obowiązujące w państwie, lecz także prawo ciężenia i wszystkie inne prawa rządzące ruchem.

Obracali się, okręcali, kołowali, wirowali, fikali koziołki, kręcili salta i śruby.

Wyskakiwali w górę jak kozice na księżycu.

Sufit studia znajdował się na wysokości dziewięćdziesięciu metrów, a tancerze z każdym kolejnym krokiem zbliżali się do niego.

Nie ulegało wątpliwości, że ich intencją jest ucałować sufit.

Ucałowali go.

Potem zaś, neutralizując siłę ciężenia siłą młodości i woli, trwali zawieszeni w powietrzu tuż pod sufitem i całowali się bardzo, bardzo długo.

Właśnie wtedy Diana Moon Glampers, Naczelna Wyrównywaczka, wkroczyła do studia z dubeltówką kalibru dziesięć. Oddała dwa strzały. Imperator i Imperatorowa zginęli, nim opadli na ziemię.

Diana Moon Glampers ponownie załadowała broń. Wycelowwała w orkiestrę, informując muzyków, że mają dziesięć sekund na założenie sprzętu wyrównawczego.

W tej samej chwili u Bergeronów przepalił się kineskop.

Hazel odwróciła się do George'a, żeby skomentować awarię telewizora. George wyszedł jednak do kuchni po puszkę piwa.

Wrócił z piwem, przystanął na chwilę, żeby przeczekać wstrząs sygnału wyrównawczego, a potem usiadł.

— Płakałaś? — zagadnął żonę. — Uhm.

— A co się stało?

— Już nie pamiętam. W telewizji pokazywali coś bardzo smutnego.

— Co?

— Wszystko mi się pomieszało — wyznała Hazel.

— Nie warto pamiętać smutnych rzeczy. — Ja nigdy nie pamiętam.

— Zuch dziewczyna — pochwalił George. Skręcił się z bólu. W jego głowie ktoś pruł serią z automatu.

— O rety, chyba tym razem to ciężki kaliber — powiedziała Hazel.

— Delikatnie mówiąc — dodał George.

— O rety. Zaraz poznałam, że to ciężki kaliber.

przełożyła Jolanta Kozak

OD FOLKLORU DO HORRORU

Piers Anthony, twórca obdarzonych nadzwyczajnymi możliwościami postaci noszących imiona Sos, Neq i Veg, autor opowiadań o różnorodnej tematyce: od przygód dentysty porwanego przez pozaziemskie istoty i zmuszonego do praktykowania swojej sztuki na najróżniejszych straszliwych zębiskach należących do kosmitów („Prostko Plus” 1971), po fantastykę pornograficzną „Pornocopia” 1989), cieszy się wśród amerykańskich miłośników humorystycznej fantastyki równą popularnością jak Terry Pratchett w Wielkiej Brytanii.

Piers Anthony również urodził się w Anglii, ale w 1958 roku przyjął amerykańskie obywatelstwo i od tamtej pory mieszka w Stanach Zjednoczonych. Płodny, obdarzony wyobraźnią oraz poczuciem humoru oscylującym między niepokojącą a poetycką nutą autor stworzył szereg cykli powieściowych, w tym „Incarnations of Immortality”, „Apprentice Adept” oraz najśłynniejszy ze wszystkich „Xanth”. Powieści z tego ostatniego cyklu, takie jak „Przesmyk Centaura” (1982), „Smok na piedestale” (1983) i „Dom Kopaczy” (1987) zaskarbiły mu rzeszę wielbicieli na całym świecie i podobnie jak cykl opowieści ze Świata Dysku obrosły wieloma dodatkowymi gadżetami, takimi jak „Piers Anthony’s Visual Guide to Xanth” (1989) — ilustrowany przewodnik po świecie Xanthu. I podobnie jak w wypadku tamtej serii, każda nowo wydana pozycja trafiła od razu na szczyty amerykańskich list bestsellerów, co miało swój udział w awansie fantastyki komicznej do rangi jednej z najpopularniejszych form literackich i zachęciło całe pokolenie pisarzy do zainteresowania się tym gatunkiem. Bogate pokłady humoru Anthony’ego wciąż wydają się dalekie od wyczerpania.

Piers Anthony, właśc. Piers Anthony Dillingham Jacob (ur. 1934 w Oksfordzie), kształcił się w Stanach Zjednoczonych, a później pracował przez pewien czas dla firmy telekomunikacyjnej jako autor dokumentacji technicznej. W 1968 roku powieścią „Sos Sznur” zdobył nagrodę w wysokości 5 tys. dolarów, co w połączeniu z zachętą ze strony Arthura C. Ciarkę a zainspirowało go do poświęcenia się całkowicie karierze pisarskiej. W ostatnich latach pisał niemal wyłącznie powieści, ale opowiadanie „Od folkloru do horroru”, opublikowane po raz pierwszy w 1963 roku w magazynie „Fantastic”, dobrze oddaje styl jego humorystycznej fantastyki, a przedstawiona w nim historia małego chłopca, marzącego o posiadaniu tej najwyżej cenionej istoty latającej — pegaza — zgrabnie podsumowuje pierwszą część niniejszego po zbioru.

* * *

— Tato, chcę pegaza! — powitał go w drzwiach synek. Jego kędzierzawa jasna czuprynka podskakiwała z przejęciem. — Małego, z białymi trzepoczącymi skrzydłami, aerodynamicznym ogonem i...

— Będiesz go miał, synku — powiedział ojciec ciepło, machinalnie pozbywając się marynarki i krawata. W następnym tygodniu przypadały szóste urodziny Bradleya Newtona juniora i tata Bradley obiecał подарować mu książkę „Mam sześć lat” oraz zwierzątko całkiem na własność. Newton był człowiekiem zamożnym, więc nie były to czcze obietnice. Uważał, że jest to chłopcu winien, że będzie to dla niego jakąś pociechą po przedwczesnej śmierci matki.

Zagłębił się w miękkim fotelu, czując nie do końca uświadomione zadowolenie, że jego syn przejawia tak bujną wyobraźnię. Inne dziecko zażądałoby czegoś banalnego, psiaka lub kucyka. A tu pegaz, no proszę...

— Masz na myśli skrzydlatego konia, synku?

— Zgadza się, tatusiu — przytaknął chłopiec pogodnie. — Ale będzie musiał być bardzo mały, bo chcę, żeby latał naprawdę. Skrzydła dorosłego zwierzęcia nie nadają się do latania, bo ich proporcjonalna rozpiętość jest niewystarczająca, aby mogło unieść się z ziemi.

— Rozumiem — przerwał mu Newton. — Małego pegaza. — Śmiano się z niego, kiedy się uparł, żeby niania jego synka miała dyplom z podstaw nauk przyrodniczych. Na szczęście udało mu się ściągnąć odpowiednią siłę fachową z kuratorium za całkiem nieduże pieniądze. W tej chwili żałował, że akurat miała wolny dzień. Chłopiec potrafił wierceć dziurę w brzuchu. — Słuchaj — powiedział, aby zyskać na czasie. — Nie jestem pewien, gdzie można dostać takiego konika. No i musiałbyś wiedzieć, jak go karmić i troszczyć się o niego, inaczej mógłby zachorować i umrzeć. Nie chciałabyś chyba, żeby coś takiego się przydarzyło, prawda? Chłopiec się zamyślił.

— Masz rację, tato — powiedział po chwili. — Najrozsądniej będzie go poszukać.

— Poszukać?

— W encyklopedii, tato. Czy nie mówiłeś mi zawsze, że jest to wiarygodne źródło informacji?

Newtona oświeciło. Jego syn wierzył encyklopedii!

— Tak, tak, to moje własne słowa. Poszukajmy i zobaczymy, co na ten temat piszą... Zaraz... Tu mamy tom od „Opinii” do „Praktyki”... Powinno być tutaj. Tak. — Newton znalazł hasło i odczytał je na głos: — „Pegaz, skrzydlaty koń zrodzony z krwi Meduzy, kiedy Perseusz odciął jej głowę”.

* * *

Chłopczyk rozdziawił buzię.

— To musi być przenośnia — powiedział zdecydowanie. — Konie nie powstają z...

— „...istota występująca w greckiej mitologii” — zakończył Newton triumfalnym tonem.

Chłopiec rozważał to przez chwilę.

— To znaczy, że on nie istnieje? — spytał zniechęcony. Nagle znów się rozjaśnił. — Tato, czy jeśli poproszę o stworzenie, które istnieje, to będę mógł je dostać?

— Oczywiście, synku. Odszukamy je w encyklopedii i jeśli tu jest napisane, że istnieje naprawdę, to pójdziemy i je kupimy. To chyba uczciwe postawienie sprawy.

— Jednorożec — powiedział chłopiec.

Newton z trudem powstrzymał uśmiech. Sięgnął po tom od „Intrygi” do „Kłopotu” i zaczął przerzucać strony.

— „Jednorożec — zaczął — mityczna istota przypominająca konia”...

Chłopiec przyjrzał mu się podejrzliwie.

— W przyszłym roku idę do szkoły i nauczę się czytać sam — mruknął. — Chcesz powiedzieć, że nie ma takiego zwierzęcia?

— Tak jest tu napisane, synku. Słowo.

Chłopiec nie wyglądał na przekonanego, ale postanowił nie stawiać sprawy na ostrzu noża.

— Dobra, spróbujmy z zebrawą. — Przyglądał się, jak Newton wyciąga tom od hasła „Wahanie” do skorowidzu. — Chciałem cię tylko uprzedzić — powiedział ostrzegawczym tonem — że na ostatniej stronie mojej książeczki z abecadłem jest obrazek tego zwierzęcia.

— Przeczytam ci dokładnie, co tu jest napisane. O, jest. „Zebra, pasiaste zwierzę przypominające konia, które rzekomo żyło kiedyś w Afryce. Często występuje w europejskich i amerykańskich legendach, chociaż jest całkowicie fikcyjne”...

— Teraz to już zmyślasz — przerwał mu chłopiec ze złością. — Mam obrazek.

— Ależ synku, sam myślałem, że ona istnieje naprawdę. Wprawdzie nigdy nie widziałem zebry, ale sądziłem... Poczekaj. Masz też obrazek ducha, prawda? A mimo to wiesz, że duchy nie istnieją.

Chłopiec wojowniczo wysunął dolną szczękę.

— To nie są analogiczne przykłady. Duchy to istoty nadprzyrodzone.

— Może byśmy spróbowali z innym zwierzęciem? — uciał Newton. — Do zebry możemy wrócić później.

— Muł — rzekł chłopiec posepnym tonem.

Newton poczerwieniał, ale po chwili uświadomił sobie, że nie była to uwaga osobista. W milczeniu sięgnął po tom od „Morfiny” do „Opium”. Był nieco wytrącony z równowagi. Pomyśleć, że całe życie wierzył w istnienie zwierzaka, którego nie ma. Ale to oczywiście głupota — koń w więziennym pasiaku...

— „Muł” — przeczytał. — „Potomek klaczy i samca osła. Krzyżówka odznaczająca się dużymi rozmiarami, siłą fizyczną, pewnym krokiem i niepospolitą inteligencją. Wytwór wyobraźni ludowej, podobnie jak jednorożec i zebra, powszechnie uważany przez łatwowiernych za zwierzę istniejące naprawdę”.

Synek zerknął na niego.

— Koń — zadysponował.

Newton z pewną obawą otworzył tom od „Kaprysu” do „Legendy”. Cieszył się, że sam nie należy do łatwowiernych.

— Proszę bardzo, synku. „Koń, legendarne zwierzę kopytne, popularne w mitologii. Niezwykle szybka czworonożna istota, obdarzona powiewną grzywą, bujnym ogonem i życzliwym usposobieniem. Metalowe końskie podkowy były cenione jako amulety przynoszące szczęście, podobnie jak róg jednorożca”...

* * *

Mały nachmurzył się niebezpiecznie.

— Chwileczkę, synku — wykrztusił Newton. — Wiem, że to nieprawda. Widziałem konie na własne oczy w telewizyjnych westernach. Czekaj, już ja cię przekonam. Zadzwoń na tor wyścigowy. Kiedyś grywałem... to jest, chciałem powiedzieć, kiedyś tam chodziłem, żeby popatrzeć na konie. Może pozwolą nam zwiedzić stajnie. — Newton drżącym palcem wybrał numer i wdał się w rozmowę przez telefon. Po krótkiej nerwowej wymianie zdań trzasnął słuchawką. — Teraz rządzą tam wyścigi psów.

Zaczął gorączkowo przerzucać żółte strony książki telefonicznej, nie chcąc dopuścić rozsądku do głosu. Książka wyzywająco przeskoczyła od hasła „Komunalny” do „Korty”. Newton postukał w widełki, żądając od telefonistki numeru najbliższej stadniny koni, po czym ze złością wybrał zero. Po krótkim zamieszaniu okazało się, że rozmawia ze spółką „Koń mechaniczny”, zajmującą się sprzedażą traktorów.

Mały obserwował te poczynania z głębokim niesmakiem.

— „Sądzę, że dama ta zbyt wiele przyrzeka”* — wyrecytował słodkim głosem.

Zdesperowany Newton zadzwonił do sąsiada.

— Sam, nie znasz tu w okolicy kogoś, kto miałby konia? Obiecałem synkowi, że mu dzisiaj pokażę tego zwierzaka...

W odpowiedzi w słuchawce rozległ się śmiech Sama.

— Niezły z ciebie jajcarz, Brad. Konia, a to dobre! Wciskasz też może dzieciakowi, że wróżki istnieją naprawdę?

* William Szekspir, „Hamlet”, przeł. Maciej Słomczyński.

Newton niechętnie przyznał się do porażki.

— Wygląda na to, że nie miałem racji z tymi koźmi, synku — powiedział zakłopotany. — Mógłbym przysiąc... mniejsza o to. To tylko dowodzi, że człowiek nigdy nie jest za stary, żeby popełnić błąd. Cóż, może byś sobie wybrał jakieś inne zwierzątko? I wiesz co? Obiecuję ci, że cokolwiek wybierzesz, dostaniesz parkę.

Chłopczyk rozchmurzył się nieco, natychmiast spostrzegając czysty zysk.

— To może ptaka?

Newton uśmiechnął się z ulgą.

— Świetny pomysł, synku, naprawdę świetny. Jakiego ptaszka masz na myśli?

— Hm — mruknął chłopiec z namysłem. — Chciałbym dużego. Naprawdę dużego, na przykład harpię albo może roka...

Newton sięgnął po tom od „Folkloru” do „Horroru”.

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

2

ZJAWY MROŻĄCE KREW W ŻYŁACH

Fantastyka z dreszczykiem

WŁAŚCIWA STRONA

„Saturday Review of Literature” nazwał go kiedyś „kolekcjonerem demonów, znawcą dżinów i starym, znajomym samego diabła” John Collier lepiej niż ktokolwiek inny wprowadzi czytelników w dział fantastki humorystycznej poświęcony zjawiskom nadprzyrodzonym. Jego powieści i opowiadania słyną z najróżniejszych niezwykle postaci, od przeziębionego diabła po cudowną papugę, od anioła zakochanego w młodym studentce architektury po kolonię upiornych istot zamieszkujących dom towarowy. Czołowy amerykański krytyk Clifton Hadiman nazwał go „mistrzem perwersyjnego nonsensu, bezcennego w swojej doskonałości”

John Collier (1901–80) urodził się w Anglii, a większość życia spędził w Ameryce. W swoim czasie był jednym z wiodących hollywoodzkich scenarzystów, którego talent przyczynił się do sukcesu takich epokowych dzieł jak „Afrykańska królowa” z Humphreym Bogartem i Katharine Hepburn czy filmu „Jestem kamerą” nakręconego na podstawie słynnej książki Christophera Isherwooda. Collier był gorącym wielbicielem P. G. Wodehousea, co potwierdza jego opowiadanie „Saurrels Have Bright Eyes” w którym pojawia się czarny charakter; niejaki „odrażający Fenshaw–Fanshaw” nieustraszona amazonka, która potrafi krzyknąć: „Świat nie będzie sobie robić lubieżnych, ordynarnych kpin z dziewczyny, która żyje w czystości ze swoim lee–enfieldem, swoim ballardem i swoim lekkim winchesterem!” oraz młody nieudacznik, przez cały dzień tkwiący bez — mchu na ścianie i udający wypchane myśliwskie trofeum! Powieść Colliera „His Monkey Wife” została zaliczona do klasyki literatury fantastycznej, ale krótkie opowiadania zjednują mu najwięcej wielbicieli, i naśladowców. „Właściwa strona” porusza odwieczny temat układów z diabłem, obecny oczywiście od stuleci w ludowych podaniach, ale pełna humoru wyobraźnia Johna Colliera nadaje mu jedyny w swoim rodzaju i zarazem niezwykle zabawny charakter.

* * *

Młody człowiek, niezwykle blady, wyszedł na środek mostu Westminsterkiego i wdrapał się na balustradę. Śniady mężczyzna, starszy od niego o dobrych parę lat, ubrany w strój wizytowy, którego dopełniały pelerynka a la Sherlock Holmes, ciemnoczerwony goździk, monokl i kozia bródka, wyrósł przy nim jak spod ziemi i chwycił go za kostkę u nogi.

— Niech pan mnie puści, u diabła! — wymamrotał niedoszły samobójca, usiłując wyszarpnąć nogę.

— Proszę zejść i iść obok mnie — rzekł nieznajomy. — Inaczej tamten policjant, który zrobił już kilka kroków w naszą stronę, zaraz pana zwinie. Udawajmy, że jesteśmy przyjaciółmi na spacerze. Pan chciał zaznać mocnych wrażeń, a ja się obawiałem, żeby pan nie zleciał.

Młody człowiek, któremu tak pilno było się znaleźć w Tamizie, zdecydowanie nie miał ochoty na pobyt w więzieniu, więc posłusznie dostosował krok do nieznajomego.

— Czy nie mógłby pan, do stu piorunów — powiedział z uśmiechem, gdyż właśnie mijali policjanta — zająć się własnym sprawami?

— Drogi Philipie Westwick, uważam pana za jak najbardziej swoją sprawę.

— Kim pan jest?! — krzyknął młody człowiek niecierpliwie. — I skąd pan zna moje nazwisko?

— Przyszło mi do głowy jakąś godzinę temu, kiedy w pańskiej głowie zaczęła się formować ta pochopna decyzja.

— Nie wiem, jak to możliwe — burknął młodzieniec. — I nie obchodzi mnie to.

— Was, zakochanych, nic nie jest w stanie zdziwić z wyjątkiem dwóch sytuacji. Pierwsza, że wybranka obdarzyła was uczuciem, i druga, że obdarzyła uczuciem kogoś innego.

— Skąd pan wie, że to było powodem?! — krzyknął nieszczęsny Philip.

— Wiem i to, i wiele innych rzeczy, równie absurdalnych. Przypomnę panu, że nie dalej jak miesiąc temu, gdy był pan, we własnym mniemaniu, w siódmym niebie, znajdując się, gwoli ścisłości, w ramionach Millicent, spostrzegł pan, że linia jej karku jest nieco nudnawa, i zapragnął pewnej drobnej czarnulki z herbaciarni przy Bond Street. A dzisiaj jest pan na progu samobójstwa, bo Millicent pana rzuciła, chociaż tamta czarnulka, o ile mi wiadomo, nadal podaje herbatę przy Bond Street. I co pan na to?

— Najwyraźniej nie jest pan świadom — powiedział Philip — że to, czego pragnie mężczyzna, kiedy znajduje się w ramionach ukochanej, a to, czego pragnie, gdy w jej ramionach znajduje się ktoś inny, to dwie zgoła różne sprawy. Z tym zastrzeżeniem przyznaję, że jest pan diabelnie dobrze poinformowany.

— To najzupełniej naturalne — odparł jego towarzysz z pełnym samozadowolenia uśmiechem, co natychmiast uświadomiło Philipowi, że ma do czynienia z diabłem we własnej osobie.

— Czego pan chce? — zapytał, odsuwając się nieco.

Diabeł poczęstował go papierosem.

— Mam nadzieję, że nie jest czymś doprawiony? — zaniepokoił się Philip.

— Niech pan da spokój! — prychnął diabeł. — Nie sądzi pan chyba, że muszę uciekać się do takich środków, żeby pana pozyskać? Moim sprzymierzeńcem jest logika.

— Pańska logika, jak powiadają, ma określone konsekwencje. Ja nie mam ochoty na wieczne potępienie.

— Czego pan zatem oczekiwał, kiedy planował pan samobójstwo?

— Nie widzę w tym nic złego — oświadczył nasz bohater.

— Szczeniak też nie widzi nic złego w tym, że niszczy kapeć swojego pana — zauważył diabeł. — A jednak zostaje ukarany.

— Nie wierzę w to — upierał się Philip.

— Wobec tego niech pan pozwoli ze mną — powiedział diabeł, po czym zaprowadził go do pobliskiego wesołego miasteczka przy Tottenham Court Road. Tutaj garść typów spod najciemniejszej gwiazdy zabawiała się grami hazardowymi, inni patrzyli przez stereoskopowe okulary na sceny z nocnego życia Paryża. Pozostali zajmowali się kieszonkowymi kradzieżami i umizgali się do stałych bywalczyń tego miejsca, klnąc i folgując językowi na wszelkie brudne sposoby.

Diabeł spoglądał na to wszystko jak człowiek, który przed chwilą przechadzał się po polu wśród maków i dzikich słoneczników, a teraz patrzy na pięknie utrzymane rośliny rosnące w jego przydomowym ogródku. Portier dotknął czapki gestem, jakim zwykli to czynić ogrodnicy. Diabeł odpowiedział na pozdrowienie, wyjmując własny klucz i prowadząc Philipa w stronę małych drzwi w murze. Po ich otwarciu ukazała się mała prywatna winda.

Wsiedli do środka i zjeżdżali przez kilka minut w dół z niewiarygodną szybkością.

— Mój drogi diabie — powiedział Philip, zaciągając się papierosem, który był, gwoli ścisłości, „podrasowany” i sprawił, że nasz bohater poczuł się ważną osobistością — jeśli będziemy się dalej poruszać w tym tempie, wkrótce wylądujemy na dnie piekła.

Trudno było o bardziej adekwatne określenie. Winda się zatrzymała i wysiedli. Znajdowali się w ogromnym holu, który przypominał foyer ogromnego teatru czy kina. Znajdowało się tam kilka kas, przed którymi widniały ceny za bilet wstępu: Pierwsze miejsca — obżarstwo, łoża — rozpusta, balkon na pierwszym piętrze — pycha, galeria — lenistwo i tak dalej. Był tam też bar, gdzie kilka diabłów w uniformach gawędziło z barmankami, wśród których nasz osłupiały przyjaciel rozpoznał drobną czarnulkę z Bond Street.

Od czasu do czasu drzwi do ogromnej sali się otwierały i było widać, że akcja trwającego właśnie spektaklu czy też filmu jest bardzo wartka.

— Tam dalej jest sala taneczna, którą szczególnie chciałbym panu pokazać — powiedział diabeł.

Otworzono przed nimi drzwi i znaleźli się w dość sporym pomieszczeniu, stylizowanym na grootę, z paprociami oraz imitacją skały. Powietrze było tu chłodne i wilgotne. Zespół muzyczny grał trawestację Scarlattiego. Trochę osób tańczyło, poruszając się dość niemrawo. Philip zauważył, że wielu tańczących było obrzydliwie opastych.

Diabeł podprowadził go do smukłej bladej dziewczyny, wymamrotał kilka słów i Philip, nie widząc, co innego miałby zrobić, skłonił się, podał jej ramię i zaczęli krążyć po parkiecie.

Dziewczyna tańczyła ospale, a jej ciężkie powieki przez cały czas były opuszczone. Philip zrobił kilka zdawkowych uwag.

— Często pani tutaj przychodzi? — zapytał. Dziewczyna uśmiechnęła się blado, ale nie odpowiedziała. Ubodło go nieco, że wciąż była tak bierna (poza tym wypalił jednego z diabelskich papierosów).

— Pani dłoń jest taka zimna! — Niewątpliwie była bardzo zimna. Philip pokierował swoją obojętną partnerkę w stronę odległego końca sali, gdzie objął ją w pasie znacznie mocniej, niż tego wymagał taniec. Poczuł, jak wilgotny chłód przenika rękaw jego marynarki, a w powietrzu dał się wyczuć słaby, ale wyraźny zapach rzeczno-mułowy. Przyjrzał się bliżej dziewczynie i dostrzegł w jej oczach jakiś wyjątkowy perłowy ton. — Nie dosłyszałem pani imienia — powiedział.

Jego partnerka ledwie poruszyła bezbarwnymi wargami.

— Ofelia.

— Pani wybacz — bąknął Philip.

W jednej chwili znalazł się z powrotem przy diable.

— I cóż? — zapytał ów tonem pewnej wyższości. — Nadal wątpi pan w to, że topielcy na własne życzenie są potępieni na wieki?

Philip zmuszony był przyznać mu rację.

— Nie wyobraża pan sobie nawet, jak bardzo znudzona jest ta biedna dziewczyna. — Diabeł westchnął ze współczuciem. — A przebywa tu zaledwie od kilkuset lat. Cóż to jest wobec wieczności?

— Bardzo niewiele. Doprawdy bardzo niewiele — przytaknął Philip.

— Zauważył pan, jacy partnerzy jej przypadają — ciągnął arcydiabeł. — Podczas każdego tańca wychodzi na jaw — zarówno z ich strony, jak i z jej — pewien drobny niemiły fakt, który tak pana zbulwersował.

— Ale dlaczego są na sali tanecznej? — zapytał Philip.

— Dlaczego nie? — Diabeł wzruszył ramionami. — Jeszcze papierosa?

Zaproponował, żeby przeszli teraz do jego biura, aby omówić dalsze kwestie.

— A więc, drogi panie Westwick — zaczął, kiedy usadowili się już wygodnie w fotelach — co postanawiamy? Mogę oczywiście anulować wszystko, co się wydarzyło. W takim wypadku znajdzie się pan z powrotem na balustradzie, w trakcie skoku, czyli dokładnie w tym momencie, kiedy chwyciłem pana za nogę. Niedługo potem pojawi się pan na małej sali tanecznej, którą pan widział: gruby lub chudy, w zależności od kaprysu wód.

— Jest noc — powiedział Philip. — Rzeka płynie z prędkością sześciu kilometrów na godzinę. Przypuszczalnie dotarłbym do morza niezauważony. Tak, niemal na pewno byłbym jednym z tych opastych typów. Odniosłem wrażenie, że cierpią na wyjątkowy niedobór „tego czegoś”, w skrócie s.a., jeśli ta terminologia nie jest panu obca.

— Słyszałem coś niecoś — rzekł diabeł z uśmiechem. — Proszę się poczęstować cygarem.

— Nie, dziękuję. Jaka alternatywę pan sugeruje?

— Tu jest nasza standardowa umowa. Niech pan weźmie cygaro. Widzi pan: nieograniczone bogactwo, pięćdziesiąt lat, Helena Trojańska... nie, to stara wersja... Powiedzmy, panna... — tu wymienił nazwisko zachwycającej gwiazdy filmowej.

— Oczywiście jest tu ta mała klauzula o zawładnięciu moją duszą... Czy to niezbędne?

— Cóż, to standardowa sprawa. Niech tak lepiej zostanie. Tutaj proszę podpisać.

— Hm, no nie wiem... Myślę, że nie podpiszę.

— Co takiego?! — wykrzyknął diabeł.

Nasz bohater wydał wargi.

— Nie chciałbym wywierać wpływu na pańską decyzję, drogi panie Westwick — powiedział diabeł — ale czy zdaje pan sobie sprawę z różnicy między pojawieniem się tu w dniu jutrzejszym w charakterze topielca samobójcy a przybyciem tu po pięćdziesięciu wspaniałych latach w charakterze członka personelu? Takiego jak ci, których pan widział w barze, rozmawiających z tamtą czarnulką? Niebrzydka dziewczyna!

— Mimo wszystko tego nie podpiszę — zdecydował Philip. — Ale bardzo dziękuję za propozycję.

— Dobra, w takim razie niech pan wraca, skąd przyszedł!

Philip poczuł nagły pęd. Wydawało mu się, że wystrzelił w górę jak rakieta. Zachował jednak zarówno przytomność umysłu, jak i równowagę ciała i kiedy znalazł się na balustradzie, skoczył wprawdzie w dół, ale na właściwą stronę.

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

WREDNY

Podczas gdy w historiach opowiadanych przez Johna Colliera ludzie odnoszą zazwyczaj zwycięstwo nad siłami nieczystymi, rzecz ma się odwrotnie u Fredrica Browna, którego superkrótkie opowiadania, obfitujące w słowne gagi i nieoczekiwane, jadowite puenty, to prawdziwe perły fantastyki komicznej. W jednej z nich pospolity oszust, obdarzony mocą urzeczywistniania wszystkiego, cokolwiek wypowie, pada ofiarą własnego ulubionego powiedzonka, w innym mężczyzna zakochany w syrenie, którego Tryton podejmuje się przeobrazić, odkrywa, że istotna część jego ciała zniknęła po transformacji. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku Brown był niekwestionowanym mistrzem tej formy literackiej, a słowo „Geezenstacks” którym nazwał pewną formę demonicznego życia, weszło na stałe do słownika fantastyki komicznej.

Fredric Brown (1906 –72) pracował jako dziennikarz w Milwaukee i Nowym Jorku, nim spróbował swoich sił w fantasy i science fiction, tworząc krótkie opowiadania, wśród których „Zwariowana planeta” (1946) stanowi wczesny przykład jednego z komicznie nieprawdopodobnych światów, dziś tak popularnych dzięki Therry’emu Pratchettowi i jego współczesnym. Kiedy najlepsze opowiadania Browna zostały zebrane w tomie „Nightmares and Geezenstacks” (1961), jeszcze bardziej uwidocznił się jego talent do tworzenia na wskroś oryginalnych fabuł (czasem liczących zaledwie kilkaset słów), gdzie zawsze autorowi udaje się zachować najistotniejszą informację na koniec — kiedy to niespodziewany zwrot akcji nieodmiennie zaskakuje i bawi czytelników. Brown jako jeden z pierwszych twórców fantastyki wprowadził do swoich utworów erotykę, czego przykładem jest opowiadanie „Wredny” w którym starzejący się uwodziciel, Walter Beauregard, za pomocą czarnej magii wywołuje demona i każe mu podreperować swą nadwątloną witalność. Jak zawsze, nasz autor ma w zanadrzu niespodziankę dla starego rozpustnika.

* * *

Walter Beauregard był spełnionym, entuzjastycznym rozpustnikiem przez prawie półwiecze. Teraz, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, stanął przed groźbą utraty kwalifikacji zapewniających mu miejsce w lidze lubieżników. Stanął przed groźbą? Nazwijmy rzecz po imieniu: on te kwalifikacje utracił. Od trzech lat peregrynował od lekarza do lekarza, od znachora do znachora, próbował jednego panaceum po drugim. Bez skutku.

W końcu przypomniał sobie książki o magii i nekromancji. Takie książki z upodobaniem czytywał i kolekcjonował, jako część swoich obszernych zbiorów bibliotecznych, ale nigdy nie traktował ich poważnie. Aż do tej chwili. Cóż miał do stracenia?

W lekko zbutwiałym, zalatującym siłą nieczystą, ale bardzo cennym białym kuku znalazł to, czego potrzebował. Zgodnie z instrukcją narysował pentagram, przerysował kabalistyczne znaki, zapalił świecę i na głos odczytał zaklęcie.

Błysnęło, zadymiło i pojawił się demon. Nie będę go opisywać, poprzestaną jedynie na zapewnieniu, że by się wam nie spodobał.

— Jak się nazywasz? — zapytał Beauregard. Starł się mówić spokojnie, ale głos mu lekko drżał.

Demon wydał dźwięk pomiędzy świstem a krzykiem grozy, z domieszką nuty, jaką można by wydobyć z basetli za pomocą piły.

— I tak nie będziesz w stanie tego wymówić — dodał. — Na twój bezbarwny język tłumaczy się jako „Wredny”. Zwracaj się do mnie w ten sposób. Chcesz tego co wszyscy, jak przypuszczam?

— To znaczy?

— Spełnienia życzenia, oczywiście. Mogę to załatwić. Ale nie trzech, gadki o trzech życzeniach to zwykle przesady. Jedno to wszystko, co możesz dostać. I nie będziesz zachwycony.

— Jedno życzenie mi wystarczy, niczego więcej nie pragnę. I nie rozumiem, jak mógłbym nie być zachwycony.

— To zrozumiesz. Dobra, twoje życzenie. A tu jest na nie odpowiedź. — Wredny sięgnął w próżnię, jego dłoń znikła, a po chwili pojawiła się znowu, trzymając parę połyskujących srebrzyście kąpielówek. Demon podał je Beauregardowi. — Noś je na zdrowie — powiedział.

— Co to takiego?

— Nie widać? Kąpielówki. Ale nie są to zwyczajne kąpielówki. Materiał pochodzi z przyszłości, odległej od dzisiejszego dnia o kilka tysięcy lat. Jest niezniszczalny, te spodenki nigdy się nie przetną, nie podrażą, nie przedziurawią. Dobra robota. Ale zakłęcie na tych kąpielówkach jest stare jak świat. Przymierz i przekonaj się sam.

Demon znikł.

Walter Beauregard rozebrał się szybko i włożył piękne srebrne kąpielówki. Natychmiast poczuł się wspaniale. Męskość przeniknęła go na wskroś. Czuł się, jakby znów był młody, dopiero na progu swojej kariery uwodziciela.

Co prędzej narzucił szlafrok i wsunął stopy w pantofle. (Czy wspominałem już, że był bogatym człowiekiem, a jego apartament znajdował się na najwyższym piętrze najelegantszego hotelu w Adantic City? No więc tak było). Beauregard zjechał na dół swoją prywatną windą i wyszedł nad luksusowy hotelowy basen. Jak zwykle zabójcze ślicznotki w bikini prezentowały tu swoje wdzięki pod pretekstem opalania, a w rzeczywistości czekały na propozycje ze strony bogatych mężczyzn takich jak on.

Beauregard zastanawiał się przez chwilę nad wyborem. Ale niezbyt długą chwilę.

Dwie godziny później, wciąż ubrany we wspaniałe, czarodziejskie kąpielówki, siedział na brzegu swojego łóżka i wpatrywał się, wdychając, w piękną blondynkę wyciągniętą obok niego. Dziewczyna nie miała na sobie bikini i spała w najlepsze.

Wredny miał całkowitą rację. I bardzo dobrze dobrane imię. Czarodziejskie kąpielówki, niezniszczalne i nie do zdarcia, działały bezbłędnie. Ale kiedy Beauregard je zdjął, czy choćby tylko zsunął...

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

DUSZA CZŁOWIEK

Duchy i nawiedzone domy są popularnym tematem humorystycznych opowieści niesamowitych od wczesnych lat epoki wiktoriańskiej, zwłaszcza w wydaniu takich pisarzy jak Richard Barham („The Spectre of Tappington Hall”, 1840), Frank Stockton („The transferred Ghost”, 1884) czy Oscar Wilde, którego pojawiająca się w licznych antologiach nowela „Duch z Canterville” (1891) doczekała się kilku adaptacji filmowych i telewizyjnych. Ten nurt humorystycznej prozy jest tak bogaty, że poświęcono mu szereg odrębnych antologii, w tym świetny zbiór Dorothy Scarborough, „The humorous Ghosts”, wydany w 1921 roku. Do hardziej współczesnych mistrzów tego gatunku należą Thorne Smith, James Thurher i Nelson Bond, którego komiczna inwencja zyskała wielkie uznanie Jamesa Brancha Cabella, twórcy legendarnej serii fantastycznych opowieści z Poictesme.

Nelson Slade Bond (1908–2006), były specjalista public relations i sprzedawca rzadkich książek, został kiedyś nazwany jednym z najwybitniejszych twórców „zwariowanej” prozy. Wśród bohaterów wielu popularnych serii, które stworzył, na wymienienie zasługują: autor niezwykłych wynalazków Pat Pending, samotny kosmiczny wędrowiec Lancelot Briggs, opowiadający niestworzone historie Hank Horse–Sense oraz Sauaredeal Sam McGhee, który występuje w niniejszym opowiadaniu. Bond zaczął pisać opowiadania fantastyczne w 1937 roku i w tym samym roku opublikował nowelę „Mx Mergenthwarkers Lobblies” która weszła do klasyki gatunku. Na jej podstawie stworzono potem słuchowisko radiowe, cieszącą się powodzeniem sztukę teatralną oraz adaptację telewizyjną. Z racji swojego upodobania do zaskakujących puent był porównywany do O. Henry’ego, a wiele jego utworów prezentuje to samo poczucie humoru i rozmiłowanie w fantastyce, co twórczość współczesnych mu, bardziej od niego znanych autorów, takich jak Fredric Brown czy Robert Bloch. Sauaredeal Sam McGhee jest bohaterem opowiadań, które Nelson Bond pisał w latach czterdziestych i pięćdziesiątych dla magazynu „Bluehook”. „Dusza człowiek” historia ducha, który boi się ludzi i zaczyna popijać dla kurażu, należy do najlepszych spośród nich.

* * *

*Duchy tak samo mają prawo
Ażeby światła się obawiać,
Jak ludzie bać się mroku.*

— Czy wierzysz w duchy? — zapytał znieczeka Squaredeal Sam McGhee.

Stary szuler, naciągacz i jarmarczny mędrak siedział dotąd spokojnie w moim biurze, czekając cierpliwie, aż skończę swoje najnowsze arcydzieło. Teraz, kiedy ułożyłem kartki papieru w zgrabną prostokątną kupkę, przypuścił atak, nachylając się przy tym niby niechętnie, aby poczęstować się moim cygarem.

Uśmiechnąłem się szeroko, rozpoznając jeden z niedoścignionych gambitów starego hultaja, stanowiących prelude do właściwej gry. Coś jakby fabularny haczyk, obliczony na rozbudzenie mojej ciekawości i poddanie mojego portfela. Ponieważ było oczywiste, że Sam liczy na odpowiedź przeczącą, skontrolowałem go, kiwając twierdząco głową.

— Oczywiście — powiedziałem. — Jestem żarliwym wyznawcą wiary w duchy. Może to nieco makabryczne, ale nic na to nie poradzę. To cecha rodzinna. Trzej kuzyni mojego ojca, znani jako „trojaczki pod dobrą datą”, zawsze się uskarżali na brak ducha do pracy. Mój

wujeczny dziadek, Auugust McSlug, był bokserem wagi u — piórkowej. A u mojej siostry w spiżarni straszy.

— Straszy?

— Straszy. Aż mrówki chodzą człowiekowi po plecach.

— Dowcipniś! — Sam zmarszczył brwi z dezaprobatą. — Życie to jeden wielki żart, co? Wybacz, że zająłem ci tyle czasu. Idę, wracaj do swojego wademekum kpiarza!

Podniósł się, sięgnął po swój wysłużony kapelusz. Zachichotałem, sadzając go siłą z powrotem na krześle.

— Daj spokój, wygłupiałem się!

— Też bym uznał, że się wygłupiłem, jak bym takie dyrdymały opowiadał! — burknął Sam.

— Ale skoro mowa o spirytualiach, miałem tu gdzieś dowód na ich istnienie... stuprocentowy dowód. — Grzebałem w szufladzie swojego biurka. — Na pewno musisz już iść?

— Hm, właściwie... — McGhee usiadł z powrotem, obrzucając fachowym, aprobującym spojrzeniem moją „fajkę pokoju”. — Kiedy się zastanowić, to nie mam nic takiego, co by nie mogło poczekać paru kolejek... eee, godzin, chciałem powiedzieć. Tylko nie przesadzaj z tą sodową, bo od tego można dostać paskudnej migreny.

Nalałem i podałem.

— Zacząłeś coś mówić o duchach?

— Nieważne. — Sam wzruszył ramionami. — Zapomnij o tym.

— Kiedy mnie to interesuje. Miałeś jakieś nerwowe przeżycie dotyczące zaświatów?

— Tak i nie. To znaczy, miałem przeżycie i było nerwowe... ale nie w taki sposób, jak myślisz. Jakbyś mógł jeszcze kapnąć tego ognistego specjału...

Nalałem.

— No! — Sam westchnął z zadowoleniem i oparł trzewiki o blat mojego biurka. — A więc było to tak. Wiesz zapewne, jaki deficyt lokali mieszkalnych panuje w dzisiejszych czasach...

* * *

Wiesz zapewne, jaki deficyt lokali mieszkalnych panuje w dzisiejszych czasach. Domy na sprzedaż są rzadkie jak rytmny boogie-woogie na koncertach Armii Zbawienia, nieruchomości do wynajęcia zostały wynajęte za niebotyczne pieniądze przez cwaniaków, którzy wynajęli komuś własne nieruchomości za niebotyczne pieniądze. A co do mieszkań... Mój przyjaciel, który pracuje w przedsiębiorstwie telekomunikacyjnym, opowiadał mi, że raz, jak trzeba było naprawić automat telefoniczny, by móc się dostać do budki, musiał najpierw eksmitować gościa, który mieszkał tam z żoną, trójką dzieci i niezamężną ciotką.

Rzecz jasna mógł trochę przesadzić — przyznał Sam. — Nie bardzo widzę, jak się tam mogła zmieścić ta ciotka.

Tak czy inaczej, sytuacja wyglądała raczej beznadziejnie, kiedy pojawiłem się w mieście po zimie spędzonej w Palm Beach, gdzie zajmowałem się napychaniem kieszeni... innym. Floryda to wspaniałe miejsce dla osób w podeszłym wieku... zwłaszcza że pomaga im szybciej ten wiek osiągnąć. Człowiek przyjeżdża po odrobinę odmiany; boy hotelowy dostaje odrobinę, a hotel całą resztę. W dniu, w którym się wymeldowałem, wręczyli mi rachunek, który wyglądał jak odległość do najdalszej gwiazdy podana w centymetrach. Gdyby w hotelu nie została moja walizka z dziesięcioma tysiącami akcji kopalni miedzi, którą ktoś kiedyś może odkryje w Kolorado, miałbym pewnie wielkie wyrzuty sumienia, kiedy się zsuwałem po rynnie.

Możesz sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy nazajutrz po przyjeździe przechadzałem się po ładnej willowej dzielnicy i nagle widzę elegancki dom, a na drzwiach — o dziwo! — napis „Pokój do wynajęcia”.

Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to że wydział zdrowia ma problem z lokalami do kwarantanny po ospie. Ale nie, okazało się, że to autentyk. Pojawił się zasuszony mały staruszek z nosem jak zapleśniały korniszon. I owszem, ma pokój do wynajęcia. Nie, nikt za tym nie stoi i jeśli nie miałbym nic przeciwko temu, to prosiłby za dwa tygodnie z góry.

— Chwileczkę, chwileczkę — powiedziałem. — Panie...

— Snead — przedstawił się właściciel. — Efraim Snead.

— Nie bądźmy tacy w gorącej wodzie kąpani — ostudziłem go. — Skąd mam wiedzieć, że pokój mi się w ogóle spodoba? Nawet go nie widziałem.

— Och, na pewno się panu spodoba — zapewnił mnie gorliwie. — To jest najładniejszy pokój w całym domu. Duży, słoneczny i wesoły.

— A co do czynszu — ciągnąłem — będę zmuszony prosić, żeby zaczekał pan kilka dni, dopóki się trochę nie zagospodaruję. Właśnie wróciłem z długich wakacji i moja sytuacja finansowa jest, jak by to ujął ekonomista, nieco naciągana.

Jednak — dodałem — każdy w show — biznesie może panu powiedzieć, że Sam McGhee jest równie pewny jak suma hipotetyczna. Więc jeśli nie sprawiłoby panu kłopotu odłożenie płatności na nieco później...

Stary mruk zmarszczył brwi i przez chwilę myślałem, że nadal będę odbierał swoje kwity na poste restante, ale w końcu wzruszył ramionami, a na jego ustach pojawił się grymas, który zapewne służył mi za uśmiech.

— W porządku. Myślę, że możemy się tak umówić. Tędy proszę. — I poprowadził mnie schodami na górę, do frontowego pokoju na pierwszym piętrze.

Powinienem być wyczuć od razu, że coś tu śmierdzi w państwie szwedzkim. Po pierwsze, ten cały Efraim Snead nie był typem faceta, który coś rozdaje za darmo. Nosił szelki i pasek... dwa nieomyślne znaki, że to sztuka kuta na cztery nogi. Do tego miał odciski między kciukiem a palcem wskazującym, zdradzające albo zawodowego gracza, albo skąpca, a z pierwszej ręki wiedziałem, że tym pierwszym nie jest. No i wreszcie — pokój był faktycznie duży, słoneczny i wesoły. Kiedy rzeczy się mają tak, jak się miały, jedyny dobry powód, dla którego pokój stoi pusty, musi być... niedobry.

Ale wtedy się nad tym nie zastanawiałem. Jeden pobieźny rzut oka i powiedziałem wujciowi Efraimowi, żeby zdjął informację o wynajmie. Kiedy wyszedł, ściągnąłem płaszcz, rzuciłem się na wielkie, staromodne, puchowe łóżce... i nim ktoś by zdążył wymieszać drinka, znalazłem się w objęciach Morfiego.

Miałem zamiar uciąć sobie jedynie krótką drzemkę przed obiadem. Ale wiesz, jak to jest. Siła złego na jednego, jak mówi poeta. Byłem skonany, a łóżko miękkie... Z małej drzemki zrobiła się duża i obudziłem się dopiero po północy. Pokój był czarny jak przypalone ciasto.

To znaczy, powinien być czarny. Ale nie był. Nie całkiem. Nad fotelem klubowym stojącym przy kominku można było dostrzec dziwny szarawy poblask. Właściwie nie było to światło. Bardziej przypominało ledwie tłące się migotanie robaczka świętojańskiego odbite w zaporowanym lustrze i oglądane przez ciemne okulary. Jakies takie rozmyte i niepewne.

Usiadłem wyprostowany na łóżku.

— Hej, co się tu dzieje? — zapytałem.

W tym momencie światło się rozjaśniło, przybierając kształt... kształt mężczyzny. Odwróciło głowę, wpatrywało się we mnie przez ułamek sekundy, po czym wrzasnęło jak zarzynane.

* * *

Sam westchnął z zadumą, wcierając piramidkę popiołu z cygara w mój dywan. Zmarszczyłem czoło.

— Wrzasnęło jak zarzynane? — powtórzyłem. — Chciałeś powiedzieć, że to ty wrzasnąłeś?

— Chciałem powiedzieć, że to ono wrzasnęło — stwierdził Sam. — A raczej on.

— Ale jeśli to, co zobaczyłeś, to był naprawdę duch...

— To był duch — potwierdził Sam z głębokim przekonaniem. — I to on robił raban. Widzisz, on się bał ludzi.

— Jak to? Ba... ba...

— Żadna baba — przerwał mi mój przyjaciel. — Żadna tam babajaga, tylko Edgar, porządne staroświeckie widmo rodzaju męskiego.

— Edgar?

— Tak miał na imię. Tego, rzecz jasna, dowiedziałem się później. Najpierw musiałem go uspokoić. To był kłębek nerwów.

* * *

...To był straszny kłębek nerwów. Nie tylko rozwrzeszczał się na mój widok, ale zerwał się jak oparzony z tego fotela i zaczął ganiać w kółko jak błędny ognek, którego ściga karuzela.

Ruch najwidoczniej podładował mu baterie, bo robił się coraz jaśniejszy i coraz wyraźniejszy, aż wreszcie, kiedy w końcu go przyskrzyliłem między komodą a umywalką, wydzielał tyle kandeli, że można by było przy nim czytać drobny druk. Na wypadek gdybyś chciał pisać historie o duchach, pewnie cię też zainteresuje, jakie sprawiał uczucie przy dotyku. No więc... jak pajęczyna, tylko bardziej przezroczysta i sprężysta. Mogłeś przedziurawić go palcem na wylot i nic mu to nie szkodziło. Sklejał się z powrotem, jak tylko cofnąłeś palec.

No i był zimny... zimniejszy niż potrafię opisać. Dziwny rodzaj zimna, który rozpełzał ci się po żyłach jak mrożone gąsienice.

O mało się nie nabawiłem odmrożeń, ale w końcu Edgara zmusiłem, żeby stanął spokojnie i przestał wyć jak potępieniec. Kiedy jego zawodzenie zmieniło się w pochlipywanie, zacząłem go sztorcować.

— Niezły z ciebie numer! Po co ten harmider? Coś ty, nieboszczyków chcesz pobudzić, czy jak?

— To pan się tu do mnie zakrada — powiedział nadąsany. — Powinien pan się wstydzić. Czepiać się biednego, bezcielesnego ducha!

— Sam się wstydz! Kto to widział, żeby takie duże, porządne widmo wyskakiwało z ektoplazmy tylko dlatego, że ktoś się do niego odezwał? To ty powinieneś straszyć ludzi, a nie na odwyrtkę.

— Tak, ale... — Edgar zastanawiał się przez chwilę. — Dobra, może ma pan rację. Buuu!

Zrobił przy tym straszną minę, tak sobie przynajmniej wyobrażał. Ale przy jego wielkich, smutnych oczach i żałościwie wygiętych ustach wyglądało to po prostu komicznie. Odwzajemniłem mu się zaraz, przebijając mu przy tym palcami przed nosem.

— Zobacz, jak... Hej, wracaj tu na dół! — krzyknąłem, bo jak tylko na niego zabuczałem, zaraz furknął w górę po ścianie niczym zadarta kiecka, śmignął po suficie i uczepił się żyrandola, trzęsąc się jak osika.

— Niech pan nie robi takich rzeczy! — pisnął żałośnie. — Nie mogę tego znieść! To rani moje przeciwciało astralne!

— Ja też nie mogę czegoś takiego znieść! — burknąłem. — Nie masz w sobie ani odrobiny odwagi?

— Niech pan nie będzie śmieszny — prychnął urażony. — Gdybym miał bebechy, tobym nie był duchem, zgadza się? — Jęknął i dwie wielkie łzy stoczyły mu się po policzkach. — Nie ma pan pojęcia, jaki to straszny los, być widmem. Czuwać całą noc... żadnych ubrań oprócz tego obrzydliwego całunu... żadnych przyjaciół, z którymi można by było pogadać. I to zimno, okropne zimno przez cały czas. — Kichnął.

Przyglądałem mu się w zamyśleniu.

— Wiem, czego ci trzeba — zdecydowałem wreszcie. — Porządnego, wysokoprocentowego napitku. Złóż na dół, to dostaniesz niuch patentowanego butelkowanego rozmrażacza. Co się tak marszczysz? To dobry wyrób. Gwarantuję, że zobaczysz po nim różowe słonie... i inne stworzonka z pakietu.

Edgar pokręcił głową.

— Nie da rady — westchnął żałośnie. — Nie mogę pić. Jestem duchem. Trunek przeleci przeze mnie na wylot.

— To nieco komplikuje sprawę — powiedziałem, marszcząc brwi. — Cóż, zawsze mi mówiono, że nie powinno się mieszać spirytualiów... — Nagle doznałem olśnienia. — Czekaj! Mógłbyś wypić widmo alkoholu!

Edgar miał niepewną minę.

— Chyba tak. Nigdy nie próbowałem.

— Na tym już można postawić krzyżyk, prawda? — powiedziałem, wychylając kolejkę. — Słyszałeś chyba o „poległych żołnierzach”, prawda?

Oczy mu zaślnęły.

— Ma pan na myśli puste butelki? Jasne, słyszałem! Myśli pan, że to zadziała?

— Co szkodzi spróbować?

Wyciągnąłem butelkę mojego ulubionego specyfiku na lumbago, nalałem na cztery palce i wychyliłem jednym haustem. Potem podałem mu pustą szklankę, którą z trudem utrzymał w dłoni... ale to już nie była pusta szklanka. Bo rozumiesz, co ja zrobiłem? Ja zniszczyłem ten napitek! Kiedy Edgar podniósł szklankę do ust, ujrzałem bladą, migotliwą żółtawą mgłę bełtającą się w środku — bliźniaczą substancję do tej, którą właśnie wychyliłem, tylko bardziej widmową. Efekt też był identyczny, tyle że w technicolorze. W miarę jak trunek spływał w dół wzdłuż jego widmowego przelyku, Edgar robił się coraz jaśniejszy, coraz cieplejszy i coraz weselszy. Aż wreszcie, kiedy kordiał się wchłonał, mój duch wyglądał wypisz, wymaluj jak cytrynowy suflet z wisienką pośrodku.

* * *

Sam urwał i zerknął na mnie spod oka.

— Rozumiem, że trudno ci w to wierzyć?

— Ależ skąd! — zapewniłem go entuzjastycznie. — Ja potrafię uwierzyć we wszystko. To ja jestem pierwowzorem tej naiwnej duszyczki, o której pisał ojczulek Swift w swoich „Podróżach Gucia Frajera”. Wierzę w radiowe reklamy, w mowy polityków wygłaszane podczas kampanii wyborczych i w codzienne prognozy pogody. Wierzę w dezodoranty, w telepatię i w świętość niewieściego rodzaju. Wierzę, że czas leczy wszystkie rany, uczciwość to najlepsza polityka, że grosz do grosza daje dwa grosze, wierzę...

— Jesteś cynikiem — powiedział z wyrzutem McGhee. — I nie mam na myśli tego, z czego się robi blachę. Masz ciasny, podejrzliwy umysł i założę się, że zagładasz pod lukier, zanim spróbujesz ciastka.

Mimo to uwierzyłbyś w tę historię, gdybyś zobaczył tamten pokój. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać pokój z nawiedzonego domu. Przyjrzałem mu się dokładnie, kiedy razem z Edgarem opróżnialiśmy butelkę. Były tam staromodne meble z tapicerką z końskiego włosia i tapety z ręcznie drukowanego lnu, we wzory, od których można było dostać oczopląsu. Między jednym łukiem a drugim Edgar zwracał mi uwagę na misternie rzeźbione elementy starych mebli, na okna w niszach przedzielonych wysokimi kolumnkami...

— Ze sztukaterią? — zapytałem.

— W sztuk? O tak, był zaprawiony na perłowo. Prawdę mówiąc, ja też.

* * *

...Okna oknami, ale Edgar sam miał szklany wzrok. Ja zazwyczaj dzielnie stawiam czoło wodzie ognistej, lecz tamtego dnia nie miałem nic w ustach od śniadania, a jak wiadomo trunek na pusty żołądek to kaca dobry początek.

Poza tym Edgar miał po prostu nieziemskie pragnienie... co jest zrozumiałe, kiedy się weźmie pod uwagę, że nic nie pił od czasu, kiedy opuścił ten podolek łez. A oczywiście nie mógł sobie golnąć, dopóki ja nie zniszczyłem „cielesnej powłoki” trunku, więc możesz sobie wyobrazić, dokąd mnie to zaprowadziło. Prosto pod stół.

Po kwadransie byliśmy na ty, zdążyliśmy się wymienić adresami i numerami telefonu, a pół butelki później Edgar wyciągał stare przeboje, jak „Pójdziem, chłopcy, będziemy straszyć” czy „Dżinna o jasnobrazowych włosach”, nie wspominając o marszu widmowej gwardii „Czuj duch”. A kiedy pękła druga półlitrowka, byliśmy już takimi serdecznymi druhami, że Edgar siedział mi na kolanach i wypłakiwał smutną historię swojej krótkiej, nieszczęśliwej egzystencji w charakterze człowieka.

Wyglądało na to, że nie żył od dawna. Za życia był młodszym referentem w banku. W pracy miał do czynienia z dużymi sumami pieniędzy. Tysiące dolarów każdego dnia, jak mi powiedział. I to właśnie doprowadziło go do zguby.

Opowiedział mi, że pewnego dnia, kiedy wrócił po pracy do domu, odkrył w kieszeni dzinsów „końcówkę” w wysokości kilkuset dolarów, którą całkiem niechcący wyniósł z banku.

— Najzabawniejsze w tym wszystkim było — ciągnął posepnym tonem — że saldo na koniec dnia zgadzało się co do joty. Ani centa w tę czy w tamtą. A mimo to faktem było, że spadło mi na głowę czterysta pięćdziesiąt dolarów, które nie należały do mnie!

— Chciałbym, żeby mi tak spadło — mruknąłem. — Gdybyś kiedyś spotkał kogoś, kto szukałby ochotnika gotowego poświęcić swoją głowę...

— Gryzłem się tym przez całą noc. Następnego dnia wziąłem książki pod lupę, ale nigdzie nie mogłem znaleźć pomyłki. Udało mi się to dopiero po czterech dniach poszukiwań, a kiedy wreszcie zlokalizowałem błąd, byłem przypuszczalnie jedyną osobą, która byłaby w stanie to zrobić. Niechcący wpadłem na absolutnie niezawodny sposób obejścia podwójnej księgowości.

Edgar westchnął i żeby odwrócić jego uwagę od smutków, podałem mu niedopałek papierosa, którego dopiero co zdusiłem. Z lubością zaciągnął się świeżym, widmowym dymkiem, po czym ciągnął dalej:

— Co najgorsze, nie było widać sposobu na to, żeby z powrotem te pieniądze zaksięgować. Aby to zrobić, musiałbym pomanewrować wpisami w tak oczywisty sposób, że

sprawa by się natychmiast wydała. I żebym miał skonać, nie byłbym w stanie wytłumaczyć, dlaczego oddaję bankowi swoje własne — wedle wszelkich pozorów — pieniądze.

Wierz mi, że naprawdę nie chciałem tych pieniędzy. Wstydzilem się ich i tego, że je sobie przywłaszczyłem. To znaczy, z początku tak było. Ale wybuchła wojna, a z nią inflacja. Zaczęły się problemy z zaopatrzeniem, ceny rosły, pensja mi nie wystarczała. Zanim się obejrzałem, czterysta pięćdziesiąt dolarów się rozeszło... a moje wydatki były tak duże, że potrzebowałem więcej.

I to był początek mojego upadku. Pożyczyłem z banku kolejnych kilka setek... potem jeszcze kilka... i jeszcze... aż któregoś dnia odkryłem, ku mojemu przerażeniu, że ukradłem dwadzieścia tysięcy dolarów!

Gwizdnąłem, kiwając z powagą głową.

— I wtedy cię nakryli? — domyśliłem się.

— Nie — powiedział Edgar głucho. — Wtedy, osiągnąwszy dno upodlenia, uciekłem. Nie z obawy, że zostanę przyłapany. Jak ci już powiedziałem, moja metoda była niezawodna. Ten akt to była próba ucieczki przed własnym sumieniem. Uciekłem z mojego rodzinnego miasta i ruszyłem na północ. Po niewyobrażalnych trudach dotarłem do Nowego Jorku.

Nawet wtedy nadal miałem dobre intencje. Chociaż wydałem większość pieniędzy, miałem nadzieję, że jakoś uda mi się je spłacić. Ale tydzień po tym, jak wynająłem ten pokój, nabawiłem się ciężkiego przeziębienia. Z przeziębienia rozwinęło się zapalenie płuc i... — tu Edgar jęknął przeraźliwie — ...i oto jestem! Uwięziony w tym pokoju na resztę swojej nieśmiertelnej egzystencji, bo w nim umarłem, mając przestępstwo na sumieniu.

Zapadła długa, niezręczna cisza, którą przerywało tylko szlochanie Edgara.

— Czy jest jakiś sposób, żebyś mógł przestać być duchem, Eddie? — zapytałem wreszcie.

— Tylko jeden. Muszę naprawić zło, które popełniłem.

— Chcesz powiedzieć, że musisz zwrócić te pożyczone pieniądze?

— To jedyny sposób. — Edgar spojrzał na mnie z nagłą nadzieją. — Sam, mógłbyś mi pomóc?

— Ja? W jaki sposób?

— Ty żyjesz. Mógłbyś zdobyć pieniądze potrzebne do spłacenia mojego honorowego długu, przesać je do banku w Richmond... Wtedy moja dusza zostałaby uwolniona i mógłbym pójść do...

— Chwileczkę! — przerwałem mu. — Cenię sobie sąsiedzką pomoc i tak dalej, ale jeżeli myślisz, że mam dwadzieścia kawałków do wyrzucenia, jakby to był worek orzechów, to masz nierówno pod sufitem! Skąd miałbym w ogóle wziąć taką sumę, jak ci się wydaje?

— Może mógłbyś pożyczyć od Sneada? — podsunął Edgar. — Stary skąpiec ma dziesięć razy tyle zachomikowane w tym domu.

— A co miałbym mu dać jako zabezpieczenie pożyczki? Moją prawą rękę?

— Hm, mógłbyś pożyczyć je tak, jak ja pożyczyłem z banku... — zasugerował Edgar ostrożnie.

— I wylądować razem z tobą w galerii straszylek, kiedy przyjdzie na mnie pora? Dziękuję bardzo! Sumienie Sama McGhee jest czyste jak zupa w restauracji i takie pozostanie!

— Nie musisz się tak ciskać — burknął Edgar nadąsany. — To była tylko sugestia. Poza tym gość jest mi w końcu winien pieniądze... w jakimś sensie.

— Co masz na myśli? — zapytałem.

Edgar wyjaśnił. Dość szczegółowo i z pasją, biorąc pod uwagę fakty. Ale to, co powiedział, najpierw mnie zelektryzowało, a potem dało do myślenia.

Kiedy skończył, zmieniłem front o trzysta sześćdziesiąt stopni.

— Słuchaj, brachu — powiedziałem. — Chyba mogliśmy zrobić na tym obaj interes. Przypuśćmy, że uregulowałbym ten twój dług... czy wyświadczyłbyś mi w zamian małą przysługę?

— Wszystko co zechcesz — powiedział Edgar gorąco. — Tylko powiedz, o co chodzi, przyjacielu.

— Powiem, jak wrócę, czyli zapewne niebawem — obiecałem. — Siedź tu, nie ruszaj się stąd i czekaj na mnie. Coś mi mówi, że nim nadejdzie ranek, zostaniesz uwolniony ze swojego łańcucha.

Tak więc zostawiłem go, poszedłem na dół, wziąłem dwadzieścia tysięcy dolarów, włożyłem do koperty, wysłałem do banku, po czym pełen zapału popędziłem z powrotem, nie mogąc się doczekać... Ale w domu czekał mnie zimny prysznic. Bo kiedy wszedłem do swojego pokoju, Edgara tam nie było. Rozpłynął się jak wypłata marynarza na przepustce w porcie. I od tamtej pory go nie widziałem.

* * *

Sam westchnął i popadł w zadumę. Czekałem cierpliwie przez chwilę, po czym przerwałem milczenie.

— No i co dalej?

Wzruszył ramionami.

— Cóż... to wszystko. Mój błąd polegał na tym, że nie poprosiłem go o tę przysługę z góry. Nie wydaje mi się, żeby Edgar chciał mnie wyrołować. To był honorowy duch i gdyby mógł, zaczekałby na mnie. Ale z chwilą, gdy jego wina została naprawiona, jego przymusowy pobyt na ziemi dobiegł końca. Pewnie brzdąka teraz na harfie. A jeśli nie, to w każdym razie jest mu z pewnością ciepło w jego nowym miejscu pobytu. — Sam zerknął na mnie z namysłem. — Teraz rozumiesz powód mojej wizyty. Nie, nie będę prosił o pieniądze. Proszę tylko o drobną pożyczkę na poczet inwestycji, która nie może...

— Chcesz, żebym ci pożyczył dwadzieścia tysięcy dolarów?! — wykrzyknąłem. — Zwariowałeś?

— Skądże — prychnął Sam. — To chyba ty zwariowałeś. Czy mówiłem coś o dwudziestu kawałkach? Proszę o krótkoterminową pożyczkę w wysokości pięciu dolarów, żebym mógł pójść do dobrego spirytysty i wywołać Edgara do tablicy z literkami. Wciąż jest mi winien przysługę w ramach rewanżu... a ja chciałbym wiedzieć, jak działa ta sztuczka z podwójną księgowością. Załatwiłem już sobie posadę młodszego referenta w First National Bank. Zaczynam w przyszłym tygodniu. Nie chciałbym się zatrudniać u nowego pracodawcy, nie znając ukrytych mielizn łowiska, to jest, chciałem powiedzieć, zawodu.

— A dwadzieścia kawałków, które posłałeś do banku Edgara? — zaprotestowałem. — W jaki sposób masz zamiar to spłacić? I w ogóle skąd wzięłeś pieniądze? Mówiłeś, że byłeś spłukany, kiedy znalazłeś się w Nowym Jorku.

— Niemal spłukany — uściślił Sam. — Miałem jeszcze kilka dolarów w kieszeni. Dostyc, żeby kupić mnóstwo tego, czego potrzebowałem, żeby spłacić honorowy dług Edgara... Mówiłem ci, że Edgar nie żył od dawna. Jak również to, że wojenna inflacja popchnęła go na drogę przestępstwa. Chyba zapomniałem zaznaczyć, że żył i dokonał swoich kradzieży w czasie wojny secesyjnej. Z chwilą gdy to usłyszałem, oświeciło mnie, w jaki sposób można spłacić ten jego dług. Posłałem do banku w Richmond, jako pełną rekompensatę... dwadzieścia tysięcy dolarów w konfederackiej walucie!

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

KARALUCHY

W myśl długoletniej tradycji znakomita większość czarownic to stare jędze dysponujące mocą o niepewnym charakterze, mieszkające w zapadłych wioszczynach w różnych rejonach Europy i Ameryki, traktowane przez sąsiadów podejrzliwie i wrogo. Jednak w fantastyce komicznej współczesna czarownica lubi się pojawiać w wielu różnych kostiumach, od wesołej, nieszkodliwej wiejskiej babiny po światową, obdarzoną bardziej sarkastycznym usposobieniem mieszkankę miasta. Przynajmniej jeśli chodzi o ten gatunek literacki, sztuka czarownic idzie z duchem czasu, a one same często posiadają niepospolitą moc oraz poczucie humoru. „Karaluchy” to jeden z bardziej oryginalnych przykładów tego typu opowieści, który Jack Sullivan nazwał w „The Encyclopedia of Horror and the Supernatural” (1986) „jedną z najbardziej przerażających i najzabawniejszych historii w literaturze”

Thomas Michael Disch (ur. 1940) cieszy się sławą „niesamowitego mistrza humoru i stylu w literaturze science fiction” Wcześniej pracownik branży reklamowej i nowojorskiego banku, odkąd dzięki zbiorom „One Hundred and Two H Bombs” (1966) i „White Fang Goes Dingo” (1971) dał się poznać jako autor obdarzony szczególnym, ironicznym poczuciem humoru, mieszkał w wielu krajach, w tym we Włoszech, Turcji, Meksyku i Wielkiej Brytanii. Po powieści „The Puppies of Terra” (1966), przedstawiającej obraz Ziemi opanowanej przez kosmitów, którzy uczynili z ludzi domowe zwierzątka, przyszły następne osobliwe historie, takie jak „Highway Sandwiches” (1970), „The Tale of Dan de Lion” (1986), „Dzielny mały toster leci na Marsa” (1988) i „The Silver Pillow” (1988). W „Karaluchach” poznajemy czarownicę, jak by to ujął Jack Sullivan, „na wskroś miejską”; która potrafi zmusić karaluchy do wypełniania swoich rozkazów. Ale ostrzegam: ta opowieść jest równie makabryczna, jak zabawna...

* * *

Panna Marcia Kenwell śmiertelnie bała się karaluchów. Było to zupełnie inne uczucie niż na przykład jej podszyta lękiem awersja do barwy przypominającej zakrzepłą krew. Marcia Kenwell czuła odrazę do robactwa. Na widok karalucha nie mogła powstrzymać przeraźliwego krzyku. Nie potrafiłaby się zdobyć na zmiżdżenie karalucha podeszwą buta. Nie, to by było zbyt obrzydliwe. Wobec tego biegła po „Czarną Flagę” w aerozolu i bombardowała małe bestie trucizną, aż przestały się ruszać lub znikwały w jednej ze szczelin, w których się najwyraźniej gnieździły. To było okropne, niewypowiedziane okropne, kiedy się pomyślało, że czają się w ścianach czy pod linoleum i tylko czekają, aż światła zostaną zgaszone, a wtedy... Nie, najlepiej w ogóle o tym nie myśleć.

Co tydzień przeglądała „Timesa” w nadziei na znalezienie innego lokum, ale albo cena była zaporowa (to był Manhattan, a pensja Marcii wynosiła zaledwie sześćdziesiąt dwa dolary pięćdziesiąt centów na tydzień brutto), albo budynek był w oczywisty sposób też dotknięty plagą. Zawsze potrafiła to rozpoznać: panczerzyki zdechłych karaluchów wały się w kurzu pod zlewem, przywierały do pokrytej tłustym brudem tylnej ściany kuchenki, zaścielały mniej dostępne półki w kredensie niczym ryż na schodach kościoła po ślubnej ceremonii. Opuszczała takie miejsce w paroksyzmie odrazy, nie będąc nawet w stanie zebrać myśli, dopóki nie znalazła się w swoim mieszkaniu, gdzie powietrze przesycone było zdrowym zapachem „Czarnej Flagi”, „Anty-Karalu” i toksycznej pasty rozsmarowanej na plasterkach ziemniaka ukrytych w setkach szczelin, które знаła tylko ona i karaluchy.

Przynajmniej utrzymuję swoje mieszkanie w czystości, myślała. I faktycznie linoleum pod zlewem, tył i spód kuchenki oraz biały papier samoprzylepny, którym wyłożyła półki w szafach, były nieskazitelnie czyste. Nie rozumiała, jak inni mogą pozwolić, aby te sprawy wymknęły im się spod kontroli. To muszą być Portorykańczycy, stwierdziła, i znów dreszcz ją przechodził na wspomnienie walających się pancrzyków, brudu i zarazków.

Tak skrajna awersja do insektów — do konkretnego gatunku insektów — może się wydawać przesadna, ale Marcia Kenwell nie była tu jakimś szczególnym wyjątkiem. Jest wiele kobiet, po większej części niezamężnych, jak ona, które podzielają jej lęk, choć trzeba mieć nadzieję, z czystej ludzkiej życzliwości, że nie podzielą jej osobliwego losu.

Fobia Marcii miała, jak to się dzieje w większości przypadków, podłoże genetyczne. Dziewczyna odziedziczyła ją po matce, która śmiertelnie się bała wszystkiego, co pełza, czmycha lub gnieździ się w mikroskopijnych norkach. Myszy, żaby, węże, biegające owady, pluskwy — wszystko to wywoływało u pani Kenwell histerię i byłby cud, gdyby mała Marcia nie wdała się w nią pod tym względem. Mimo to dziwne, że jej lęk przybrał aż takie rozmiary, a jeszcze dziwniejsze, że akurat karaluchy sobie upatrzyła, gdyż nigdy w życiu nie widziała karalucha, nie wiedziała, co to takiego. (Kenwellowie byli rodziną z Minnesoty, a w tamtejszych rodzinach po prostu nie ma karaluchów). Prawdę mówiąc, temat karaluchów pojawił się po raz pierwszy, kiedy Marcia miała dziewiętnaście lat i wyruszała, uzbrojona jedynie w świadectwo ukończenia szkoły średniej i odwagę — gdyż trzeba powiedzieć, że nie była zbyt atrakcyjną dziewczyną — na podbój Nowego Jorku.

Ulubiona i zarazem jedyna żyjąca ciotka odprowadziła ją na dworzec linii autobusowych Greyhound, jako że rodzice Marcii nie żyli. „Strzeż się karaluchów, moja droga. Nowy Jork jest pełen karaluchów” — powiedziała jej na odjeździe. Wówczas (jak i zresztą prawie nigdy) Marcia nie przywiązywała wagi do słów ciotki, która była przeciwna jej wyjazdowi, przytaczając setkę albo i więcej powodów, dla których dziewczyna nie powinna wyjeżdżać, przynajmniej dopóki nie będzie starsza.

Rzeczywistość potwierdziła obawy ciotki w całej rozciągłości. Marcia, po pięciu latach i opłacaniu się piętnastu biur pośrednictwa pracy, nie zdołała znaleźć w Nowym Jorku niczego poza nudną pracą za mierną płacę, nie miała więcej przyjaciół niż wtedy, gdy mieszkała przy Szesnastej Wschodniej, i pomijając widok (hurtownia sieci Chock Full O’Nuts plus skrawek nieba), jej obecne lokum przy dolnej Thompson Street było niewiele lepsze niż poprzednie.

To było miasto wielkich obietnic, ale zawsze składanych komu innemu. Miasto, które znała Marcia, było grzeszne, obojętne, brudne i niebezpieczne. Codziennie czytała relacje o napaściach na kobiety na stacjach metra, o gwałtach na ulicach, o nieszczęśnicach zadżganych we własnych łóżkach. Setka ludzi potrafiła przyglądać się z ciekawością i nie udzielić pomocy. I na domiar wszystkiego były karaluchy!

Karaluchy były wszędzie, ale Marcia zobaczyła je pierwszy raz dopiero miesiąc po przyjeździe. Spotkała je, czy też one spotkały ją, w należącym do niejakiego Silversmitha sklepie papierniczym przy Nassau Street, w którym pracowała trzeci dzień. Była to pierwsza praca, jaką udało jej się znaleźć. Sama lub z pomocą młodego pryszczatego magazyniera (gwoli uczciwości należy przyznać, że i jej nie był obcy problem trądziku), wędrowała między rzędami metalowych regałów o ostrych krawędziach, spisując naręcza, stopy i pudła papieru do pisania, pamiętników oprawnych w sztuczną skórę, pinesek, spinaczy i kalki.

Zatęchła piwnica, w której mieściły się regały, była brudna i tak ciemna, że przy najniższych półkach dziewczyna musiała sobie przyświecać latarką. W najciemniejszym kącie znajdował się szary zlew z wiecznie ciekącym kranem. Marcia siedziała obok zlewu i odpoczywała, popijając letnią kawę (przyrządzoną na tutejszą modłę z nadmiarem cukru i mleka), myśląc zapewne o tym, jak by tu sobie sprawić kilka rzeczy, których zwyczajnie nie miała za co sobie sprawić, kiedy spostrzegła na ścianie zlewu poruszające się czarne punkty.

W pierwszej chwili myślała, że to po prostu „muszki” latające przed oczami albo plamki, jakie człowiek czasem widzi po nadmiernym wysiłku w upalny dzień. Ale trwało to zbyt długo, żeby mogło być złudzeniem. Przysunęła się bliżej, czując nieodpartą chęć przekonania się na własne oczy, co to takiego. Skąd ja wiem, że to insekty? — pomyślała.

Jak wytłumaczyć fakt, że to, co nas odpycha, może nas zarazem niezmiernie pociągać? Dlaczego tak piękna jest kobra znieruchomiła przed atakiem? Fascynacja czymś odrażającym jest... tego wolimy tu nie roztrząsać. Temat ociera się o nieprzyzwoitość i nie ma potrzeby się nim tutaj zajmować. Dość będzie odnotować, że Marcia wpatrywała się jak urzeczona, z zapartym tchem, w te swoje pierwsze karaluchy. Krzesło przysunęła do zlewu tak blisko, że widziała drobne cętki na ich owalnych pancerzykach, pospieszne ruchy cienkich nóżek i jeszcze szybsze trzepotanie ruchliwych czułków. Poruszały się bezładnie i chaotycznie, nie zmierzając w żadnym kierunku. Wydawały się bardzo zaniepokojone bez konkretnej przyczyny — Może to moja obecność ma taki niezdrowy wpływ na ich zachowanie? — pomyślała Marcia.

Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie z całą jasnością, że są to karaluchy, przed którymi ją ostrzegano. Przejęta odrazą do szpiku kości, poczuła, że krew ścina się jej w żyłach, krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się razem z krzesłem do tyłu, omal nie przewracając regału z artykułami przecenionymi. W tym samym momencie karaluchy umknęły do odpływu.

Kiedy pan Silversmith zszedł na dół, żeby sprawdzić, dlaczego krzyczała, znalazł ją leżącą na plecach i nieprzytomną. Spryskał jej twarz wodą z kranu. Oprzytomniała. Zbierało jej się na wymioty. Odmówiła jakichkolwiek wyjaśnień, twierdząc stanowczo, że musi natychmiast odejść z pracy. Właściciel podejrzewał, że przyszczaty magazynier (który był jego synem) próbował się do niej dobierać, więc wypłacił jej pieniądze za trzy przepracowane dni i pożegnał ją bez żalu. Od tej chwili karaluchy stały się nieodłącznym elementem egzystencji nieszczęsnej dziewczyny.

* * *

W mieszkaniu przy Thompson Street Marcia zdołała doprowadzić, jeśli chodzi o karaluchy, do czegoś w rodzaju pata. Popadła w dającą poczucie komfortu psychicznego rutynę, bez ustanku działała pastami i proszkami, szorowała i woskowała, stosowała profilaktykę (nie zdarzyło jej się wypić filiżanki kawy i nie umyć natychmiast oraz nie wytrzeć filiżanki i dzbanka) i bezlitosną eksterminację. Jedyne karaluchy, jakim zdarzało się pogwałcić terytorium jej dwóch przytulnych pokoików, pochodziły z mieszkania piętro niżej i możecie być pewni, że nigdy nie zabawiły długo. Poskarżyłaby się właścicielce, gdyby nie fakt, że było to jej mieszkanie i jej karaluchy. Marcia była u niej kiedyś na szklaneczce wina w wigilię Bożego Narodzenia i musiała przyznać, że mieszkanie nie było jakoś szczególnie brudne. A nawet było czystsze, niż to się na ogół zdarza. Ale w Nowym Jorku to nie wystarczało. Gdyby każdy starał się tak jak ja, myślała Marcia, w Nowym Jorku wkrótce nie byłoby karaluchów.

* * *

W szóstym roku pobytu Marcii w Nowym Jorku do sąsiedniego mieszkania wprowadziła się rodzina Szapałowów. Dwóch mężczyzn i kobieta. Starzy, choć trudno było określić dokładnie ich wiek, gdyż nie tylko czas ich postarzał. Może mieli nie więcej niż po

czterdzieści lat. Kobieta na przykład, pomimo wciąż ciemnych włosów, miała twarz pomarszczoną jak suszona śliwka i brakowało jej kilku zębów. Zagadywała Marcie na korytarzu lub na ulicy, chwytając ją za rękaw płaszcza i zaczynając swoje nieskomplikowane lamente, zawsze na temat pogody, a to upałów, a to chłódów, a to deszczu, a to suszy. Marcia nie rozumiała połowy z jej mamlania. Potem kobieta ruszała chwiejnym krokiem w stronę sklepu spożywczego z torbą pełną pustych butelek.

Szapałowowie, widzicie, pili. Marcia, która miała raczej przesadne wyobrażenie o cenach alkoholu (w jej pojęciu najtańsza była wódka), zachodziła w głowę, skąd biorą pieniądze na libacje. Wiedziała, że nie pracują, bo kiedy leżała w domu z grypą, słyszała przez cienką ścianę pomiędzy ich a swoją kuchnią, jak troje sąsiadów wrzeszczy na siebie, żeby sobie podpompować adrenalinę. Są na zasiłku, zdecydowała. Albo ten z jednym okiem jest inwalidą wojennym i dostaje rentę.

Głośne kłótnie jej tak bardzo nie przeszkadzały (rzadko bywała w domu po południu), ale śpiewy były dla niej nie do zniesienia. Zaczynali, kiedy zbliżał się wieczór, śpiewając do wtóru muzyki z radia. Wszystko, czego słuchali, brzmiało jak big-band Guya Lombardo. Później, koło ósmej, zaczynali śpiewać a cappella. Dziwne, nic nie mówiące dźwięki wznosiły się i opadały jak syreny przy próbnym alarmie, były tam pohukiwania, wycie i krzyki. Marcia tylko raz w życiu słyszała coś podobnego, na płycie Folkway Records z czeskimi ludowymi przyspiewkami weselnymi. Ilekroć zaczynały się okropne hałasy, doprowadzały ją do szalu. Musiała wychodzić z domu. Skargi na nic by się nie zdały — Szapałowowie mieli prawo śpiewać o tej porze.

Poza tym jeden z mężczyzn był ponoć spowinowacony z właścicielką. Dlatego pozwolono im zamieszkać w lokalu, który wcześniej pełnił funkcję składziku. Marcia nie mogła zrozumieć, jak cała trójka mieści się na tak niewielkiej przestrzeni — półtora pokoju z wąskim oknem wychodzącym na szyb wentylacyjny. Odkryła, że całą ich przestrzeń życiową widać przez otwór, który wybito w ścianie, kiedy hydraulicy instalowali u nich zlew.

Śpiewy wyprowadzały ją z równowagi, a co dopiero mówić o karaluchach... Kobieta, która była siostrą jednego z mężczyzn, a żoną drugiego — zresztą może to mężczyźni byli braćmi, a ona żoną jednego z nich (czasem Marcii się wydawało, sądząc ze słów, które dobiegały zza ściany, że nie była żoną żadnego albo była żoną obydwu) — nie radziła sobie jako gospodyni. Ich mieszkanie roilo się od karaluchów. Woda doprowadzana była do zlewów w mieszkaniach Marcii i Szapałowów tymi samymi rurami, a potem odprowadzana do wspólnego odpływu, więc do nieskazitelnej kuchni Marcii stale wypluwany był nadmiar karaluchów. Rozpylała preparaty i rozkładała więcej zatrutych ziemiaków, szorowała, ścierała kurze i uszczelniała chusteczkami higienicznymi otwory w ścianach, przez które przechodziły rury — wszystko na nic. Karaluchy Szapałowów składały kolejny milion jajeczek w workach ze śmieciami, gnijącymi pod zlewem w ich mieszkaniu. Po kilku dniach znów roiły się w rurach i szczelinach, zagrażając szafkom kuchennym Marcii. Dziewczyna leżała w łóżku i patrzyła (było to możliwe, bo zawsze zostawiała zapaloną nocną lampkę w każdym z pomieszczeń), jak suną po podłodze i wspinają się na ściany, roznosząc wszędzie brud i zarazki Szapałowów.

Któregoś z takich wieczorów karaluchy były szczególnie dokuczliwe i Marcia usiłowała się zmobilizować, żeby wyjść z ciepłego łóżka i zaatakować je „Anty-Karalem”. Zostawiła otwarte okna w przekonaniu, że karaluchy nie lubią zimna, ale okazało się, że ona lubi je jeszcze mniej. Już bolało ją gardło i wiedziała, że zaczyna się przeziębienie. A wszystko przez nie!

— Och, idźcie sobie! — zawołała błagalnym tonem. — Idźcie z mojego mieszkania!

Zwracała się do karaluchów z tą samą rozpaczliwą pasją, z jaką czasami (choć nie tak często w ostatnich latach) zanosila modły do Wszechmocnego. Kiedyś modliła się przez całą noc o uwolnienie od trądziku, a rano jej twarz wyglądała wprost koszmarnie. W sytuacji nie

do wytrzymania ludzie gotowi są modlić się do kogokolwiek, a nawet do czegoś. W okopach naprawdę nie ma ateistów. Ludzie modlą się do pocisków, żeby trafiły gdzieś indziej.

Dziwne w przypadku Marcii było jedynie to, że jej modlitwa została wysłuchana. Karaluchy umknęły z jej mieszkania tak szybko, jak tylko pozwalały im krótkie nóżki. Poruszały się przy tym po liniach prostych. Czyżby ją usłyszały? Czyżby zrozumiały?

Marcia zobaczyła, jak jeden z nich wychodzi z szafki.

— Stój! — zawołała.

Stanął.

Na rozkaz Marcii karaluch maszerował w górę i w dół, w lewo i w prawo. Podejrzewając, że jej fobia osiągnęła poziom szaleństwa, Marcia wyszła z łóżka, zapaliła światło i ostrożnie podeszła do karalucha, który tkwił nieruchomo, tak jak mu kazała.

— Pomachaj czułkami! — rozkazała.

Karaluch pomachał czułkami.

Marcia zastanawiała się, czy wszystkie karaluchy będą jej tak samo słuchały, i przekonała się w ciągu następnych kilku dni, że były. Robiły wszystko, co im kazała. Jadły truciznę z jej ręki. No, może niezupełnie z ręki, ale na jedno wychodzi. Były jej oddane. Niewolniczo.

To koniec moich problemów z karaluchami, pomyślała. Ale, rzecz jasna, był to dopiero początek.

Nie zastanawiała się zbytnio nad przyczyną, dla której karaluchy są jej posłuszne. Nigdy nie zaprzętała sobie głowy problemami abstrakcyjnymi. Skoro poświęciła karaluchom tyle czasu i uwagi, wydawało się jej naturalne, że powinna uzyskać nad nimi pewną władzę. Jednak miała dość rozumu, aby nigdy nie wspomnieć nikomu o tej władzy — nawet pannie Bismuth z agencji ubezpieczeniowej. Panna Bismuth czytała magazyny z horoskopami i twierdziła, że potrafi nawiązać telepatyczną łączność ze swoją sześćdziesięcioośmioletnią matką mieszkającą w Ohio. Co Marcia miałaby jej powiedzieć? Że potrafi nawiązać telepatyczną łączność z karaluchami? Niemożliwe.

Używała swojej władzy w jednym tylko celu — gdy któryś się pojawił, odsyłała go do Szapałowów, rozkazując mu tam pozostać. Zdumiewające, że mimo to szlakiem rur wciąż przybywały nowe. Marcia doszła do wniosku, że muszą to być młodsze pokolenia. Wiadomo, że karaluchy rozmnażają się szybko. Ale nie było trudno odesłać je z powrotem.

— Do łóżek! — dodała raz pod wpływem nagłego impulsu. — Wleźcie im do łóżek! — Myśl, jakkolwiek obrzydliwa, przeszła ją rozkosznym dreszczem.

Następnego ranka kobieta od Szapałowów, śmierzząc nieco bardziej niż zazwyczaj (co też oni takiego piją? — zastanawiała się Marcia), czekała w otwartych drzwiach swojego mieszkania na dziewczynę wychodzącą do pracy. Jej domowa sukienka była uwalana po próbach wyszorowania podłogi. Rozmawiając z Marcia, kobieta usiłowała równocześnie wykrecić brudną szmatę.

— Nie do wiary! — wykrzyknęła. — Widzisz pani, co za draństwo? Nie do wiary!

— Co takiego? — zapytała Marcia, doskonale wiedząc, o co chodzi.

— Karaczany! Wszędzie ich pełno! U pani też, kochaniutka? Ja nie wiem, co mam robić! Trzymam w domu porządek, Pan Bóg świadkiem — tu wzniosła ku niebu kaprawe oczy na świadectwo prawdziwości swoich słów — ale z nimi już nie idzie sobie poradzić! — Pochyliła się konfidencjonalnie. — Nie uwierzysz pani, kochaniutka, ale dziś w nocy... — w tym momencie pomiędzy jej zwisających w strąkach włosów wynurzył się karaluch i zaczął się gramolić w kierunku jej oczu — ...nalazły nam do łóżka, uwierzysz, kochaniutka? Chyba z setka ich była! Powiedziałam Osipowi... Co się dzieje, kochaniutka?

Marcia, oniemiała ze zgrozy, pokazała palcem karalucha, który dotarł już niemal do grzbietu nosa sąsiadki.

— A tak! — stwierdziła kobieta, miażdżąc go i wycierając brudny kciuk w brudną sukienkę. — Cholerne karaczany! Nienawidzę ich, Bóg mi świadkiem. Ale co człowiek może

na to poradzić? Chciałam zapytać, kochaniutka, czy pani też tak dają do wiwatu? No bo skoro pani tak mieszka drzwi w drzwi, to sobie pomyślałam... — Uśmiechnęła się porozumiewawczo, jakby chciała powiedzieć, że to sprawa między nimi kobietami. Marcia niemal oczekiwała, że spomiędzy jej szczerbatych zębów wypełźnie karaluch.

— Nie. Ja używam „Czarnej Flagi”. — Cofnęła się spod drzwi w kierunku bezpiecznego terytorium klatki schodowej. — „Czarnej Flagi”! — powtórzyła głośniej. — „Czarnej Flagi”! — krzyknęła już z dołu. Kolana tak się jej trzęsły, że musiała się przytrzymać metalowej poręczy, żeby nie upaść.

W agencji Marcia nie była w stanie skupić się przez pięć minut na pracy. (Jej praca w dziale dywidend ubezpieczeniowych polegała na dodawaniu długich rzędów dwucyfrowych liczb na maszynie firmy Borrough i wyszukiwaniu błędów w wynikach podobnych operacji wykonywanych przez współpracowników). Wciąż myślała o karaluchach w zmierzwionych włosach tamtej kobiety, o łóżku rojącym się od karaluchów i innych, mniej sprecyzowanych okropnościach lęgnących się na obrzeżach jej świadomości. Liczby pływały i roily się jej przed oczami, dwa razy biegła do toalety, ale za każdym razem alarm okazał się fałszywy. W porze lunchu stwierdziła, że nie ma apetytu. Zamiast do pracowniczej stołówki, poszła przejść się Dwudziestą Trzecią, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Mimo wiosny wszystko zdawało się emanować ropiejącym rozkładem. Sklepy w budynku Flatiron sączyły wilgotną czerń, ścieki były pełne gnijącej pulpy, smród spalonego tłuszczu wisiał w powietrzu wokół tanich restauracji jak dym z papierosów w zamkniętym pokoju.

Po południu było jeszcze gorzej. Nie mogła trafić palcami we właściwe liczby, jeśli nie patrzyła na klawiaturę. Jedno niemądre zdanie wciąż rozbrzmiewało w jej głowie: „Coś trzeba z tym zrobić. Coś trzeba z tym zrobić”. Całkiem zapomniała, że przecież sama wysłała karaluchy do łóżka Szapałowów.

Tego wieczoru nie poszła od razu do domu. Wybrała się do kina na podwójny seans w cenie jednego biletu. Nie stać ją było na lepsze filmy. Mały synek Susan Hayward omal nie utonął w ruchomych piaskach — tyle z tego zapamiętała.

Potem zrobiła coś, czego nie robiła nigdy przedtem. Poszła na drinka do baru. Na dwa drinki. Nikt jej nie zaczepiał, nikt nawet nie spojrzał w jej stronę. Na Thompson Street wróciła taksówką (metro nie było bezpieczne o tej porze). Nie zostało jej już nic na napiwek dla taksówkarza. Powiedział, że rozumie, nic nie szkodzi.

W szczelinie pod drzwiami mieszkania Szapałowów paliło się światło. Śpiewali. Była jedenasta w nocy.

— Coś trzeba z tym zrobić — szepnęła do siebie Marcia z przejęciem. — Coś trzeba z tym zrobić.

Nie zapalając światła, nawet nie zdejmując swojego nowego wiosennego płaszczyka, Marcia uklękła i na czworakach podkradła się do zlewu. Wyciągnęła chusteczki, którymi uszczelniła prześwity wokół rur. Byli tam, cała trójka, i pili. Kobieta siedziała na kolanach jednookiego mężczyzny, a ten drugi, w brudnym podkoszulku, przytupywał do wtóru ich głośnych, nieskładnych śpiewów. Okropność. Pili rzecz jasna, a teraz kobieta przycisnęła swoje karaluchowate usta do ust jednookiego mężczyzny — cmok, cmok. Zgroza, zgroza. Marcia wczepiła palce w swe mysie włosy.

Brud, zaraza! — myślała. Cóż, ostatnia noc niczego ich nie nauczyła!

Nieco później (Marcia straciła poczucie czasu) górne światło w mieszkaniu Szapałowów zgasło. Marcia czekała do chwili, gdy wszystkie hałasy ucichły.

— Teraz — powiedziała. — Wszystkie, ile was jest. Wszystkie w tym budynku, wszystkie, które mnie słyszycie, zgromadźcie się wokół łóżka, ale jeszcze czekajcie. Cierpliwości. Wszystkie, ile was jest... — Słowa rozkazu podzieliły się na niewielkie fragmenty, które powtarzała jak paciorki różańca, małe, brązowe, obłe drewniane paciorki. — Zbierzcie się... Jeszcze czekajcie... Wszystkie... Cierpliwości... Zbierzcie się...

Gładziła rury z zimną wodą i wydawało jej się, że słyszy, jak karaluchy gromadzą się, przeciskają przez szczeliny w ścianach, wypelzają z kredensów, z worków ze śmieciami. Zastępy, armia, a ona była ich absolutną królową.

— Teraz! — powiedziała. — Na nich! Pokryjcie ich! Pożryjcie!

Nie miała już wątpliwości, że je słyszy. Brzmiało to jak szelest trawy na wietrze albo jak osypywanie się sterty żwiru zrzuconego z ciężarówki. Potem był przeraźliwy krzyk kobiety i przekleństwa mężczyzn. Tak okropne, że Marcia zatkała uszy.

Światło się zapaliło i Marcia je zobaczyła. Zobaczyła karaluchy. Wszędzie. Wszystkie powierzchnie, ściany, podłogi, sfatygowane graty były upstrzone okazami *Blattella germanica*. Było ich więcej niż jedna warstwa. Kobieta, stojąc na łóżku, monotonicznie wyła. Jej różową nocną koszulę ze sztucznego jedwabiu pokrywały ciemnobrązowe kropki. Sękatymi palcami usiłowała wygrzebać insekty z włosów, zetrzeć je z twarzy. Mężczyzna w podkoszulku, który przedtem przytupywał do muzyki, teraz tupał znacznie energiczniej, wciąż trzymając jedną ręką sznur od lampy. Wkrótce podłoga była śliska od rozdeptanych karaluchów, mężczyzna się pośliznął i światło zgasło. Krzyk kobiety był teraz jakiś zduszony, jakby...

Ale Marcia się nad tym nie zastanawiała.

— Dosyć — szepnęła. — Wystarczy. Przestańcie.

Wycofała się na czworakach spod zlewu, wracając do stojącego po drugiej stronie pokoju łóżka, które dzięki kilku jaskrawym poduszkom usiłowało maskować się w ciągu dnia, udając kanapę. Oddychała ciężko, w gardle czuła dziwny ucisk. Pot łał się z niej strumieniami.

Z pokoju Szapałowów dobiegały odgłosy szurania, trzasnęły drzwi, dał się słyszeć tupot nóg, a potem głośniejszy, stłumiony dźwięk, coś jakby ciała spadającego ze schodów. „Co wy u diabła wyra...” — rozległ się głos właścicielki, zagłuszony przez inne głosy. Potem bezładne dźwięki i odgłos kroków wracających na górę.

I znów głos właścicielki: „Przecież tu nie ma żadnych karaluchów, do jasnej cholery! Te karaluchy są w waszych głowach! Macie delirium! Nie zdziwiłabym się, gdyby wam się tu karaluchy załęgły, w takim brudzie żyjecie. Popatrzcie na ten śmietnik na podłodze. Co za brud! Znosiłam was już wystarczająco długo. Jutro macie się wynieść, rozumiano? To był porządny dom!”

Szapałowowie nie protestowali przeciwko eksmisji. Nawet nie czekali do rana. Opuścili mieszkanie z jedną walizką, workiem do prania i elektrycznym tosterem. Marcia patrzyła przez uchylone drzwi, jak schodzą na dół po schodach.

Już po wszystkim, pomyślała. Skończyło się.

Z westchnieniem niemal zmysłowej rozkoszy włączyła lampkę przy łóżku, a potem pozostałe lampy. Pokój lśnił nieskazitelną czystością. Postanawiając uczcić swoje zwycięstwo, podeszła do szafki, w której trzymała butelkę likieru miętowego.

Szafka była pełna karaluchów.

Marcia nie powiedziała im, dokąd mają pójść, a dokąd nie iść, kiedy opuszczą mieszkanie Szapałowów. To była jej wina.

Ogromna milcząca masa przyglądała się jej ze spokojem i oszołomionej dziewczynie wydawało się, że może czytać w ich myślach, a raczej w myśli, bo wszystkie miały jedną i tę samą myśl. Była dla niej równie czytelna jak podświetlona tablica reklamowa sieci Chuck Full O’Nuts za oknem. Równie słyszalna jak muzyka wydobywająca się z tysiąca mikroskopijnych fujarek. To była stara pozytywka, która odezwała się po wiekach ciszy: „Kochamy cię, kochamy cię, kochamy cię”.

Coś dziwnego zaczęło się dziać wówczas w jej wnętrzu, coś, co nie zdarzyło się nigdy przedtem. Odpowiedziała:

— Ja też was kocham. Och, kocham was. Chodźcie do mnie wszystkie. Chodźcie do mnie. Kocham was. Chodźcie do mnie. Kocham was. Chodźcie do mnie.

Z każdego zakątka Manhattanu, z murszejących murów Harlemu, z restauracji przy Pięćdziesiątej Szóstej, z magazynów nad rzeką, ze ścieków i skórek pomarańczy gnijących w kubłach na śmieci zaczęły wyłazić przepelnione miłością karaluchy, zmierzając w kierunku swojej pani.

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

WŁADCZYNI DOMU MIŁOŚCI

Wampir, generalnie rzecz biorąc, pojawia się w literaturze jako spragniony krwi nocny morderca, wpisujący się w tradycję, którą Bram Stoker spopularyzował przed stuleciem w swojej klasycznej powieści „Drakula” (1897). Wyjątków od tej reguły, tak w druku, jak i w filmie, było niewiele. W 1974 roku nakręcono filmową komedię „Wampir” z Davidem Nivenem, a humorystyczne opowiadania fantastyczne Anthonyego Bouchera („They Bite” 1943), Roberta Blocha („The Bat Is My Brother”, 1944), Philipa K. Dicka („Pani od ciasteczek” 1953) wraz z zamieszczonym tu opowiadaniem Angeli Carter to niewątpliwie najlepsze przykłady zabawy tą konwencją. We „Władczyni domu miłości” poznajemy wampirzycę, która źle się czuje w swojej roli, ubiera się w biały dezabil, nosi zielone okulary, uwielbia stawiać pasjansa i wolałaby trzymać króliki dla przyjemności, zamiast je zjadać, kiedy brakuje „ludzkiego” pożywienia.

Angela Carter (1940–92), którą dziennik „Times” nazwał kiedyś bajkopisarką o demonicznej energii, tworząc swoje błyskotliwe, barokowe powieści i opowiadania, inspirację czerpała z mitów i legend. Pochodząca z Sussex autorka przez jakiś czas prowadziła warsztaty literackie w Anglii i Ameryce, równocześnie doskonaląc swój wyjątkowy styl, znany z jej głośnych powieści fantastycznych, takich jak „Magiczny sklep z zabawkami” (który zdobył nagrodę literacką imienia Johna Llewellyna Rhysa), „Piekielne maszyny żądy doktora Hoffmana” (1972) i „Cyrkowe noce” (1984, uhonorowane nagrodą pamięci Jamesa Taita Blacka). Jej opowiadanie o wilkołaku, „Towarzystwo wilków” parodiujące historię Czerwonego Kapturka, zostało sfilmowane w 1984 roku przez Neila Jordana. „Władczyni domu miłości” też jest swoistą parodią „Drakuli” chociaż nasza „królowa wampirów” naprawdę chciałaby być człowiekiem, a jej przystojny młody gość nie jest prawnikiem przybywającym — powozem w środku nocy, ale młodym, niefrasobliwym turystą, który, niczego nie podejrzewając, w upalny letni dzień przyjeżdża na rowerze przed jej karpacką rezydencję...

* * *

W końcu krwiopijcy stali się tak uciążliwi, że chłopcy opuścili wioskę, która dostała się w ręce mściwych, skrytych mieszkańców, ujawniających swą obecność poprzez cienie padające odrobinę krzywo, zbyt ciemne i liczne nawet w południe, pozbawione źródeł; poprzez dźwięki, szlochanie w opuszczonej sypialni, w której pęknięte lustro nie odbija nikogo; poprzez dziwny niepokój ogarniający podróżnych dość nieostrożnych, by napić się wody z fontanny na rynku, z której kamiennej lwiej paszczy wciąż tryska źródłana woda. Kot poluje w zarośniętym ogrodzie; szczerzy zęby i syczy, wygina grzbiet, na czterech sztywnych ze strachu łapach ucieka przed czymś niematerialnym. Teraz wszyscy omijają wioskę nieopodal *château*, w którym piękna lunaticzka bezsilnie powtarza zbrodnie swoich przodków.

Odziana w starą suknię ślubną, piękna królowa wampirów zasiada sama w mrocznym wyniosłym domostwie pod czujnym okiem portretów szalonych i potwornych przodków, których złowieszcze pozagrobowe istnienie trwa nadal w jej osobie.

Odlicza karty tarota, niestrudzenie tworząc konstelacje możliwości, jak gdyby losowy układ kart na obitym czerwonym pluszem stoliku mógł zabrać ją z tego zimnego ciemnego pokoju do krainy wiecznego lata i wymazać nieodrodny smutek dziewczęcia będącego nie tylko martwą, ale i dziewczcą.

W jej głosie dźwięczą odległe kadencje, podobne odbiciom dźwięku w jaskini: jesteś w miejscu zniszczenia, jesteś w miejscu zniszczenia. I ona sama jest jak jaskinia pełna ech, konstrukcja złożona z powtórek, obwód zamknięty. „Czy ptak śpiewa tylko znaną mu melodię, czy też może nauczyć się nowej?”. Przesuwa długim ostrym paznokciem po prętach klatki, w której ćwierka oswojony skowronek, i w powietrzu unosi się żalobny brzęk, dźwięk trąconej struny kobiecego serca.

Większa część zamku została oddana we władanie widmowym mieszkańcom, ona jednak ma własne pokoje: salonik i sypialnię.

Starannie zaryglowane okiennice i ciężkie zasłony nie dopuszczają do niej nawet promyka naturalnego światła. Pośrodku stoi okrągły stolik na jednej nodze, okryty czerwonym pluszem, na którym rozkłada tarota; jedynie słaby blask lampy z abażurem stojącej na kominku oświetla pokój; na ciemnej tapecie w czerwony deseni widać zaskakujący i niepokojący wzór kropel deszczu, które przeciekają przez szpary w zaniedbanym dachu i pozostawiają po sobie serię plam, złowieszczych śladów, jak te pozostawione na pościeli przez martwych kochanków. Wszędzie panują niepodzielnie grzyb i zgnilizna. Zgaszony żyrandol pokrywa tak gruba warstwa kurzu, że nie widać już kształtów poszczególnych kryształków; pracowite pająki wysnuły w kątach ciężkie baldachimy, uwięziły porcelanowe wazy na kominku w gąszczu szarych lepkich sieci. Lecz władczyni tego chyłącego się ku upadkowi bogactwa niczego nie dostrzega.

Siedzi na krześle obitym nadjedzonym przez mole aksamitem barwy wina, przy niskim okrągłym stoliku i rozkłada karty; skowronek czasem śpiewa, lecz najczęściej pozostaje nadąsanym „wzgórkiem szarych piór. Czasami hrabina budzi go na parę kadencji, trącając pręty klatki; lubi słuchać, jak ptak ogłasza wszem wobec, że nie może uciec.

Hrabina budzi się, gdy zachodzi słońce, i natychmiast podchodzi do stolika, na którym rozkłada pasjansa, póki nie ogarnie jej głód, szaleńczy, przejmujący głód. Jest tak piękna, że to aż nienaturalne — jej uroda to coś niezwykłego, kalectwo, bo w rysach nie widać wzruszającej niedoskonałości właściwej ludzkiej naturze. Jej uroda to objaw choroby, braku duszy.

Mroczna piękność białymi dłońmi rozkłada karty. Paznokcie ma dłuższe niż starożytni chińscy mandaryni, każdy zakończony spiczasto; jej zęby są ostre i białe jak kawałki cukrowej waty — jedno i drugie stanowią widome symbole przeznaczenia, którego na próżno usiłuje uniknąć poprzez arkana. Stulecia bliskości trupów wyostrzyły jej szpony i zęby. Jest ostatnim pączkiem drzewa wyrosłego z lędźwi Włada Palownika, który urządził w lasach Transylwanii uczty z ludzkich ciał.

Ściany jej sypialni obito czarną satyną haftowaną łzami pereł. W czterech kątach pokoju stoją urny cmentarne i misy, z których wydzielają się senne, ciężkie opary kadzidła. Pośrodku pierścień długich świec w olbrzymich srebrnych lichtarzach okala misternie zdobiony hebanowy katafalk. Odziana w białą koronkową koszulę, poplamioną lekko krwią, hrabina o świcie każdego dnia wspina się na katafalk i kładzie do snu w otwartej trumnie.

Długowłosa pop z kościoła ortodoksyjnego przebił kołkiem jej złowrogiego ojca na rozstajach dróg w Karpatach, nim jeszcze wyrosły jej zęby mleczne. W chwili śmierci nieszczęsny hrabia krzyknął: „Nosferatu nie żyje; niech żyje Nosferatu!”. Teraz jej przypadły w udziale wszystkie nawiedzone lasy i tajemnicze kryjówki rozległych włości; stała się dziedziczną głównodowodzącą armii cieni, która rozbiła swój obóz w wiosce pod *château*, cieni krążących po lasach w postaci sów, nietoperzy i lisów, sprawiających, że mleko kiśnie, a masło się nie da ubić, dosiadających nocą koni podczas szaleńczych łowów, po których rankiem pozostają jedynie bezkrwiste worki ze skóry pełne kości, dojących krowy do sucha i — zwłaszcza — dręczących dojrzewające dziewczęta omdleniami, uderzeniami krwi, chorobami wyobraźni.

Lecz sama hrabina obojętnie przyjmuje swą osobliwą władzę, jak gdyby tylko o niej śniła. W swym śnie chciałaby być człowiekiem, nie wie jednak, czy to możliwe. Tarot zawsze ukazuje tę samą konfigurację: La Papesse, La Mort, La Tour Aboie — Arcykapłanka, Śmierć, Wieża w Ruinie.

W bezksiężycowe noce opiekunka wypuszcza ją do ogrodu. Ogród ów wielce przypomina cmentarzysko, a róże, zasadzone jeszcze przez matkę hrabiny, rozrosły się w olbrzymi kolczasty mur otaczający zamek. Gdy tylne drzwi stają otworem, hrabina węszy w powietrzu i zaczyna wyć. Skulona, drżąca, wyczuwa woń ofiary. Cudowny chrzęst kruchych króliczych kości, małych futrzastych stworzeń, które ściga chyżo na czworakach, a potem pełźnie do domu z twarzą umorusaną krwią. W sypialni nalewa wody z dzbana do miski i myje twarz urywanymi, pełnymi gracji ruchami jak kot.

Nocne łowy w mrocznym ogrodzie urozmaicają jej codzienne lunatyczne trwanie, życie będące imitacją życia. Oczy nocnego stworzenia rozszerzają się i płoną, atakuje w furii szponów i kłów, pożera, lecz nic nie jest w stanie jej pocieszyć, wyzwolić z upiornego trwania. Szuka otuchy w magicznej talii tarota. Tasuje karty, wyklada je, odczytuje, zgarnia z westchnieniem, znów tasuje, nieustannie tworząc hipotezy dotyczące nieodwracalnej przyszłości.

Opiekuje się nią stara niema kobieta, pilnuje, by nigdy nie ujrzała słońca i całe dni spędzała w trumnie, trzyma z dala od niej zwierciadła i wszelkie odbijające obrazy powierzchni — krótko mówiąc, wypełnia wszystkie zadania służki wampirów. I owa piękna upiorna dama jest dokładnie taka, jaka powinna być królowa nocy, królowa grozy — tyle że przyjmuje tę rolę z ogromną niechęcią.

Jeśli nieroztropny, żądny przygód podróżny zatrzyma się na rynku opuszczonej wioski, by zaczerpnąć wody z fontanny, z mroku domu wyłoni się starucha w czarnej sukni i białym fartuchu. Zaprosi cię gestami i uśmiechem, a ty pójdziesz za nią. Hrabina pragnie świeżego mięsa. Gdy była mała, niczym lisica zadowalała się młodymi królikami piszczącymi żałośnie, gdy przegryzała im gardła z pełną obrzydzenia lubieżnością, kretami i myszami polnymi, które szamotały się przez jedną ledwie chwilę w jej palcach hafciarki. Teraz jednak jest już kobietą i potrzebuje mężczyzn. Jeśli przystaniesz zbyt długo obok rozchichotanej fontanny, zostaniesz zaprowadzony za rękę do spiżarni hrabiny.

Całymi dniami leży w swej trumnie w koszuli z zakrwawionej koronki. Kiedy słońce znika za górami, hrabina ziewa, porusza się i wkłada swą jedyną suknię, ślubną suknię matki. A potem siada i układa karty, póki nie zgłodnieje. Nienawidzi tego, czym się żywi. Wołałaby zabrać króliki do domu, karmić je sałatą, pieścić, urządzić im gniazdo w czarno-czerwonym chińskim sekretarzyku, lecz głód zawsze zwycięża i każe jej zatopić zęby w króliczej szyi, w miejscu gdzie arteria pulsuje strachem. Potem z cichym okrzykiem bólu i niesmaku odrzuca pusty skórzany worek, z którego wysysa krew do ostatniej kropli. Tak samo ma się rzecz z młodymi pasterzami i Cyganami, którzy gnani głupią odwagą bądź ignorancją, zatrzymują się, by umyć stopy w fontannie; guwernantka hrabiny prowadzi ich do saloniku, gdzie wśród kart na stole zawsze pojawia się Kostucha. Hrabina częstuje ich kawą w małych, popękanych, bezcennych filiżankach i ciasteczkami. Niezgrabni młodzieńcy siedzą z filiżanką w jednej dłoni i ciasteczkiem w drugiej, chlapiąc dokoła kawą, zapatrzeni w hrabinę w atlasowej sukni, nalewającą im ze srebrnego imbryka i gawędzącą o niczym, by ich uspokoić. Widoczny w jej oczach martwy smutek świadczy o tym, jak bardzo jest niepocieszona. Chciałaby pogłodzić ich chude smagłe policzki, pogłaskać rozwichrzone włosy. Kiedy bierze ich za rękę i prowadzi do sypialni, nie mogą uwierzyć własnemu szczęściu.

Później guwernantka zbiera szczątki na niewielki stosik i pakuje w porzucone ubranie, po czym dyskretnie grzebie paczuszkę w ogrodzie. Krew na policzkach hrabiny miesza się ze łzami; opiekunka srebrną wykałaczką czyści jej paznokcie, pozbywając się tkwiących tam skrawków skóry i odłamków kości.

Fe fi fo fum fa
Czuję tu krew Anglika.

Pewnego gorącego dojrzałego lata, w młodzieńczym okresie obecnego stulecia, młody oficer brytyjskiej armii, jasnowłosa, niebieskooki, odwiedziwszy przyjaciół w Wiedniu, zdecydował się spędzić resztę przepustki w mało znanych górach Rumunii. Kiedy z charakterystyczną dla siebie donkiszoterią postanowił przemierzyć wyboiste trakty na rowerze, nazwał swą wyprawę dowcipnie: „Na dwóch kółkach w krainę wampirów”. I tak ze śmiechem wyruszył na spotkanie przygody.

Ma w sobie ową szczególną dziewiczość, najbardziej i najmniej dwuznaczną z cech: ignorancję połączoną z mocą *in potentia* i niewiedzą, nie będącą tym samym co ignorancja. Młodzieniec jest kimś więcej, niż sądzi — i ma w sobie ów szczególny urok pokolenia, któremu historia zgotowała już wyjątkowy los w okopach Francji. I oto owe stworzenie, mocno zakorzenione w swych czasach i zmianach, ma zderzyć się z ponadczasową gotycką wiecznością wampirów, dla których wszystko jest takie, jakie było i będzie, których karty zawsze układają się w ten sam wzór.

Choć tak młody, jest jednak człowiekiem rozsądnym. Na swą wycieczkę w Karpaty wybrał sobie najracjonalniejszy w świecie środek transportu. Jazda na rowerze sama w sobie stanowi ochronę przed przesadnymi strachami, bo rower to wcielony w życie produkt czystego rozumu. Geometria w służbie człowieka! Dajcie mi dwa koła i linię prostą, a pokażę wam, jak daleko mnie poniosą. Sam Wolter mógł wynaleźć rower, służy on bowiem jedynie dobru człowieka. Dobroczynny dla zdrowia, nie wydziela szkodliwych wyziewów i pozwala rozwijać jedynie bezpieczną prędkość. W jaki sposób rower miałby wyrządzić komukolwiek krzywdę?

Jeden pocałunek obudził śpiącą w lesie królową.

Woskowe palce hrabiny, palce ze świętego obrazu, odsłaniają kartę Les Amoureux. Nigdy, nigdy dotąd... nigdy dotąd nie przepowiedziała sobie przyszłości, w której zjawiłaby się miłość. Trzęsie się, dyszy, jej wielkie oczy znikają pod delikatnie żyłkowanymi trzepoczącymi nerwowo powiekami; tym razem piękna wróżka po raz pierwszy odsłoniła przed sobą układ miłości i śmierci.

Żywy czy martwy, niechaj tu zagości,
Chleba upiekę z mąki z jego kości.

O pierwszym liliowym zmierzchu angielski monsieur wspina się na wzgórze do wioski, którą dostrzegł z daleka; musiał zejść z roweru i prowadzić go przed sobą, bo ścieżka jest zbyt stroma do jazdy. Ma nadzieję znaleźć tu przyjazną gospodę, w której zatrzyma się na noc. Jest zgrzany, głodny, spragniony, zmęczony, brudny... Z początku z ogromnym poczuciem zawodu odkrywa, że dachy domów już dawno się zapadły, pomiędzy stosów dachówek wyrastają chwasty, a okiennice wiszą ponuro na pordzewiałych zawiasach. Bujna roślinność szepcze wokół, jakby zdradzała najohydniejsze tajemnice miejsca, w którym człowiek obdarzony dostateczną wyobraźnią niemal widzi powykrzywiane twarze, pojawiające się na moment w mroku pod zwalonymi dachami... Lecz duch przygody, a także porażający urok barwnych malw, wciąż jeszcze kwitnących dzielnie w zarośniętych ogrodach, piękno ognistego zachodu słońca, wszystko to wkrótce przegnało rozczarowanie, a nawet ukoilo dręczący go nieokreślony niepokój. Fontanna, w której wieśniaczki prały niegdyś ubrania, wypływała z siebie jasną czystą wodę. Młodzian z wdzięcznością umył w niej stopy i dłonie, a potem przysunął usta do kranu, pozwalając, by lodowaty strumień spłynął mu po twarzy.

Gdy uniósł ociekającą wodą wdzięczną głowę, wyciągając ją z lwiej paszczy, odkrył, że na rynku bezszelestnie zjawiała się staruszka, uśmiechnięta szeroko, życzliwie. Miała na sobie czarną suknię z białym fartuchem, u pasa dźwięczał jej gospodarski pęk kluczy. Siwe włosy spłotła w kok pod białą lnianą chustą, noszoną przez stare kobiety w tym rejonie. Na widok młodzieńca dygnęła i gestem wezwała, by poszedł za nią. Gdy się zawahał, wskazała górujący nad nimi wielki masyw dworu. Potarła brzuch, pokazała palcem usta, znów potarła brzuch, wyraźnie odgrywając zaproszenie na kolację. Potem znów go wezwała, tym razem z determinacją obracając się na pięcie, jakby nie dopuszczała najmniejszego sprzeciwu.

Gdy tylko opuścili wioskę, twarz omiotła mu upajająca fala ciężkiej różanej woni, tak mocnej, że zakręciło mu się w głowie; powiew przejmującej słodczy, doprawionej nutką rozkładu, dość silnej, by niemal zwalić go z nóg. Zbyt wiele róż. Zbyt wiele róż kwitło w gąszczu po obu stronach ścieżki, gąszczu najeżonym cierniami. A same kwiaty były aż zbyt piękne, wręcz obsceniczne w swym przepychu. Zamek wyłaniał się niechętnie z tej pachnącej dżungli.

W subtelnym, poruszającym świetle zachodzącego słońca, owym złotym świetle przesyconym nostalgią za dniem, który właśnie mija, ponury zamek — po części bogaty dwór, a po części zbrojna siedziba, olbrzymie zaniedbane orle gniazdo wznoszące się wysoko nad krętymi uliczkami wioski — przypominał mu słuchane w dzieciństwie opowieści, powtarzane w zimowe wieczory, gdy wraz z braćmi i siostrami próbowali wystraszyć się śmiertelnie historiami o duchach, rozgrywającymi się w takich właśnie zrujnowanych zamkach, a potem musieli zapalić świece, by pokonać przerażające schody prowadzące na górę, do łóżka. Prawie już pożałował, że przyjął niespodziewane zaproszenie; teraz jednak, stojąc przed drzwiami z nadgryzionego zębem czasu dębu i patrząc, jak stara kobieta z brzęczącego pierścienia u pasa wybiera wielki żelazny klucz, pojął, że za późno już, by zawrócić, i szorstko przypomniał sobie, że nie jest dzieckiem i nie powinien bać się swoich wyobrażeń.

Stara służąca otworzyła drzwi, które uchyliły się na melodramatycznie skrzypiących zawiasach, i mimo protestów młodziana zakrzętnęła się przy jego rowerze. Na widok pięknego dwukołowego symbolu racjonalizmu, znikającego w mrocznych wnętrzościach dworu, przybyszowi ścisnęło się serce. Nie wątpił, iż jego pojazd trafi do wilgotnej przybudówki, w której nikt go nie nasmaruje ani nie sprawdzi dętek, ale skoro się powiedziało A, trzeba powiedzieć i B — i zbrojny w swą młodość, siłę i urodę, w niewidzialny, nieświadomiony puklerz dziewictwa, młodzieniec przekroczył próg zamku Nosferatu i nie zadrzał, czując powiew zimnego powietrza dobiegający z mrocznego wnętrza niemal jak z otwartego grobu.

Starucha zaprowadziła go do niewielkiej komnaty. Czekał tu stół z czarnego dębu, nakryty białym obrusem, na którym starannie ułożono srebrne sztuce, nieco poczerniałe, jakby chuchnął na nie ktoś o cuchnącym oddechu. Przygotowano tylko jedno nakrycie. Zdziwniej i zdziwniej; zaproszony na wieczerę musiał wieczerzać samotnie. Usiadł. Choć na dworze nie zapadła jeszcze ciemność, w oknach zaciągnięto zasłony. Jedyne skromne źródło światła stanowiła samotna lampa naftowa. W jej blasku dostrzegł żaloszny stan tego pomieszczenia. Starucha krzątała się, przynosząc z przeżartej przez korniki dębowej szafki butelkę wina i kieliszek. Gdy z namysłem pociągnął łyk, zniknęła, by wkrótce powrócić z dymiącym półmiskiem miejscowej potrawy mięsnej z kluseczkami i kanciastym bochenkiem razowego chleba. Wyglądniały po długim dniu jazdy zjadł z apetytem i wytarł talerz skórką chleba. Nie spodziewał się tak prostego dania w szlacheckim domu. Zdumiało go też szacujące spojrzenie oczu niemej kobiety, która obserwowała go przy posiłku.

Gdy tylko skończył, natychmiast przyniosła dokładkę. Wydawała się tak przyjazna i miła, iż pojął, że może liczyć na nocleg w łóżku w zamku, i upomniał się ostro, wyrzucając sobie

dziecięcy brak entuzjazmu z powodu niesamowitej ciszy i lekkiego chłodu panującego w tej komnacie.

Kiedy opróżnił drugi talerz, stara kobieta zjawiała się i znów gestem poleciła mu pójść za nią. Odegrała pantomimę picia, toteż wydedukował, że został teraz zaproszony na wieczorną kawę w innym pokoju w towarzystwie godniejszego mieszkańca, który nie życzył sobie zjeść z nim posiłku, ale pragnął poznać gościa. To bez wątpienia zaszczyt; szanując ewidentnie wysokie mniemanie gospodarza na temat własnej osoby, młodzian poprawił krawat i strzepnął z tweedowej marynarki okruchy chleba.

Zdumiało go, do jakiego stopnia wewnątrz okazało się zrujnowane — pajęczyny, spróchniałe belki, osypujący się tynk; lecz niema starucha wiodła go niekończącymi się korytarzami, krętymi schodami, galeriami, w których dostrzegał oczy na portretach rodzinnych, oczy należące do twarzy obdarzonych bez wyjątku osobliwymi i wyjątkowo drapieżnymi rysami. W końcu starucha przystanęła. Zza drzwi, do których dotarli, dobiegł go cichy metaliczny brzęk, jakby trąconej struny harfy. A potem, o cudzie, usłyszał srebrzystą kaskadę śpiewu skowronka, wypełniającą ów — och, gdyby tylko wiedział! — grobowiec Julii świeżością poranka.

Starucha zastukała w drewniane płyty i ze środka odezwał się najbardziej uwodzicielski, pieszczotliwy głos, jaki młodzian słyszał w życiu, mówiący miękko o francusku z wyraźnym obcym akcentem, właściwym rumuńskiej arystokracji.

— *Entrez.*

Najpierw ujrzał jedynie sylwetkę otuloną mglistą poświatą — to słabe światło odbijało się w poźółkłej powierzchni czegoś, co po bliższym przyjrzeniu okazało się suknią z krynoliną, uszytą z białego atlasu, tu i ówdzie ozdobionego koronką; suknią niemodną od co najmniej pięćdziesięciu lat, lecz kiedyś bez wątpienia przywdzianą do ślubu. Potem zaś zobaczył dziewczynę wystrojoną w ową suknię, dziewczynę kruchą niczym szkielec émy, tak szczupłą i delikatną, iż jej okrycie zdawało się zwisać w wilgotnym powietrzu niczym bajeczna klatka, ruchomy strój, w którym żyła jak duch w maszynie. Jedyne źródło światła stanowiła lampa z grubym zielonkawym abażurem, stojąca w głębi na kominku. Stara służąca osłoniła własną lampę dłonią, jakby chroniąc swą panią przed zbyt nagłym ujrzeniem otoczenia lub — być może — gościa przed zbyt nagłym ujrzeniem gospodyni.

Dopiero zatem stopniowo, w miarę jak jego oczy przywykały do półmroku, odkrył, jak piękna i bardzo młoda jest owa wystrojona nieznajoma. Może to dziecko ubrało się w strój zmarłej matki, by choć na moment znów ją ożywić.

Hrabina stała za niskim stolikiem, obok pięknej klatki ze złoconego drutu; unosiła rękę, jakby zaraz miała zerwać się do ucieczki. Ich przybycie, jak się zdawało, zaskoczyło ją zupełnie, jakby się go nie domagała. Ze swą surową białą twarzą, uroczym śmiertelnie bladym obliczem okolonym długimi ciemnymi włosami opadającymi prosto jak tuż po myciu, wyglądała niczym pana młoda porwana przez fale z pokładu statku. Niewinne, zagubione spojrzenie jej olbrzymich ciemnych oczu niemal złamało mu serce, lecz jednocześnie ze zdumieniem, wręcz odrazą, przyglądał się niezwykle mięsistym ustom, ustom o pełnych, wydatnych wargach szkarłatno — purpurowej barwy, złowieszczym ustom, a nawet — natychmiast odepchnął od siebie tę myśl — ustom dziwki. Cały czas wstrząsały nią dreszcze, dreszcze głodu, niepokój malarii atakującej kości. Uznał, że ta dziewczyna ma najwyżej siedemnaście lat, nie więcej, a jej niezwykła niezdrowa uroda przywodzi na myśl gruźliczkę. Była kasztelanką, władczynią tego popadającego w ruinę zamku.

Starucha uniosła lampę, z czułą ostrożnością pokazując gospodyni oblicze gościa. Na ten widok hrabina wydała z siebie słaby miaukliwy krzyk i machnęła na oślep rękami w pełnym wstrętu geście, jakby chciała go odepchnąć. Trąciła przy tym stolik, z którego niczym rój motyli posypały się malowane karty. Jej usta wymówiły bezdźwięczne „o” żalości. Zachwiała się lekko, po czym opadła na krzesło, gdzie na pół siedziała, na pół leżała, jakby niezdolna się

ruszyć. Zdumiewające przyjęcie. Cmokając pod nosem, starucha zaczęła szukać czegoś na stole. W końcu znalazła parę olbrzymich ciemnozielonych okularów z rodzaju tych noszonych przez ślepych żebraków. Wsunęła je hrabinie na nos.

Młodzian ruszył naprzód, by pozbiierać karty z dywanu, który, jak odkrył ku swemu zdumieniu, był częściowo przegniły, częściowo przeżarty przez różne odmiany jadowicie barwnych grzybów. Zebrał karty i przetasował je nieuważnie, nic dla niego bowiem nie znaczyły, choć wydawały się dziwną zabawką dla młodej dziewczyny. Cóż za upiorny portret rozbrykanego szkieletu! Zasłonił go radośniejszym obrazkiem — dwojga młodych kochanków uśmiechających się do siebie, i wsunął talię w dłoń tak smukłą, że pod przejrzystą skórą niemal widziało się siatkę kości; dłoń o paznokciach długich i spiczastych jak kostki do gry na banjo.

Jego dotknięcie jakby ją ożywiło, niemal się uśmiechnęła, unosząc wysoko głowę.

— Kawa — rzekła. — Musi się pan napić kawy.

Zgarnęła karty na stosik, by starucha mogła postawić przed nią srebrny kociołek, srebrny dzbanek, dzbanuszek na śmietankę, cukiernicę i filiżanki na srebrnej tacy — dziwnie eleganckie w tym zrujnowanym wnętrzu. Pani upiornego zamku jaśniała eterycznie w mroku jak obdarzona własnym blaskiem istota z głębin mórz.

Starucha znalazła mu krzesło, po czym mamrocząc coś bezdźwięcznie, odeszła, zabierając ze sobą lampę.

Podczas gdy młoda dama parzyła kawę, on miał czas obejrzeć z niesmakiem kolejną serię portretów rodzinnych zdobiących poplamione ściany. Gniewne twarze wykrzywiały się w jednakim gorączkowym obłędzie, a mięsiste usta i szalone oczy właściwe im wszystkim były niepokojąco podobne do nieszczęsnej ofiary chowu wsobnego, obecnie cierpliwie filtrującej pachnący kawowy napar, tyle że w jej przypadku niezwykle wdzięk odmienił rysy. Skowronek, zakończywszy swą pieśń, już dawno umilkł i w pokoju słychać było tylko brzęk srebra i porcelany. Wkrótce pani zamku podała mu maleńką filiżankę malowaną w różę.

— Witam — odezwała się głosem, w którym pobrzmiwał szum wzburzonego oceanu, głosem zdającym się dochodzić gdzieś z dala, nie z białego nieruchomego gardła. — Witam w moim *château*. Rzadko miewam okazję przyjmować gości, niestety, bo nic nie ożywia mnie bardziej niż obecność nieznanym... Teraz, gdy mieszkańcy porzucili wioskę, żyjemy tu samotnie, a moja jedyna towarzyszka nie mówi. Pewnie ja także wkrótce zapomnę ludzkiej mowy i nikt już mnie nigdy nie usłyszy.

Poczęstowała go ciasteczkami z talerza Limoges; paznokciem trąciła porcelanę, która zadźwięczała melodyjnym chórem dzwonek. Głos dobiegający z owych czerwonych ust podobnych różom w jej ogrodzie, ust, które w ogóle się nie poruszały — ten głos był dziwnie bezcielesny. Przywodził młodzieńcowi na myśl lalkę, lalkę brzuchomówcy, czy może wspaniałe dzieło mechanika: zdawała się bowiem słabo ożywiona powolną energią, nad którą nie panowała, zupełnie jakby nakręcono ją wiele lat temu, tuż po narodzeniu, a teraz mechanizm powoli zwalniał, by wkrótce pozostawić ją bez życia. Myśl, że ta dziewczyna może być automatem zrobionym z białego aksamitu i czarnego futra, nie dawała mu spokoju. W istocie do głębi poruszyła mu serce. Jej cyrkowa biała suknia podkreślała jeszcze nierzeczywistość postaci gospodyni — dziewczyna wyglądała jak smutna Kolombina, która dawno temu zabłąkała się w lesie i nie dotarła do lunaparku.

— Muszę przeprosić za brak światła... dziedziczna choroba oczu...

W okularach ślepeca dwukrotnie odbijała się jego piękna twarz. Gdyby nie chroniła oczu, oślepiłby ją niczym słońce, w które nie wolno jej patrzeć, bo natychmiast by ją zniszczyło. Biedny nocny ptak, biedny krwiożerczy ptak.

Vous serez ma proie.

Ma pan taką piękną szyję, m'sieu, jak marmurowa kolumna. Gdy przestąpiłeś próg wciąż otoczony złocistym światłem letniego dnia, o którym nie wiem nic, absolutnie nic, z chaosu obrazów przede mną wyłoniła się karta Les Amoureux i wydało mi się, iż wyszedłeś z tej karty wprost w moją ciemność. Przez moment sądziłam nawet, że może ją rozjaśniesz.

Nie chcę cię skrzywdzić. Zaczekam na ciebie w ciemności w mojej ślubnej sukni.

Pan młody się zjawił. Przyjdzie do komnaty, którą mu wyszykowano.

Jestem skazana na samotność i mrok; nie chcę cię skrzywdzić.

Będę bardzo delikatna.

(Czy miłość mogłaby wyzwolić mnie z cieni? Czy ptak śpiewa tylko znaną mu melodię, czy też może nauczyć się nowej?).

Widzisz, jestem gotowa. Zawsze byłam gotowa, czekałam na ciebie w ślubnej sukni, czemu zwlekałeś tak długo... koniec nastąpi bardzo szybko.

Nie poczujesz bólu, ukochany.

Ona sama jest nawiedzonym domem. Nie panuje nad sobą; czasami przodkowie przychodzą i wyglądają przez okna jej oczu; to przerażające. Trwa w tajemniczej samotności dwuznacznego stanu, zawieszona pomiędzy życiem a śmiercią, snem a jawą, za żywoplotem z kolczastych kwiatów, krwawym ogrodem różanym Nosferatu. Antenaci na ścianach skazują ją na wieczne powtarzanie morderczych namiętności.

(Ale jeden, tylko jeden pocałunek obudził śpiącą w lesie królową).

Nerwowo, by zagłuszyć wewnętrzne głosy, dla utrzymania pozorów, szczenioce niezobowiązująco po francusku. Tymczasem jej przodkowie szczerzą się i krzywią na ścianach. I choć usilnie stara się myśleć o różnych sposobach skonsumowania związku, tak naprawdę zna tylko jeden.

I znów uderzył go widok drapieźnych ptasich szponów na jej cudownie wdzięcznych palcach, i poczucie dziwnej obcości, które narastało w nim od chwili, gdy zanurzył głowę w strumieniu wody z fontanny, odkąd przekroczył mroczne odrzwia złowrogiego zamku, teraz w końcu opanowało go w pełni. Gdyby był kotem, odskoczyłby od jej ręki na czterech sztywnych ze strachu łapach. Ale nie jest kotem; jest bohaterem.

Na duchu, nawet w buduarze hrabiny Nosferatu, podtrzymuje go głęboka fundamentalna niewiara w to, co widzi. Powiedziałyby może, że istnieją rzeczy, w które, nawet jeśli są prawdziwe, nie powinniśmy wierzyć. Mógłby rzec: niemądrze jest ufać własnym oczom. Nie żeby nie wierzył w nią samą — widzi ją i jest prawdziwa. Jeśli zdejmie ciemne okulary, z jej oczu wyleje się kaskada obrazów zaludniających nawiedzoną przez wampiry krainę. On jednak, dzięki swemu dziewictwu, pozostaje odporny — nie wie jeszcze, czego miałby się bać — a bohaterstwo zamieniające go w słońce sprawia, iż widzi przed sobą przede wszystkim schorowaną nerwową dziewczynę, pozbawioną matki i ojca, zbyt długo trzymaną w mroku i bladą jak roślina, która nigdy nie ogląda światła, na wpół oślepioną dziedziczną przypadłością oczu. A choć odczuwa niepokój, nie umie poczuć grozy. Jest jak chłopiec w bajce, który nie potrafił trząść się ze strachu i żadne zjawy, upiory, bestie czy nawet sam diabeł i cała jego świta nie mogli tego zmienić.

Brak wyobraźni czyni bohatera bohaterem.

Strachu nauczy się w okopach, lecz ta dziewczyna nie budzi w nim lęku.

Zapadła już noc. Nietoperze śmigają z piskiem za szczelnymi okiennicami. Rawa została wypita, cukrowe ciasteczka zjedzone. Strumień szcziebiotu zaczyna wysychać i niknie, dziewczyna wykręca palce, skubie koronkę sukni, porusza się nerwowo na krześle. Sowy pohukują; entourage właściwy jej stanowi piszczy i bełkocze ze wszystkich stron: Jesteś w miejscu zniszczenia, jesteś w miejscu zniszczenia". Ona odwraca głowę, porażona błękitnymi promieniami jego oczu; nie zna innego spełnienia niż to, które może mu ofiarować. Nie jadła od trzech dni. Nadeszła pora posiłku. Nadeszła pora snu.

*Suivez-moi.
Je sous attendais.
Vous serez ma proie.*

Na przeklętym dachu kracze kruk. „Posilek, posilek”, zawodzą portrety na ścianach. Upiorny głód trawi jej wnętrzności; sama o tym nie wiedząc, czekała na niego całe życie.

Przystojny rowerzysta, nie wierząc własnemu szczęściu, podąża za nią do sypialni; świece otaczające ołtarz ofiarny płoną słabymi czystymi płomieniami, światło odbija się w srebrnych lżach, którymi naszyto ściany. A ona zapewni go głosem stanowiącym ucieleśnienie pokusy:

— Wystarczy, że odrzucę szaty, i ujrzysz całą serię tajemnic.

Nie ma ust, którymi mogłaby całować, dłoni mogących pieścić, jedynie szpony i kły drapieżnej bestii. Dotknięcie połyskującego mineralnym blaskiem ciała, odsłoniętego w zimnym blasku świec, to zaproszenie do śmiercionośnego uścisku. Swym cichym słodkim głosem zanuci kołysankę rodu Nosferatu.

Uściski, pocałunki; twoja złota głowa, głowa lwa, choć nigdy nie widziałam lwa, jedynie go sobie wyobrażałam, głowa słońca, mimo iż oglądałam jedynie jego obrazek na karcie tarota, złota głowa kochanka, który, jak śniłam, przybędzie pewnego dnia, by mnie wyzwolić — ta głowa opadnie w tył, a oczy wywróca się w spazmie, który weźmiesz za spazm miłości, a nie śmierci. Pan młody krwawi na mym łożu, chłodny i martwy. Biedny rowerzysta, zapłacił wysoką cenę za noc spędzoną z hrabiną. Niektórzy sądzą, że to cena zbyt wysoka, inni myślą inaczej.

Jutro opiekunka pogrzebie jego kości pod korzeniami róż. Pokarm, którym się żywią, nadaje im głęboką barwę, oszałamiającą woń niosącą z sobą lubieżne tchnienie zakazanych rozkoszy.

Suivez-moi.

— *Suivez-moi!*

Piękny rowerzysta, w obawie o zdrowie gospodyni, zdrowie jej ciała i umysłu, posłuszny histerycznie władcemu tonowi jej głosu, ostrożnie podąża za dziewczyną do sąsiedniego pokoju. Ma ochotę porwać ją w ramiona i chronić przed przodkami patrzącymi drwiąco ze ścian.

Cóż za makabryczna sypialnia!

Jego pułkownik, stary cap, satyr o niezdrowych upodobaniach, wręczył mu kartę wizytową pewnego burdelu w Paryżu, w którym, jak zapewnił, za dziesięć ludwików można kupić wizytę w równie ponurej sypialni, gdzie w trumnie czeka naga dziewczyna. Za kulisami burdelowy organista wygrywa na organach *Dies Irae*, a klient w atmosferze właściwej zakładowi pogrzebowemu oddaje się nekrofilskim rozkoszom z udawanym trupem. Młodzian z uśmiechem odrzucił ofertę podobnej inicjacji. Jakże miałby teraz wykorzystać obłąkaną dziewczynę o dłoniach rozpalonych gorączką, suchych jak kość, i oczach zaprzeczających wszelkim erotycznym obietnicom ciała widoczną w nich grozą, smutkiem, przerażającą żalostną czułością?

Taka delikatna i taka przeklęta. Biedactwo. O tak, przeklęta.

A jednak sądzę, że sama nie wie, co robi.

Drży, jakby lada moment miała rozpaść się na kawałki. Unosi ręce, chcąc rozpiąć kołnierzyk sukni, w jej oczach wzbierają łzy spływające po policzkach pod oprawą ciemnych okularów. Nie może ściągnąć sukni ślubnej matki, jeśli najpierw nie zdejmie szkieł. Zakłóciła przebieg rytuału, który przestaje być własnym torem, mechanizm wewnątrz niej zawodzi w chwili, gdy potrzebuje go najbardziej. Kiedy zdejmuje okulary, wyslizgują jej się z palców i roztrzaskują na posadzce. W jej sztuce nie ma miejsca na improwizację i ów nieoczekiwany

przyjemny brzęk tłuczonego szkła przełamuje złowieszcze zakłęcie. Dziewczyna wparuje się ślepo w rozbite okulary i zaciśniętą piastką niezgrabnie rozmazuje lzy po twarzy. Co ma teraz zrobić?

Kiedy klęka, próbując zebrać odłamki na stosik, ostra szklana drzazga wbija jej się głęboko w opuszkę kciuka; dziewczyna krzyczy ostro, szczerze, klęcząc pośród stłuczonego szkła, obserwuje wzbierającą na palcu kroplę krwi. Nigdy dotąd nie widziała własnej krwi i jest zafascynowana.

Przystojny rowerzysta przynosi ze sobą do tej odrażającej morderczej komnaty niewinne remedia pokoju dzieciennego. On jest jak egzorcyzmy. Delikatnie ujmuje jej dłoń i wyciera palec chusteczką, krew jednak nadal płynie. Przykłada zatem do rany usta: pocałuje ją, by już nie bolało, tak jak zrobiłaby to matka, gdyby nadal żyła.

Wszystkie srebrne lzy odpadają od ściany z delikatnym dźwiękiem, malowani przodkowie odwracają wzrok i zgrzytają kłami.

Jak ma znieść ból stawania się człowiekiem?

Koniec wygnania to koniec istnienia.

Budzi go śpiew skowronka. Okiennice, zasłony, nawet od dawna zamknięte okna upiornej sypialni stoją otworem, do środka wpada światło i świeże powietrze. Teraz widać, jakie to wszystko jarmarczne: odrapana farba, katafalk nie hebanowy, lecz zrobiony z papieru rozciągniętego na drewnianych podporach jak w teatrze. Wiatr zagnał do środka chmurę płatków róż z ogrodu i szkarłatne strzępy wirują nad podłogą w obłokach słodkiej woni. Świece się wypaliły, skowronek przycupnął na kancie nieprawdziwej trumny, ekstatycznie wyśpiewując hymn na cześć poranka. Młodzian zbudził się zeszywniały i obolały, spał bowiem na podłodze ze zwiniętą kurtką pod głową. Zasnął tak, gdy położył ją do łóżka.

Teraz jednak nie widział po niej ani śladu prócz rzuconej niedbale na wymiętą czarną satynową kołdrę koronkowej koszuli lekko poplamionej krwią, jakby miesięczną, i róży, która musiała pochodzić z jednego z rozłożystych groźnych krzaków kołyszących się za oknem. W powietrzu wisiała ciężka woń kadzidła i róż, tak ostra, że się rozkasłał. Hrabina musiała wstać wcześniej, by cieszyć się słońcem, wymknąć na zewnątrz i zerwać mu różę. Wstał, zwabił skowronka na rękę i zaniósł go do okna. Z początku ptak zerkał w niebo z lękiem od dawna więzionej istoty, jednak wyrzucony wysoko w powietrze, rozłożył skrzydła i odleciał w głąb jasnej błękitnej misy niebios. Młodzian z sercem przepelnionym radością śledził tor jego lotu.

Potem podreptał do buduaru, w myślach snując plany. Zawiozę ją do Zurychu, do kliniki, gdzie wyleczą ją z nerwowej hysterii. Potem do specjalisty od oczu, by zajął się fotofobią, i dentysty, który doprowadzi do porządku jej zęby. Każda fachowa manikiurzystka poradzi sobie ze szponami. Zmienimy ją w uroczą dziewczynę, którą jest naprawdę. Uwolnię ją od wszystkich koszmarów.

Odsłonięte ciężkie stopy wpuszczają do środka jasne kanonady porannego światła; w słonecznym buduarze hrabina siedzi samotnie przy okrągłym stoliku, odziana w białą suknię. Przed nią leżą karty. Zasnęła nad kartami losu, tak poplamionymi, użytymi i wytartymi od ciągłego tasowania, że nie da się już rozpoznać zdobiących je obrazków.

Nie śpi.

Po śmierci wyglądał znacznie starzej, mniej pięknie i po raz pierwszy w pełni ludzko.

Zniknę z porannym słońcem; byłem jedynie tworem ciemności.

I pozostawiam ci na pamiątkę ciemną zębatą różę, którą zerwałam spomiędzy mych ud, jak kwiat złożony na grobie. Na grobie.

Moja opiekunka zajmie się wszystkim.

Nosferatu zawsze bierze udział we własnym pogrzebie. Nie odejdzie na cmentarz samotnie. Nagle w pokoju zmaterializowała się zapłakana starucha i szorstkim gestem kazała młodzieńcowi odejść. Przeszukawszy wilgotne przybudówki, znalazł swój rower i rezygnując z reszty wakacji, wyruszył wprost do Bukaresztu, gdzie na poste restante znalazł telegram

wzywający go natychmiast do regimentu. Znacznie później, gdy w swojej kwaterze przebrał się w mundur, odkrył, że wciąż ma przy sobie różę hrabiny. Musiał wsunąć ją w kieszonkę na piersi rowerowej kurtki, kiedy znalazł ciało. O dziwo, kwiat nie całkiem umarł. Młody oficer wiedziony impulsem — ponieważ dziewczyna była tak śliczna, a jej śmierć tak nagła i żalosna — postanowił wskrzesić tę różę. Nappełnił szklanekę do mycia zębów wodą z karafki na komódce i wsadził do środka kwiat, tak by jego zwiędła główka pływała na powierzchni.

Kiedy tego wieczoru młodzian wrócił z kantyny, już w korytarzu powitała go ciężka woń róż hrabiego Nosferatu, a jego spartańską kwaterę przepelniał duszący odór aksamitnego potwornego kwiatu, którego płatki odzyskały lubieżną, cudowną, złowrogą świetność.

Następnego dnia jego regiment wyruszył do Francji.

przełożyła Paulina Braiter

Z KAMIENIA. OPOWIEŚĆ O CIAŁACH OBCYCH

Nadludzkie siły zła od dawna stanowią nieodłączny element fantastyki bohaterskiej — opowieści o walce i czarnoksiężskich mocach — jak również jej hardziej współczesnego podgatunku, opowieści spod znaku magii i miecza. Bohaterami tego gatunku, dla którego nazwę wymyślił amerykański autor literatury fantastycznej, Fritz Leiber, są brutalni, kochliwi mistrzowie miecza, tacy jak Conan stworzony przez Roberta E. Howarda, Northwest Smith, potężny wojownik z opowieści Catherine L. Moore, Fafryd i Szary Kocur, dwóch zaradnych, niefrasobliwych łowców przygód pomysłu Fritza Leibera, oraz główny bohater „Kronik Thomasa Covenanta Niedowiarka” wielotomowego cyklu pióra Stephena Donaldsona. Ani fantastyka bohaterska, ani nurt magia i miecz, te niekończące się opowieści o krwawych bitwach i gwałtownej śmierci, nie zostawiają miejsca dla poczucia humoru, ale zawsze istnieją wyjątki od reguły, czego dowodzi Michael Moorcock w prezentowanym tu opowiadaniu, parodii, którą napisał dla „Triode” magazynu przeznaczanego dla miłośników fantastyki spod znaku magii i miecza.

Michael Moorcock (ur. 1939 w Londynie) pisywał do magazynów „Tarzan Adventures” oraz „The Sexton Blake Library”, dopóki nie wyrobił sobie marki jednego z czołowych współczesnych twórców fantasy i science fiction. Wprowadził też do panteonu magii i miecza własnego superbohatera, Elrica z Melnibone, który, uzbrojony w czarodziejski miecz Zwiastun Burzy, przez ponad trzydzieści lat siał zniszczenie, przeżywając przy tym dziesiątki przygód. Inne heroiczne postacie stworzone przez tego autora to Wieczny Wojownik, Wojownik z Marsa, Hawkmoon, Corum i Von Bek, dla których terenem działania są zawsze fantastyczne krainy, gdzie magia działa, a siły prawa i chaosu walczą o dominację. Moorcock jest też autorem jednego z nielicznych poważnych studiów tego gatunku literackiego, „Wizardry and Wild Romance: A Study of Epic Fantasy” (1987). Opowiadanie „Z kamienia” nie wymaga innego wprowadzenia poza stwierdzeniem, że pojawiają się w nim te same typy mocarnego wojownika i pięknej dziewczycy, które można znaleźć w licznych opowieściach z gatunku magii i miecza, tu jednak para bohaterów łąduje w komicznej sytuacji, z jaką, jestem przekonany, nikt spośród ich poprzedników nie musiał się dotąd zmierzyć!

* * *

Z mrocznych zakątków, spośród skowyczących mgieł, z krain nie znających słońca, z Rzęsistej Ziemi przybywał strzelisty, Catharz, dzierżąc kapryśny miecz Dębichlast w prawej dłoni, przeklętą włócznie Krewką Krewną w prawej dłoni, mając złowieszczy łuk Śmiertelny Śpiew przerzucony przez plecy, wraz z kołczanem pełnym budzących grozę, najeżonych runami strzał: Szukającą Serca, Złaknioną Krwi, Złodziejką Dusz, Przymnażającą Sierot, Żrenicą bez Oka, Szafarką Smutku, Dzielącą Ziarno Fasoli na Czworo i kilkoma innymi.

Tam gdzie powinno znajdować się jego prawe oko, widniał drogocenny kamień barwy sennego szkarłatu, która czasem przechodziła w tłący się błękit, w miejscu lewego oka tkwił wielostronnie oszlifowany kryształ, który pulsował jak obdarzony własnym życiem. Tam, gdzie Catharz miał kiedyś prawą dłoń, teraz z kikuta wyrastała kończyzna z żelaza, drewna i rżniętego ametystu, dziewięciopalczysta, obca, odcięta przez Catharza dłoń istoty, która odrąbała mu jego dłoń. Lewa ręka wydawała się na pierwszy rzut oka po prostu osłonięta żelazną rękawicą, ale kiedy ktoś przyjrzał się uważniej, spostrzegął, że naprawdę była to wyposażona w liczne stawy kończyzna ze srebra, złota i lapis-lazuli. Ale gdy tak Catharz jechał przed siebie, ci, których mijał, nie zwracali uwagi na pomrukujący miecz w jego

prawej dłoni, na szemrzącą włócznię w jego lewej dłoni, na luk skomlący na jego plecach ani strzały zrzedzące w kołczanie, ani na jego prawe oko barwy sennego szkarłatu, ani na lewe oko z pulsującego kryształu, ani na dziewięciopalczysta prawą dłoń czy lśniąco metalicznie lewą dłoń, lecz widzieli jedynie przerażającą stopę Cwlwymwna pulsującą w strzemieniu przy prawym boku wierzchowca.

Stopa Obolałego Boga, Cwlwymwna Wyrwiroda, którego ambicją na tej starej, steranej Ziemi było uczynić wszystkie żony wdowami, Cwlwymwna Miotacza, którego straszliwe stopy tratowały całe miasta, gdy tylko ludzie je zbudowali, Cwlwymwna z Ostatnich, Ostatniego spośród Ostatnich, który został zepchnięty na powrót do swojej wyspiarskiej dziedziny na rubieżach świata, poza Lodowcem Zachodnim, i który teraz kuśtykał śladem Catharza, straszliwie ryczał żądny zemsty i domagał się zwrotu swojej stopy, którą odrąbał mu Dębichlast, aby Catharz mógł znów chodzić i kontynuować swoją straceniową wyprawę, dźwigając oręż, który nie był mu ochroną, lecz brzemieniem, szukając ukojenia dla sumienia, które zżerało mu duszę, gdyż to on był odpowiedzialny za śmierć swojego młodszego brata Foraxa Złocistego, za śmierć swojej bratanicy Libii Podkolanki, za śmierć za życia swojego kuzyna Zawrota Błędnego, szukając swojej utraconej ukochanej, Cyfilli Jasnej, którą uprowadził podstępem jego odwieczny wróg, czarnoksiężnik To'mek'o'pe'er, najpotężniejszy, najnikczemniejszy, najbardziej rozpustny spośród wszystkich potężnych magów tego spowitego magią świata.

Nie było tu przyjaciół, którzy mogliby pospieszyć z pomocą Catharzowi Wielkiej Stopie. Musiał jechać sam, poprzedzany przez budzącą drżenie grozę, z zawodzącą winą postępującą jego śladem i z Cwlwymwnem, ryczącym, dyszącym zemstą, wciąż podążającym za nim trop w trop.

I jechał Catharz, rzadko kiedy stając, prawie nie zsiadając z konia, gnany pragnieniem własnej zemsty na czarnoksiężniku, a stopa Cwlwymwna ciążyła mu, czemu trudno się dziwić, gdyż była co najmniej o pół metra dłuższa niż jego stopa, przy tym bosa, jako że musiał porzucić swój własny but, kiedy się przekonał, że na nią nie pasuje. Teraz but znajdował się w posiadaniu Cwlwymwna, który dowiedział się dzięki temu, że to Catharz odciął mu zieloną, zbrojną w siedemnaście szponów kończyne, przytwierdzając ją straszliwym zaklęciem do własnej nogi. Lewa noga Catharza nie była z ciała, tylko z lakierowanego korka. Zrobili ją dla niego mieszkańcy Świata Poniżej Raf, których wspomógł podczas ich wielkiej bitwy z Bogami z Najniższego Morza.

Słońce splamiło niebo siną purpurą i zapadło za horyzont, nim Catharz pozwolił sobie na krótki popas. Tuż przed zmrokiem ujrzał niewielką kamienną chatkę, pod tarasami z lśniącego wapienia, gdzie miał nadzieję znaleźć strawę, gdyż zgłodniał bardzo.

— Witam, przybywam w przyjaźni, szukając gościny, gdyż zważ mnie Catharz Melancholijny, który dźwiga na sobie przekleństwo Cwlwymwna Wyrwiroda, ma licznych wrogów i nie ma przyjaciół, zgładził swojego brata Foraxa Złocistego i sprowadził śmierć na Libię Podkolankę, słynną z piękności, który szuka swojej ukochanej Cyfilli Jasnej, uwięzionej przez czarnoksiężnika To'mek'o'pe'era, i dźwiga wielkie, straszliwe brzemienie przeznaczenia.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta. Jej włosy były jak srebrna pajęczyna w świetle księżyca, jej oczy jak głębia złota z samego środka pszczelego ula, jej skóra miała w sobie blade, podbarwione delikatnym rumieńcem piękno herbacianej róży.

— Witaj, nieznajomy. Witaj w progach tego, co pozostało z domu Lanoli, której ojciec był kiedyś jednym z najpotężniejszych panów na tych ziemiach.

Na jej widok Catharz zapomniał o Cyfilli Jasnej, zapomniał, że zgładził swojego brata i swoją bratanicę i że zdradził swojego kuzyna Zawrota Błędnego.

— Jesteś bardzo piękna, Lanoli.

— Ach, tak powiadają. Ale piękność taka jak moja może rozkwiąć jedynie wówczas, kiedy jest oglądana, a od dawna nikt nie zawitał w te strony.

— Pozwól, że pomogę twojej piękności rozkwitnąć — rzekł Catharz.

Strata, wina i lęk zostały zapomniane. Catharz odrzucił swój miecz, swoją włócznię, swój łuk i strzały i wszedł powoli do chatki. Szedł chwiejnie, gdyż nadal dźwigał ciężar stopy Ostatniego z Ostatnich i trochę potrwało, nim zdołał ją przeciągnąć przez próg, ale wreszcie znalazł się w środku, zamknął drzwi za sobą, wziął Lanoli w ramiona i przycisnął usta do jej ust.

— Och, Catharzu — westchnęła. — Catharzu!

Niewiele później stali przed sobą nadzy. Oczy Lanoli błędziły po jego ciele i było jasne, że jego oczy — jedno szkarłatne, drugie kryształowe — wydały jej się piękne, że podziwiała jego srebrną dłoń i dłoń o dziewięciu palcach, że nawet wielka stopa Cwllwymwna była w jej oczach piękna. Ale nagle jej wzrok padł na to, co spoczywało między jego nogami, jej oczy zogromniały, a na twarz wypłynął rumieniec. Jej piękne usta złożyły się do pytania, ale Catharz podszedł do niej szybko i znów zamknął ją w swoim uścisku.

— Jak? — wymruczała. — Jak, Catharzu?

— To długa i krwawa historia — wyszeptał Catharz. — Historia rywalizacji i zemsty, ale niech wystarczy, gdy powiem, że jej ostatnim aktem był straszliwy odwet, jaki wzięła na mnie mój ojciec, Xympwell Okrutny. Uciekłem z jego dworu na pustkowia Grxiwynnu w stanie pomieszania zmysłów. Tam znaleźli mnie ludzie z plemienia Velox i zabrali mnie do Mędrca z Oorps, żyjącego w górach za Katatonią. On mnie pielęgnował i on to dla mnie wyrzeźbił. Pracował dwa lata, a ja przez cały ten czas bredziłem w szaleństwie, żywiąc się rosą i korzonkami, tak jak on. Te ryty mają mistyczny sens, w runach zawarta jest głęboka mądrość, a te małe obrazki pokazują wszystko, co jest do pokazania na temat cielesnej miłości. Czyż nie jest piękny? Piękniejszy niż ten, który zastąpił?

Zerkając wstydliwie, Lanoli powoli skinęła głową.

— Jest bardzo piękny, naprawdę — powiedziała. Potem podniosła wzrok i Catharz ujrzał łązy lśniące w jej oczach. — Ale czy musiał zostać zrobiony z piaskowca?

— W górach za Katatonią jest niewiele poza tym — wyjaśnił Catharz ze smutkiem.

(Z „Wyrzutka z Kitzoprenii”, tom 67 „Historii fioletowego sztyletu”)

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

KOZETKA

Przejawy działania ciemnych mocy we współczesnym świecie są tematem wielu utworów Roberta Blocha, pisarza nazywanego mistrzem czarnego humoru. Do niezapomnianych amatorów okultyzmu, których stworzył, należą gwiazdor filmów grozy Karl Jorla, zawdzięczający swoje diabelnie przekonujące aktorstwo uprawianiu tajemnych kultów, szalbierz Solly Vincent, który nieroztropnie zakochuje się w pięknej wampirzycy, oraz Leo Winston, pianista, którego studia nad „nauką słońca” sprawiają, że w jego fortepian wstępuje niezależne, mściwe życie! Tak jak Fredric Brown, Bloch z upodobaniem wykorzystywał w swojej prozie makabryczne żarty. Powiedział mi kiedyś, że wiele swoich opowiadań napisał po wymyśleniu ostatniej wrednej linijki. Pomimo wysuwanych przez niektóre środowiska oskarżeń, że „jego prozę czyta się czasem niczym ciąg niesmacznych dowcipów” pozostawał jednym z czołowych amerykańskich twórców literatury fantastycznej przez niemal pół wieku.

Robert Bloch (1917–94) urodził się w Chicago. Sławę zapewniły mu opowieści niesamowite opublikowane w zbiorze „Wetrą Tales” oraz audycja, radiowa „Stay Tuned For Terror” realizowana według jego scenariusza, a zwłaszcza — powieść „Psychoza” zekranizowana w 1960 roku — przez Alfreda Hitchcocka. Stworzył wiele scenariuszy do filmów i seriali telewizyjnych, ale wciąż pisał błyskotliwe opowiadania. Najlepsze z nich zostały wydane w zbiorach „Bogey Man, Tales in a Jugular Vein” (1965) i „Out of My Heat” (1986). W 1975 roku, podczas pierwszej Światowej Konwencji Fantastyki, został uhonorowany nagrodą za całokształt twórczości. Opowiadanie „Kozetka” ukazało się po raz pierwszy w 1983 roku w kontrowersyjnym amerykańskim magazynie „Hustler”. Jest to typowa dla Blocha „czarna fantastyka” straszna i zabawna. Akcja toczy się we współczesnej Kalifornii, a fabuła koncentruje się wokół działalności wyjątkowo upartego inkuba (demona, który nawiązuje stosunki cielesne ze śpiącymi kobietami). Ale jest to jedynie wstęp do kolejnych, naprawdę śmiesznych wydarzeń.

* * *

Angela była zachwycająca. Wysoka, dwudziestoletnia blondynka, mająca więcej krągłości niż trasa kolejki górskiej i znacznie lepsze siedzenie.

Miody doktor Degradian nie był głupcem. Pięć minut po tym, jak weszła do jego gabinetu, leżała na kozetce.

No i to by było na tyle, jeśli idzie o rozkosze psychiatrii.

Teraz powinien nastąpić proces nazywany wprowadzeniem w przypadek. A był to przypadek, w który doktor Degradian miał wielką pokusę wejść — dopóki pacjentka nie zaczęła mówić.

Z notesem w dłoni usiadł na krześle obok niej, trzymając ołówek w pogotowiu.

— Jaka jest pierwsza rzecz, która przychodzi pani do głowy? — zapytał.

— Milton.

— Kto taki?

— Mój mąż.

Doktor Degradian zmarszczył czoło.

— Nie powiedziała mi pani, że jest mężatką.

— Nie jestem. Mąż zmarł w zeszły czwartek. Doktor Degradian zapisał coś w notesie. — Jak to się stało?

— Spadł z drabiny.
— Był malarzem?
— Nie, podglądaczem. Zaglądał do motelu przez okno pierwszego piętra, kiedy drabina się złamała.
— Widzę, że...
— To jest właśnie to, co ciągle powtarzał: „O, widzę...” — Angela wzruszyła ramionami.
— Nasze małżeństwo nie zostało skonsumowane. Mąż zmarł w naszą noc poślubną i jestem teraz w żałobie. Wszystko, co mi po nim zostało, to złamana drabina i lornetka.
— Czy wiedziała pani, że jest podglądaczem, kiedy pani za niego wychodziła?
— Powinam się była domyślić. Ciągle powtarzał, że jestem radością jego oczu. — Angela uśmiechnęła się kokieteryjnie. — Czy uważa pan, że jestem atrakcyjna?
Doktor Degradian pokręcił głową.
— To jest badanie psychiatryczne, nie konkurs piękności. Naszym celem jest ustalenie przyczyny problemów psychicznych, które panią nękają.
— Jestem nękana fizycznie, nie psychicznie.
— Fizycznie?
— Przez cały czas. — Angela skinęła głową. — Nie jestem specjalistką w tej dziedzinie, ale nie wydaje mi się możliwe, aby ktokolwiek był w stanie wytrzymać na dłuższą metę takie tempo: dziesięć, czasem piętnaście razy w ciągu nocy.
— Pani z kimś sypia?
— Kto mówi o spaniu? — westchnęła Angela.
Doktor Degradian znów coś zanotował.
— Proszę mi opowiedzieć o tym człowieku.
— To nie człowiek. To inkub.
— Kto?!
— Inkub. — Angela oblała się rumieńcem, potrząsając złotymi lokami. — Demon, który odbywa stosunki cielesne ze śpiącymi kobietami. Proszę sprawdzić w słowniku, jeśli mi pan nie wierzy.
— Wiem, co to takiego inkub. I wierzę pani. Ma pani te sny...
— To nie są sny! — Angela usiadła, jej oczy załśniły. — Powiedziałam panu, że nie sypiam. Jak tylko zgaszę światło i położę się do łóżka, zjawia się jak spod ziemi i zaczyna swoje. Z początku próbowałam go zbyć, mówiłam, że mnie głowa boli, ale on mnie w ogóle nie słuchał, tylko zdarł ze mnie nocną koszulę i rrym!
— Rrym? Co to znaczy?
Przez następne pięć minut Angela wyjaśniała, co to znaczy. Jej wyjaśnienia były na tyle szczegółowe, że doktor Degradian przyłapał się na robieniu notatek, choć ołówek mu się dawno złamał.
— Dobry Boże! — Młody lekarz patrzył na nią w osłupieniu. — Nigdy w życiu nie słyszałem tak obrazowej pornografii. I twierdzi pani, że to dopiero wstęp? Że było więcej?
— Nie, tylko my dwoje, nikt więcej — zamruczała Angela. — Chyba już bym nie wytrzymała, gdyby jeszcze ktoś brał w tym udział.
— I tak się dzieje każdego wieczoru? Pojawia się, zdziera z pani nocną koszulę...
— Już nie. Wszystkie koszule mi się wydarły, więc teraz kładę się spać nago. — Angela spojrzała na niego błagalnie. — Dlatego tu jestem, doktorze. Musi mi pan pomóc, zanim się zaziębię na śmierć.
— Oczywiście. — Doktor Degradian sięgnął po długopis i naskrobał kilka recept. — Proszę to wykupić w aptece na dole.
— Co to jest?
— Środki uspokajające i nasenne.
— To nic nie da. Jestem pewna, że ich nie weźmie.

— Lekarstwa są dla pani. Pomogą pani zasnąć. — Doktor Degradian uśmiechnął się krzepiąco. — Widzimy się w środę o tej samej porze. Obiecuję, że do tej pory pani inkub zniknie.

— Dziękuję, panie doktorze. Też mam taką nadzieję, naprawdę.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, zakręciła na pożegnanie biodrami i już jej nie było.

* * *

Trudno było o niej zapomnieć. Przez następne dwa dni młody lekarz nie mógł przestać myśleć o tej dziewczynie. To okropne, że taką piękną młodą kobietę nękały takie groteskowe fantazje. Bo były to fantazje bez wątplenia. Miała halucynacje na temat mitycznej istoty rodem ze średniowiecznych legend. Wszystko wskazywało na klasyczny przypadek frustracji seksualnej, ale leki, które jej przepisał, musiały położyć temu kres. Kiedy fantazje znikną, nie będzie musiał jej tłumaczyć, że był to jedynie wytwór jej wyobraźni, bo będzie to oczywiste. W miarę jak zbliżała się środa, czuł, że coraz bardziej się cieszy na wizytę Angeli.

Punkt trzecia wsunęła się, ciągnąc za sobą smugę zapachu perfum. Usadowiła się na kozetce.

— I jak, jest pani zadowolona?

— Proszę mi nie mówić o zadowoleniu! — zachnęła się, odymając prowokacyjnie pełne wargi. — Próbował pan kiedyś to robić, na wpół śpiąc?

Doktor Degradian zamrugął z niedowierzaniem.

— Mam rozumieć, że nadal ma pani te sny?

W oczach Angeli zapłonął błękitny płomień.

— Mówiłam panu, że to nie są sny! Ten inkub istnieje naprawdę! Proszę, doktorze, czy jest coś, co mógłby pan zrobić?

— Z pewnością. — Psychiatra skinął głową. — Jest kilka możliwości. Normalnie moglibyśmy uwolnić panią od tej obsesji za pomocą terapii elektrowstrząsowej, ale nie jest to zbyt praktyczne rozwiązanie teraz, kiedy rachunki za prąd są tak wysokie. Może więc powinniśmy się uciec do bardziej konwencjonalnych metod. Gdyby mogła pani pojawiać się tutaj pięć razy w tygodniu przez trzy lata...

— Trzy lata?!

— Pani mnie nie rozumie. Gruntowna psychoanaliza wymaga tyle czasu, aby wszystko dokładnie omówić.

— To pan nie rozumie — ucięła Angela. — Tej sprawy się nie rozwiąże gadaniem. Bez względu na to, co mówię, on po prostu robi dalej swoje. — Podniosła się z westchnieniem. — Najwyraźniej nie jest pan w stanie mi pomóc. Powinna była pójść od razu do ojca O'Flannery'ego.

— Ojca O'Flannery'ego?

— Księdza z kościoła, tam dalej przy tej samej ulicy. Chcę go poprosić o odprawienie egzorcyzmów.

Doktor Degradian zmarszczył brwi.

— Chyba nie mówi pani poważnie? Nikt już dzisiaj nie wierzy w te bzdury.

— Ojciec O'Flannery wierzy. Właśnie w ostatnią niedzielę miał kazanie o wypędzaniu demonów. Powiedział nawet, jak to się odbywa. Najpierw otwierają wszystkie okna, potem rozpoczyna się ceremonia. Dużo świeżego powietrza i egzorcyzmy, oto lekarstwo.

Doktor Degradian zagryzł wargę. Dyskusja nie miała sensu. Oczywiście nie wierzył w egzorcyzmy — ani w inkuby — ale ona wierzyła. I tu było sedno sprawy. Jeśli zabobony mogły jej pomóc uwolnić się od tej obsesji, czemu nie?

— Życzę pani powodzenia — powiedział.

— Dziękuję, doktorze.

I znikła w drzwiach, pozostawiając po sobie zapach perfum.

* * *

W miarę jak dni mijały, zapach się ulatniał, ale nie wspomnienie. Doktor Degradian zarywał noce, dumając o Angeli. Czy to możliwe, żeby interesował się nią nie tylko ze względów zawodowych? On, zaledwie trzydziestoletni, ceniony psychiatra z własną dobrze prosperującą praktyką, posiadacz swojego pierwszego apartamentu? Powinien myśleć o karierze, może o dokupieniu drugiej kozetki, a zamiast tego śnił na jawie o pacjentce. Przypomniały mu się słowa jego świątobliwej matki, wypowiedziane na łożu śmierci. „Przrzeknij mi jedno — wyszeptła. — Że nigdy się nie zwiążesz z taką, której brak piątej klepki”.

W czasie weekendu doktor Degradian wspomniał prośbę matki i powziął mocne postanowienie. Ale w poniedziałek rano, kiedy przyszła Angela, jego determinacja ulotniła się w jednej chwili. Jedno spojrzenie na nią i wiedział — zakochał się w osobie nieprzewidywalnej.

— Jest pan zaskoczony, że mnie widzi?

— Owszem. — Doktor zdobył się na ostrożny uśmiech. — Rozmyśliła się pani?

— O czym pan mówi? Ojciec O’Flannery odprawił egzorcyzmy w piątek wieczorem.

— Jak poszło?

— Bardzo szybko. Tak szybko, że ojciec nie zdążył nawet go zobaczyć.

— Ale jest pani pewna, że inkub został wypędzony?

— Zupełnie pewna.

— W takim razie w czym problem?

— W ojcu O’Flannery... — Zatrzepotała rękami nerwowo. — Widzi pan, kiedy inkub zniknął, zostaliśmy tylko we dwoje. Ja naga na łóżku i ojciec O’Flannery stojący nade mną z wielkim kropidłem w dłoni... to się po prostu stało...

Doktor Degradian otworzył szeroko oczy.

— Uwiodła pani księdza?

— To nie było uwiedzenie. — Angela poczerwieniała. — Jak już mówiłam, on miał w rękę to ogromne kropidło i w następnej chwili, rozumie pan...

— Rrym?!

— Kilka rymów — westchnęła Angela. — Wtedy sobie uświadomiłam, że nadal mam problem.

— A ojciec O’Flannery?

— Boję się, że biedak bardzo to przeżył. Całkiem oklapł, proszę wybaczyć to określenie. Kiedy rozmawialiśmy o tym po wszystkim, powiedział mi, że chce porzucić kapłaństwo i wstąpić do klasztoru.

— Do jakiego klasztoru?

— Żeńskiego. On nie jest gejem, rozumie pan.

— Takie rzeczy się zdarzają. — Doktor Degradian skinął głową.

— Nie może się pani obarczać poczuciem winy.

— Kiedy ja wcale nie czuję się winna — powiedziała Angela. — Czuję się zaniedbana.

— Zaniedbana?

— No, wszystko to stało się w piątek wieczorem. W sobotę i niedzielę spałam jak niemowlę.

— A więc?

— Nie jestem niemowlęciem! Jestem kobietą i nie zaznałam seksu przez pełne dwie noce!

Doktor Degradian odetchnął głęboko.

— Pani naprawdę potrzebuje pomocy.

— Otóż to! — Angela opadła na kozetkę i z uśmiechem wyciągnęła się na wznak. — Ale może przedtem zamknąłby pan drzwi?

Teraz z kolei doktor Degradian poczerwieniał.

— Nic z tego, młoda damo! Jeśli rzeczywiście chce pani pomocy, proszę się podnieść i słuchać uważnie. Niech pani usiądzie na tym krześle, zrobię pani Rorschacha.

— Na krześle? O, nieźle...

— To test — wyjaśnił psychiatra. — Proszę spojrzeć na te plamy atramentu i powiedzieć, co pani widzi. — Podniósł pierwszą kartę.

— Co to pani przypomina?

— Łatwe. To ciężarówka. — Jest pani pewna?

— No jasne. Cysperma.

Doktor Degradian przełknął ślinę i sięgnął po następną kartę. Angela przyjrzała się jej, kiwając głową.

— To ptak.

— Ptak?

— Tak. Kopuliszka.

Doktor podniósł trzecią kartę.

— A to?

Angela uważnie się wpatrywała w esy-floresy.

— Mężczyzna i kobieta, którzy usiłują się nawzajem przewrócić — powiedziała wreszcie.

— A cóż to ma oznaczać?

— Że się pieprzą do upadłego.

Psychiatra wrzucił pozostałe karty do kosza.

— Pani Angelo, będę szczerzy. Cierpi pani na szczególnie ciężki przypadek obsesji seksualnej.

— Czy to jest zaraźliwe?

— Mam nadzieję, że nie. Ale może znajdzie się na to rada, jeśli pozwoli mi pani zasugerować...

— Śmiało! — Angela uśmiechnęła się z nadzieją. — Niech pan sugeruje bez oporów.

Lekarzowi udało się zachować spokój.

— Miałem w ubiegłym roku pacjentkę, która skarżyła się na bardzo podobne dolegliwości. Do tego stopnia uległa obsesji na punkcie seksu, że odbierała nieprzyzwoite telefony, nawet jeśli były na jej koszt.

— Wyleczył ją pan?

— Nie, ale ginekolog to zrobił. Doszedłem do wniosku, że jej stan psychiczny był powiązany z zaburzeniami fizycznymi. Tak więc skierowałem ją do ginekologa, który — tak jak się można było spodziewać — stwierdził u niej przewlekły stan zapalny macicy. Kilkundniowa kuracja i było po problemie.

— Sądzi pan, że ze mną dzieje się coś podobnego?

— Przekonajmy się. — Doktor Degradian zadzwonił przez telefon wewnętrzny do swojej recepcjonistki. — Panna Carriage? Proszę mnie połączyć ze szpitalem Mount Sirius. Chcę zarejestrować pacjentkę do doktora Pruritisa. Tak jest, specjalisty od oczu, uszu i pochwy.

Umówił Angelę na wizytę na następnym ranek.

— Proszę przyjść do mnie jutro po południu, kiedy będzie po wszystkim — powiedział. — Przy odrobinie szczęścia może się to okazać rozwiązaniem pani seksualnych problemów.

Angela wstała i kołysząc się wdzięcznie, ruszyła do drzwi.

— Trzymam kciuki.

— Dobry pomysł — mruknął doktor Degradian. — Nogi też. Razem.

* * *

Była już prawie piąta po południu następnego dnia, kiedy Angela pojawiła się w jego gabinecie.

— Przepraszam za spóźnienie. Coś mnie zatrzymało.

— Wiem. — Psychiatra spojrział na nią chmurnie. — Doktor Pruritis przed chwilą do mnie dzwonił. Nie do wiary! Człowiek w jego wieku... Jak pani mogła coś takiego zrobić?

— To nie było trudne. Wystarczyło tylko...

— Proszę oszczędzić mi szczegółów. — Psychiatra z westchnieniem zagłębił się w fotelu. — Biedny stary Pruritis! Zniszczyła pani jednego z najszlachetniejszych i najuczciwszych członków lekarskiej społeczności.

— Ale ja mu go wcale nie zniszczyłam — zaprotestowała dziewczyna. — Powiedział mi wręcz, że od lat nie miał się tak dobrze.

— Niewiarygodne! — Doktor Degradian pokręcił głową. — A ja myślałem, że posuwamy się naprzód.

— Ależ posuwamy się! Nie powiedział panu o wynikach badania?

— Otóż to. Powiedział mi, że pani zdrowie fizyczne nie budzi najmniejszych zastrzeżeń. Żadnych stanów zapalnych, infekcji ani innych anomalii. Co oznacza, że cały problem to pani świadomość. Gdyby zgodziła się pani na psychoanalizę i zaufała mnie oraz klinice Medicare...

— Nie mogę czekać trzy lata! — Jej błękitne oczy zasnuły się łzami. — Czując się tak jak w tej chwili, nie jestem w stanie czekać nawet trzech minut. Potrzebuję go natychmiast!

— Kogo?

— Inkuba. Chcę go z powrotem.

— Ależ moja droga młoda damo...

— Nie jestem pańską drogą młoda damą! — Angela zaczęła pochlipywać. — I jeśli mi pan nie pomoże, przestanę być również pańską pacjentką. — Ruszyła w stronę drzwi i doktor Degradian pospiesznie uniósł dłoń.

— Porozmawiajmy o tym...

— Rozmawianie nic nie daje. Miałam go pod dostatkiem, doktorze Degradian. — Urwała raptownie. — Jest pan Amerykaninem, prawda?

Lekarz skinął głową.

— I jest prawdą, że większość amerykańskich nazwisk kończy się na „ian”, zgadza się?

— Tak. To znaczy „syn”...

— W takim razie powinien się pan nazywać doktor Sukin...

— Proszę posłuchać...

— Przepraszam. — Głos Angeli złagodniał. — Wszystko przez to, że jestem taka podminowana. Wydawało mi się, że ten inkub jest okropny, ale kiedy zniknął, widzę, że ten stan jest dziesięć razy gorszy. Nie chcę przez resztę życia łądować w łóżku z każdym mężczyzną, którego spotkam. Gdyby tylko był jakiś sposób, żeby ściągnąć go z powrotem...

Angela znów zaczęła pochlipywać i lekarzowi serce zmiękło na widok jej łez.

— Proszę przestać pociągać nosem — powiedział. — Może znajdzie się jakiś sposób.

— To znaczy, że byłby pan w stanie to zrobić?

— Proszę dać mi trochę czasu, żebym mógł to przemyśleć. Dzisiaj jest piątek. Gdyby przyszła pani, dajmy na to, w poniedziałek po południu...

W oczach Angeli na nowo rozbłysła nadzieja.

— Naprawdę mógłby mi go pan ściągnąć z powrotem?

— Spróbuję — powiedział doktor Degradian.

* * *

Siedząc samotnie w swoim gabinecie, zastanawiał się nad problemem. Likwidowanie halucynacji u pacjentów należało do jego zawodu, ale ich przywracanie było zupełnie inną sprawą. Psychiatryczne procedury nie proponowały w tej sprawie nic, co można by uznać za precedens, musiał więc zaczynać od zera.

A jeśli Angela miała rację, natomiast on się mylił? Jeśli istniało coś takiego jak inkub? Ona tak sądziła, sądził tak również ksiądz, który odprawiał egzorcyzmy. A skoro egzorcyzmy pomogły, może inkub istniał naprawdę?

Ale jeśli nawet, to w jaki sposób go znaleźć? Nie można po prostu poszukać inkuba w książce telefonicznej... Tknięty nagłą myślą, sięgnął po książkę i zaczął przerzucać strony w poszukiwaniu właściwego hasła.

Optycy, ortodoncy, położnicy... nie, to nie tutaj. Przerzucił kilka stron wstecz i nagle znalazł.

Okultyści.

Lista była długa, a towarzyszące poszczególnym wpisom wstawki reklamowe nie ułatwiały zadania. Na nic nie przydałby mu się chiromanta, medium spirytystyczne ani wróżka z kryształową kulą.

Na krótką chwilę przyciągnęło jego uwagę ogłoszenie nekromanty: „Potrafisz wykrzesać pieniądze spod ziemi? My potrafimy wskrzesić umarłego! Nawiąż kontakt z wybranymi zwłokami, nie płacąc wysokiej ceny! Akceptujemy wszystkie podstawowe karty kredytowe”. Brzmiało to kusząco, ale nie o pogawędkę z umrzykiem mu chodziło. Inkub, o ile w ogóle istniał, był żywy, i to jeszcze jak! Tu poradzi tylko czarownica lub specjalista od czarnej magii.

Doktor Degradian powędrował wzrokiem na koniec listy. „Dr Malcolm Hex, praktykujący czarnoksiężnik. Dzwonić o dowolnej porze od północy do świtu”.

Sięgnął po telefon.

* * *

Równy z wybiciem godziny dwunastej w nocy wkroczył do małej, obskurnej poczekalni czarnoksiężnika w zakazanej dzielnicy miasta. Usiadł i wziął do ręki wystrzępiony egzemplarz czasopisma „Kto jest kim w wudu”, ale nim zacząć czytać przy świetle kopczącej świecy, w drzwiach pojawił się Malcolm Hex i zaprosił go do gabinetu.

Pomieszczenie wyglądało obiecująco. Ściany pokrywały magiczne zaklęcia nabazgrane kurzą krwią, w kącie wisiał kozi szkielet. Malcolm Hex był niewątpliwie specjalistą od czarnej magii, czarnej jak pikowy as.

Trochę dziwnie wyglądał ten wysoki mężczyzna, ubrany w zwykły garnitur, siedząc za biurkiem i mieszając bulgoczącą zawartość kociołka. Doktor Degradian nie mógł powstrzymać ciekawości.

— Co jest w tym garnku? — zapytał.

— Zwykła papka wudu. Mózg nietoperzy, ludzkie wnętrzności, oczy jaszczurki i tym podobne.

— A stolec ropuchy?

— Nie. Wszystkie moje ropuchy mają zatwardzenie.

Lekarz zerknął niespokojnie na skurczoną głowę wiszącą pod sufitem. Przypominała mu jego kongresmana.

— Z pańskiego ogłoszenia wynika, że jest pan doktorem — powiedział.

— Doktorat z demonologii uzyskałem na uniwersytecie w Miskatonic w 1978 roku.

— Czy potrafi pan wywołać demona?

— Wywoływanie to moje powołanie. Proszę powiedzieć słowo, a ja wypowiem zaklęcie.

— A gdyby chodziło o inkuba?

— Nie ma problemu. — Czarny doktor wstał, zdjął marynarkę i koszulę. Jego ciało lśniło w świetle świecy, kiedy wcierał w swój tors mazidło o gryzącym zapachu. — Zawsze się szoruję przed operacją — wyjaśnił.

Sięgnął do szuflady biurka, wyjął słoik z krwią traszki, rozsmarował sobie jego zawartość po twarzy, po czym wetknął do nosa błyszczący biały przedmiot.

— Co to takiego? — zapytał psychiatra.

— Kość udowa niemowlęcia. Muszę wbić sobie na tę okoliczność parę rzeczy do głowy.

— Malcolm Hex znów zaczął mieszać w kociołku kogucim pazurem, aż para zaczęła syczeć.

— Teraz inkub — powiedział. — Jest pan pewny, że tego pan sobie życzy? Większość moich klientów płci męskiej preferuje sukuby.

Doktor Degradian poczerwieniał.

— To nie dla mnie, tylko dla pewnej młodej damy, którą znam.

— Rozumiem. Mógłby mi pan o niej opowiedzieć?

— Zaczniemy od tego, że jest wdową...

Malcom Hex zmarszczył brwi i przerwał mieszanie. Wyjął kość z nosa i wrzucił ją do kociołka.

— Przykro mi — powiedział. — Nie obsługuję wdów.

* * *

Nadeszła niedziela, a wraz z nią wiadomość na automatycznej sekretarce doktora Degradiana. Doktor oddzwonił na podany numer i przywitał go głos Angeli.

— Udało się? — zamruczała.

— Jeszcze nie. Ale wciąż próbuję.

— Lepiej niech pan coś wymyśli. Inaczej jutro wyjeżdżam.

Serce psychiatry na moment zgubiło rytm.

— Dokąd się pani wybiera, na litość boską?

— Na Krym. Podoba mi się ta nazwa.

Rozłączyła się, a on siedział, nie będąc w stanie wymówić słowa. Biedna dziewczyna. Wiedział, że nie zniósłby teraz jej straty, ale jak miałby temu zapobiec?

Musiał przyznać, że został pokonany. Skoro czarnoksiężnik nie chciał mu pomóc, musiał wykonać zadanie sam.

Przez cały ranek biegał od księgarni do księgarni. Większość była zamknięta, a w nielicznych otwartych nie znalazł tego, czego potrzebował.

Było późne popołudnie, kiedy natknął się na zapuszczony antykwariat i wy dostał właściwy tomik z za stosu zakurzonych książek, gdzie był wciśnięty obok egzemplarza Biblii z wypisaną ręcznie dedykacją.

Po powrocie do domu spędził cały wieczór nad rozsypującymi się, pożółkłymi stronami starej księgi czarów w żelaznej oprawie, tłumacząc tekst na bieżąco z łaciny. Tuż przed północą znalazł właściwe zaklęcie, a kolejna godzina minęła, nim narysował pentagram na kuchennej podłodze, ustawił wysokie świece i zaczął wypowiadać zaklęcie.

Robiąc to, wciąż był świadom swoich wątpliwości. Oto on, przedstawiciel znamienitej profesji, mającej w swoich szeregach takie historyczne postacie jak Zygmunt Freud czy bracia Joyce, uciekał się do czarów! Ale nie miał wyboru, a jeśli miało to przynieść pożądany skutek...

Dało się słyszeć narastające dudnienie. Nagle poczuł zapach dymu i siarki, niczym w godzinach szczytu na autostradzie.

Potem tuż za narysowanym kredą pentagramem wystrzelił w górę spiralny słup dymu, wijąc się i materializując w konkretny kształt.

Doktor Degradian patrzył ze zgrozą na inkuba, który przysiadł przed nim na piętach.

Nagie ciało przypominało męczyznę, ale było zielono-fioletowe. Żaden mężczyzna nie mógł też mieć takich rogów ani takich warunków, żeby rogi przyprawiać. Był to inkub, bez dwóch zadań, bo jego szeroko uśmiechnięte oblicze zmieniło się teraz w twarz Burta Reynoldsa.

— O Jezu! — mruknął psychiatra.

— Przepraszam, musiał pan wypowiedzieć niewłaściwe zaklęcie. Ja jestem inkubem — powiedział stwór, wskazując gestem swoje uda.

— Widzę, widzę — zapewnił go doktor Degradian. — Jesteś naprawdę znakomicie wyposażony.

— Pochlebstwa na nic się nie zdadzą — uciął stwór. — Po co mnie pan wezwał?

— Mam dla ciebie zadanie.

Inkub zamrugnął pokrytymi łuską powiekami.

— Jakiego typu?

— Nic nadzwyczajnego. To co zwykle.

Demon się wzdrygnął.

— Proszę... — westchnął rozgłośnie, aż naczynia zabrzęczały — Do pańskiej wiadomości, gdyby pan nie wiedział, jestem ostatnim z rodu. Nikt już dzisiaj nie świadczy tego rodzaju usług i wszystkie terminy mam zarezerwowane. I mam serdecznie dosyć... — Znów westchnął, od czego stłukło się kilka szklanek na blacie koło zlewu. — Gdyby pan wiedział, jak mi obrzydło nawiedzanie zasuszonych starówek w domach opieki... członków ruchu wyzwo...

— Nic z tych rzeczy — pospieszył go uspokoić doktor Degradian.

Ale inkub nie słuchał.

— Nie ma pan pojęcia, co ja przeszedłem — jęknął. — W dawnych dobrych czasach, zanim nastał ten permissywizm, wszystko było proste. Odbywałem randki z przystojnymi niezamężnymi kobietami, z pięknymi żonami starych mężów, nawet z uczennicami. O odrobinę miłości nie było łatwo i dać im, czego chciały, to była, że się tak wyrażę, bułka z masłem. Ale dzisiaj... — Inkub się otrząsnął. — Dzisiaj wszystkie się zaczytują poradnikami seksu, naoglądały się filmów dla dorosłych. — Demon wskazał gestem swoją twarz. — Muszę nawet co rusz zmieniać wygląd, żeby je zadowolić. Najpierw był Paul Newman, potem Robert Redford. Teraz na fali jest Burt Reynolds, a za rok pewnie będę musiał odstawić całą grupę rockową. Niech pan na mnie spojrzy — lecę z nóg, skóra i kości ze mnie zostały. Dochodzi do tego, że nie nadają się już nawet na jednorazowy skok w bok. Potrzebny mi urlop, rok sabatowy. A pan chce mi wcisnąć nową robotę?

Doktor Degradian wzruszył ramionami.

— Spokojnie. To nie jest żadna nowa robota. Chcę tylko, żebyś wrócił do dawnego zadania, nic więcej. Jest pewna dziewczyna, Angela...

— Angela? — Stwór zadygotał. — O nie, tylko nie ona!

— Pamiętasz ją?

— Czy pamiętam? A jak pan myśli, czemu jestem w takim stanie? To ona mnie tak załatwiła. Jeszcze jedna runda z nią i będę nosił pas przepuklinowy! — Inkub pokręcił głową

tak gwałtownie, że jego rogi zaklekotały. — Nie ma mowy! Angela jest nimfolepryczką. Inkub nie może jej pomóc. Potrzebny jej psychiatra.

— Ale ty jesteś moją ostatnią szansą...

— Przykro mi. — Stwór podniósł się na nogi i ziewnął znużony, zdmuchując przy okazji kilka świec. — Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, będę leciał. Jeszcze tylko sierociniec i na dzisiejszą noc fajrant.

— Sierociniec?

Inkub skinął głową.

— To mój obowiązek — mruknął. — Zna pan zasadę: „Lepiej zapobiegać, niż leczyć”.

I zniknął, zostawiając po sobie chmurę dymu.

* * *

Zaświtał poniedziałek. Doktor Degradian wyszorował podłogę w kuchni, wywietrzył mieszkanie i zapadł w niespokojny sen. Nie poszedłby w ogóle do pracy, gdyby nie umówiona na popołudnie wizyta Angeli.

Powlókł się do gabinetu przygnieciony poczuciem winy. Zawiódł tę dziewczynę, zawiódł samego siebie i nie miał już żadnej nadziei, której mógłby się uchwycić.

Zamiast tego chwycił się blatu biurka, kiedy weszła, promienna i piękna jak zawsze, z oczami roziskrzonymi oczekiwaniem.

— I jak sobie pani dawała radę? — zapytał. — Chyba stosunkowo nie najgorzej?

Splonęła wdzięcznym rumieńcem.

— Stosunkowo to nie, nie było z kim — powiedziała. — W końcu poszłam się przejść, żeby oderwać myśli wie pan od czego.

— Pomogło?

— Trochę. Miałam szczęście, bo po drodze był plac budowy i mogłam obejrzeć, jak staje wysoki drapacz chmur.

Doktor Degradian skinął głową, przygotowując się na nieuniknione pytanie.

Błękitne oczy spoczęły na nim, pełne nadziei.

— A co u pana, doktorze? Udało się panu ściągnąć inkuba z powrotem?

— Niestety nie.

Do oczu Angeli napłynęły łzy i doktor Degradian cierpiał katusze, widząc jej rozpacz.

— Powiedział, że jest pani nimfoleptyczką i nikt pani nie może pomóc oprócz psychiatry.

Angela wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym niespodziewanie się uśmiechnęła.

— Pan jest psychiatrą.

Doktor Degradian wzruszył ramionami.

— Ale pani nie chce się poddać leczeniu. Co mogę zrobić?

— Niech pan się ze mną ożeni.

— Co takiego?!

— Niech pan się ze mną ożeni — powtórzyła Angela. — Czy pan nie widzi, że od początku mam do pana słabość? — Skinęła entuzjastycznie głową. — Komu potrzebny jakiś inkub, z tymi rogami i smrodem siarki?

— Ale...

— Żadnych ale. Podjęłam decyzję. Pobierzemy się.

I podskoczyła z gracją prawdziwej nimfy.

Ślub odbył się w następnym tygodniu. Doktor Degradian uzbroił się psychicznie na czekającą go przeprawę. W nocy, kiedy Angela się położyła, a on wciąż jeszcze rozbierał się w łazience, usłyszał, jak go woła.

— Już kończę! — odkrzyknął.

Te słowa okazały się prorocze. Ku osłupieniu doktora jego nowo poślubiona żona była całkowicie usatysfakcjonowana. Moszcząc się na poduszkach, obdarzyła go szczęśliwym uśmiechem.

— A więc to jest orgazm — wymruczała. — Zawsze się zastanawiałam...

— Chcesz powiedzieć, że nigdy...

— Nigdy dotąd. — Angela otoczyła go ramionami. — Kochanie, jak sądzisz, czy byłoby możliwe...

— Jest wysoce prawdopodobne — powiedział doktor Degradian.

Koniec końców okazało się więc, że było to całkiem szczęśliwe małżeństwo. I upłynęły niemal trzy miesiące, nim Angela stała się rzeczywiście oziębła...

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

O CUDOWNA TAJEMNICO ŻYCIA!

Od wiary w zabobony odżegnują się często ludzie, którzy zawsze wkładają najpierw prawy hut, unikają przechodzenia pod drabiną i odpukają w niemalowane drewno — nawet przez myśl im nie przejdzie, że są zabobonni. Autor tych słów, James Turner, napisał jednak później w swojej książce „Unlikely Ghosts” (1969): „Satyra niemal zupełnie unicestwiła przesady” pomimo materiału dowodowego, jakiego dostarczyli A. E. Coppard, H. Russell Wakefield czy Henry Kutner.

Do tej listy możemy dodać Roalda Dahla, jednego z najpopularniejszych XX-wiecznych twórców literatury dziecięcej, który był również utalentowanym autorem fantastyki. Tematu do pierwszej książki dostarczył mu przesąd z czasów drugiej wojny światowej — wiara w gremliny. O tych stworkach prześladowujących lotników po raz pierwszy usłyszał, kiedy był pilotem RAF-u, i opisał je w swojej książce dla dzieci „The Gremlins” (1943), a później w powieści science fiction „Sometime Never” (1947), gdzie gremliny usiłują przejąć władzę nad światem, ale kiedy ludzkość pogrąża się w zgubnej wojnie atomowej, planeta i tak im przypada w udziale. Dahl napisał też szereg sarkastycznych krótkich opowiadań fantastycznych, które zostały zebrane w trzech tomach: „Someone Like You” (1953), „Kiss Kiss” (1960) oraz „Cuda i dziwki” (1974).

Roald Dahl (1916–90) urodził się w Walii. Jego rodzice byli Norwegami. Początkowo pracował w przemyśle naftowym. Ranny i uznany za niezdolnego do dalszej służby w charakterze pilota RAF-u, został attache wojskowym w Waszyngtonie, gdzie zaczął pisać. Miał makabryczne poczucie humoru i jego twórczość szczególnie dobrze sprawdzała się w telewizji. Dokonał szeregu adaptacji, w tym na potrzeby amerykańskiego programu „Way Out” a następnie brytyjskiej serii „Tales of the Unexpected” (1979–84), która odniosła światowy sukces. Sławę i wyjątkową — pożywie wśród autorów literatury dziecięcej, jaką przyniosła mu książka „Charlie i fabryka czekolady” (1964), ugruntowały późniejsze bestsellery, takie jak „Banny mistrz świata” i „Wielkomilud” (1982) Dahl nigdy nie porzucił swojego zamiłowania do fantastyki ani zainteresowania przesądami, czego dowodem jest opowiadanie „O cudowna tajemnico życia!” napisane dla magazynu „Daily Telegraph” w 1974 roku. Jest to historia oparta na wiejskim przesądzie dotyczącym byków, krów i słońca. Niezrównany Dahl!

* * *

Pewnego dnia, kiedy ów magazyn zaproponował mi napisanie krótkiego tekstu na mniej lub bardziej dowolny temat, odmówiłem. Wyjaśniłem, że zmagam się z nową książką dla dzieci i byłoby mi trudno się przestawić. Ale gdy tylko odłożyłem słuchawkę, ogarnęły mnie wątpliwości.

Powiedziałem sobie, że „Daily Telegraph” czytają wszyscy, którzy mają w tym kraju coś do powiedzenia, rekiny przemysłu, szefowie związków zawodowych, a nawet członkowie gabinetu. Jakaż by to była wspaniała sposobność, aby powiedzieć coś, co wstrząsnęłoby posadami świata i wszczepić owo przesłanie wprost do głów osób wpływowych.

Ale czy miałem takie przesłanie? Nic, co bodaj ocierałoby się o trywialność, nie wchodziło w rachubę. Nic, co trąciłoby polityką, tanim dowcipem czy zadzieraniem nosa. Musiało to być coś, co przyniosłoby pożytek ludzkości na całym świecie. Coś w stylu Salka i jego szczepionki przeciwko chorobie Heinego–Medina, Roentgena z jego naświetloną płytką

fotograficzną albo Fleminga z tym małym kóleczkim wolnym od bakterii na szkiełku pod mikroskopem. Coś w tym rodzaju.

Cóż, zacząłem myśleć. Myślałem, myślałem i nic szczególnego się nie działo, aż nagle... pstryk! — otworzyła mi się w głowie jakaś malutka klapka i wykrzyknąłem: „Mam!”. I rzeczywiście miałem.

Od dwudziestu siedmiu lat obracałem w myślach zdarzenie, które miało miejsce pewnego mglistego popołudnia na podwórzu przed zagrodą, na skraju wsi Great Missenden, zastanawiając się nie raz i nie dwa, kiedy i w jaki sposób powinienem ujawnić te fakty przed światem. I oto pojawiała się taka szansa. Do dzieła zatem!

Ta historia zdarzyła się naprawdę. W 1947 roku, kiedy po wojnie wciąż jeszcze było w Anglii trudno o mleko, trzymaliśmy w naszym sadzie krowę. Dom, w którym mieszkałem wówczas z matką i młodszą siostrą, należy obecnie do premiera, podobnie jak sad. Wspominam o tym nie bez powodu. Kiedy wieść o tym, o czym chcę opowiedzieć, gruchnie po świecie, tysiące ludzi pociągną do Great Missenden, aby zobaczyć dom, w którym się wszystko zaczęło. A pan Wilson, który ma nie mniej wybudzone ego niż inni politycy, niemal na pewno uzna, że przybyli, by popatrzeć na niego. Pewnie im pomacha ręką z okna na piętrze, a może nawet zechce palnąć mówkę wyborczą. Jeśli to zrobi, zostanie wygwizdany.

Tak więc w ów mglisty jesienny dzień 1947 roku nasza krowa zaczęła się gonić. Była gotowa do wizyty u byka. Założyłem jej więc postronek na szyję i ruszyliśmy polną drogą wiodącą do gospodarstwa leżącego po drugiej stronie doliny. Jego właściciel, którego dobrze znałem (będę go tu nazywał Rummins), obiecał mi udostępnić swojego byka, kiedy przyjdzie czas. Sam miał doborowe stado mlecznego bydła, a wśród nich ogromnego czarno — białego fryzyjskiego buhaja, chlubę całej hodowli.

Truchtaliśmy rażno, krowa i ja. Było ciepłe wrześnieowe popołudnie, o jakich pisywał Keats. Na przydrożnych krzewach widziałem kiście dojrzałych orzechów laskowych, a raz zobaczyłem krzew obsypany rajskimi jabłuszkami koloru cytryny. U podnóża skłonu przecięliśmy główną drogę, wspięliśmy się na przeciwległe zbocze doliny i w końcu dotarliśmy na miejsce.

Rummins, który niósł wiadro mleka, zobaczył, że nadchodzimy. Postawił wiadro na ziemi i ruszył nam na spotkanie.

— Gotowa, tak? — zapytał.

— Goni się od rana — potwierdziłem. — Ryczy jak zarzynana.

Gospodarz obszedł moją krowę dookoła, dokonując starannych oględzin. Był to niski mężczyzna, szeroki i przysadzisty jak żaba. Miał szerokie żabie usta, popsute zęby i rozbiegane oczy. Ale z biegiem lat zacząłem darzyć szacunkiem jego mądrość i przenikliwość umysłu.

— Dobra — powiedział. — Jakiego cielaka chcecie, jałówkę czy byczka?

— Mogę sobie wybrać?

— Oczywiście.

— Wobec tego chciałbym jałówkę — powiedziałem, nie mrugnawszy okiem. — Potrzebujemy mleka, nie wołowiny.

— Hej, Bert! — zawołał gospodarz. — Chodź no tu pomóc!

Bert wyszedł z obory. Był to najmłodszy syn gospodarza, wysoki, apatyczny chłopak z ciekącym nosem i jakimś felerem w jednym oku, które było blade i zmętniałe jak oko gotowanej ryby. Poruszało się też zupełnie niezależnie od drugiego oka.

— Przynieś powróż — polecił synowi Rummins.

Bert przyniósł sznur i założył go krowie na szyję, tak że miała teraz dwa postronki, mój i Berta.

— On chce jałówkę — powiedział gospodarz. — Ustaw ją łbem do słońca.

— Do słońca? — zdziwiłem się. — Przecież słońca nie ma.

— Słońce jest zawsze — powiedział Rummins. — Chmury nie robią różnicy. Dobra, Bert, rusz się. Odwróćcie ją. Słońce jest z tamtej strony.

Zaczęliśmy ciągnąć, każdy za swój postronek, Bert z jednej strony, a ja z drugiej, dopóki nie ustawiliśmy jej łbem dokładnie w tę stronę, gdzie za chmurami kryło się słońce.

— Trzymajcie ją teraz równo! — zarządził Rummings. — Niech się nie kręci! — Popędził do obórki w kącie podwórza i wyszedł stamtąd z ogromnym bykiem. Prowadził go na łańcuchu przyczepionym do kółka w nosie zwierzęcia.

Byk zbliżył się powoli do krowy, łypiąc na nią groźnie, aż białka błyskały. Parsknął głucho kilka razy, grzebnał racicą, po czym ze zdumiewającą zręcznością wspiął się jej na grzbiet. Dalej sprawy potoczyły się błyskawicznie.

W trzydzieści sekund było po wszystkim. Rummins zaprowadził byka z powrotem do obory i uwiązał. Kiedy wrócił do nas, podziękowałem mu i zapytałem, czy naprawdę wierzy, że zwrócenie krowy łbem w stronę słońca da w efekcie cielaka płci żeńskiej.

— Nie bądź pan głupcem — powiedział. — Oczywiście, że wierzę. Fakt to fakt.

— Fakt to fakt? Co pan chce przez to powiedzieć?

— Chcę przez to powiedzieć to, co mówię, drogi panie. To pewna sprawa. Prawda, Bert?

— Pewna jak cholera — potwierdził Bert, przewracając mętym okiem.

— A jeśli się ją odwróci w drugą stronę, będzie byczek?

— Za każdym razem — potwierdził gospodarz.

Uśmiechnąłem się i mój rozmówca to zauważył.

— Pan mi nie wierzy, prawda?

— No, nie bardzo — przyznałem.

— Chodź pan ze mną — powiedział. — Jak pan zobaczy to, co panu pokażę, to niech mnie licho, jeśli mi pan nie uwierzy! Uwiąż krowę przy bramie, Bert.

Zaprowadził mnie do domu. Pomieszczenie, do którego weszliśmy, było ciemne, małe i nie pierwszej czystości. Z szuflady kredensu wyciągnął cały stos cienkich zeszytów, jakich używają dzieci w szkole.

— Tu jest wszystko o cieleniu się krów. Informacje o każdym kryciu, które się odbyło w tym gospodarstwie, od kiedy je objąłem przed trzydziestoma dwoma laty.

Otworzył jeden z zeszytów na chybił trafił. Na każdej stronie były cztery kolumny: IMIĘ KROWY, DATA KRYCIA, DATA URODZENIA, PŁEĆ CIELAKA.

Zerknąłem na ostatnią kolumnę. Jałówka — przeczytałem. Jałówka, jałówka, jałówka, jałówka, jałówka.

— Nie potrzebujemy tu byczków — rzekł Rummins. — Byczki to czysta strata na mlecznej farmie.

Odwróciłem kartkę. Jałówka, jałówka, jałówka, jałówka, jałówka.

— Hej! — powiedziałem. — Tu jest byczek.

— Zgadza się. Teraz popatrz pan, co napisałem przy kryciu. Zerknąłem na kolumnę numer dwa.

— Krowa brykała — przeczytałem.

— W niektóre coś wstępuje i nie sposób ich utrzymać na miejscu. No i w końcu odwracają się w drugą stronę. To jedyne przypadki, kiedy zdarzało się, że urodził się byczek.

— Fantastyczne! — wykrzyknąłem, kartkując zeszyt.

— Owszem — przytaknął Rummins. — To jest jedna z najfantastyczniejszych rzeczy na świecie. Czy wie pan, jaką średnią osiągam na tej farmie? Dziewięćdziesiąt osiem procent jałówek rok w rok! Sprawdź pan sam, nie zabraniam.

— Chętnie sprawdzę. Czy mogę usiąść?

— Proszę bardzo. Ja idę do swojej roboty.

Znalazłem ołówek, papier i zacząłem starannie przeglądać każdy z trzydziestu dwóch zeszytów — po jednym na każdy rok, od 1915 do 1946 roku.

Każdego roku na farmie przychodziło na świat około osiemdziesięciu cieląt. A oto moje końcowe wyliczenia dotyczące owego trzydziestodwuletniego okresu:

Jałówki.....	2516
Byczki.....	56
Wszystkie cielęta, wliczając martwo urodzone	2572

Wyszedłem na dwór poszukać Rumminsa. Był w mleczarni, wlewał mleko do wirówki.

— Czy pan o tym komukolwiek wspominał? — zapytałem.

— Nie, nigdy.

— Dlaczego?

— Bo tak sobie myślę, że to niczyj interes.

— Ależ człowieku, to mogłoby zrewolucjonizować cały światowy przemysł mleczarski!

— Mogłoby — zgodził się Rummins. — Bez trudu. Produkcja wołowiny też by na tym nie ucierpiała, gdyby mogli za każdym razem mieć byki.

— A w jaki sposób pan się o tym dowiedział?

— Od mojego staruszka. Kiedy miałem osiemnaście lat, rzekł: „Zdradzę ci sekret, dzięki któremu staniesz się bogaty”. I opowiedział mi o tym.

— I stał się pan bogaty?

— Nie wychodzę najgorzej.

— A czy ojciec podał panu jakiegokolwiek wyjaśnienie, dlaczego tak się dzieje?

Rummins badał wnętrze swojego nozdrza końcem kciuka, trzymając skrzydełko nosa między kciukiem a palcem wskazującym.

— Mój staruszek to był bardzo mądry gość — powiedział w końcu. — Naprawdę bardzo mądry. Oczywiście, że mi powiedział, jak to działa.

— Jak?

— Wytłumaczył mi, że krowa nie ma nic wspólnego z tym, jakiej płci będzie cielę. Wszystko, co ma krowa, to komórka jajowa. To byk decyduje, jaka będzie płeć. Nasienie byka.

— Proszę mówić dalej.

— Mój staruszek powiedział mi, że byk ma dwa rodzaje plemników, męskie i żeńskie. Jak dotąd wszystko jasne?

— Tak — potwierdziłem. — Proszę mówić.

— No więc, kiedy nasienie byka trafia do krowy, rozpoczyna się coś jakby wyścig pływacki pomiędzy męskimi i żeńskimi plemnikami. Jeśli do jajeczka pierwsze dotrą żeńskie, mamy jałówkę.

— Ale co ma z tym wspólnego słońce? — zapytałem.

— Do tego zmierzam, więc słuchaj pan uważnie. Krowa stoi na czterech nogach, tak? Kiedy jej łeb zwrócony jest w stronę słońca, plemniki poruszają się dokładnie w kierunku słońca, żeby dotrzeć do jajeczka. Odwróć pan krowę w drugą stronę i będą się poruszać w przeciwnym kierunku.

— A więc twierdzi pan, że słońce w jakiś sposób przyciąga żeńskie plemniki, sprawiając, że poruszają się szybciej niż męskie...

— Otóż to! — wykrzyknął Rummins. — Dokładnie to! Przyciąga je. Ciągnie je do przodu! Dlatego zawsze wygrywają! A jeśli odwróci się krowę w drugą stronę, to je ciągnie z powrotem i wtedy męskie plemniki wygrywają.

— Interesująca teoria — powiedziałem. — Ale nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby słońce, które jest miliony kilometrów stąd, oddziaływało na garść plemników we wnętrzu krowy.

— Bzdury pan opowiada! Kosmiczne bzdury! Czy księżyc nie działa, u diabła, na ocean, czy przyplawy i odpływy to nie jego robota? Jego, a jakże! To dlaczego słońce nie miałyby działać na żeńskie plemniki?

— Tak, rozumiem.

Nagle odniosłem wrażenie, że Rummins ma już tej rozmowy powyżej uszu.

— Zabierz pan lepiej krowę do domu — powiedział, odwracając się. — Będziesz pan miał jałówkę na bank, nie masz się pan o co martwić.

— Panie Rummins... — Tak?

— Czy jest jakiś powód, dla którego nie miałyby to działać również u ludzi?

— Oczywiście, że to działa u ludzi. O ile się pamięta, żeby wszystko było ustawione należycie. Krowa nie leży, rozumie pan. Stoi na czterech nogach.

— Rozumiem.

— W nocy też pan za wiele nie zwojujesz. W nocy słońce jest schowane i nie może nic zrobić.

— To prawda. Ale czy ma pan jakiś dowód, że u ludzi też to działa?

Rummins przekrzywił głowę na bok i obdarzył mnie jednym z tych swoich niespiesznych, szczerbatych uśmiezków.

— Mam czterech chłopaków, zgadza się?

— Zgadza.

— Nic mi tu po dziewczuchach. Na farmie człowiek potrzebuje chłopaków, a ja mam ich czterech, zgadza się?

— Zgadza się — potwierdziłem. — Zgadza się co do joty.

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

3
KOSMOS DO WZIĘCIA

Fantastyka naukowa

CZŁOWIEK W AZBEŚCIE. ALEGORIA PRZYSZŁOŚCI

Fantastyka humorystyczna wzięła na celownik literaturę science fiction — ponad sto lat temu, czyli odkąd ów gatunek zaistniał w publicznej wyobraźni za sprawą dzieł H.G. Wellsa. Sam Wells nie miał zresztą nic przeciwko wprowadzeniu do swojego pisarstwa szczypty humoru i obok klasycznych powieści, „Wehikuł czasu” (1895), „Wyspa doktora Moreau” (1896), „Wojna światów” (1898) oraz „Pierwsi ludzie na Księżycu” (1901) napisał kilka krótkich zabawnych opowiadań, takich jak „Niedoświadczony duch”, „Prawda o Pyecraftcie” oraz „Diabełskie dzikie osły” — które zamieściłem w mojej poprzedniej antologii, „Czarnoksiężnicy z Krainy Osobliwości”. Niemniej wśród humorystów parodiujących Wellsa trzeba koniecznie wymienić E. V. Lucasa i jego seksistowską opowieść „The War of the Wenuses” (1898), cyniczne opowiadanko Maxa Beerbohma „Perkins and Mankind” (1912) oraz Stephena Leacocka i jego „Człowieka w azbeście”, opowiadanie napisane w 1917 roku w ramach cyklu „Nonsense Novels”, w którym wykiwał literaturę science fiction i prozę detektywistyczną.

Stephen Leacock (1869–1994) urodził się w Kanadzie. Jest uważany za jednego z dwóch najwybitniejszych północnoamerykańskich humorystów XX wieku. (Ten drugi to James Thurher, który notabene również napisał powieść należącą do fantastyki humorystycznej, „Trzyście zegarów” (1950), oraz kilka przezabawnych opowiadań; „The Night The Ghost Got In” chętnie zamieściłbym w tym zbiorze, ale niestety mam do dyspozycji ograniczoną objętość). Leacock był mistrzem krótkiej formy, a wiele spośród jego opowiadań to satyra na science fiction. Moje ulubione, „Człowiek w azbeście” jest błyskotliwą karykaturą opowieści Wellsa o podróży w czasie i zarazem znakomitym wprowadzeniem do ostatniej części książki.

* * *

Przede wszystkim chciałbym wyjaśnić, że zrobiłem to celowo. Powodem była może po trosze zawiść.

Wydawało mi się niesprawiedliwe, że inni pisarze zapadają sobie w sen na czterysta czy pięćset lat, aby wykonać skok na główkę w odległą przyszłość i być naocznym świadkiem jej cudów.

Też tak chciałem.

Zawsze byłem i nadal jestem namiętym badaczem problematyki społecznej. Dzisiejszy świat — ryczące maszyny, nieustanny mozół klasy pracującej, konflikty, ubóstwo, wojny, okrucieństwo — przeraża mnie, gdy na to wszystko patrzę. Uwielbiam myśleć o chwili, która kiedyś musi nastąpić, gdy człowiek pokona naturę, a utrudzony rodzaj ludzki wkroczy w erę pokoju.

Uwielbiałem o niej myśleć i marzyłem, by ją zobaczyć.

Tak więc przystąpiłem do rzeczy najzupełniej rozmyślnie.

Chciałem tradycyjnie zapaść w sen na co najmniej dwa stulecia, by znaleźć się po przebudzeniu w cudownym świecie przyszłości.

Rozpocząłem przygotowania. Zakupiłem wszystkie pisemka rozrywkowe, jakie udało mi się znaleźć, nawet ilustrowane. Zaniósłem je do siebie na górę do hotelu, przyniosłem też pasztet wieprzowy i kilkadziesiąt pączków. Zjadłem pasztet i pączki, usiadłem wygodnie na łóżku i zacząłem czytać pisemka, jedno po drugim. W końcu, kiedy poczułem, że zaczyna mnie ogarniać straszliwy letarg, sięgnąłem po „London Weekly Times” i podsunąłem sobie

pod nos stronę z redakcyjnym wstępniakiem. Było to, można powiedzieć, samobójstwo w czystej postaci, ale tak uczyniłem.

Poczułem, że zmysły odmawiają mi posłuszeństwa. W pokoju po drugiej stronie korytarza jakiś mężczyzna śpiewał. Jego głos, przed chwilą donośny, był coraz słabszy, ledwie się sączył przez okienko nad drzwiami. Zapadłem w sen, w głęboki, niezmierny sen, w którym istnienie zewnętrznego świata zostało wyciszone. Jak przez mgłę czułem mijanie dni, lat i wreszcie powolny upływ stuleci.

Potem się obudziłem — nie stopniowo, tylko raptownie. Usiadłem i rozejrzałem się wokół siebie.

Gdzie byłem?

Cóż, mogłem równie dobrze zadać to pytanie samemu sobie.

Stwierdziłem, że leżę, czy raczej siedzę na szerokiej kanapie. Znajdowałem się w wielkim pomieszczeniu, ciemnym, ponurym i na oko znajdującym się w opłakanym stanie. Sądząc po szklanych gablotach i stojących w nich eksponatach, był to rodzaj muzeum.

Obok mnie siedział mężczyzna. Twarz miał gładko ogoloną, ani starą, ani młodą. Jego szare ubranie przypominało spopielony papier. Patrzył na mnie spokojnie, bez szczególnego zaskoczenia czy zainteresowania.

— Szybko — rzuciłem niecierpliwie. — Gdzie jestem? Kim pan jest? Który rok mamy, trzytysięczny czy jaki?

Mężczyzna sapnął z irytacją.

— Jaki pan ma dziwny, egzaltowany sposób mówienia.

— Proszę mi powiedzieć, czy to rok trzytysięczny?

— Chyba wiem, o co panu chodzi, ale nie mam zielonego pojęcia. Pewnie jest przynajmniej ten, plus minus jakieś sto lat, ale od tak dawna nikt tego nie śledzi, że trudno mi powiedzieć.

— Przestaliście liczyć lata? — wykrztusiłem.

— Kiedyś to robiliśmy. Pamiętam, sto czy dwieście lat temu była jeszcze pewna liczba osób, które usiłowały pilnować daty, ale umarło to śmiercią naturalną jak tyle innych podobnych dziwactw. W końcu — ciągnął, po raz pierwszy okazując pewne ożywienie — jaki to miało sens? Rozumie pan, odkąd wyeliminowaliśmy śmierć...

— Wyeliminowaliście śmierć!? — wykrzyknąłem. — Dobry Boże!

— Co to za wyrażenie, którego pan użył?

— Dobry Boże! — powtórzyłem.

— Aha. Nigdy wcześniej go nie słyszałem. A więc mówiłem, że odkąd wyeliminowaliśmy śmierć, żywność i wszelkie zmiany, praktycznie uwolniliśmy się od zdarzeń i...

— Chwileczkę — przerwałem mu. W głowie mi się kręciło. — Proszę mówić po kolei.

— Oho! — mruknął mężczyzna. — Widzę, że musiał pan przespać kawał czasu! Zatem proszę zadawać pytania. Tylko, jeśli można prosić, nie za wiele naraz i niech się pan nie ekscytuje i nie ulega ciekawości.

Nawet mnie zaskoczyło pierwsze pytanie, jakie mi się wyrwało.

— Z czego zrobione jest pańskie ubranie?

— Z azbestu. Wystarcza na setki lat. Każdy ma jeden garnitur, a gdyby zapragnął nowego, to mamy ich miliardy na składzie.

— Dziękuję — powiedziałem. — Teraz proszę mi powiedzieć, gdzie jestem?

— W muzeum. Eksponaty w gablotach to takie okazy jak pan. Ale wie pan co? Jeśli chce pan rzeczywiście poznać to, co musi być dla pana całkiem nową epoką, proszę zejść z tego postumentu. Wyjdźmy na Broadway i usiądźmy na ławeczce.

Zszedłem na dół.

Kiedy przechodziliśmy przez ciemne, pokryte kurzem pawilony, popatrywałem z ciekawością na mijane gabloty.

— Na Jowisza! — wykrzyknąłem na widok postaci w niebieskim ubraniu, z pasem i pałąką.
— To policjant!

— Naprawdę? — zdziwił się mój nowy znajomy. — To właśnie był policjant? Nieraz się zastanawiałem... Do czego ich używano?

— Używano? — powtórzyłem skonsternowany. — No, stali na rogu ulicy.

— Ach tak, rozumiem. Żeby strzelać do ludzi. Musi pan wybaczyć moją ignorancję, jeśli chodzi o niektóre wasze obyczaje z przeszłości. Kiedy odbierałem wykształcenie, zostałem operowany z historii społecznej, ale materiał, którego użyto, był bardzo kiepskiej jakości.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale nie było czasu na indagację, bo wyszliśmy na ulicę i stanąłem jak wryty.

Broadway! Czy to możliwe? Zmiana była przerażająca. Zamiast znanej mi, rozbrzmiewającej rykiem silników arterii komunikacyjnej ujrzałem ciche, porośnięte mchem pustkowia. Ogromne budynki o ścianach pokrytych warstwą grzybów i mchu popadały w ruinę przez napór wiejących przez stulecia wichrów i niepogody. W górze nie było przewodów, panowała kompletna cisza, tu i ówdzie przesuwały się czasem postacie przyodziane w takie same azbestowe ubrania, jakie miał mój znajomy, o takich samych bezwłosych twarzach, na których niezliczone lata odcisnęły ten sam wyraz.

Dobry Boże! Miałab to być owa zwycięska era, o której marzyłem? Nie wiadomo dlaczego, zawsze przyjmowałem za oczywistość, że przeznaczeniem ludzkości jest kroczyć naprzód. Ten obraz spustoszenia na ruinach naszej cywilizacji niemal odebrał mi mowę.

Gdzieniedzie porozmieszczane były niewielkie ławeczki — Usiedliśmy.

— Postęp w porównaniu z czasami, które pan pamięta, prawda? — powiedział człowiek w azbeście. W jego głosie pobrzmiwała autentyczna duma.

— Gdzie się podziały wszystkie samochody? — wykrztusiłem.

— Ach, pozbyliśmy się ich dawno temu. Jakież to musiało być okropne! Ten hałas! — Wzdrygnął się, aż jego azbestowe ubranie zaszeleściło.

— Ale w jaki sposób się przemieszczacie?

— Nie przemieszczamy się. Po co mielibyśmy to robić? Co za różnica, czy jest się tu, czy gdzieś indziej? — Na jego twarzy malowało się nieopisane znużenie.

Tysiące pytań cisnęły mi się równocześnie na usta. Zadałem najprostsze z nich.

— To w jaki sposób jeździcie do pracy i jak wracacie z powrotem?

— Praca? Nie ma żadnej pracy. Skończyła się. Ostatnie prace wykonano przed setkami lat.

Wpatrywałem się w niego przez chwilę z rozdziawionymi ustami. Potem odwróciłem się i spojrzałem jeszcze raz w szarą pustkę ulicy z przesuwanymi się tu i ówdzie azbestowymi sylwetkami.

Próbowałem zebrać myśli. Zrozumiałem, że jeśli mam pojąć tę niepojętą przyszłość, muszę zabrać się do tego metodycznie, krok po kroku.

— Widzę — powiedziałem po chwili milczenia — że od moich czasów zaszły tu epokowe zmiany. Chciałbym zadawać panu pytania w uporządkowany sposób, aby mógł mi pan wszystko po kolei objaśnić. Po pierwsze, jak należy rozumieć pańskie stwierdzenie, że nie ma żadnej pracy?

— Cóż, praca umarła śmiercią naturalną — powiedział mój dziwny znajomy. — Mechanizacja ją zabiła. O ile dobrze pamiętam, nawet w waszych czasach mieliście maszyny. Poradziliście sobie bardzo dobrze z parą, nieźle zaczęliście z elektrycznością, ale energia radialna chyba nie była jeszcze wtedy w użyciu.

Skinałem twierdząco głową, a on ciągnął dalej:

— Przekonaliście się, że nic wam to nie dało. Im lepsze były maszyny, tym ciężiej pracowaliście. Im więcej mieliście, tym więcej chcieliście mieć. Tempo życia było coraz szybsze. Byliście już zmęczeni, ale nie chciało się zatrzymać. Tkwiliście w trybach własnej maszynierii. Nikt z was nie widział wyjścia z tej sytuacji.

— Wiele w tym prawdy. Skąd pan o tym wszystkim wie?

— O, ta część mojej edukacji została bardzo dobrze zoperowana — powiedział człowiek w azbeście. — Widzę, że pan nie bardzo rozumie, o czym mówię. Mniejsza o to. Mogę to panu wyjaśnić później. Przypuszczalnie jakieś dwieście lat od pańskich czasów nastąpiła Era Wielkiego Podboju Natury, ostatecznego zwycięstwa Człowieka i Maszyny.

— Ludzie pokonali naturę? — zapytałem szybko, znów czując w żyłach dreszcz dawno hołubionej nadziei.

— Pokonali. Rozgromili! Położyli na łopatki! Jedno wydarzenie pociągało za sobą następne, coraz szybciej i szybciej. Po stu latach było po wszystkim. W gruncie rzeczy odkąd ludzkość obróciła swoją energię na ograniczanie potrzeb, zamiast na eskalację pragnień, cała sprawa okazała się prosta. Najpierw wynaleziono chemiczną żywność. O nieba! Co za prostota! A w pańskich czasach miliardy ludzi ryły i grzebały w ziemi od rana do nocy. Widziałem takie okazy... nazywano ich rolnikami. Mamy jednego w muzeum. Po wynalezieniu chemicznej żywności zgromadziliśmy w magazynie tyle, że wystarczy na setki lat. Rolnictwo poszło do lamusa. Jedzenie i wszystko co się z tym wiąże, prace domowe, cała ta harówka — wszystko się skończyło. Dziś człowiek zażywa pastylkę koncentratu mniej więcej raz na rok i wystarczy. Nieporęczny układ trawienny, jaki znaliście, był dzięki ewolucji nadmuchany niczym dudy!

— Czy pan i ci ludzie — przerwałem mu, nie mogąc się powstrzymać — nie macie żołądków? Nie macie układu pokarmowego?

— Oczywiście, że mamy, tylko używamy go w sensownych celach. Mój jest w znacznym stopniu wypełniony wiedzą... ale znowu wybiegam naprzód. Lepiej będę mówił po kolei, tak jak zacząłem. Najpierw wynaleziono chemiczną żywność, co ujęło nam mniej więcej jedną trzecią pracy, a następnie odzież z azbestu. To było wspaniałe! W jeden rok ludzkość wyprodukowała tyle ubrań, że wystarczy ich na bardzo, bardzo długo. Oczywiście nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie bunt kobiet i upadek mody.

— Rozprawiliście się z modą? Z tym obłędnym marnotrawstwem, z tym... — Już miałem zacząć pomstować po dawnemu na czczą próżność wymyślnych strojów kiedy mój wzrok padł na przechodzące w pobliżu postacie obleczone w azbest i urwałem.

— Całkowicie — zapewnił mnie człowiek w azbeście. — A następnie wyeliminowaliśmy czy też praktycznie wyeliminowaliśmy zmienność klimatu. Nie sądzę, aby w pańskich czasach zdawano sobie do końca sprawę, ile pracy kosztowały was zmiany pogody. Potrzebowaliście ubrań najróżniejszego typu, domów i innych rodzajów schronienia... ogrom pracy! Jak okropnie musiało być w tamtych czasach! Wichry i burze, wielkie masy wilgoci... jak wyje nazywaliście? A tak, chmury. Ocean pełen soli — prawda? — smagany i targany wiatrem, przysypujący wszystko śnieg, grad, deszcz... straszne!

— Czasem było to bardzo piękne — powiedziałem. — Ale w jaki sposób dokonaliście zmiany?

— Zlikwidowaliśmy pogodę! Po prostu! Napuściliśmy żywioły na siebie nawzajem, zmieniliśmy skład wody morskiej, tak że zewnętrzna warstwa stała się mniej lub bardziej galaretowata. Dokładnie tego panu nie wyjaśnię, bo tej operacji akurat w szkole nie miałem, ale niebo uzyskało dzięki temu szary kolor, który pan widzi, a morze kolor gumy. Pogoda jest zawsze taka sama. Nie potrzebujemy opału, znikła konieczność budowania domów, a wraz z tym niewyobrażalny ogrom pracy!

Umilkł na chwilę. Zacząłem pojmować coś niecoś z ewolucji, która się dokonała.

— A więc — powiedziałem — dzięki zwycięstwu nad naturą nie ma już żadnej pracy do wykonania?

— Otóż to — przytaknął człowiek w azbeście. — Nic nie zostało.

— Żywności jest pod dostatkiem dla wszystkich?

— W nadmiarze.

— Ubrań też? I domów?

— Ile kto chce. — Człowiek w azbeście machnął ręką. — Proszę, są tam, tylko iść i brać. Oczywiście osiadają pomalutku, bardzo, bardzo powoli. Ale przetrwają jeszcze stulecia, więc nie ma się o co martwić.

Wtedy do mnie dotarło, być może po raz pierwszy, czym była praca w dawnym życiu i jak mocno ów wyteżony trud był wpleciony w samą materię tego życia.

Spojrzałem w górę. U szczytu porośniętego mchem budynku spostrzegłem coś, co wyglądało na resztki przewodów telefonicznych.

— Co się stało z telegrafem, telefonem i całym systemem łączności?

— Ach, więc to był telefon? Wiem, że zakazano go setki lat temu. Do czego właściwie służył?

— No więc — zacząłem z entuzjazmem — za pośrednictwem telefonu mogliśmy zadzwonić, do kogo chcieliśmy, i rozmawiać z każdym na dowolną odległość.

— I każdy mógł do was zadzwonić o dowolnej porze i rozmawiać z wami? — zapytał człowiek w azbeście z przerażeniem w głosie. — Coś okropnego! Co to musiały być za straszne czasy! Nie, telefony i cała reszta, cały transport i łączność zostały wyeliminowane i zakazane. Nie miały żadnego sensu. Pan sobie nie zdaje sprawy z faktu, że ludzie żyjący po panu stawali się stopniowo coraz bardziej racjonalni. Weźmy chociażby kolej. Jaki był z niej pożytek? Przywoziła do każdego miasta tłumy ludzi z innych miast. Kto ich chciał? Nikt. Kiedy praca ustała, handel zamarł, żywność stała się zbędna, a pogoda została unicestwiona, jeżdżenie stało się głupotą. Tak więc zostało ukrócone. Tak czy inaczej — powiedział zmienionym głosem, rzucając szybkie, lękliwe spojrzenie — było niebezpieczne.

— Ach tak! Niebezpieczne! A więc nadal znacie pojęcie niebezpieczeństwa?

— Cóż, owszem — przyznał człowiek w azbeście. — Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że się zostanie popsutym.

— Co pan przez to rozumie?

— Wy chyba nazwalibyście to śmiercią. Oczywiście w jakimś sensie śmierci nie ma od wieków, wyeliminowaliśmy ją. Choroby i śmierć były po prostu sprawą zarazków. A zarazki wykryliśmy wszystkie. Wydaje mi się, że nawet w waszych czasach udało się znaleźć kilka łatwiejszych, tych większych?

Skinąłem głową.

— Tak, wykryliście zarazki dyfterytu i tyfusu — ciągnął dalej — było też, o ile się nie mylę, kilka innych, jak zarazki szkarlatyny czy ospy, które nazywaliście ultramikroskopijnymi i których wciąż szukaliście, a istnienia innych nawet nie podejrzewaliście. Cóż, my je wytropiliśmy jeden po drugim i zniszczyliśmy. Dziwne, żadnemu z was nigdy nie przyszło do głowy, że starość jest powodowana jednym z zarazków! Całkiem prostym, jak się okazało, ale tak rozpowszechnionym, że nawet o tym nie pomyśleliście.

— Chce pan powiedzieć, że teraz żyjecie bez końca?! — wykrzyknąłem ze zdumieniem.

— Wolałbym, żeby nie okazywał pan takiej egzaltacji. Mówi pan, jakby wszystko miało kolosalne znaczenie. Tak, żyjemy bez końca, o ile się nie popsujemy. To się czasami zdarza. Można na przykład spaść z dużej wysokości lub uderzyć o coś i pęknąć. Wie pan, wciąż jesteśmy trochę łamliwi, to pewnie jakieś pozostałości zarazków starości, więc musimy być ostrożni. Nie ukrywam, że wypadki były jednym z najbardziej stresujących elementów naszej cywilizacji, dopóki nie podjęliśmy kroków w celu ich wyeliminowania. Zakazaliśmy ruchu ulicznego, lotniczego i tak dalej. Niebezpieczeństwa czyhające w waszych czasach musiały być czymś przerażającym — powiedział z nerwowym szelestem swojego azbestowego okrycia.

— Były — przyznałem z dumą, jakiej nigdy dotąd nie odczuwałem wobec swojego pokolenia — ale uważaliśmy za obowiązek odważnego człowieka...

— Tak, tak — przerwał mi niecierpliwie człowiek w azbeście — proszę się nie ekscytować. Wiem, o co panu chodzi. To było całkowicie irracjonalne.

Długi czas siedzieliśmy w milczeniu. Rozglądałem się wokół siebie, patrząc na murszejące budynki, na monotonne, niezmiennie niebo, na posępną, pustą ulicę. A więc to był owoc zwycięstwa, wyeliminowania pracy, głodu i zimna, koniec morderczych zmaganiań, przemijania i śmierci. Była to nowa era szczęśliwości. A jednak coś mi w tym wszystkim nie pasowało. Po chwili namysłu zadałem kilka szybkich pytań, nie dając sobie czasu na przemyślenie odpowiedzi.

— Czy obecnie toczy się jakaś wojna?

— Wojny ustały setki lat temu. Międzynarodowe konflikty zaczęto rozwiązywać za pomocą automatów do gry. Potem w ogóle zarzucono stosunki międzynarodowe. Po co je utrzymywać? Wszyscy uważają, że cudzoziemcy są okropni.

— A czy są jakieś gazety?

— Gazety! Do czego, u licha, miałyby nam być potrzebne? Gdybyśmy ich zapragnęli, są tysiące starych, całe stosy. Ale co w nich jest? Tylko to, co się dzieje! Wojny, wypadki, praca i śmierć. Kiedy te zjawiska zanikły, zanikły również gazety. Proszę posłuchać — ciągnął człowiek w azbeście. — Wydaje się pan kimś w rodzaju społecznego reformatora, a mimo to zupełnie pan nie pojmuję nowego życia. Nie rozumie pan, w jak kompletny sposób zniknęły z naszego życia wszystkie ciężary. Proszę na to spojrzeć od tej strony. Jak ludzie w waszych czasach spędzali wczesne lata swojego życia?

— Cóż, pierwszych piętnaście lat przeznaczano na naukę powiedziałem.

— Otóż to. Teraz niech pan zobaczy, jak to wszystko udoskonaliliśmy. Obecnie edukacja przeprowadzana jest chirurgicznie. Dziwne, ale w waszych czasach nikt sobie nie uświadamiał, że nauka to sprawa chirurgii. Nie potrafiliście dostrzec, że to, co robicie, to w gruncie rzeczy powolna przebudowa, zakrzywienie i fałdowanie wnętrza mózgu w długim i bolesnym procesie oddziaływań psychicznych. Wszystko, czego się uczyliście, znajdowało swoje odzwierciedlenie w fizycznych zmianach dokonujących się w tkance mózgowej. Wiedzieliście to, ale nie ogarnialiście pełnych konsekwencji tego faktu. Potem odkryto edukację chirurgiczną. To prosta metoda polegająca na otwarciu czaszki z boku i wszczepieniu w nią kawałka spreparowanego mózgu. Na początku musiano oczywiście używać mózgow zmarłych, tak przypuszczam — tu człowiek z azbestu zadygotał jak liść — ale wkrótce nauczono się robić matryce, które sprawdzały się równie dobrze. Potem już poszło jak z płatka: kilkuminutowa operacja wystarcza, aby wprowadzić do mózgu poezję, języki obce, historię czy co tam kto sobie życzy mieć opanowane. Tutaj na przykład — powiedział, odsuwając włosy i pokazując widniejącą pod nimi bliznę — miałem wprowadzoną trygonometrię sferyczną. Było to, muszę przyznać, dość bolesne, ale inne dziedziny wiedzy, takie jak angielska poezja czy historia, mogą być wprowadzone bez najmniejszej przykrości. Wzdrygam się na myśl o waszych barbarzyńskich metodach edukacji przez ucho. Co ciekawe, odkryliśmy niedawno, że do wielu dziedzin nie ma potrzeby używać głowy. Takie sprawy jak filozofia, metafizyka i tym podobne lokujemy w miejscu dawnego układu trawiennego. Stanowią znakomity wypełniacz.

Człowiek w azbeście umilkł na chwilę.

— A więc — ciągnął — przejdźmy dalej. Co zajmowało wam czas i absorbowало was po zakończeniu edukacji?

— Cóż, oczywiście człowiek musiał pracować. Poza tym, jeśli mam być szczery, bardzo dużo czasu i emocji kosztowała nas płeć przeciwna, miłość i znalezienie kobiety, z którą miało się dzielić życie.

— O! — wykrzyknął człowiek w azbeście z autentycznym zainteresowaniem. — Słyszałem o waszych układach z kobietami, ale nigdy ich do końca nie zrozumiałem. Jak pan mówi? Wybieraliście sobie kobietę?

— Tak.

— I ta kobieta zostawała żoną?

— Tak, oczywiście.

— I nie pracowała?

— Nie — powiedziałem. — Oczywiście, że nie.

— I połowa tego, co posiadaliście, należała do niej?

— Tak.

— I miała prawo mieszkać w waszym domu i używać waszych rzeczy?

— Oczywiście.

— To straszne! — powiedział człowiek w azbeście. — Do tej pory nie uświadamiałem sobie w pełni grozy tamtych czasów.

Siedział, drżąc lekko, z zalęknionym wyrazem twarzy. Nagle uderzyło mnie, że wszystkie postacie na ulicy wyglądają jednakowo.

— Czy teraz nie ma kobiet? — zapytałem. — Czy one też zanikły?

— Skądże — uspokoił mnie człowiek w azbeście. — Są tu jak dawniej. Niektóre z tych postaci to kobiety. Tylko, widzi pan, wszystko się zmieniło. To był skutek wielkiego buntu kobiet, ich pragnienia, żeby być jak mężczyźni. Czy to wszystko nie miało swoich początków w waszych czasach?

— Tylko niewielka część — powiedziałem. — Kobiety zaczynały domagać się praw wyborczych i równouprawnienia.

— O, to, to! — potwierdził mój znajomy. — Nie mogłem znaleźć właściwego słowa. Wasze kobiety musiały być straszne, nieprawdaż? Całe w piórach, skórach i jaskrawych barwnikach zrobionych z martwych stworzeń. I śmiały się, prawda? Głupkowato szczerzyły zęby i w każdej chwili mogły was usidlić przez jakiś kontrakt! Brr! — Aż się otrząsał.

— Panie Azbestowy — powiedziałem z gniewem (nie przedstawił mi się, więc wymyśliłem mu takie nazwisko). — Czy pan myśli, panie Azbestowy, że to bezkształtne, workowate uosobienie równości, które widzimy tu na ulicy, w ubrankach a la popielniczka, mogłoby się choć przez sekundę równać z niewyzwolonymi, niezreformowanymi, ubranymi w obcisłe spódniczki kobietami dwudziestego wieku, którymi obdarzyło nas niebo?

Nagle poraziła mnie nowa myśl.

— Gdzie są dzieci? — zapytałem. — Czy w ogóle są tu jakieś dzieci?

— O nie! — powiedział człowiek w azbeście. — Przynajmniej od stu lat o niczym takim nie słyszałem. Musiały to być straszliwe małe potworki! Ciągłe wrzeszczały! No i rosły, zgadza się? Jak grzyby! Wydaje mi się, że każdego roku były większe niż poprzedniego i...

Wstałem.

— Więc to jest ta wasza cywilizacja przyszłości, wasza nowa świetlana era? Ta nuda, martwota, życie bez pracy i ciężarów, wraz z którymi odeszła cała radość? W miejsce dawnych zmagania kompletna stagnacja, zamiast niebezpieczeństwa i śmierci drętwa monotonia bezpieczeństwa i groza niekończącego się rozkładu! — Wzniosłem ramiona w nieruchomym powietrzu. — Oddajcie mi moje dawne życie pełne niebezpieczeństw i stresów, z jego twardym mozołem, goryczą straconych szans i bólem zawodu! Widzę jego wartość! Znam jego cenę! Nie chcę odpoczynku! — zawołałem na cały głos.

— Dobra, ale daj odpocząć reszcie korytarza! — przedarł się przez moje uniesienie czyjś gniewny krzyk.

Mój sen nagle się rozwiął.

Byłem w swoim dawnym hotelowym pokoju, wokół mnie znów rozbrzmiewał szum starego, zabieganego, niegodziwego świata, a w moich uszach dźwięczał donośny głos poirytowanego sąsiada z naprzeciwka.

— Przestań wrzeszczeć, ty piekielniku zatracony! Zejdź na ziemię!

Zszedłem.

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

SAMICA GATUNKU*

John Wyndham to kolejny pisarz, który, podobnie jak jego sławny mistrz H.G. Wells, jest dziś pamiętany przede wszystkim dzięki swoim klasycznym powieściom „Dzień tryfidów” (1951), „Przebudzenie Krakena” (1953), „Kukulcze jaja z Midwich” (1957) — choć obdarzony był również przewrotnym poczuciem humoru i nie stronił od parodiowania mistrzów gatunku w krótkich opowiadaniach. Szczególnie bawiły go wszelkie opowieści o szalonych naukowcach, od jakich roilo się w amerykańskich tanich czasopismach lat trzydziestych XX wieku, w których i on publikował swoje opowiadania. Wells może być oczywiście oskarżany o zainspirowanie tego nurtu twórczości makabryczną powieścią „Wyspa doktora Moreau” (rzeczywistą pionierką była zapewne Mary Shelley i jej wydany w 1918 roku „Frankenstein”), ale trudno go winić za wszystkie okropności, jakie jego następcy kazali popełniać ekscentrycznym eksperymentatorom wobec zwierząt i ludzi. W „Samicy gatunku” John Wyndham składa ironiczną hold doktorowi Moreau i jego kolegom po fachu.

John Wyndham Parkes Lucas Beynon Harris (1903–69) w swej pisarskiej karierze używał jako pseudonimów wszystkich swoich imion zestawianych w różnych kombinacjach, ale najbardziej znany jest pod dwoma pierwszymi. Urodzony w Warwickshire, próbował bez powodzenia zawodów rolnika, prawnika, ilustratora, agenta reklamowego, aż wreszcie w latach trzydziestych odnalazł swoje powołanie jako twórca literatury fantastycznej i science fiction. Stał się sławny dzięki mrożącej krew w żyłach opowieści o morderczych, mobilnych roślinach — tryfidach — oraz kolejnym bestsellerom, z których większość została zaadaptowana na duży, a często również mały ekran. Opowiadanie „Samica gatunku” powstało w 1937 roku, pierwotnie pod tytułem „The Perfed Creature”; w tej wersji twórca doktora Dixona był, jak wszystko na to wskazuje, rodzaju męskiego. W magazynie „Argosy”, w którym opowiadanie ukazało się pod zmienionym tytułem w październiku 1953 roku, potwór jest stuprocentową samicą. Instynkt, który kierował obydwoma siejącymi zniszczenie istotami, był jednak w obu wersjach dokładnie ten sam — potrzeba znalezienia partnera...

* * *

Po raz pierwszy usłyszałem o sprawie Dixona, kiedy przybyła do nas delegacja z Membury z prośbą o zbadanie dziwnych wypadków, do jakich doszło w ich wsi.

Ale może najpierw objaśnię, co rozumiem przez „my”.

Tak się składa, że jestem inspektorem SPZZ — pełna nazwa organizacji brzmi Stowarzyszenie na rzecz Przeciwdziałania Znęcaniu się nad Zwierzętami — w okręgu, do którego należy Membury. Tylko proszę, nie myślcie sobie od razu, że mam kuku na muniu na punkcie zwierzątek. Potrzebowałem pracy. Posadę załatwił mi przyjaciel, który miał znajomości w stowarzyszeniu. Swoje obowiązki wypełniam, jak mi się wydaje, sumiennie. Co do zwierząt zaś... cóż, lubię niektóre, podobnie jak lubię niektórych ludzi. I tym się różnię od mojego współpracownika, Alfreda Westona, który lubi — czy raczej lubił? — wszystkie z zasady, nie czyniąc pomiędzy nimi żadnych różnic.

Stowarzyszenie nie do końca ufa swoim pracownikom, może z powodu pensji, jakie płaci, a może uznano, że tam, gdzie podejmowane są kroki prawne, dobrze jest mieć dwóch świadków, w każdym razie ustaliła się praktyka wyznaczania po dwóch inspektorów na obwód, czego owocem była między innymi moja codzienna, bliska współpraca z Alfredem.

* Aluzja do znanego wiersza Rudyarda Kiplinga, w myśl którego „samica gatunku jest bardziej zawzięta niż samiec” — przyp. tłum.

Alfreda można by określić jako miłośnika zwierząt w całym tego słowa znaczeniu. Pomiedzy nim a zwierzętami istniało ściśle pokrewieństwo duchowe, przynajmniej ze strony Alfreda. Jeśli zwierzęta nie całkiem to rozumiały, nie było w tym jego winy, on robił, co mógł. Na samą myśl o czterech łapach czy piórach coś się z nim zaczynało dziać. Kochał wszystkie stworzenia razem i każde z osobna i miał zwyczaj mówić o nich i do nich, jakby to byli jego bardzo drodzy przyjaciele, przejściowo trapieni przez obniżony iloraz inteligencji.

Alfred był dobrze zbudowany, choć niezbyt wysoki. Patrzył zza okularów w grubych oprawkach z surową powagą, która rzadko kiedy łagodniała. Różnica między nami polegała na tym, że ja wykonywałem pracę, a on realizował powołanie, angażując w to całe serce oraz potężną, dodającą mu wigoru wyobraźnię.

Nie czyniło go to łatwym współpracownikiem. Pod niezwykle silnym szkłem powiększającym wyobraźni Alfreda sprawy powszednie nabierały posmaku sensacji. Przy rutynowym doniesieniu o biciu konia słowa o niktzemnikach, barbarzyńcach i bestiach w ludzkiej skórze bombardowały jego mózg z taką intensywnością, że był gorzko rozczarowany, kiedy po raz kolejny stwierdzaliśmy, że po pierwsze, sprawa była mocno wyolbrzymiona, a po drugie, sprawca albo wypił o jedną kolejkę za dużo, albo go zwyczajnie trochę poniosło.

Otóż pewnego ranka, kiedy siedzieliśmy razem w biurze, przybyła do nas delegacja z Membury. Grono było liczniejsze niż zazwyczaj i kiedy ludzie wchodzili kolejno do biura, oczy Alfreda rozszerzyły się przecuciem rzeczywistego horroru. Nawet ja czułem, że musi to być coś więcej niż puszka przywiązana do kocięgo ogona.

Przewidywaliśmy słusznie. Opowieść była trochę chaotyczna, ale kiedy uporządkowaliśmy fakty, wyłoniło się z nich, co następuje:

Wczesnym rankiem poprzedniego dnia niejaki Tim Darrell odwoził jak zwykle mleko do mleczarni i ujrzał na swojej drodze niezwykle zjawisko. Był tak zaskoczony, że wciskając hamulec do deski, wrzasnął, aż cała wieś wyległa do okien i drzwi. Mężczyźni patrzyli z rozdziawionymi ustami, a większość kobiet zaczęła przeraźliwie krzyczeć na widok dwóch istot stojących pośrodku ulicy.

Najskładniejszy opis, jaki zdołaliśmy wydobyć z naszych gości, sugerował, że istoty te najbardziej przypominały żółwie — choć byłby to zupełnie nieprawdopodobny gatunek żółwi, chodzących na tylnych nogach.

Całkowity wzrost tych stworów miał wynosić około metra siedemdziesiąt. Ich ciała z tyłu i z przodu okrywał owalny pancerz.

Głowy były wielkości normalnej ludzkiej głowy, ale pozbawione włosów i pokryte jakąś rogową substancją. Duże, lśniące czarne oczy znajdowały się powyżej czegoś sterczącego, twardego i błyszczącego — nie wiadomo, dzioba czy nosa.

Ten opis, acz nieprawdopodobny, jeszcze nie obejmuje najbardziej niepokojącej cechy, co do której wszyscy byli zgodni. Otóż po bokach, tam gdzie tylny pancerz łączył się z przednim, mniej więcej w dwóch trzecich wysokości wystawały dwie ludzkie ręce!

Cóż, w tym momencie wyraziłem przypuszczenie, jakie każdy wyraziłby na moim miejscu, że był to po prostu kawał, dwóch dowcipnisiów przebrało się, żeby napędzić ludziom strachu.

Delegaci byli oburzeni. Przede wszystkim, jak stwierdzili, każdemu odechciałoby się kawałów, gdyby stary Halliday wygarnął do niego z dubeltówki. Siodlarz poczęstował te stwory z sześć razy, co nie zrobiło na nich żadnego wrażenia. Kule po prostu się od nich odbijały.

Ale kiedy ludzie zaczęli wysuwać się ostrożnie zza drzwi, żeby zaspokoić ciekawość, te istoty wydawały się zaniepokojone. Zaskrzeczały coś chrapliwie jedna do drugiej i puściły się kaczkowatym truchtem w dół ulicy. Pół wsi, czując teraz przypływ odwagi, podążyło za nimi. Nie wyglądało na to, żeby dziwaczne żółwie wiedziały, dokąd zmierzają. Wybiegły na

Mokradła Bakera, wkrótce natrafiły na jedno z grząskich miejsc i zapadły się, znikając mieszkańcom z oczu, przy akompaniamencie skrzeków i chlupotów.

Po naradzie mieszkańcy wsi zdecydowali się przyjść z tym do nas, nie na policję. Mieli niewątpliwie dobre intencje, ale co mogliśmy zrobić?

— Naprawdę nie wiem, czego panowie mogliby od nas oczekiwać, skoro te stworzenia znikły bez śladu — powiedziałem.

— Poza tym — wtrącił Alfred, który nigdy nie odznaczał się taktem — zmuszeni będziemy złożyć doniesienie, że mieszkańcy Membury zaszczuli na śmierć te nieszczęsne istoty i nie próbowali udzielić im pomocy.

Nasi goście wyglądali na nieco urażonych, ale, jak się okazało, jeszcze nie skończyli. Otóż poszli tropem owych istot, by sprawdzić, skąd przybyły, i dotarli do posesji Membury Grange.

— Kto tam mieszka? — zapytałem.

Usłyszałem, że niejaki doktor Dixon, który wprowadził się tam przed trzema czy czterema laty. To z kolei doprowadziło nas do zeznań Billa Parsonsa. Początkowo Bill miał pewne opory.

— To będzie poufne, prawda? — chciał się upewnić. Wszyscy na wiele kilometrów wokoło wiedzą, że głównym obiektem zainteresowania Billa są cudze króliki. Zapewniłem go, że może być spokojny.

— A więc było to tak — zaczął. — Jakies trzy miesiące temu... Jego relację, oczyszczoną z nieistotnych szczegółów, można streścić następująco: pewnej nocy, znalazłszy się, tak to nazwijmy, na terenie posesji, zapragnął rzucić okiem na nowe skrzydło budynku, które doktor Dixon kazał dobudować niedługo po swoim przyjeździe. Było to w okolicy przedmiotem licznych domysłów, więc widząc smugę światła pomiędzy zasłonami, Bill postanowił skorzystać z okazji.

— Mówię wam, coś jest z tym domem nie tak. Zobaczyłem pod ścianą naprzeciwko rząd klatek z grubymi, mocnymi prętami. Lampa wisiała w taki sposób, że nie było widać, co jest w klatkach, ale po co w ogóle ktoś miałby trzymać coś takiego w domu? Podciągnąłem się wyżej, żeby lepiej widzieć, i na środku pokoju zobaczyłem coś strasznego. Okropny widok! — Bill urwał i wzdrygnął się ze zgrozą dla większego efektu.

— Co to było? — zapytałem cierpliwie.

— To było... no, trudno właściwie powiedzieć, co to było. W każdym razie leżało na stole. Najbardziej przypominało taki biały wałek pod głowę, tylko że się trochę ruszało. Sunęło pomalutku i marszczyło się przy tych ruchach. Za wiele nie rozumiałem.

— To wszystko? — zapytałem.

— Nie wszystko — oznajmił Bill, z lubością zbliżając się do kulminacyjnego punktu opowieści. — Właściwie nie miało toto żadnego określonego kształtu, ale po jego bokach sterczały dwie ręce, ludzkie ręce...

* * *

W końcu udało mi się pozbyć gości, zapewniając ich, że się sprawą zajmiemy. Kiedy zamknąłem za nimi drzwi, zorientowałem się, że z Alfredem coś się dzieje. Dygotał, a jego szeroko otwarte oczy lśniły zza okularów.

— Usiądź — doradziłem — bo tak się telepieasz, że za chwilę zaczniesz gubić części.

Czułem, że zaraz usłyszę jakąś rewelację, która przebije to, co nam przed chwilą opowiedziano. Ale wyjątkowo Alfred chciał najpierw usłyszeć moje zdanie, mężnie powstrzymując się od wyrażenia własnej opinii. Spełniłem jego prośbę.

To się musi okazać prostsze, niż się wydaje — powiedziałem. — Albo ktoś się zabawia kosztem mieszkańców wsi, albo są to jakieś wyjątkowo rzadkie zwierzęta, które nabrały jeszcze dziwniejszych cech, w miarę jak o nich coraz więcej rozprawiano.

— Wszyscy byli zgodni co do pancerzy i rąk, dwóch struktur kompletnie do siebie nieprzystających — zauważył Alfred.

Musiałem przyznać mu rację. Alferd wytknął mi jeszcze kilka błędów w rozumowaniu, po czym znacząco zawiesił głos,

— Mnie też się to i owo obilo o uszy, jeśli chodzi Membury Grange — powiedział.

— A konkretnie?

— Nie za wiele — przyznał. — Ale kiedy się to wszystko połączy... W końcu nie ma dymu bez...

— Dobra, mów — rzuciłem zachęcającym tonem.

— Myślę — powiedział Alfred z powagą, która robiła wrażenie — że jesteśmy na tropie naprawdę dużej sprawy. Czegoś, co w końcu poruszy sumienia, otworzy ludziom oczy na niegodziwości, które się dzieją pod przykrywką badań naukowych. Czy wiesz, co tu się moim zdaniem odbywa pod naszym nosem?

— Chętnie się dowiem.

— Myślę, że mamy do czynienia z superwiwisekjonistą! — powiedział Alfred, wymachując mi złowieszco palcem przed nosem.

Zmarszczyłem brwi.

— Nie rozumiem. Można być albo „wiwi”, albo nie. „Superwiwi” po prostu nie ma...

— Sza! — przerwał mi Alfred. — Chodzi mi o to, że mamy przed sobą człowieka, który bez zahamowań dokonuje gwałtu na naturze, pastwi się nad stworzeniami Bożymi, poddając je takim deformacjom, że co najwyżej fragmenty ich ciał są po tych operacjach rozpoznawalne — oznajmił z przejęciem.

Zaczęła się przede mną odslaniać jedna z typowych teorii Alfreda. Mocno puścił wodze wyobraźni (choć późniejsze wypadki miały pokazać, że i tak nie dość mocno). Parsknąłem śmiechem.

— Ja też czytałem „Wyspę doktora Moreau”. Spodziewasz się, że złożysz wizytę w Grange, a tam cię przywita koń chodzący na tylnych nogach i rozprawiający o pogodzie? A może masz nadzieję, że drzwi otworzy pies, który zapyta cię o nazwisko? Bardzo frapujące, lecz wróć do rzeczywistości. Skoro została złożona skarga, musimy się postarać sprawę wyjaśnić, ale obawiam się, że czeka cię srogi zawód, staruszku, jeśli spodziewasz się wkroczyć do domu tonącego w mdlących oparach eteru i rozbrzmiewającego rykiem torturowanych zwierząt. Przyhamuj trochę, Alfredzie. Zejdź na ziemię.

Alfreda nie tak łatwo było zbić z tropu. Wprawdzie zirytowało go trochę, że odkryłem źródło jego inspiracji, ale bynajmniej go to nie ostudziło.

— Dlaczego żółwie? — mruczał pod nosem. — Wybór gadów chyba tylko bardziej komplikuje sprawę.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym dodał:

— Ręce! Skąd on u licha wziął parę rąk?! — Jego oczy zaokrągliły się jeszcze bardziej i rozbłysły świeżym podnieceniem.

— Hej, hej! Weź sobie na wstrzymanie — doradziłem.

Co nie zmienia faktu, że było to kłopotliwe, niepokojące pytanie.

* * *

Nazajutrz po południu Alfred i ja stanęliśmy przed małym domkiem i podaliśmy swoje nazwiska podejrzliwemu mężczyźnie, który pilnował wjazdu do Membury Grange. Stróż

pokręcił głową na znak, że nie ma nadziei, aby pozwolono nam się bardziej zbliżyć, ale podniósł słuchawkę telefonu.

W duchu liczyłem — niezbyt chlubnie — na to, że to pesymistyczne nastawienie się potwierdzi. Sprawa musiała być oczywiście zbadana, choćby tylko po to, żeby uspokoić mieszkańców wsi, ale wolałbym, żeby Alfred miał więcej czasu na ochłonięcie. Na razie jego wzburzenie i oczekiwanie najgorszego raczej się nasiliło, niż opadło. Fantazje Edgara Allana Poe i Emila Zoli były całkiem niewinne w porównaniu z wytworami jego wyobraźni, karmionej odpowiednią pożywką. Wyglądało na to, że tej nocy najokropniejsze zwidy pędziły galopem przez jego sny i mój kolega znajdował się w stanie, w którym takie zdania jak „niczym nieusprawiedliwione cierpienia zadawane naszym niemym przyjaciółom” przez „bestie dzierzące nóż” czy „rozdzierający krzyk miliona drżących ofiar wstępujących do nieba” pojawiały się na jego wargach odruchowo. Sytuacja była niezręczna. Gdybym nie zgodził się mu towarzyszyć, z pewnością udałby się tam sam i jak nic napytałby sobie biedy, rzucając oskarżenia o okaleczanie, znęcanie się i sadyzm, od których niewątpliwie rozpocząłby konwersację.

W końcu przekonałem go, że powinien mieć oczy szeroko otwarte, wypatrując pilnie wszelkich możliwych dowodów, podczas gdy ja będę prowadził wywiad. Później, jeśli nie będzie usatysfakcjonowany, może powiedzieć swoje. Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że zdoła opanować „wewnętrzne ciśnienie”.

Stróż odwrócił się od telefonu z wyrazem zdziwienia na twarzy.

— Mówi, że chce was widzieć! — wykrzyknął, jakby nie całkiem pewny, czy dobrze usłyszał. — Znajdziecie go w nowym skrzydle, w tej części z czerwonej cegły.

Nowe skrzydło, przy którym węszył kłusujący Bill, okazało się znacznie większe, niż przypuszczałem. Zajmowało równie duży teren co przedtem cały dom, ale miało tylko jedną kondygnację. Kiedy podjechaliśmy, drzwi przy końcu dobudowanej części się otworzyły. Stał w nich wysoki człowiek w luźnym ubraniu, ze zmierzwioną brodą. Czekał na nas.

— Dobry Boże! — zdumiałem się. — A więc dlatego zostaliśmy tak łatwo wpuszczeni! Nie miałem pojęcia, że pan jest tym doktorem Dixonem! Kto by pomyślał?

— A mnie się wydaje, że wykonuje pan dość dziwne zajęcie jak na człowieka o pańskiej inteligencji.

Przypomniałem sobie o koledze.

— Alfredzie, chciałbym ci przedstawić doktora Dixona. Niegdyś ubogiego belfra, który próbował nauczyć mnie w szkole czegoś z biologii, później, jak wieść niesie, dziedzica milionów czy coś kolo tego.

Alfred miał nieufną minę. Bratanie się z wrogiem na samym wstępie to był zdecydowanie zły ruch! Skinął niechętnie głową i nie wyciągnął ręki na powitanie.

— Zapraszam — rzekł Dixon.

Wprowadził nas do komfortowo urządzonego gabinetu, którego umeblowanie potwierdzało pogłoski o spadku. Usiadłem we wspianym fotelu klubowym.

— Pański pracownik zapewne panu przekazał, że jesteśmy tutaj służbowo. Załatwmy więc może najpierw tę sprawę, nim uczymy spotkanie po latach. Wyświadczymy mojemu koledze przysługę, zdejmując mu kamień z serca.

Doktor Dixon skinął głową, zerkając w zamyśleniu na Alfreda, który nie miał zamiaru dać się rozmiękczyć. Przeszedłem do rzeczy.

— Zrelacjonuję panu sprawę, tak jak nam ją przedstawiono... — Kiedy doszedłem do opisu stworzeń przypominających żółwie, doktor Dixon okazał pewną ulgę.

— Ach, więc to się im przytrafiło — powiedział.

— Aha! — wykrzyknął Alfred głosem piskliwym z przejęcia. — Więc pan się przyznaje! Pan odpowiada za te nieszczęśliwe stworzenia.

Dixon spojrzał na niego z zaciekawieniem.

— Odpowiadałem za nie, ale nie wiedziałem, że były nieszczęśliwe. A pan skąd o tym wie?

Alfred zignorował pytanie.

— To jest to, czego nam trzeba! — zapiał. — Sam się przyznaje, że...

— Alfredzie — powiedziałem chłodno. — Bądź cicho i pozwól mi kontynuować rozmowę.

Zamieniliśmy kilka zdań, lecz Alfred był zbyt podminowany, żeby znów się nie wtrącić.

— Skąd... skąd pan wziął te ręce? Niech pan mi powie, skąd pan je ma? — zażądał złowróżbnym tonem.

— Pański kolega wydaje się nieco... hm, dramatyzować — stwierdził doktor Dixon.

— Pozwól mi skończyć, Alfredzie — rzekłem chłodno. — Krwiste efekty będziesz mógł dodać później, zgoda?

Swoją wywiad zakończyłem przeprosinami, które wydawały mi się niezbędne.

— Proszę wybaczyć to najście, ale musi pan zrozumieć naszą sytuację. Kiedy przedstawia się nam zarzuty poparte dowodami, musimy je zbadać, nie mamy innego wyjścia. Ta sprawa niewątpliwie odbiega od standardów, ale jestem przekonany, że będzie pan ją mógł wyjaśnić w sposób, który nas usatysfakcjonuje. A teraz, Alfredzie — dodałem, odwracając się do kolegi — będziesz chciał, jak sądzę, zadać naszemu gospodarzowi kilka pytań. Tylko pamiętaj, proszę, że jego nazwisko brzmi Dixon, nie Moreau. Alfred zerwał się jak ogar spuszczonej ze smyczy.

— Chciałbym poznać powody i metody, za pomocą których dokonuje się ten gwałt na naturze. Żądam wyjaśnienia, jakim prawem ten człowiek ma się za upoważnionego do przerabiania normalnych stworzeń na nienaturalne karykatury naturalnych form.

Doktor Dixon skinął łagodnie głową.

— Przekrojowe pytanie, choć sformułowane po bałaganiarsku. Razi mnie to niedbałe, wielokrotne użycie słowa „natura”. Pragnę zwrócić panu uwagę, że słowo „nienaturalny” nie ma tu zastosowania. Jest oczywiste, że jeśli coś zostało zrobione, to w czyjejs naturze leżała możliwość zrobienia tej rzeczy, a natura materiału na to pozwoliła. Każdy może działać jedynie w granicach wyznaczonych przez swoją naturę; to aksjomat.

— Dzielenie włosa na czworo nie zmieni... — zaczął Alfred, ale doktor Dixon ciągnął dalej:

— Niemniej, jak rozumiem, uważa pan, że moja natura popchnęła mnie do użycia niektórych materiałów w sposób, który nie da się pogodzić z pańskimi uprzedzeniami. Zgadza się?

— Można ten problem sformułować na wiele sposobów, ale ja nazywam to wiwisekcją. Wiwisekcją! — powtórzył Alfred to słowo niczym jakieś szczególnie soczyste przekleństwo. — Pańskie działania będą wymagały bardzo przekonujących wyjaśnień, aby odwieść nas od pójścia na policję.

Doktor Dixon skinął głową.

— Sądziłem, że mogło wam przyjść coś takiego do głowy, i wołałbym, żebyście tego nie robili. Wkrótce cała sprawa zostanie podana przeze mnie do wiadomości publicznej i stanie się powszechnie znana. Nim to nastąpi, będę potrzebował dwóch, trzech miesięcy, żeby przygotować wyniki badań do publikacji. Kiedy wszystko wyjaśnię, zapewne zrozumieją panowie moje stanowisko.

Urwał, przyglądając się z namysłem Alfredowi, który nie sprawiał wrażenia człowieka mającego zamiar cokolwiek zrozumieć.

— Sęk w tym — powiedział Dbc on po chwili — że wbrew waszym podejrzeniom nie dokonałem przeszczepu, przeróbki ani żadnej innej deformacji żywych stworzeń. Ja je zbudowałem.

Przez chwilę do żadnego z nas nie docierało znaczenie tych słów, choć Alfred sądził, że pojął wszystko.

— Ejże! — wykrzyknął. — Może pan się wykręcać, ale musiała istnieć jakaś baza. Musiał pan mieć jakieś żywe zwierzę jako punkt wyjścia. Zwierzę, które okaleczył pan w okrutny sposób, żeby wyprodukować te straszidła.

Doktor Dixon pokręcił głową.

— Nie, mówię zupełnie poważnie. Zbudowałem, a następnie ożywiłem to, co zbudowałem.

Rozdziawiliśmy usta ze zdumienia.

— Naprawdę pan twierdzi — odezwałem się niepewnym tonem — że potrafi pan stworzyć żywą istotę?

— Phi! — prychnął Dixon. — Oczywiście, że potrafię, tak samo jak pan. Nawet pan Alfred to potrafi, z pomocą samicy swojego gatunku. Ja mówię o tym, że potrafię ożywić to co nieożywione, gdyż odkryłem sposób, a w każdym razie jeden ze sposobów, w jaki można uruchomić siłę życia.

Ciszę, która zapadła po tych słowach, po długiej chwili przerwał Alfred.

— Nie wierzę w to — rzekł dobitnie. — To niemożliwe, żeby pan tu, w tej zapadłej dziurze, rozwiązał zagadkę życia. Próbuje nas pan po prostu nabrać, obawiając się kroków, jakie możemy podjąć.

Dixon uśmiechnął się ze spokojem.

— Powiedziałem, że odkryłem sposób na uruchomienie siły życia. Jak wiem, mogą istnieć dziesiątki innych rodzajów takich sił. Rozumiem, że trudno panom w to uwierzyć, ale właściwie dlaczego nie? Ktoś musiał odkryć jedną z nich wcześniej czy później. Bardziej zdumiewa mnie fakt, że nie została odkryta wcześniej.

Alfreda niełatwo ułagodzić.

— Nie wierzę — powtórzył. — Nikt inny też nie uwierzy, dopóki pan nie przedstawi dowodów. O ile jest pan w stanie.

— Jasne — zgodził się Dixon. — Któż by przyjął coś takiego na wiarę? Obawiam się, że kiedy panowie dokonają oględzin moich obecnych okazów, konstrukcja może się panom wydać nieco toporna. Natura wkłada tyle niepotrzebnej pracy, która mogłaby zostać znacznie uproszczona.

Co do rąk, które wydają się pana najbardziej trapić... Oczywiście, gdybym mógł zdobyć prawdziwe ręce zaraz po śmierci właściciela, potrafiłbym je wykorzystać, choć nie mam pewności, czy nie byłoby z tym więcej kłopotu. Części pozyskiwane z martwego ciała zazwyczaj nie pasują idealnie do biorcy. Łatwiej zbudować uproszczone organy, wystarczy nieco inżynierii, chemii i zdrowego rozsądku. Prawdę mówiąc, było to wykonalne od pewnego czasu, ale bez możliwości ożywienia ich nie miałyby wielkiego sensu. Pewnego dnia uzyskana zostanie wystarczająca precyzja, aby zastąpić straconą kończynę, ale nim to nastąpi, będzie się musiała rozwinąć bardzo skomplikowana technika.

Jeśli chodzi o pańskie podejrzenia, że moje okazy cierpią, panie Weston, pragnę pana zapewnić, że są wręcz rozpieszczane. Kosztowały mnie zbyt wiele pieniędzy i pracy. Poza tym trudno byłoby panu oskarżyć mnie o okrucieństwo wobec zwierzęcia, o którym nigdy wcześniej nie słyszano, a jego obyczaje są nieznanne.

— Nie jestem przekonany — powiedział Alfred z uporem. Biedak był, jak sądzę, zbyt wytrącony z równowagi tym, że jego teoria jest zagrożona, aby waga słów Dixona w ogóle do niego dotarła.

— Może zatem mała demonstracja? — zaproponował Dixon. — Pozwolą panowie za mną.

* * *

Dzięki przeszpiegom Billa nie zaskoczył nas widok klatek o stalowych prętach stojących w laboratorium, ale nie byliśmy przygotowani na smród.

— Zapomniałem panów uprzedzić o środkach odkażających — powiedział przeprasającym tonem doktor Dixon, kiedy zaczęliśmy kasłać, z trudem chwytając powietrze.

— Dobrze wiedzieć, że to nic gorszego — wykrztusiłem pomiędzy atakami kaszlu.

Pomieszczenie musiało mieć ze czterdzieści metrów długości i około dziesięciu wysokości. Bill zdołał dojrzeć bardzo niewiele przez swoją szparę w zasłonach, patrzyłem więc teraz oszołomiony na ogromną ilość zgromadzonej tu aparatury. Sprzęt był z grubsza podzielony na działy: w jednym kącie chemia, w drugim warsztat tokarski, urządzenia elektryczne zebrane na końcu i tak dalej. W jednej z kilku wnęk stał stół operacyjny z gotowymi do użycia narzędziami chirurgicznymi w kasetach. Oczy Alfreda rozszerzyły się na ten widok, a wyraz triumfu rozjaśnił jego twarz. W innej wnęce znajdowało się coś, co bardziej przypominało pracownię rzeźbiarską, z formami i odlewami porozkładanymi na stołach. Dalej stały wielkie prasy i spore elektryczne piece, ale większość z tych urządzeń, poza najprostszymi, nic mi nie mówiła.

— Nie ma cyklotronu i mikroskopu elektronowego, ale poza tym jest tu chyba wszystkiego po trochu — zauważyłem.

— Myli się pan. Jest elektro... Hej! Pański przyjaciel gdzieś zniknął.

Alfred „trzymał wartę” przy stole operacyjnym, rozglądając się pilnie dookoła i zaglądając pod spód, przypuszczalnie w nadziei na znalezienie plam krwi. Poszliśmy ku niemu.

— Oto jeden z głównych detonatorów pańskiej chorobliwej wyobraźni — powiedział Dixon. Otworzył szufladę, wyjął z niej rękę i położył na stole operacyjnym. — Proszę się przyjrzeć.

Ręka była woskowożółta, bez żadnych innych zabarwień. Z kształtu przypominała do złudzenia ludzką rękę, ale kiedy przyjrzałem się jej z bliska, przekonałem się, że jest gładka, bez śladu zmarszczek czy fałdek. Nie miała też paznokci.

— Na obecnym etapie nie warto zwracać sobie głowy szczegółami — powiedział Dixon, obserwując mnie.

Nie była to zresztą nawet cała kończyna. Została ucięta gdzieś pomiędzy łokciem a ramieniem.

— Co to jest? — zapytał Alfred, pokazując wystający metalowy pręt.

— Stal nierdzewna — wyjaśnił Dixon. — To znacznie szybsze i tańsze niż wykonywanie form do odlewu imitacji kości. Kiedy rozpocznę produkcję seryjną, prawdopodobnie przejdę na plastik. Trzeba szukać możliwości zmniejszenia ciężaru.

Alfred znów miał boleśnie rozczarowaną minę. Ta ręka z pewnością nie została amputowana.

— Ale po co ręka? Po co to wszystko? — zapytał, gestem obejmując z grubsza całe pomieszczenie.

— W kolejności zadawania pytań: ręka — ponieważ jest to najbardziej użyteczne narzędzie, jakie stworzyła ewolucja i nie jestem sobie w stanie wyobrazić nic lepszego. A „to wszystko” — ponieważ kiedy udało mi się odkryć podstawową tajemnicę, zapragnąłem zbudować, jako dowód, idealną istotę, a przynajmniej istotę tak bliską ideału, jak tylko ludzki ograniczony umysł mi pozwoli. Żółwiopodobne stworzenia to był jeden z pierwszych kroków. Miały mózg wystarczający do życia i do sterowania odruchami, ale nie do twórczego myślenia. To nie było konieczne.

— Chce pan powiedzieć, że pańska „idealna istota” posiada zdolność twórczego myślenia? — zapytałem.

— Ma nie gorszy mózg od naszego, tylko nieco większy. Choć oczywiście potrzebuje doświadczenia, nauki. Jednak ponieważ jej mózg jest w pełni rozwinięty, uczy się znacznie szybciej niż ludzkie dziecko.

— Czy możemy to... ją... zobaczyć? — zapytałem. Doktor Dixon westchnął z żalem.

— Każdy chciałby od razu dostać końcowy produkt. Dobrze zatem. Ale najpierw zrobimy małą demonstrację. Boję się, że pański przyjaciel wciąż nie jest przekonany.

Poprowadził nas do kaset z narzędziami chirurgicznymi, po czym otworzył stojący tam kredens i wyjął z niego białą bezkształtną masę, którą położył na stole operacyjnym. Potem przesunął stół do urządzeń elektrycznych znajdujących się w dalszej części pomieszczenia. Pod bezbarwną, oklapniętą masą dostrzegłem wystającą rękę.

— Wielkie nieba! — wykrzyknąłem. — Wałek z rękami, o którym mówił Bill!

— Zgadza się, nie był tak całkiem w błędzie, choć z pańskiej relacji wnoszę, że trochę pofantazjował. Ten wałek z rękami to tak naprawdę mój główny asystent. Ma wszystkie niezbędne układy: pokarmowy, krwionośny, nerwowy, oddechowy. Jest de facto zdolny do życia. Ale nie wie o zbyt ciekawej egzystencji. Jest czymś w rodzaju testowego silnika dla wszystkich moich nowo skonstruowanych dodatków. Panie Weston, niech pan będzie tak dobry i zbada ten obiekt pod każdym możliwym względem, byle go nie uszkodzić, i proszę się upewnić, że nie jest w tym momencie żywy — mówił doktor Dixon, zajęty podłączaniem jakichś kabli.

Alfred zbliżył się do białej substancji, przyjrzał się jej zza okularów, uważnie i z widocznym niesmakiem. Dziabnął ją ostrożnie palcem wskazującym.

— A więc elektryczność jest tu kluczem? — zapytałem. Doktor Dixon wziął butelkę jakiejś szarej mikstury i odmierzył niewielką ilość do zlewki.

— Możliwe — powiedział. — A może jednak chemia? Nie sądzi pan chyba, że dopuszczę panów do wszystkich moich sekretów? — Najwyraźniej ukończył przygotowania. — Jest pan usatysfakcjonowany, panie Weston? — zapytał. — Nie chciałbym być później oskarżony, że pokazałem panu magiczną sztuczkę.

— Nie sprawia wrażenia żywego — powiedział Alfred ostrożnie.

Przyglądaliśmy się obaj, jak Dixon podłącza do białej masy kilka elektrod. Potem starannie wybrał kilka miejsc na powierzchni i wstrzyknął w nie bładoniebieski płyn ze strzykawki. Na koniec dwukrotnie spryskał całą powierzchnię z różnych rozpylaczy, po czym szybko przestawił kilka przelączników.

— Teraz musimy poczekać pięć minut. W tym czasie, jeśli macie panowie ochotę, możecie się zastanowić, która lub które z wykonanych przeze mnie czynności były niezbędne.

Po trzech minutach zwiotczała masa zaczęła leciutko pulsować. Ruch się stopniowo nasilał, powierzchnię zaczęły rytmicznie przebiegać delikatne zmarszczki. Całość obniżyła się z jednej strony, czy też raczej odwróciła na bok i zobaczyłem, że palce dłoni się kurczą i usiłują chwycić gładki blat stołu.

Wydaje mi się, że krzyknąłem. Do tego momentu nie byłem w stanie uwierzyć, że to się ziści... Nagła, choć nadal fragmentaryczna świadomość, co to może oznaczać, zalała mnie jak fala. Chwyciłem Dixona za ramię.

— Człowieku! — powiedziałem. — Gdyby potrafił pan to zrobić z martwym ciałem...

Dixon pokręcił głową.

— Nie, to nie działa. Próbowałem. Nazwanie tego życiem jest w pełni uprawnione... tak mi się wydaje... ale pod pewnymi względami jest to inny rodzaj życia. Nie mam zielonego pojęcia dlaczego...

Inny rodzaj czy nie, na własne oczy widziałem narodziny rewolucji, której perspektywy przekraczają wyobraźnię...

A ten głupiec Alfred przez cały czas wtykał wszędzie palce, jakby oglądał jarmarczny pokaz i chciał sprawdzić, czy ktoś czegoś tu nie przemyca za pomocą luster lub nie pociąga za niewidoczne sznurki. Dostał zasłużoną nauczkę, kiedy trzepnęło go kilkaset woltów.

— A teraz — powiedział Alfred, kiedy się wreszcie upewnił, że przynajmniej grubsze oszustwo zostało wykluczone — chcielibyśmy zobaczyć tę „idealną istotę”, o której pan mówił.

Nadal wydawał się daleki od uświadomienia sobie, jakiego cudu był świadkiem. Był przekonany, że popełnia się tu przestępstwo, i zamierzał znaleźć dowody, które pozwolą mu zakwalifikować je do właściwej kategorii.

— Bardzo dobrze — zgodził się Dixon. — Nazywam ją Una. Żadne z imion, które przychodziły mi do głowy, nie wydawało mi się całkiem adekwatne, ale niewątpliwie jest pierwszą przedstawicielką swojego rodzaju, stąd Una.

Poprowadził nas dalej przez pracownię, aż do ostatniej i zarazem największej klatki w rzędzie. Stojąc w pewnej odległości od prętów, przywołał jej mieszkańca.

Nie wiem, co spodziewałem się ujrzeć ani na co liczył Alfred. Ale żaden z nas nie mógł wydobyć głosu, aby skomentować to, co ujrzelśmy.

„Idealna istota” Dixona, stąpająca ciężko w naszym kierunku, była czymś tak pokracznym, że błądy przy niej najstraszliwsze senne koszmary.

Wyobraźcie sobie ciemny stożkowaty pancerz z jakiegoś lekko połyskującego materiału. Jego zaokrąglony wierzchołek znajdował się na wysokości dwóch metrów nad ziemią. Podstawa miała półtora metra średnicy, a wszystko to wspierało się na trzech krótkich cylindrycznych nogach. Cztery ręce — karykatura ludzkich rąk — wyrastały z pancerza mniej więcej w połowie wysokości. Oczy, znajdujące się nieco poniżej wierzchołka, przyglądały się nam bacznie spod rogowych powiek. Przez chwilę byłem bliski hysterii.

Dixon patrzył z dumą na swoje dzieło.

— Masz gości, Una — powiedział.

Jej oczy skierowały się na mnie, po czym wróciły do Alfreda. Jedno z nich mrugnęło, przy czym dał się słyszeć stuk zamykanej powieki. Głęboki, dudniący głos dobiegł nas z trudnego do ustalenia źródła.

— Nareszcie! Już myślałam, że się nie doproszę.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Alfred. — Ten potwór potrafi mówić?

Nieruchome spojrzenie zatrzymało się na nim.

— Ten będzie dobry, podobają mi się jego szklane oczy — zagrzmiała potworna istota.

— Uspokój się, Una. To nie jest to, co myślisz — przerwał jej Dixon. — Jestem zmuszony prosić — powiedział do nas, ale patrząc na Alfreda — żeby panowie uważali na to, co mówią. Unie brak oczywiście podstawowego doświadczenia, lecz jest świadoma swojej inności i kilku fizycznych przewag. Obrażanie jej niczego dobrego nie przyniesie. To naturalne, że jej wygląd wydaje się panu na pierwszy rzut oka nieco zaskakujący, ale już wszystko wyjaśniam.

Do jego głosu zakradł się ton prelegenta.

— Kiedy odkryłem metodę ożywiania materii, moją pierwszą myślą było stworzenie konstrukcji w przybliżeniu człekokształtnej, w celu bardziej przekonującej demonstracji. Po zastanowieniu odrzuciłem jednak pomysł zwykłej imitacji i postanowiłem działać w sposób funkcjonalny i logiczny, korygując niektóre cechy, które wydawały mi się źle zaprojektowane u człowieka i innych stworzeń. Później okazało się również niezbędne dokonanie kilku modyfikacji ze względów technicznych i konstrukcyjnych. Jednak, ogólnie biorąc, Una jest moim własnym rozwiązaniem. — Umilkł i patrzył na maskarę z dumą.

— Eee, powiedział pan „logiczny”? — upewniłem się.

Alfred milczał przez dłuższą chwilę, nim zabrał głos. Przyglądał się istocie, która nie spuszczała z niego wzroku. Było nieomal widać, jak stara się usilnie, aby to, co uważał za

swoje lepsze ja, przebiło się przez marne uprzedzenia. Wzniósł się szlachetnie ponad swoją wcześniejszą, niedelikatną uwagę.

— Zamykanie dużego zwierzęcia w tak ograniczonej przestrzeni nie wydaje mi się właściwe — oznajmił.

Jedna z rogowych powiek znów mrugnęła, wydając cichy szcęk.

— On mi się podoba. Ma dobre intencje. Nada się — zagrział potężny głos.

Alfred miał za sobą długie lata spoglądania z góry na braci mniejszych, niemych przyjaciół, więc był zbity z tropu wobec istoty, która nie tylko umiała mówić, ale w dodatku traktowała go protekcyjnie. Zerknął niespokojnie w obserwujące go z uwagą oczy.

Ignorując uwagę, Dixon podjął przerwany wykład.

— Przypuszczalnie zaskoczył was fakt, że Una nie ma wyraźnie wyodrębnionej głowy. To było jedno z moich wcześniejszych rozwiązań. Normalna głowa jest zbyt wyeksponowana i narażona na urazy. Oczy powinny być umieszczone wysoko, ale oddzielna głowa nie jest bynajmniej potrzebna.

Eliminując głowę, trzeba było wszakże wziąć pod uwagę wzrok. Tak więc dałem jej troje oczu. Dwa panowie w tej chwili widzą, trzecie jest na plecach, choć ściśle biorąc, Una nie ma pleców. W ten sposób może widzieć i kierować wzrok w dowolną stronę bez skomplikowanego urządzenia, jakim jest zdolna do obracania się w pewnym zakresie głowa.

Budowa ciała daje nieomal pewność, że każdy spadający z góry czy wystający przedmiot ześlizgnie się po pancerzu ze wzmocnionego plastiku, ale wydawało się rozsądne, aby odizolować mózg od ewentualnych wstrząsów, umieszczając go tam, gdzie można by się spodziewać żołądka. Dzięki temu mogłem umieścić żołądek wyżej i zapewnić dogodniejsze rozmieszczenie jelit.

— Jak ona je? — wtrąciłem.

— Usta ma po drugiej stronie — wyjaśnił Dixon krótko. — Co do rąk, przyznaję, że wyposażenie jej aż w dwie pary może na pierwszy rzut oka wyglądać na żart. Jednak, jak już wspomniałem, ręka jest perfekcyjnym narzędziem, pod warunkiem że ma właściwe rozmiary. Tak więc, jak panowie widzą, górne ręce są delikatne, a dolne potężnie umięśnione.

Układ oddechowy też może panów zainteresować. Wykorzystałem tu zasadę przepływu. Una wdycha powietrze tędy, wydycha tamtędy. Przyznacie, że jest to udoskonalenie w porównaniu z naszym odstręczającym systemem.

Całość niestety okazała się znacznie cięższa, niż przewidywałem. Waży nieco ponad tonę, musiałem więc zmodyfikować nieco mój pierwotny plan, aby sobie z tym poradzić. Przeprojektowałem nogi i stopy na wzór nóg słonia, aby rozłożyć ciężar, ale niestety nie jest to w pełni zadowalające rozwiązanie, coś trzeba będzie zrobić w późniejszych modelach, aby zmniejszyć wagę ciała.

Przyjąłem zasadę trzech nóg, ponieważ to oczywiste, że dwu — nóg musi tracić mnóstwo energii mięśniowej dla samego tylko utrzymania równowagi, a trójnóg jest nie tylko bardziej efektywny, ale lepiej się dostosowuje do nierówności terenu niż struktura o czterech podporach.

Co do układu rozrodczego...

— Przepraszam, że przerywam — powiedziałem — ale przy plastikowym pancerzu i kościach ze stali nierdzewnej nie bardzo... eee... rozumiem...

— To kwestia równowagi hormonalnej, regulacji osobowości. Jakoś trzeba było to zrobić, choć przyznaję, nie jestem przekonany, czy wybrałem najlepsze rozwiązanie. Podejrzewam, że partenogeneza mogłaby być... Ale mamy to, co mamy. No i obiecałem jej partnera. Muszę powiedzieć, że są to fascynujące spekulacje...

— Ten się nada — znowu rozległ się grzmiący głos. Istota wciąż nie spuszczała wzroku z Alfreda.

— Oczywiście — ciągnął z pewnym pośpiechem doktor Dixon — Una nigdy siebie nie widziała i nie wie, jak wygląda. Prawdopodobnie myśli, że jest...

— Wiem, czego chcę — rzekł potwór donośnie. — Chcę...

— Tak, tak — uciał Dixon. — Wytłumaczę ci to później.

— Ale ja chcę...

— Będziesz cicho?! — wrzasnął Dixon.

Istota zahurkotała coś tonem protestu, ale przestała nalegać. Alfred zebrał się w sobie jak ktoś, kto po odbyciu poważnej konsultacji z własnymi zasadami czuje się zmuszony zabrać głos.

— Nie mogę tego zaakceptować — oznajmił. — Wprawdzie to stworzenie jest pańskim wytworem, ale ma prawo do takiej samej ochrony jak inne nieme... jak inne stworzenia. Nie wypowiadam się na temat użytku, jaki pan zrobił ze swojego odkrycia. Pragnę jedynie zaznaczyć, że moim zdaniem zachował się pan jak nieodpowiedzialne dziecko bawiące się plasteliną, czego owocem jest piekielny — używam tego słowa rozmyślnie — piekielny mętlik, pokraczność, wynaturzenie. Jednak pozostawiam to bez komentarza.

Chcę natomiast powiedzieć, że w świetle prawa ta istota może być traktowana jak nieznany gatunek zwierzęcia. Mam zamiar nadmienić w swoim raporcie, że zgodnie z moją fachową wiedzą jest przetrzymywana w zbyt ciasnej klatce i niewątpliwie pozbawiona odpowiednich możliwości zażywania ruchu. Nie potrafię ocenić, czy jest prawidłowo odżywiana, ale nietrudno zauważyć, że pewne jej potrzeby nie są zaspokajane. Już dwukrotnie próbowała je w naszej obecności wyrazić, ale ją pan zakrzyczał.

— Alfredzie — wtrąciłem — czy nie wydaje ci się, że być może...

— Urwałem, słysząc przypominające kontrabas dudnienie.

— Jest cudowny! Jak te jego szklane oczy błyszczą! Chcę go! — Una wydała głębokie, wibrujące westchnienie, które wprawiło w drżenie podłogę. Był to dźwięk niewątpliwie rozdzierający i zafiksowany umysł Alfreda natychmiast się rzucił na ten dodatkowy materiał dowodowy.

— Jeśli to nie jest skarga nieszczęśliwej istoty — rzekł, podchodząc bliżej do klatki — to nigdy...

— Ostrożnie! — krzyknął Dixon, dopadając go jednym skokiem. Una jedną ręką błyskawicznie sięgnęła poprzez kraty. W tym samym momencie Dixon chwycił Alfreda za ramiona i odciągnął do tyłu. Rozległ się trzask rozdzieranego materiału i trzy guziki pacnęły o linoleum.

Po raz pierwszy Alfred wydawał się nieco zaniepokojony.

— Co... — zaczął.

Głęboki, zatrwajający głos dobiegający z klatki zagłuszył resztę.

— Daj mi go! Chcę go!

Wszystkie cztery ręce chwyciły kraty. Dwie dolne gwałtownie potrzęsły prętami. Widoczna para oczu wpatrywała się bez drgnienia w Alfreda, u którego dało się wreszcie zaobserwować pewne oznaki zmiany frontu. Jego oczy za okularami zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe.

— Eee... to... to chyba nie znaczy?... — wyjąkał z niedowierzaniem.

— Daj mi! — ryknęła Una, przestępując z nogi na nogę, aż budynek zadygotał.

Dixon przyglądał się swojemu dziełu z pewnym niepokojem.

— Zastanawiam się... czy to możliwe, żebym nieco przedawkował hormony? — powiedział z namysłem.

Do Alfreda zaczęło docierać, co się dzieje. Odsunął się nieco dalej od klatki. Nie podziałało to dobrze na Unę.

— Daj mi! — rozległo się wołanie, niczym z wielu megafonów równocześnie. — Daj! Daj!

Ten dźwięk budził respekt.

— Może byłoby lepiej, gdybyśmy... — zasugerowałem.

— Może istotnie, w tych okolicznościach — przytaknął Dixon.

— Tak! — powiedział Alfred całkiem zdecydowanie. Poziom dźwięku, na którym operowała Una, utrudniał rozeznanie subtelniejszych odcieni emocjonalnych. Gromki głos, od którego drżały szyby w oknach, mógł wyrażać gniew, udrękę lub jedno i drugie. Oddaliliśmy się pospiesznie.

— Alfred! — rozległo się wycie niczym żałobna syrena we mgle. — Ja chcę Alfreda! — Rozległ się łomot, kraty zadygotały, a cały budynek zatrzęsł się w posadach.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że Una cofa się pod tylną ścianę klatki z oczywistym zamiarem ponowienia ataku. Rzuciliśmy się w stronę drzwi. Alfred dopadł ich pierwszy.

Na przeciwległym krańcu pomieszczenia dał się słyszeć ogłuszający huk. Kiedy Dixon zamykał za nami drzwi, mignęła mi Una zmiatająca przed sobą metalowe sztaby i meble niczym autobus uchodzący przed pościgiem.

— Myślę, że będzie nam potrzebna pomoc — powiedział Dixon.

Na czoło Alfreda wystąpiły lśniące kropelki potu.

— Nie... nie wydaje się panu, że byłoby lepiej, gdybyśmy sobie...?

— Nie — uciął Dixon. — Zobaczysz was przez okna.

— Ach tak... — W głosie Alfreda brzmiał zawód.

Dixon poprowadził nas do obszernego salonu i przez telefon wezwał policję oraz straż pożarną.

— Do czasu ich przyjazdu niewiele możemy zrobić — powiedział. — Una zapewne nie wydestanie się z laboratoryjnego skrzydła, o ile nie będzie więcej prowokowana.

— Prowokowana! Dobre sobie! — próbował zaprotestować Alfred, ale Dixon ciągnął dalej:

— Na szczęście z miejsca, w którym się znajdowała, nie widziała drzwi, istnieje więc pewna szansa, że nie rozumie, do czego służą i jak działają. W tym wszystkim najbardziej martwią mnie zniszczenia, jakie tam sieje. Tylko posłuchajcie!

Wsluchiwaliliśmy się przez chwilę w stłumione odgłosy rozbijania, łamania i darcia. Pośród tego wszystkiego od czasu do czasu dał się słyszeć posepny, dwusylabowy ryk, który mógł, acz nie musiał być słowem „Alfred”.

Na twarzy Dixona widoczna była coraz większa udręka, w miarę jak hałasy się przedłużały.

— Dokumentacja! Cała praca wielu lat! Wasze stowarzyszenie zapłaci mi słono, uprzedzam, ale to mi nie zwróci moich materiałów. Una zawsze była potulna jak jagnię, dopóki pański przyjaciel jej nie wyprowadził z równowagi. Nigdy nie sprawiała najmniejszych kłopotów!

Alfred znów zaczął protestować, lecz w tym momencie coś masywnego runęło na ziemię, czemu towarzyszył ogłuszający łoskot i brzęk przypominający wodospad tłuczonego szkła.

— Daj mi Alfreda! Chcę Alfreda! — zagrzmiał stentorowy głos.

Alfred zaczął się podnosić, po czym zmieszany znów przysiadł na brzegu krzesła. Jego oczy biegały nerwowo to tu, to tam. Widać było, że za chwilę zacznie obgryzać paznokcie.

— No tak! — krzyknął nagle Dixon, aż obaj z Alfredem podskoczyliśmy. — Tak, to musiało być to! Skalkulowałem niezbędny poziom hormonów na podstawie całkowitej wagi, razem z pancerzem. Jasne! Co za idiotyczne przeoczenie! Ajajaj! Zrobiłbym znacznie lepiej, gdybym się trzymał pierwotnej koncepcji partenogene... Wielkie nieba!

Huk poderwał nas wszystkich na nogi. Ruszyliśmy w stronę drzwi.

Una odkryła wyjście z nowego skrzydła i sforsowała je niczym buldożer. Drzwi, framuga i fragmenty ceglanej ściany poleciały razem z nią.

— Szybko! Na górę! — zawołał Dixon. — To ją zatrzyma!

W tej samej chwili Una nas spostrzegła i zawyła. Popędziliśmy w stronę schodów. Naszym atutem była duża prędkość początkowa — masa kalibru Uny potrzebuje czasu, żeby się rozbujać. Pomknąłem po schodach, mając Dixona tuż za sobą i Alfreda, jak sądziłem, zaraz za nim. Nie było to jednak całkiem ściśle. Nie wiem, czy Alfred wrósł początkowo w ziemię z przerażenia, czy miał niezbyt udany start. Na półpiętrze obejrzałem się i ujrzałem, że pokonał zaledwie kilka stopni, a Una dudni tuż za nim jak ciężarówka napędzana silnikiem raketowym.

Alfred mimo wszystko się zbliżał, ale Una robiła to samo. Może i nie była przystosowana do chodzenia po schodach, lecz jakoś sobie radziła. Zdołała pokonać pięć czy sześć stopni, zanim się pod nią zarwały. Alfred był już wtedy dalej niż w połowie drogi. Krzyknął, tracąc równowagę, po czym, młóćąc dziko rękami powietrze, poleciał do tyłu.

Una zademonstrowała najbardziej elegancki czwororęczny chwyt, jaki można sobie wyobrazić.

— Cóż za — koordynacja! — mruknął z podziwem Dixon za moimi plecami.

— Ratunku! — kwiknął Alfred. — Ratunku! Pomocy!

— Aaach! — W tym ryku brzmiała głęboka satysfakcja, wyrażona w dolnych rejestrach gamy. Una cofnęła się nieco, tratując połamane deski.

— Niech pan zachowa spokój! — doradził Dixon. — Niech pan nie robi nic, co by ją mogło spłoszyć.

Alfred, w uścisku trzech ramion, poklepywany czule przez czwarte, nie udzielił odpowiedzi.

Mieliśmy trochę czasu na ocenę sytuacji.

— Trzeba działać! — krzyknąłem. — Nie można jej czymś przywabić?

— Trudno powiedzieć, co mogłoby odwrócić uwagę triumfującej samicy w chwili sukcesu — zauważył Dixon.

Una wydała coś jakby... hm, czy potraficie sobie wyobrazić słonia nucącego z zadowoleniem?

— Pomocy! — zapiszczał znowu Alfred. — Ona... au!

— Spokojnie, spokojnie! — powtórzył Dixon. — Przypuszczalnie nie ma rzeczywistego niebezpieczeństwa. W końcu jest ssakiem... zasadniczo. Gdyby była istotą zupełnie innego typu, na przykład pajakiem rodzaju żeńskiego...

— Ja bym raczej nie rozmawiał przy niej w tej chwili o samicach pajaków. Nie ma tu jakichś jej ulubionych smakołyków, którymi moglibyśmy ją skusić?

Una kołysała Alfreda w trzech ramionach, dziobiąc go z ciekawością wskazującym palcem czwartej ręki.

— Do diabła! Zróbcie coś! — krzyknął Alfred.

— Oj, Alfred, Alfred! — zahuczała z czułą przyganą rozanielona Una.

— Hm... — mruknął Dixon z powątpiewaniem. — Może gdybyśmy mieli lody...

Na dworze rozległ się pisk hamulców i warkot samochodów zajeżdżających pod dom. Dixon podbiegł do okna na półpiętrze. Słyszałem, jak usiłuje wyjaśnić sytuację znajdującym się na zewnątrz ludziom. W końcu wrócił w towarzystwie strażaka oraz policjanta. Kiedy obaj ratownicy spojrzeli w dół, oczy niemal wyszły im z orbit.

— Cała sprawa w tym, żeby ją otoczyć, tak by jej nie spłoszyć — tłumaczył Dixon.

— Otoczyć to? — powiedział strażak z powątpiewaniem. — A co to w ogóle ma być?

— Mniejsza o to w tej chwili — uciał Dixon niecierpliwie. — Gdyby tak można było zarzucić na nią kilka lin z różnych kierunków...

— Ratunku! — wrzasnął Alfred, wierzgając rozpaczliwie. Una przycisnęła go mocniej do swojego pancerza i zarechotała czule. Wyjątkowo ohydny dźwięk, pomyślałem. Ratownicy też się wzdrygnęli.

— Na litość bos... — zaczął jeden z nich.

— Szybko! — przerwał mu Dixon. — Pierwszą linę moglibyśmy rzucić stąd.

Obaj podeszli z powrotem do okna. Strażak zaczął coś wykrzykiwać do swoich ludzi na dole. Wyglądało na to, że mają problemy ze zrozumieniem, o co mu chodzi. Mimo wszystko wkrótce wrócił ze zwojem liny. Był naprawdę dobry. Delikatnie zakręcił lassem i zarzucił je na Unę tak zgrabnie, że trudno byłoby to zrobić lepiej. Kiedy pociągnął za linę, pętla zacisnęła się wokół pancerza, poniżej ramion, tak że nie mogła się zsunąć. Strażak przywiązał ją do słupka balustrady u szczytu schodów.

Una wciąż była tak pochłonięta Alfredem, że nic do niej nie docierało. Gdyby hipopotam potrafił mruzczyć na nieco łzawą nutę, byłby to w przybliżeniu dźwięk, jaki wydawała.

Drzwi wejściowe otworzyły się po cichu i pojawili się w nich strażacy oraz policjanci — wszyscy z wytrzeszczonymi oczami i z rozdziawionymi ustami. Chwilę później analogiczna grupka rozdziawiała usta w drzwiach prowadzących z salonu do holu. Jeden ze strażaków postąpił nerwowo krok naprzód i zaczął kręcić liną. Niestety, pętla musnęła wiszącą lampę i chybiła celu.

W tym momencie Una uświadomiła sobie, co się dzieje.

— Nie! — ryknęła. — On jest mój! Ja go chcę!

Przeżony strażak rzucił się w tył, wpadając na swoich kolegów. Drzwi się za nim zamknęły. Nie odwracając się, Una ruszyła w tym samym kierunku. Lina się naprężyła i odskoczyliśmy na bok. Słupek balustrady trzasnął jak zapalka i lina wraz z nim zaczęła sunąć po ziemi. Alfred krzyknął rozpaczliwie. Una nadał dzierżyła go krzepko w objęciach, szczęściem dla niego nie z tej strony, w którą zmierzała. Drzwi wejściowe sforsowała niczym czołg, posypał się deszcz odłamków drewna i gruz, spoza chmury pyłu dobiegły nas odgłosy przerażenia, nad którymi górował grzmiący ryk Uny:

— On jest mój! Nie dostaniecie go! Jest mój!

Dopadliśmy okien. Widzieliśmy ją teraz w całej okazałości. Galopowała podjazdem z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę, bez widocznego wysiłku wlokła za sobą z pół tuzina albo więcej strażaków i policjantów zajadłe uczepionych liny.

Stróż miał dość przytomności umysłu, żeby zamknąć bramę wjazdową i dać nura w krzaki, kiedy była jeszcze daleko. Ale taka przeszkoda nic dla potwora nie znaczyła. Fakt, Una zachwiała się trochę od uderzenia, lecz wrota puściły, rozlatując się na kawałki. Alfred machał rękami i kopał dziko, z oddali dolatywało do nas słabe, żalosne kwilenie o pomoc. Lina, którą usiłowali ciągnąć policjanci i strażacy, zahaczyła o powyginane metalowe pręty i większość z nich tam utknęła. Kiedy Una zniknęła nam z oczu za zakrętem, do wlokącej się za nią liny były bohatercko uczepione jedynie dwie ciemne sylwetki.

Usłyszeliśmy zapalane silniki. Dixon zawołał do ratowników, żeby poczekał. Zbiegliśmy pędem tylnymi schodami i zdążyliśmy wskoczyć do ruszającego wozu strażackiego.

Zatrzymaliśmy się przy bramie, żeby odsunąć zagrażające przejazd żelastwo, i pognaliśmy za Uną.

Po przejechaniu pięciuset metrów zobaczyliśmy, że ślady skręcają w wąską dróżkę schodzącą stromo w dół. Musieliśmy zostawić wozy i kontynuować pościg na piechotę.

U stóp skłonu znajduje się... raczej znajdował się stary most przeznaczony dla koni pociągowych. Przetrwał kilka stuleci jeżdżących tędy przez rzekę konnych zaprzęgów, ale jego konstruktorzy nie uwzględnili w swoich kalkulacjach Uny w pełnym galopie. Kiedy dotarliśmy na miejsce, środkowego fragmentu mostu nie było, a strażak pomagał ociekającemu wodą policjantowi wynieść na brzeg bezwładnego Alfreda.

— Gdzie ona? — zapytał Dixon niecierpliwie.

Strażak w milczeniu wskazał na środek rzeki.

— Dźwig! Natychmiast sprowadźcie dźwig! — zażądał Dixon, ale ratownicy byli bardziej zainteresowani tym, żeby wylać z Alfreda wodę i zająć się nim jak najprędzej.

* * *

To przeżycie trwale zaburzyło sielankę, jaka istniała niegdyś między Alfredem i zwierzętami, niemymi przyjaciółmi. W nawale czekających nas w najbliższym czasie pozwów, kontrpозwów i wszelkiej maści spraw cywilnych ja pojawię się wyłącznie w charakterze świadka. Ale Alfred, który, rzecz jasna, wystąpi w wielu różnych rolach, zapowiada, że kiedy wszystkie jego skargi o napaść, próbę uprowadzenia... (na liście jest jeszcze kilka pozycji) zostaną rozpatrzone, zamierza zmienić pracę, gdyż trudno mu obecnie spojrzeć w oczy krowie czy jakiegokolwiek innej samicy bez uprzedzeń, które mogłyby wpłynąć na jego sąd.

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

Z PLANETY GUSTIBLE'A

Pierwszymi kosmicznymi najeźdźcami, którzy pojawili się w literaturze science fiction, byli olbrzymi Marsjanie z „Wojny światów” (1898) H.G. Wellsa, którzy wylądowali na Ziemi i chcieli zniszczyć rodzaj ludzki, a padli ofiarą pospolitych zarazków wywołujących przeziębienie. Pomimo przerażenia, jakie budziły owe istoty, ich koniec miał w sobie coś komicznego. Temat bezwzględnych zdobywców z kosmosu stał się dziś w literaturze science fiction niemal banałem, lecz pojawiają się oni również w szeregu znakomitych opowieści humorystycznych, pióra takich autorów jak Fredric Brown („Arena” 1944), John Wyndham („Tępa Marsjanka” 1952), Erie Prane Russell („The Waitahits” 1955) i Philip K. Dick („Nasi przyjaciele z Frolix 8”, 1970). Jednak, według mojej oceny, opowiadanie „Z planety Gustible'a” (1963), w którym obcy, przypominający olbrzymie kaczkę, przybywają nie po to, by zniszczyć Ziemię, ale by zakosztować ziemskiej kuchni, zasługuje na pierwszą nagrodę w tej kategorii.

Cordwainer Smith (1913–66) to pseudonim, literacki Paula Myrona Anthonyego Linebargera, który w młodości spędził wiele lat w Chinach, potem zajął się naukami politycznymi, doradztwem wojskowym i wreszcie literaturą science fiction. Przeczytał wiele pozycji chińskiej literatury, nic więc dziwnego, że różne tradycje tego narodu przeniknęły do jego twórczości, o czym przekona się również czytelnik niniejszego opowiadania. Akcja wielu jego utworów SF rozgrywa się w zarządzanym przez Instrumentalicję Rodzaju Ludzkiego świecie z odległej przyszłości, którego mieszkańcy żyją po czterysta i więcej lat, potrafią przenieść się w mgnieniu oka w niemal dowolny punkt wszechświata, lecz ich wygodne, uporządkowane życie wciąż zakłócają niesłychanie komiczne incydenty. Bohaterowie tej opowieści, kackopodobni Apicjanie, to protoplaści mieszkańców Świata Dysku i wielu innych światów dzisiejszej fantastyki humorystycznej. Jak się mieli okazję — przekonać Marsjanie Wellsa — Ziemia ma dla nich w zanadrzu mnóstwo niespodzianek...

* * *

Swoją planetę Angary J. Gustible odkrył tuż po obchodach cztero tysięcznej rocznicy otwarcia przestrzeni kosmicznej. Jego odkrycie okazało się tragiczną pomyłką.

Planetę Gustible'a zamieszkiwały wysoce inteligentne formy życia, obdarzone umiarkowanymi zdolnościami telepatycznymi. Natychmiast odczytały całą zawartość jego umysłu oraz historię życia i wprawiły go w ogromne zakłopotanie, komponując operę na temat jego niedawnego rozwodu.

W kulminacyjnym punkcie jego była rzucała w niego filiżanką do herbaty, co stawiało ziemską kulturę w niekorzystnym świetle. Angary J. Gustible, który piastował honorowo funkcję zastępcy przewodniczącego Instrumentalicji Rodzaju Ludzkiego, poczuł się wyjątkowo niezręcznie, kiedy zrozumiał, że przekazał tym istotom nie informacje zasadniczej wagi na temat Ziemi, ale kłopotliwe fakty z życia osobistego.

W miarę postępu rozmów pojawiły się dalsze powody do zakłopotania.

Jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, mieszkańcy planety Gustible'a, którzy nazywali siebie Apicjanami, najbardziej przypominali ogromne kaczkę, których wzrost wahał się od 1,2 do 1,35 metra. Na końcach skrzydeł wykształciły się u nich kciuki w kształcie wiosła — w zupełności im wystarczały przy jedzeniu.

Planeta Gustible'a dorównywała Ziemi pod kilkoma względami: pod względem nieuczciwości mieszkańców, ich entuzjazmu dla dobrego jedzenia oraz naturalnej zdolności

do pojmowania ludzkiej psychiki. Kiedy Gustible zaczął się zbierać do powrotu na Ziemię, odkrył, że Apicjanie skopowali jego statek. Ukrywanie tego faktu nie miało sensu. Odtworzyli go w takich szczegółach, że odkrycie planety Gustible'a oznaczało w praktyce równoczesne odkrycie Ziemi.

Przez Apicjan.

Konsekwencje tego tragicznego obrotu sprawy ujawniły się, kiedy Apicjanie podążyli za nim na Ziemię. Ich pojazd, wyposażony w funkcję planoformacji, pożerał przestrzeń kosmiczną równie gładko jak jego statek. Najistotniejszą cechą planety Gustible'a było jej wyjątkowe biochemiczne podobieństwo do Ziemi. Apicjanie byli pierwszymi napotkanymi przez ludzi inteligentnymi formami życia, zdolnymi do tego, by wachać i delektować się tym, co wachają i czym delektują się ludzie, by z niekłamaną przyjemnością słuchać ludzkiej muzyki oraz jeść i pić wszystko, co się znajduje w zasięgu wzroku.

Pierwszych Apicjan powitali na Ziemi nieco zaniepokojeni ambasadorzy, którzy stwierdzili, że apetyt na monachijskie piwo, ser camembert, tortillę, enchiladę i co bardziej wykwintne chow mein zdecydowanie góruje nad jakimikolwiek poważniejszymi zainteresowaniami przybyszów — kulturalnymi, politycznymi czy strategicznymi.

Arthur Djiohn, w Instrumentalicyj odpowiedzialny za ten konkretny odcinek działalności, mianował agenta CaMna Dredda naczelnym przedstawicielem ziemskiej dyplomacji, który miał się zająć sprawą.

Dredd zwrócił się do niejakiego Schmecksta, który wydawał się przywódcą Apicjan. Przebieg rozmowy okazał się niezbyt fortunny.

— Wasza wysokość, jest nam ogromnie miło powitać pana na Ziemi... — zaczął Dredd.

— Czy to jest jadalne? — przerwał mu Schmeckst, zabierając się do plastikowych guzików od jego garnituru, chociaż Dredd próbował wyjaśnić, że pomimo atrakcyjnego wyglądu nie nadają się do jedzenia.

— Nie próbujcie ich jeść, są naprawdę niedobre — stwierdził Schmeckst.

— Czy mógłbym pana czymś poczęstować? — zapytał Dredd, patrząc na rozchylone poły swojej marynarki.

— O tak!

Schmeckst spożył włoski obiad, pekiński obiad, syczański obiad z ostrą papryką, japoński obiad z sukiyaki, dwa angielskie śniadania, zestaw ze szwedzkiego stołu i cztery pełne zestawy rosyjskiej dyplomatycznej zakąski, po czym wysłuchał propozycji Agencji.

Nie zrobiły na nim wielkiego wrażenia. Schmeckst był inteligentny, pomimo barbarzyńskich obyczajów związanych zjedzeniem.

— Pod względem uzbrojenia, nasze siły są wyrównane — zauważył. — Nasze światy nie mogą ze sobą walczyć. Uważaj! — rzucił ostrzegawczym tonem.

Calvin Dredd sprężył się odruchowo. Schmeckst mu w tym pomógł. Przez chwilę Dredd nie wiedział, co się dzieje. Potem zrozumiał, że usztywniając ciało w kontrolowany sposób, współdziałał ze słabymi, ale możliwymi do manipulowania oddziaływaniami telepatycznymi. Zastygł w bezruchu, dopóki Schmeckst go ze śmiechem nie uwolnił.

— Jak widać, dobrze do siebie pasujemy. Potrafimy was unieruchomić. Nic poza skrajną desperacją nie zdoła was wyrwać z tego stanu. Jeśli będziecie próbowali z nami walczyć, dostaniecie baty. Mamy zamiar się tu osiedlić i żyć razem z wami. Na naszej planecie jest pod dostatkiem miejsca. Wy też możecie do nas przyjechać i żyć z nami. Chcemy sprowadzić wielu waszych kucharzy. Musicie podzielić się z nami przestrzenią życiową, to wszystko.

I rzeczywiście to było wszystko. Arthur Djiohn poinformował szefów Instrumentalicyj, że na razie nic więcej nie da się zrobić w sprawie odstręczających przybyszów z planety Gustible'a.

Przybysze — jak na ich standardy — trzymali swoją żarłoczność w karchach. Zaledwie siedemdziesiąt dwa tysiące tych osobników rozsypało się po całej Ziemi, docierając do każdej

winiarni, restauracji, baru, koktajlbaru i centrum rozrywki na świecie. Jedli popcorn, lucernę, surowe owoce, żywe ryby, ptaki z gałęzi, żywność preparowaną, gotowaną i puszkowaną, koncentraty spożywcze i wszelkiego rodzaju medykamenty.

Ich organizmy, jeśli nie liczyć zdolności pochłaniania niewyobrażalnych ilości jedzenia, były bardzo zbliżone do ludzkich. Tysiące Apicjan zapadło na różne miejscowe choroby, czasem noszące tak mało szacowne nazwy jak łamańce znad Jangcy, delirium z Delhi czy rzymskie dożynki. Tysiące innych dostało niestrawności i musiało się ratować starożytnym sposobem rzymskich cesarzy.

Nikt ich nie darzył sympatią. Nikt ich nie darzył aż taką antypatią, żeby pragnąć zgubnej wojny. Faktyczna wymiana handlowa była minimalna. Przybysze kupowali mnóstwo żywności, płacąc rzadkimi kruszcami, ale gospodarka na ich planecie wytwarzała bardzo niewiele dóbr, których ludzie mogliby pożądać.

Ziemskie miasta dawno osiągnęły taki poziom wygód i zepsucia, że względnie monokulturowe istoty, jakimi byli mieszkańcy planety Gustible'a, nie miały tu czym zaimponować. Słowo „Apicjanin” zaczęło budzić nieprzyjemne skojarzenia z nieokrzesaniem, żarłocznością i natychmiastową zapłatą. To ostatnie było uważane w społeczeństwie kredytu za grubiaństwo, ale w końcu lepsza natychmiastowa zapłata niż żadna.

* * *

Do tragedii w stosunkach pomiędzy dwiema grupami doszło z powodu nieszczęsnego pikniku pani Ch'ao, która szczyliła się, że w jej żyłach płynie starożytna chińska krew. Dama ta uznała, że da się ugłaskać Schmecksta i pozostałych Apicjan na tyle, aby można im było przemówić do rozsądku. Wydała więc ucztę, która nie miała sobie równej ani pod względem ilości, ani jakości od niepamiętnych, antycznych czasów, na długo przedtem, nim dzieje ludzkości zakłóciły liczne wojny, upadki i odbudowa kolejnych cywilizacji. Przepisów na potrawy Szukała w muzeach całego świata.

Obiad transmitowany był przez telewizję na całym świecie. Podano go w pawilonie zbudowanym w dawnym chińskim stylu. Bajeczną budowlę z suchego bambusa i papierowych ścian wieńczyła prawdziwa strzecha wykonana według starych chińskich wzorów. Teren fety oświetlały papierowe lampiony z prawdziwymi świecami. Pięćdziesięciu wybranych Apicjan lśniło niczym posążki starożytnych bóstw. Światło połyskiwało na ich piórach, kiedy rozprawiali płynnie we wszystkich językach, jakie udało im się wyłuskać telepatycznie z głów słuchaczy, i trzymali w pogotowiu przypominające wiosła kciuki.

Tragedię spowodował ogień. W pawilonie wybuchł pożar, zmieniając obiad w katastrofę. Calvin Dredd uratował panią Ch'ao. Apicjanie uciekli. Wszyscy oprócz Schmecksta, który się uduślił.

Wydał przeraźliwy krzyk, który zabrzmiał głosami ludzi, pozostałych Apicjan oraz zwierząt znajdujących się w telepatycznym zasięgu. W uszy zgromadzonych przed telewizorami na całym świecie uderzyła nagła kakofonia ptasiego jazgotu, psiego ujadania, kociego zawodzenia, skrzeczenia łasic oraz wyjątkowo głośnego pomruku jednej samotnej pandy. Potem Schmeckst wyzionął ducha. Jakże to smutne...

Ziemsy przywódca zastanawiali się, co począć w obliczu tragedii. Na drugim końcu świata scenę obserwowali członkowie Instrumentalicy. To, co ujrzeli, było zdumiewające i przerażające zarazem. Calvin Dredd, chłodny, zdyscyplinowany agent, jakiego znali od lat, zbliżał się do ruin pawilonu. Jego twarz wykrzywił grymas, który trudno im było pojąć. Dopiero kiedy po raz czwarty oblizał wargi i gdy ujrzeli strumyczek śliny ściekający mu po

brodzie, zrozumieli, że nie panuje nad swoim apetytem. Pani Ch'ao szła tuż za nim, pchana jakąś niepowstrzymaną iłą.

Nie była sobą. Jej oczy lśniły. Skradała się niczym kot. W lewej ręce trzymała miskę i pałeczki.

Widzowie z całego świata obserwowali tę scenę na ekranach telewizorów, nie rozumiejąc, co się dzieje. Dwóch zaniepokojonych, oszołomionych Apicjan podążało za ludźmi, zastanawiając się, co z tego wyniknie. Nagle Calvin Dredd wyciągnął ciało Schmecksta spośród zgliszczy.

Płomienie dopełniły zniszczenia. Na ciele nie pozostało ani jedno pióro. Schmeckst upiekł się w ogniu, którym zajął się niezwykle suchy bambus, papier i tysiące świec. Operator telewizyjny doznał nagłego olśnienia i wyłączył sensory zapachu.

Po całej planecie, gdziekolwiek zgromadzili się ludzie, aby śledzić tę nieoczekiwaną i niezwykle interesującą tragedię, rozszedł się zapach, o którym ludzkość zapomniała. Była to zawieszona woń pieczonej kaczki.

Przechodząca wszelką wyobraźnię, najrozkoszniejsza woń, jakiej kiedykolwiek zaznało ludzkie powonienie. Do milionów ust napłynęła ślinka. Na całym świecie ludzie odwrócili wzrok od telewizorów, rozglądając się, czy w okolicy nie ma jakichś Apicjan. W chwili gdy szefowie Instrumentalicy nakazali przerwać transmisję niesmacznej sceny, Calvin Dredd i pani Ch'ao zaczęły pałaszować upieczonego gościa z planety Gustible'a.

* * *

W ciągu dwudziestu czterech godzin większość znajdujących się na Ziemi Apicjan została zjedzona, jedni z sosem żurawinowym, inni jako pieczeń, jeszcze inni na modłę południową. Poważni ziemscy przywódcy obawiali się konsekwencji tego barbarzyństwa. Nawet kiedy sami ocierali usta, prosząc o jeszcze jedną kanapkę z kaczka, czuli, że jest to zachowanie niewyobrażalnie kłopotliwe.

Zdolność do unieruchamiania ludzi, którą wcześniej demonstrowali Apicjanie, nie działała, kiedy towarzyszący im człowiek sięgał do najgłębszych pokładów swojej osobowości, bo szaleńczy apetyt niwelował wszelki wpływ cywilizacji.

Szefowie Instrumentalicy zdołali zlokalizować zastępcę Schmecksta i odstawić go, wraz z kilkoma innymi Apicjanami, z powrotem na statek kosmiczny.

Obserwujący ich żołnierze oblizywali wargi. Kapitan eskortujący dostojnych gości usiłował sprokurować wypadek. Niestety, dla Apicjan niefortunny upadek nie kończył się złamaniem karku, a goście bez wythnienia miotali na ludzi telepatyczne sygnały paraliżujące, aby ratować własną skórę.

Jeden z Apicjan okazał się na tyle nierozważny, że poprosił o sałatkę z kurczakiem. Omal nie stracił, żywcem i na surowo, kawałka skrzydła, kiedy aluzja do jedzenia zaostriła apetyt któregoś z żołnierzy.

Nieliczni ocaleli Apicjanie wrócili do siebie. Ziemia im się podobała, przepadali za tutejszym jedzeniem, ale tutejsi kanibale budzili w nich grozę.

Członkowie Instrumentalicy stwierdzili z ulgą, że po swoim odlocie Apicjanie zamknęli za sobą kosmiczny tunel, którym przybyli. Nikt nie wie dokładnie, jak to zrobili ani jakimi zabezpieczeniami dysponowali. Przetykająca ślinkę i zawstydzona ludzkość nie rzuciła się za nimi w pościg. Próbowano przyrządzać kanapki z kurczakiem, kaczka, gęsiną, kuropatwą, gołębiem, mewą, aby odtworzyć niezrównany smak autentycznego mieszkańca planety Gustible'a. Nic nie oddawało go w pełni, a ludzie nie byli przecież aż takimi barbarzyńcami, aby dokonywać inwazji na inny świat tylko dlatego, że jego mieszkańcy to smakowite kąski.

Na najbliższym zebraniu Instrumentalicy szefowie mieli przyjemność poinformować siebie nawzajem oraz resztę świata, że Apicjanie zdołali „całkowicie odciąć” swoją planetę, nie byli zainteresowani utrzymywaniem dalszych stosunków z Ziemią i posiadali najwyraźniej wystarczającą przewagę technologiczną nad ludźmi, aby pozostawać w ukryciu przed ich wzrokiem i apetytem.

Wkrótce o Apicjanach zapomniano. Tajny sekretarz Biura Międzygwiazdowego Handlu był zdumiony, kiedy zamrożone umysły z pewnej metanowej planety niespodziewanie zamówiły czterdzieści tysięcy kontenerów monachijskiego piwa. Podejrzewał, że są jedynie pośrednikami, nie konsumentami. Ale zwierzchnicy polecieli mu zachować dyskrecję i piwo wysłano.

Nie ulega wątpliwości, że trafiło na planetę Gustible’a, lecz w zamian nie zaproponowano niestety żadnych Apicjan.

Sprawa została zamknięta. Serwetki zostały złożone. Handel i stosunki dyplomatyczne ustały.

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

SPECJALISTA

Statek, który potrafi, przemierzać przestrzeń kosmiczną, pobudzał wyobraźnię twórców literatury science fiction od czasu, gdy Juliusz Verne wysłał swoich podróżników na Księżyc w pocisku wystrzelonym z działa w powieści „Z Ziemi na Księżyc” (1865). Kiedy H.G. Wells opisał tę samą podróż w 1901 roku, jego statek kosmiczny korzystał już z dobrodziejstwa „kaworytu”, a w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku na stronach tanich magazynów pojawił się po raz pierwszy swojski statek z napędem atomowym. Od tamtego czasu pisarze science fiction zdążyli się przesiąść z raket na promy kosmiczne i potężne, skomputeryzowane kolubryny z serii „Star Trek” i „Gwiezdnych wojen”. Ogromna różnorodność owych wehikułów stanowiła zachętę dla autorów obdarzonych poczuciem humoru, możemy więc znaleźć przykłady naprawdę niezwykłych pojazdów kosmicznych w opowiadaniach Cordwainera Smitha („Three to a Given Star”, 1965), Anne McCaffrey („Statek, który śpiewał” 1969), Stanisława Lema („Niewyciężony” 1973), a w prezentowanym tu opowiadaniu statek będący jedyną w swoim rodzaju sumą swoich elementów: Oka piszącego poematy, Mózgu rejestrującego wszystko, „dobre i złe, ładne i brzydkie” i Ścian upijających się przy lada okazji!

Robeń Sheckley (1928–2005) został nazwany w „Encyclopedia of Science Fiction” (1995) „Jamesem Thurberem literatury sf” oraz „prawdopodobnie najbardziej konsekwentnym i najzabawniejszym spośród wszystkich humorystów gatunku” Urodził się w Nowym Jorku, a w latach pięćdziesiątych stał się ulubieńcem czytelników dzięki swoim przewrotnym utworom, publikowanym w większości ówczesnych czołowych periodyków poświęconych literaturze science fiction. Jego pierwszy zbiór, „Untouched By Human Hands” (1954) został okrzyknięty jednym z najlepszych debiutów gatunku. Sheckley nadal pisał pełne fantazji, zabawne historyjki, okraszone od czasu do czasu — powieścią. Jego „Dziesiąta ofiara” (1966) doczekała się adaptacji filmowej, z Marcello Mastroiannim i Ursulą Andress w rolach głównych, a „Suplikant w kosmosie” zdobył nagrodę Jupitera za najlepsze opowiadanie 1973 roku. W „Specjaliście” napisanym, w 1953 roku, Sheckley stworzył jedyny w swoim rodzaju statek kosmiczny zbudowany z pozaziemskich istot, które, po przeżyciu fotonowej burzy, wyruszają na poszukiwanie następcy wchodzącego w skład tego zespołu Popychacza, który uległ zniszczeniu. Współdziałanie poszczególnych członków „załogi”, ich język i nastroje, nie wspominając o ostatecznym rozwiązaniu problemu, stanowią znakomitą próbkę talentu tego wybitnego humorysty.

* * *

Burza fotonowa uderzyła bez uprzedzenia spoza ławicy ogromnych czerwonych gwiazd. W ostatniej chwili, nim pochwyciła ich w swoje szpony, Oko zdążyło jeszcze nadać przez Gadacza sygnał ostrzegawczy.

Była to trzecia podróż Gadacza w dalekie rejony przestrzeni kosmicznej i pierwsza burza świetlna, jaką przeżył. Poczuł więc skurcz strachu, kiedy Statek na skutek czołowego zderzenia z falą zбочzył nagle z kursu i doznał gwałtownego przechyłu. Strach jednak szybko minął i pozostał tylko przyspieszony z podniecenia puls.

Ale właściwie dlaczego miałby się bać? — zadawał sobie pytanie. — Czyż nie przeszedł specjalnego przeszkolenia na wypadek takiego niebezpieczeństwa?

Mówił coś właśnie do Zasilacza, kiedy wybuchł sztorm, więc przerwał natychmiast rozmowę. Miał nadzieję, że smarkaczowi nic się nie stało. Była to jego pierwsza podróż w

dalsze rejony Kosmosu.

Podobne do drutów włókna, z których zbudowane było ciało Gadacza, przenikały cały Statek. Błyskawicznie wciągnął wszystkie przewody, poza tymi, które łączyły go z Okiem, Silnikiem i ścianami. Teraz wszystko zależało od nich. Reszta Załogi sama musi sobie radzić aż do końca sztormu.

Oko przywarło całym tarczowatym ciałem do Ściany i wypuściło jeden ze swoich organów wzroku poza Statek. Dla większej koncentracji reszta czulek widzących spoczywała bezwładnie wzdłuż ciała.

Poprzez ten organ Oka Gadacz obserwował sztorm. Czysto wizualny obraz przekładał następnie na kierunek Silnikowi, który manewrował Statkiem. Mniej więcej w tym samym czasie Gadacz tłumaczył kierunek na szybkość dla Ścian, które sztywniały przed każdym uderzeniem fal.

Koordinacja była sprawna i pewna: Oko mierzyło fale świetlne, Gadacz przekazywał polecenia Silnikowi i Ścianom, Silnik prowadził Statek dziobem na fale, Ściany parowały ich uderzenia.

W ferworze działania zespołowego Gadacz zapomniał o swoim strachu. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Stanowił system łączności Statku, musiał więc tłumaczyć i przekazywać polecenia z największą szybkością, koordynując informacje i kierując całą akcją.

W ciągu kilku minut było już po burzy.

— W porządku! — powiedział Gadacz. — A teraz sprawdzimy, jakie ponieśliśmy straty. — W czasie sztormu wszystkie jego przewody zastały poplątane, ale zdążył je już rozsupłać i przeniknąć nimi cały Statek, sprawdzając pilnie, czy obwód jest zamknięty. — Silnik?

— W porządku — odparł Silnik. Potężny starzec wysunął w czasie burzy grafitowe pręty osłabiając w ten sposób wybuchy atomowe w swoim brzuchu. Żaden sztorm nie byłby w stanie zaskoczyć takiego weterana przestrzeni kosmicznej jak on.

— Ściany?

Ściany zdawały sprawę ze swego stanu jedna po drugiej, co trwało dość długo. Było ich bez mała tysiąc — cienkie prostokątne płytki, które tworzyły skórę Statku. Oczywiście w czasie sztormu Ściany usztywniły krawędzie, zwiększając sprężystość Statku, ale mimo to jedna czy dwie zostały poważnie wgniecione.

Doktor oznajmił, że czuje się świetnie. Usunął sobie z głowy przewód Gadacza, wyłączając się tym samym z obwodu i przystąpił do naprawy Ścian. Zbudowany z samych niemal rąk, Doktor na czas burzy przywarł do Akumulatora.

— Zwiększmy trochę szybkość! — zarządził Gadacz, uświadamiając sobie, że przecież należy ustalić, gdzie się znajdują. Połączył się z czterema Akumulatorami.

— Co z wami? — zapytał.

Ale nie było żadnej odpowiedzi. Akumulatory spały w najlepsze. W czasie burzy ich receptory były otwarte i Akumulatory leżały teraz naładowane energią. Gadacz „obwąchał” je dookoła swoimi przewodami, ale Akumulatory ani drgnęły.

— Daj, ja spróbuję! — powiedział Zasilacz. Oberwało mu się porządnie, zanim zdołał przyczepić się do Ściany swoimi ssawkami, ale nie nauczyło go to skromności. Był on jedynym członkiem Załogi, który nigdy nie wymagał pomocy Doktora; jego ciało regenerowało się samo.

Śmignął na swoich kilkunastu mackach i kopnął najbliższy Akumulator. Wielki stożkowaty zasobnik otworzył jedno oko, po czym zaraz je zamknął. Zasilacz znów go kopnął, tym razem bez żadnego skutku. Sięgnął do zaworu bezpieczeństwa i upuścił trochę energii.

— Uspokój się! — wrzasnął Akumulator.

— No to się wreszcie obudź i odpowiedz, jak cię pytają — burknął Gadacz.

Akumulatory odpowiedziały, wyraźnie rozdrażnione, że nic im się nie stało i że każdy

idiota chyba to widzi. W czasie burzy były przyczepione do podłogi.

Dalej inspekcja poszła już sprawnie. Mózg był w świetnej kondycji, a Oko popadło dosłownie w ekstazę z zachwytu nad pięknem sztormu. Ponieśli tylko jedną poważną stratę: Popychacz był martwy. Jako stworzenie dwunożne nie miał stabilności innych członków Załogi. Burza zaskoczyła go na środku Statku. Rzuciło go o zeszywniałą ścianę, na skutek czego Popychacz złamał sobie kilka spośród ważnych kości. Jego reperacja przekraczała możliwości Doktora.

Zapadło milczenie. Śmierć jednego z nich była poważnym problemem. Statek stanowił zespół oparty na współdziałaniu poszczególnych elementów — członków. Utrata choćby jednego była ciosem dla reszty.

Tym razem sprawa wyglądała szczególnie poważnie. Dostarczyli właśnie ładunek do portu odległego o kilka tysięcy lat świetlnych od Centrum Galaktycznego. Trudno powiedzieć, gdzie się w tej chwili mogli znajdować.

Oko przywarło do Ściany i wysunęło na zewnątrz swój organ wzroku. Ściany zamknęły się wokół niego szczelnie. Czulek Oka wystawał tak daleko, że mogło ono ogarnąć wzrokiem całą sferę gwiazd. Obraz za pośrednictwem Gadacza wędrował do Mózgu.

Mózg — wielka, bezkształtna masa protoplazmy — leżał w rogu Statku. Mieściły się w nim doświadczenia wszystkich jego uprawiających podróże kosmiczne przodków. Zastanowił się nad odebrany obrazem, porównał go szybko z podobnymi sytuacjami zarejestrowanymi i zmagazynowanymi w jego komórkach i powiedział:

— W zasięgu wzroku nie ma żadnej planety należącej do Związku Galaktycznego.

Tego właśnie obawiali się najbardziej. Gadacz natychmiast przekazał tę informację wszystkim pozostałym członkom Załogi.

Oko, z pomocą Mózgu, obliczyło, że zbczyli o jakieś kilkaset lat świetlnych z kursu i znajdują się obecnie na peryferiach galaktyki.

Wszyscy członkowie Załogi wiedzieli doskonale, co to znaczy: bez Popychacza nigdy nie przekroczą szybkości światła, a tym samym nigdy nie wrócą do domu. Podróż powrotna bez Popychacza trwałaby dłużej niż życie większości z nich.

— Co radzisz? — Gadacz zapytał Mózgu.

Ale bardzo precyzyjnemu Mózgowi wydało się to zbyt mgliste. Poprosił o dokładniejsze sformułowanie pytania.

— Co twoim zdaniem powinniśmy robić — powtórzył Gadacz — aby powrócić do Związku Galaktycznego?

Rozważenie wszystkich możliwości i porównanie z doświadczeniami zmagazynowanymi we własnych komórkach zajęło Mózgowi kilka minut. Tymczasem Doktor zdążył już naprawić Ściany i domagał się czegoś do zjedzenia.

— Za chwilę wszyscy będziemy jedli — odparł Gadacz, nerwowo poruszając węsami. Chociaż był zaraz po Zasilaczu najmłodszy spośród członków Załogi, odpowiedzialność w dużej mierze spoczywała na nim. A przecież w dalszym ciągu znajdowali się w niebezpieczeństwie — trzeba było koordynować informacje i kierować akcją.

Jedna ze Ścian oświadczyła, że w tej sytuacji nie pozostaje im nic innego, jak się upić. Ale ten bezsensowny projekt upadł natychmiast. Było to bardzo typowe dla Ścian, dobrych w gruncie rzeczy pracowników i towarzyszy, ale strasznych przy tym lekkoduchów. Jak wrócą na swoje rodzinne planety, z pewnością raz dwa przepiją cały zarobek.

— Utrata Popychacza uniemożliwia Statkowi uzyskanie szybkości nadświatłej — zaczął Mózg bez żadnych wstępów. — A do najbliższej planety galaktycznej mamy czterysta pięć lat świetlnych.

Wiadomość ta przebiegła wszystkie włókna ciała Gadacza. — Możemy przyjąć dwa warianty. Pierwszy: Statek będzie kontynuował lot do najbliższej planety Związku korzystając z napędu atomowego Silnika. Trwałoby to jakieś dwieście lat i nikt poza Silnikiem

prawdopodobnie by tego nie przeżył. Druga możliwość to zlokalizować w tym rejonie jakąś prymitywną planetę, na której istnieją Popychacze. Trzeba by jednego z nich przeszkolić. A po przeszkoleniu pchnąłby Statek z powrotem w obręb Związku Galaktycznego.

Mózg zamilkł. Wyczerpał wszystkie możliwości zgromadzone w pamięci jego przodków.

Odbyło się szybkie głosowanie, w wyniku którego przyjęto drugi wariant. Właściwie nie było wyboru. Tylko to wyjście dawało jakąkolwiek nadzieję na powrót do domu.

— W porządku — powiedział Gadacz — a teraz coś zjemy. Myślę, że wszyscyśmy na to zasłużyli.

Ciało nieżyjącego Popychacza wrzucono do paszczy Silnikowi, który pożarł je natychmiast przetwarzając atomy na energię. Silnik był jedynym członkiem Załogi, który żywił się energią atomową.

Chcąc nakarmić resztę, Zasilacz przysunął się do najbliższego Akumulatora, żeby się naładować, po czym wewnątrz swego ciała przetworzył energię na różne substancje, którymi żywili się poszczególni członkowie Załogi.

Oko żyło wyłącznie łańcuchem chlorofilowym; Gadacz żywił się węglowodorami, Ściany związkami chloru. Dla Doktora Zasilacz przygotował krzemianowe owoce, takie, jakie rosły na jego rodzinnej planecie.

Wreszcie wszyscy się posilili i Statek był gotów do drogi. Akumulatory, stłoczone w rogu, znów zapadły w błogą drzemkę. Oko rozszerzyło zakres wizji do maksimum, nastawiając swój główny organ wzroku na najlepszy odbiór. Nawet w tej niepewnej sytuacji nie mogło się powstrzymać od układania wierszy. Oznajmiło właśnie, że pracuje nad nowym poematem epickim „Zorza kosmiczna”. Ponieważ nikt nie chciał go słuchać, powierzyło swoje dzieło Mózgowi, który rejestrował wszystko bez wyboru: dobre i złe, ładne i brzydkie.

Silnik nie spał nigdy. Obżarty ciałem Popychacza, rozwijał szybkość kilkakrotnie przewyższającą prędkość światła. Ściany spierały się między sobą, która w czasie ostatniego urlopu była bardziej pijana.

Gadacz postanowił się odprężyć. Oderwał się od Ścian i jego małe, okrągłe ciało unosiło się w powietrzu, zawieszona na siatce krzyżujących się przewodów.

Myślał o Popychaczu. Dziwne! Popychacz miał dokoła samych przyjaciół, a tak szybko go zapomnieli. Ale to nie była obojętność, po prostu Statek stanowił zespół. Oczywiście śmierć każdego z członków Załogi była wielką stratą, ale zespół musiał funkcjonować dalej, i to był jego główny cel, którego nie mógł tracić z oczu.

Statek mknął pośród słońc kresów galaktyki. .

Mózg przedstawił trasę poszukiwań w formie spirali, oceniając szansę znalezienia planety Popychaczy jako z grubsza biorąc cztery do jednego. W ciągu tygodnia znaleźli planetę prymitywnych Ścian. Obniżając lot mogli dostrzec skórzastych, prostokątnych osobników, pływających się w słońcu, pełzających po skałach lub spłaszczonych na papierek i bujających na wietrze.

Ściany Statku westchnęły tęsknie. Widok ten przywiódł im na myśl dom rodzinny. Napotkani ziomkowie nie zetknąwszy się nigdy jeszcze z zespołem galaktycznym byli nieświadomi swego prawdziwego powołania i swojej roli w wielkiej rodzinie kosmicznej.

Spiralna trasa ich poszukiwań wiodła poprzez wiele światów wymarłych lub zbyt młodych, by mogło na nich powstać życie. Znaleźli planetę Gadaczy. Pajęcza sieć ich przewodów przenikała pół kontynentu.

Gadacz chłonał ich widok za pośrednictwem Oka. Rozczulił się nad sobą. Przypomniały mu się rodzinne strony, jego bliscy przyjaciele. Pomyślał o drzewie, które zamierzał sobie kupić po powrocie do domu. Przez moment zastanawiał się, co on tu właściwie robi gdzieś na krańcach galaktyki?

Otrząsnął się jednak szybko z tego nastroju. Muszą przecież w końcu znaleźć planetę Popychaczy, jeśli tylko będą odpowiednio długo szukali. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Mknąc przez niezbadane peryferie galaktyki i mijając rozległe wypalone światy, natknęli się na planetę pierwotnych Silników, pływających w radioaktywnym oceanie.

— To bogate tereny — rzekł Zasilacz do Gadacza. — Galaktyka powinna przysłać tutaj Ekipe Kontaktową.

— Prawdopodobnie wyślą po naszym powrocie — odparł Gadacz.

Gadacz i Zasilacz byli ze sobą blisko związani. Ich przyjaźń wykraczała daleko poza więzy łączące całą Załogę. Nie tylko dlatego, że byli jej najmłodszymi członkami, chociaż miało to oczywiście duże znaczenie. Przede wszystkim jednak pełnili na Statku podobne funkcje i to zdecydowało o ich wzajemnym stosunku. Gadacz tłumaczył wszelkie informacje na różne języki; Zasilacz przetwarzał energię na różne rodzaje pokarmu. A poza tym byli trochę do siebie podobni. Gadacz składał się z głównego rdzenia i promieniście rozchodzących się przewodów; Zasilacz z rdzenia i promieniście rozchodzących się macek.

Gadacz uważał Zasilacza za drugiego po sobie na Statku, jeśli chodzi o stopień świadomości. Nie mógł nigdy zrozumieć, jak przebiegają procesy myślowe u innych.

Coraz więcej słońc, coraz więcej planet! Silnik zaczął się przegrzewać. Zwykle używali go tylko do startu, lądowania i precyzyjnego manewrowania Statkiem pośród gęściejszych skupisk planet. Teraz pracował bez przerwy całymi tygodniami i wyczerpanie zaczynało się na nim wyraźnie odbijać.

Zasilacz, pospołu z Doktorem, sprokurowali mu system chłodzący. Był on bardzo prymitywny, ale cóż — musiał wystarczyć. Zasilacz przegrupował atomy azotu, tlenu i wodoru, aby dostarczyć substancji ochładzającej. Doktor zalecił Silnikowi długotrwały odpoczynek. Oświadczył, że bohaterski staruszek nie pociągnie w tej sytuacji dłużej jak tydzień.

W miarę przedłużania się poszukiwań duch wśród Załogi upadał. Stwierdzili, że w przeciwieństwie do płodnych Ścian i Silników, Popychacze należą w galaktyce do rzadkości.

Ściany porysowane od pyłu międzygwiazdowego, narzekały bez przerwy, że zaraz po powrocie będą się musiały poddać gruntownym zabiegom kosmetycznym. Gadacz zapewnił je, że Towarzystwo pokryje związane z tym koszty.

Nawet Oko całe było przekrwione od ciągłego wpatrywania się w przestrzeń.

Znów obniżyli się przelatując nad jakąś planetą. Podali jej charakterystykę Mózgowi, który ją przemyślał.

Zeszli jeszcze niżej i już mogli rozróżnić poszczególne kształty.

Popychacze! Prymitywne Popychacze!

Śmignęli z powrotem w górę, żeby się przygotować. Z tej uroczystej okazji Zasilacz przyrządził dwadzieścia trzy rodzaje różnych trunków.

Przez trzy dni Statek był pijany.

— Gotowi? — spytał wreszcie Gadacz, z lekka skołowany. Miał kaca, którego czuł w koniuszkach wszystkich przewodów. Nieźle sobie dogodził. Pamiętał mgliście, jak obejmując Silnik proponował mu, żeby po powrocie dzielił z nim jego nowe drzewo.

Wzdrygnął się teraz na samą myśl o tym.

Reszta Załogi też się ledwie trzymała na nogach. Ściany przepuszczały wzdłuż wszystkich krawędzi, zbyt zawiane na to, żeby je porządnie uszczelnić. Doktor leżał nieprzytomny.

Ale najgorzej było z Zasilaczem. Jego organizm mógł się adaptować do każdego rodzaju paliwa, poza atomowym, i Zasilacz próbował wszystkich przyrządzanych przez siebie trunków — czy był to nie zrównoważony jod, czysty tlen czy supernaladowany ester. Znajdował się w opłakanym stanie. Jego macki, o tak zwykle zdrowej wodnistej barwie, całe były w pomarańczowe żyłki. Zasilacz w straszliwej męce pozbywał się teraz tego wszystkiego.

Jedynymi trzeźwymi na Statku byli Mózg i Silnik. Mózg nie pił — rzecz niezwykła jak na weterana podróży kosmicznych, chociaż typowa dla niego — Silnik oczywiście nie mógł pić.

Słuchali właśnie Mózgu, który na podstawie podanego przez Oko opisu powierzchni planety informował ich o różnych rewelacjach. Odkrył mianowicie obecność jakiejś metalowej konstrukcji i wystąpił z przerażającą koncepcją, że Popychacze stworzyły na tej planecie cywilizację mechaniczną.

— To niemożliwe — orzekły stanowczo trzy Ściany i większość Załogi była skłonna się z nimi zgodzić. Jedyne metal, z jakim się kiedykolwiek zetknęli, spoczywał głęboko w ziemi albo poniewierał się w postaci porzucanego złomu.

— Chcesz powiedzieć, że oni produkują różne rzeczy z metalu? — zapytał Gadacz. — Ze zwykłego martwego metalu? A co by z tego mogli zrobić?

— Nic — odparł Zasilacz kategorycznie. — Wszystko by się ciągle łamało. Bo metal nie wie, jakie są granice jego wytrzymałości.

Ale wszystko wskazywało na to, że Mózg ma rację. Oko powiększyło obraz i mogli teraz zobaczyć obszerne schronienia, pojazdy i inne przedmioty z nieżywionego materiału, zbudowane przez Popychaczy.

Nie bardzo to wszystko rozumieli, w każdym razie nie był to dobry znak. Ale i tak najgorsze mieli za sobą. Znaleźli wreszcie planetę Popychaczy. Pozostało im jeszcze tylko namówić jednego z mieszkańców planety, by do nich przystał. Ta sprawa jednak nie powinna nastęczać trudności. Gadacz wiedział, że współdziałanie jest naczelną zasadą obowiązującą w całej galaktyce, nawet wśród ludów pierwotnych.

Zdecydowali się nie lądować w rejonie gęsto zaludnionym. Oczywiście nie było powodu spodziewać się nieprzyjaznego przyjęcia, ale nawiązanie kontaktu z Popychaczami jako gatunkiem należało do Ekipy Kontaktowej. A im zależało na jednym osobniku.

Wybrali więc teren możliwie odludny i wylądowali dopiero, gdy po tej stronie planety zapadły ciemności.

Niemal natychmiast dostrzegli samotnego Popychacza. Oko zaadaptowało się do ciemności i obserwowali wszystkie jego ruchy. Po chwili Popychacz położył się przy niewielkim ognisku. Mózg wyjaśnił im, że jest to typowy dla tych stworzeń sposób odpoczywania.

Tuż przed świtem Ściany się rozstały i ze Statku wyszli Zasilacz, Gadacz i Doktor. Zasilacz ruszył pierwszy i klepnął Popychacza po ramieniu. Gadacz wysunął mackę, aby nawiązać z nim kontakt. Popychacz otworzył swoje narządy wzroku, mrugnął nimi, następnie poruszył otworem gębowym, wreszcie zerwał się na nogi i zaczął uciekać.

Trzej przedstawiciele Załogi byli zdumieni. Popychacz nie zainteresował się nawet, czego od niego chcą.

Gadacz sięgnął gwałtownie jednym ze swoich przewodów i złapał Popychacza z odległości jakichś pięćdziesięciu stóp za jedną nogę. Popychacz upadł.

— Obchodź się z nim ostrożnie! — zawołał Zasilacz. — Mógł się nas przestraszyć. Jego czułki zafalowały na samą myśl o tym, że Popychacz, ze swoimi wielokrotnymi organami, jedno z najdziwniejszych zjawisk w całej galaktyce, mógłby się kogokolwiek przestraszyć.

Zasilacz i Doktor pospieszyli do leżącego, podnieśli go i zaprowadzili do Statku. Ściany rozstały się, a następnie zamknęły za nimi szczelnie. Puścili Popychacza i przygotowali się do rozmowy. Uwolniony, skoczył natychmiast do miejsca, w którym zamknęły się Ściany. Zaczął walić w nie rozpaczliwie, a jego rozchylony otwór gębowy wibrował.

— Uspokój się! — wykrzyknęła Ściana. Wydeła się przewracając Popychacza na ziemię. Poderwał się natychmiast i zaczął biec przed siebie.

— Zatrzymajcie go! — zawołał Gadacz. — Może sobie zrobić krzywdę.

Jeden z Akumulatorów zdołał się rozbudzić na tyle, że zabiegł mu drogę. Popychacz przewrócił się, ale zaraz się podniósł i pobiegł dalej. Przewody Gadacza sięgały aż na dziób Statku; jednym z nich złapał wpół Popychacza. Popychacz zaczął szarpać go za czułki i Gadacz ustąpił natychmiast.

— Podłącz go do sieci! — wykrzyknął Zasilacz. — Może jakoś się z nim dogadamy.

Gadacz zbliżył jeden ze swoich przewodów do głowy Popychacza, kołyszając nim i w ten ogólnie przyjęty sposób sygnalizując chęć porozumienia. Ale Popychacz w dalszym ciągu zachowywał się dziko; odskoczył jak oparzony wymachując zapamiętałe trzymanym w ręku kawałkiem metalu.

— Jak myślisz, co on zamierza z tym zrobić? — zapytał Zasilacz. Popychacz zaatakował jedną ze Ścian, waląc w nią bez opamiętania. Ściana zeszytniała instynktownie i metal trzasnął.

— Zostawmy go — powiedział Gadacz. — Niech się uspokoi.

Gadacz odbył naradę z Mózgiem, ale nie bardzo wiedzieli, co z tym fantem zrobić. Na włączenie w układ łączności na pewno się nie zgodzi. Ilekroć Gadacz zbliżał do niego któryś ze swoich przewodów, Popychacz zdradzał objawy dzikiej paniki. Znaleźli się chwilowo w impasie.

Mózg odrzucił propozycję złapania innego Popychacza. Uważał zachowanie tego osobnika za typowe, a tym samym wszelkie dalsze próby za bezcelowe. Nawiązaniem kontaktu z całą planetą powinna się zresztą zająć Ekipa Kontaktowa. Jeżeli nie zdołają się porozumieć z tym Popychaczem, nie porozumieją się z żadnym innym z tej planety.

— Wydaje mi się, że wiem, na czym polega kłopot — powiedziało Oko i wpełzło na jeden z Akumulatorów. — Te Popychacze stworzyły tu cywilizację mechaniczną. Ale zastanówmy się, jak do tego doszły. Najpierw zaczęły używać palców, tak jak Doktor, do obróbki metalu. Potem, tak jak ja, zaczęły wykorzystywać swoje organy wzroku. I prawdopodobnie wiele innych narządów. — Oko zawiesiło głos dla uzyskania większego efektu. — Te Popychacze stały się z czasem niewyspecjalizowane.

Przez kilka godzin trwały na ten temat spory. Ściany utrzymywały, że żadna inteligentna istota nie może być niewyspecjalizowana. To się po prostu w galaktyce nie zdarzało. Ale z drugiej strony mieli najlepszy dowód w postaci miast i pojazdów zbudowanych przez Popychacze, nie mówiąc już o osobniku, którego gościli na pokładzie Statku, niewątpliwie zdolnym do mnóstwa rzeczy. Potrafił właściwie robić wszystko poza popychaniem.

Wyjaśnienie Mózgu było połowiczne.

— To nie jest planeta prymitywna. Jest ona stosunkowo stara i od tysięcy lat powinna być włączona w ogólny system współdziałania. Ponieważ jednak nie była, zamieszkujące ją Popychacze wynaturzyły się. Ich wrodzona zdolność, ich specjalność polegała na popychaniu, ale po prostu nie miały co popychać. W konsekwencji rozwinęły kulturę nienormalną dla swego gatunku.

— Na czym dokładnie polega ta kultura, możemy tylko zgadywać. Z tego jednak, cośmy zobaczyli, należy wnosić, że Popychacze są niewspółdziałalne.

Mózg miał zwyczaj wygłaszania najbardziej szokujących opinii z niewzruszonym spokojem.

— Bardzo możliwe — ciągnął nieubłaganie — że te Popychacze nie zechcą mieć z nami nic wspólnego. W tym wypadku nasza szansa znalezienia następnej planety Popychaczy jest w przybliżeniu jak jeden do dwustu osiemdziesięciu trzech.

— Ale przecież nie możemy mieć pewności, czy nie będzie współdziałał, dopóki go nie podłączymy do sieci. — Gadacz nie był w stanie zrozumieć, jak istota inteligentna może odmówić współdziałania.

— Ale w jaki sposób? — spytał Zasilacz. Błyskawicznie podjęli decyzję. Doktor podszedł wolno do Popychacza, który cofnął się przed nim gwałtownie. Tymczasem Gadacz wystawił jeden ze swoich przewodów na zewnątrz i jak pętlą objął nim Popychacza od tyłu. Popychacz przywarł do Ściany, a wtedy Gadacz wprowadził mu przewód do gniazdka w mózgu.

Popychacz zemdlał.

Kiedy odzyskał przytomność, Zasilacz i Doktor musieli trzymać go za wszystkie odnóży, żeby nie wyrwał przewodu. Gadacz wysilił całą swoją inteligencję, żeby opanować jego język. Nie było to zresztą specjalnie trudne. Wszystkie języki Popychaczy należały do tej samej rodziny, a ten nie stanowił wyjątku. Gadacz szybko na podstawie kilku złapanych myśli Popychacza opracował schemat porozumienia. Ale Popychacz milczał.

— Trzeba go chyba nakarmić — odezwał się Zasilacz. Uświadomili sobie, że minęły już dwa dni, odkąd go przyprowadzili na Statek. Zasilacz przygotował więc porcję standardowego pożywienia Popychaczy i podsunął mu.

— O rany, stek! — wykrzyknął Popychacz.

Przewody Gadacza rozbrzmiały radością całej Załogi. Nareszcie się odezwał!

Gadacz zbadał jego słowa i przeszukał archiwum swojej pamięci. Wiedział o około dwustu językach Popychaczy i o wielu prostych narzeczach. Stwierdził, że ich Popychacz posługuje się mieszaniną dwóch języków.

Tymczasem Popychacz najadł się i rozejrzał dokoła. Gadacz pochwycił jego myśli i przekazał je Załodze. Ich gość miał dziwny sposób patrzenia na Statek. Widział go jako orgię barw. Ściany falowały; przed nim znajdowało się coś w rodzaju ogromnego zielono—czarnego pająka, którego pajęczyna oplatała cały Statek przenikając do głów wszystkich członków Załogi. Oko wydało mu się dziwnym nagim stworzonkiem, czymś pomiędzy odartym ze skóry królikiem a żółtkiem jajka.

Gadacz był zafascynowany nowymi perspektywami, jakie otwierał przed nim umysł Popychacza. Nigdy dotąd nie patrzył na swoje otoczenie w taki sposób. Ale teraz, kiedy Popychacz zwrócił mu na to uwagę, musiał przyznać, że Oko jest ładnym, miłym stworzonkiem.

Wreszcie nawiązali łączność.

— Kim wy do diabła jesteście? — zapytał Popychacz znacznie już spokojniejszy niż w ciągu ubiegłych dwóch dni. — Dlaczegoście mnie porwali? Czy ja zwariowałem?

— Nie — odparł Gadacz. — Nie cierpisz na żadną psychiczną chorobę. Jesteśmy galaktycznym statkiem handlowym. Burza zniosła nas z kursu i straciliśmy naszego Popychacza.

— Dobrze, ale co to ma wspólnego ze mną?

— Chcielibyśmy, żebyś się przyłączył do naszej Załogi i zastąpił go.

Po tym wyjaśnieniu Popychacz zastanowił się. Gadacz wyczuwał zamęt w jego myślach. Popychacz nie był pewny, czy to rzeczywistość, czy jakieś przywidzenie. Na koniec zdecydował, że jednak jest przy zdrowych zmysłach.

— Posłuchajcie, chłopcy — powiedział — nie mam pojęcia, kim jesteście i czy to wszystko ma w ogóle jakiś sens. W każdym razie muszę się stąd wydostać. Jestem na urlopie i jeżeli nie wrócę na czas, armia Stanów Zjednoczonych może się niepokoić.

Gadacz poprosił Popychacza o dodatkowe informacje na temat „armii” i przekazał je Mózgowi.

— Te Popychacze stale walczą między sobą — brzmiała konkluzja Mózgu.

— Ale dlaczego? — zapytał Gadacz. Ze smutkiem musiał sam przed sobą przyznać, że Mózg może mieć rację. Popychacz rzeczywiście nie był skory do współdziałania.

— Chętnie bym wam pomógł w tej sytuacji, chłopcy — rzekł Popychacz — ale nie wiem, skąd wam przyszło do głowy, że potrafiłbym popchnąć coś tak ogromnego jak ten Statek. Trzeba by całego dywizjonu czołgów, żeby go ruszyć z miejsca.

— No i wy popieracie te wojny? — zapytał Gadacz, za podszeptem Mózgu.

— Nikt nie lubi wojen, a już najmniej ci, co muszą na nich ginąć.

— No to po co je prowadzicie?

Popychacz zrobił swoim otworem gębowym ruch, który Oko pochwyciło i przekazało Mózgowi.

— Żeby zabić albo zostać zabitym. Wiecie chyba, chłopcy, co to jest wojna, prawda?

— My nie prowadzimy żadnych wojen — odparł Gadacz.

— Szczęściarze — rzekł z goryczą Popychacz. — My owszem, i to dużo.

— Na pewno chciałbyś z tym skończyć — zapytał Gadacz, któremu Mózg zdążył już wszystko wyjaśnić.

— Oczywiście że chciałbym.

— To przyłącz się do nas. Zostań naszym Popychaczem. Popychacz wstał i podszedł do Akumulatora. Usiadł na nim i poskładał swoje górne kończyny.

— A w jaki sposób, do diabła, ja mógłbym skończyć ze wszystkimi wojnami? — zapytał.

— Nawet gdybym poszedł do wielkich szyszek i powiedział...

— Nie będziesz musiał — przerwał mu Gadacz. — Zabierz się tylko z nami. Popchnij nas do naszej bazy. Galaktyka wyśle na waszą planetę Ekipę Kontaktową i to na pewno położy kres waszym wojnom.

— Dziwne rzeczy mówicie — odparł Popychacz. — I twierdzicie, chłopcy, żeście tu zabłądzili, co? Niezłe! Nie ma obawy. Żadne potwory nie opanują Ziemi.

Zdumiony Gadacz usiłował zrozumieć tok jego rozumowania. Czyżby powiedział coś niewłaściwego? Czy to możliwe, żeby Popychacz go nie rozumiał?

— Myślałem, że chciałeś skończyć z wojnami — rzekł Gadacz.

— Owszem, chciałbym. Ale nie chcę, żeby ktokolwiek nam to narzucił. Nie jestem zdrajcą. I w tym wypadku będę walczył.

— Ale nikt wam tego nie narzuci. Skończycie z wojnami, bo po prostu nie będzie potrzeby się bić.

— A czy wy wiecie, dlaczego my walczymy?

— To jest oczywiste.

— Tak? Ciekawe, jak to rozumiecie.

— Wy, Popychacze, wypadłyście z głównego nurtu życia galaktyki — wyjaśnił Gadacz. — Waszą specjalnością jest pchanie, a tu nie macie co pchać. A tym samym nie macie pracy. Zajmujecie się więc różnymi rzeczami, takimi jak metale czy inne przedmioty nieożywione, ale nie macie z tego właściwie żadnej satysfakcji. Nie znajdując ujścia dla waszego prawdziwego powołania, odczuwacie stały niepokój, który z kolei prowadzi do ustawicznych wojen. Jak tylko znajdziecie swoje miejsce w powszechnym galaktycznym współdziałaniu — a zapewniam cię, że jest to miejsce ważne — wasze wojny ustaną. Po co robić rzeczy sprzeczne z naturą, skoro moglibyście zająć się popychaniem? Znikłaby wtedy wasza mechaniczna cywilizacja wraz z jej potrzebą.

Popychacz potrząsnął głową. Gadacz domyślił się, że niewiele z tego wszystkiego rozumiał.

— A na czym polega popychanie?

Gadacz wytłumaczył mu najlepiej, jak potrafił. Ponieważ jednak czynność ta nie wchodziła w zakres jego kompetencji, miał jedynie ogólne pojęcie o tym, co należy do Popychacza.

— Chcesz powiedzieć, że to jest to, co powinien robić każdy Ziemianin?

— Oczywiście — odparł Gadacz. — To jest wasza wielka specjalność.

Popychacz zastanawiał się nad tym przez kilka minut.

— Wydaje mi się, że wy potrzebujecie fizyka albo telepatyka czy kogoś w tym rodzaju. A ja się do niczego takiego nie nadaję. Ja jestem świeżo upieczonym architektem. No i poza tym... cóż... to trudno wyjaśnić.

Ale Gadacz już rozumiał przyczynę wahań Popychacza. Dostrzegł w jego myślach samice. Nie jedną — dwie, nawet trzy. No i uczucie obcości, osamotnienia. Popychacz pełen był wątpliwości. Bał się.

— Kiedy wrócimy do galaktyki — powiedział w nadziei, że o to właśnie chodzi —

spotkasz się z innymi Popychaczami. Będą wśród nich i samice. Wy, Popychacze, jesteście do siebie bardzo podobni, będziecie się mogli zaprzyjaźnić. A jeśli chodzi o uczucie osamotnienia na Statku, to możesz się nie obawiać. Po prostu nie rozumiesz jeszcze istoty współdziałania. We współdziałaniu nikt nie jest osamotniony.

Popychacz w dalszym ciągu rozważał możliwość zetknięcia się ze swoimi pobratymcami. Gadacz nie mógł pojąć, dlaczego tak go to dziwi. Cała galaktyka była przecież zaludniona Popychaczami, Gadaczami, Zasilaczami i wielu innymi gatunkami.

— Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek byłby w stanie położyć kres wojnom — odezwał się Popychacz. — Skąd mogę wiedzieć, czy nie kłamiecie?

Gadacz był bliski załamania. Mózg miał najwidoczniej rację twierdząc, że Popychacze są niewspółdziałalne. Czyżby to miał być ich koniec? Czy on i cała Załoga mają przez głupotę bandy Popychaczy spędzić resztę życia w przestrzeni kosmicznej?

Ale nawet mimo takich myśli potrafił współczuć Popychaczowi. To musi być jednak straszne — ciągłe wątpliwości, wieczna niepewność, brak zaufania do wszystkich. Jeżeli Popychacze nie odnajdą swojego miejsca w galaktyce, prędzej czy później wyginą. Od dawna powinny się włączyć w ogólnogalaktyczne współdziałanie.

— Jak mam cię przekonać? — zapytał Gadacz.

W ostatecznej rozpaczy otworzył przed Popychaczem wszystkie swoje obwody: pokazał mu dobroduszną gburowatość Silnika, beztroski humor Ścian, poetyckie próby Oka, próżną, ale w gruncie rzeczy poczciwą naturę Zasilacza. Otworzył swój umysł i roztoczył przed Popychaczem widok swojej ojczystej planety, swojej rodziny i drzewa, które zamierzał kupić po powrocie do domu.

Obrazy te opowiadały o nich wszystkich, mieszkańcach różnych planet, reprezentujących najróżniejsze etyki, złączonych silnymi więzami galaktycznego współdziałania.

Popychacz oglądał to wszystko w milczeniu. Na koniec potrząsnął głową. Myśl towarzysząca temu gestowi była niepewna, słaba, ale — negatywna.

Gadacz polecił Ścianom, żeby się rozstały. Ściany usłuchały i Popychacz patrzył na to w zdumieniu.

— Możesz sobie iść — powiedział Gadacz — wyciągnij tylko przewód z głowy i idź.

— A wy co zrobicie?

— Poszukamy innej planety Popychaczy.

— Gdzie? Mars? Wenus?

— Nie wiemy. Nie pozostaje nam nic innego, jak ufać, że gdzieś w tym rejonie jest jeszcze jakaś planeta Popychaczy.

Popychacz spojrział na zięjący przed nim otwór, a potem z powrotem na Załogę. Zawahał się; jego twarz wykrzywiła się w grymasie niezdecydowania.

— Czy wszystko to, co mi pokazałeś, to prawda? — Odpowiedź była zbędna.

— Dobra — oświadczył nagle Popychacz — zostaję z wami. Jestem skończonym idiotą, ale zostaję. Jeśli o to wam chodzi — a przecież musi wam o to chodzić.

Gadacz widział, że pod wpływem męki związanej z podjęciem tej decyzji Popychacz utracił kontakt z rzeczywistością. Wydawało mu się, że śni sen, w którym decyzje są łatwe i bez większego znaczenia.

— Jest tylko jeden szkopuł — rzekł Popychacz z lekkim odcieniem hysterii w głosie. — Niech mnie diabli wezmą, chłopcy, jeśli mam chociaż blade pojęcie, jak się popycha. Mówiliście coś zdaje się o przekroczeniu prędkości światła. Ja bym nie zrobił nawet mili na godzinę.

— Ale ty musisz umieć popychać — zapewnił go Gadacz mając nadzieję, że się nie myli. Ogólnie rzecz biorąc, znał możliwości Popychaczy, ale czy akurat ten... — Po prostu spróbuj.

— Jasne — zgodził się Popychacz. — Prędzej czy później muszę się obudzić z tego snu.

Ściany zamknęły się przed startem, a Popychacz mówił do siebie:

— To śmieszne, myślałem, że najprzyjemniejszą formą spędzenia urlopu będzie camping, a tymczasem zamiast odpoczynku mam jakieś koszmarne przywidzenia!

Silnik poderwał Statek do góry, a Oko prowadziło ich w Kosmos coraz dalej od planety.

— Jesteśmy już teraz w otwartej przestrzeni kosmicznej — powiedział Gadacz. Przysłuchiwał się słowom Popychacza, pełen obaw, czy tamtemu nie pomieszało się w głowie. — Oko i Mózg będą mi podawały kierunek, ja ci go będę przekazywał, a ty będziesz zgodnie z nim popychał.

— Chyba jesteś nienormalny — burknął Popychacz. Musieliście trafić na niewłaściwą planetę. Chciałbym, żeby się wreszcie ten koszmar skończył.

— Zostałeś włączony do współdziałania — powiedział zrozpaczony Gadacz. Oto nasz kierunek. Popychaj!

Przez chwilę Popychacz nie robił nic. Powoli jednak otrząsnął się z oszołomienia, dochodząc do wniosku, że to mimo wszystko rzeczywistość. P o c z u ł współdziałanie Oka z Mózgiem, Mózgu z Gadaczem, Gadacza z Popychaczem, a równocześnie wszyscy połączeni byli ze Ścianami i między sobą.

— Co to? — Popychacz odczuł jedność Statku, ogarniające go ciepło i bliskość, jaką można osiągnąć jedynie we współdziałaniu.

Spróbował pchnąć. Nic.

— Spróbuj jeszcze raz — zebrał Gadacz.

Popychacz badał swój umysł. Spoglądał w otchłań wątpliwości i strachu. Na jej dnie zobaczył własną udreżoną twarz.

Mózg wyjaśnił mu ten obraz.

Popychacze żyły z tymi wątpliwościami i strachem od wieków. Walczyły ze strachu, zabijały z wątpliwości.

Oto, co się stało z ich prawdziwym powołaniem!

Człowiek–Specjalista–Popychacz zespolił Załogę, stał się jednym z nich, przycisnął do serca Mózg i Gadacza.

Nagle Statek wystrzelił z szybkością ośmiokrotnie przekraczającą prędkość światła, stale przyspieszając.

przekład: Zofia Uhrynowska–Hanasz

PRZYGODA Z MARSJAŃSKIMI KSIĘŻYCAMI

Połączenie science fiction i zbrodni może się wydawać nieprawdopodobną kombinacją, ale powstało kilka klasycznych powieści detektywistycznych należących do tego gatunku oraz paru kosmicznych detektywów, broniących prawa i porządku wśród galaktyk. Jednym z przykładów jest „Interstellar Patrol” cykl napisany przez Edmunda Hamiltona w latach dwudziestych ubiegłego stulecia, w którym pojawili się pierwsi międzyplanetarni policjanci. W latach sześćdziesiątych dołączyli do nich bohaterowie cyklu „Patatime Police” H.B. Pipera, a później zmieniający kształt członkowie formacji Chameleon Corps Rona Goularta, pojawiający się regularnie w magazynach od czasu opublikowania w 1968 roku „Sword Swallow”. Wśród galaktycznych prywatnych detektywów trzeba wymienić takie znakomitości, jak lord D’Arcy, którego śledztwa prowadzone na alternatywnej Ziemi relacjonuje Randall Garrett, Claudine St Cyr z międzyplanetarnego cyklu detektywistycznego napisanego przez Iana Wallace’a oraz Sam Space, bohater przezabawnych historyjek Williama F. Nolana, „najlepszy prywatny detektyw na tej czy jakiegokolwiek innej Ziemi”.

William F. Nolan, urodzony w 1928 roku w Kansas City, był kierowcą wyścigowym i grafikiem, nim został pisarzem science fiction. Znany jest przede wszystkim jako współautor Cz. Georgera Claytona Johnsona) „Ucieczki Logana” (1967), opisującej przyszłość, w której przedstawiciele prawa mają obowiązek uśmiercać każdego powyżej dwudziestego pierwszego roku życia, aby uniknąć przeludnienia. W filmowej adaptacji (1976) wiek przymusowej egzekucji podniesiono do lat trzydziestu. Później powstał na motywach powieści serial telewizyjny oraz dwie dalsze książki, napisane już przez samego Nolana, „Logans World” (1977) i „Logans Search” (1980).

Nolan przejawiał również zainteresowanie literaturą sensacyjną: napisał biografię Dashiella Hametta, a później zaczął tworzyć cykl powieści, w których Hammett, Raymond Chandler oraz Erie Stanley Gardner występują jako prywatni detektywi, nie jako autorzy opisujący ich losy.

Opowieści, których bohaterem jest Sam Space, stanowią połączenie obu nurtów literackich leżących w obszarze zainteresowań Nolana. Pisząc na temat tej postaci, która po raz pierwszy pojawia się w 1971 roku w „Space for Hire” Nolan wyjaśnia: „Sam jest trzeźwo myślącym detektywem, celowo stylizowanym na lata trzydzieste — świat Warner Brothers i Bogarta, Chandlera i Hametta — uzbrojonym w pistolet i rzuconym w przyszłość” W ramach rozpracowywanych przez siebie spraw przemieszczał się w przestrzeni i czasie, zmieniał kształt, płeć i wiek, został schwytany przez myszy, ostrzelany przez rzezimieszków, którzy nie chcieli pozostać martwi, pracował dla człowieka, który wciąż gubił swoje ciało, spał z robotem, a nawet uratował z opresji trzygłową damę! W „Przygodzie z marsjańskimi księżycami”, opowiadaniu, które po raz pierwszy ukazuje się tutaj drukiem, Sam jest cynicznym twardzielem, jak zwykle rozpracowującym humorystyczną sprawę, tym razem w zaskakującym duecie z innym legendarnym detektywem... wielkim Sherlockiem Holmesem!

* * *

Nigdy nie byłem człowiekiem uskarżającym się z byle powodu, ale tamtego ranka obrzydliwa pogoda panująca w Bubble City sprawiła, że byłem o włos od ciężkiej irytacji. Wiatr wznosił wokół mnie leje i przeganiał tumany czerwonego, żwirowatego piasku, kiedy wysiadałem z poduszkowca. Odpinając zatrząsk skóropodobnej portmonetki, zerknąłem na wyświetlacz, na którym widniało równo dziesięć słonecznych kredytów. Starannie odliczyłem

wymaganą sumę oraz dwa kredyty jako napiwek i wsunąłem monety w szczelinę w brzuchu żującego gumę robota.

— To ma być napiwek?! — huknął taksówkarz. — Zaraz mamy Boże Narodzenie, koleś. Ilu świątecznych uciech mogę zażyć za te dwa nędzne kredulce?

— Orientuję się doskonale, że wkrótce nastaną święta — powiedziałem. — I wydaje mi się, kolego, że dwa kredyty to wystarczająco hojna zapłata za dowieszenie mnie pod ten adres. Nie dam się naciągnąć na więcej.

— Całuj psa w nos! — warknął taksówkarz, gramoląc się z powrotem do swojej maszyny w kształcie jaja i ruszając z kopyta.

Niewdzięczny grubianin! Zacisnąłem gniewnie dłoń na lasce. Czy nie dosyć, że zostałem zmuszony do opuszczenia wygodnego lokum pod numerem 221 b i wyjścia na dwór w ten paskudny dzień w nie cierpiących zwłoki sprawach mojego przyjaciela Sherlocka Holmesa? Czy musiałem jeszcze znosić zniewagi nieokrzesanego gbura? Doprawdy poranek zaczął się nie najlepiej.

Strząsnąłem proch z peleryny i poprawiłem melonik, idąc w stronę biura, które polecono mi odnaleźć. Na klatce schodowej śmierdziało gotowaną kapustą, co wydało mi się osobliwe. Czyżby zezwalano na gotowanie w budynkach mieszczących oficjalne siedziby firm? Cóż, była to jedna z bardziej podejrzanych dzielnic miasta i ograniczenia obowiązujące w kulturalnym towarzystwie nie miały tutaj zastosowania.

A oto drzwi, których szukałem, a na nich szwankujący, przybrudzony neon następującej treści:

SAMUEL T. SPACE
Detektyw

Na Ziemi ktoś taki byłby nazywany prywatnym łapsem. Wokół takich postaci narosły całe stosy taniej literatury, obfitującej w pojedynki pięściarskie, huk pistoletowych wystrzałów, mordercze pościgi i ostre pyskówki w rynsztokowym slangu. Człowiek miał nadzieję, że tu na Marsie prawdopodobieństwo takich ekscesów będzie mocno ograniczone.

Otworzyłem drzwi i wszedłem, spodziewając się ujrzeć jak zazwyczaj sekretarkę. Nic z tego. Poczekalnia była pusta, chociaż naprzeciw mnie stało biurko i wolne krzesło. W tym momencie drzwi do właściwego biura się otworzyły i stanął w nich pan Space we własnej osobie. Jego znoszona bluza zapinana na zamek błyskawiczny, wymięte spodnie i podniszczone brązowe buty nie pozostawiały wątpliwości, że mam do czynienia z właściwym człowiekiem. Holmes opisał mi dość dokładnie jego tandetny przyodziewek.

— Siemanko! — powitał mnie szemrany detektyw. — Daruję pan, że nie miał kto czynić honorów, ale moja sekretarka jest chwilowo nieobecna. Musiałem ją odesłać do renowacji pośladek. Edna to dobre dziecko. Bierze na siebie windykatorów, do których pan, mam nadzieję, się nie zalicza, he?

— Nie, skądże.

— Domyśliłem się po tym pretensjonalnym ubranku. — Odsunął się i wskazał gestem sfatygowany fotel, po czym usadowił się za odrapanym biurkiem pod przepaloną jarzeniówką. Zwróciłem uwagę na brązowy filcowy kapelusz z opuszczonym rondem, przykryty szklanym kloszem z napisem: „Klasyczna fedora”. Cóż za malowniczy ekscentryk!

— A więc... cóż za kasek mi pan przynosi?

— Nie noszę przy sobie żywności — wyjaśniłem.

— Chciałem powiedzieć... o co chodzi, gościu? Kim pan jesteś, tak w ogóle?

— John H. Watson, doktor medycyny. — Podałem mu swoją wizytówkę. — Przyjechałem tu prosto z Niezrównanej Zautomatyzowanej Kliniki Przystępczości Huberta Albina, znajdującej się przy skrzyżowaniu Siedemdziesiątej Drugiej i Alei Czerwonych Piasków w

Bubble City. Zajmuję tam lokum na piętrze pod numerem 221 b wraz z moim przyjacielem Sherlockiem Holmesem.

— A jakże, znam lokalik Albina. Znamy się z Hubciem od niepamiętnych czasów. Wypożyczał tych swoich detektywów robotów, gdy ja jeszcze latałem w krótkich spodenkach. Kiedy się z nim widziałem po raz ostatni, właśnie dodał do swojej kolekcji Bulldoga Drummonda i panną Murple. Był tam już Philo Vance, Boston Blackie, Charlie Chan i Nero Wolfe. Plus pański kumpel, Sherlock. Któremu akurat z lekka odbiła palma, kiedy tam byłem.

— Holmesowi? Palma?... Pan chyba żartuje.

— Tak było, bez kitu. Musiała mu się poluzować jakaś śrubka, bo wycelował do mnie z pistoletu z czasów wojny secesyjnej, twierdząc, że jestem bezecnym profesorem Moriarty. Byłby mnie ustrzelił jak nic, lecz Albin stuknął go w bańkę butelką od szampana, przeprosił mnie za kłopot i zapewnił, że Holmes będzie w porządku, kiedy mu się wymieni cewki.

— Zapewniam pana, że pan Holmes cieszy się obecnie pełną jasnością umysłu.

— Miło usłyszeć. A więc... co pana przyniosło w te strony?

— Moim środkiem transportu była poduszkowa taksówka w kształcie jaja.

— Czy pan musi brać wszystko tak dosłownie? — przerwał mi Space, wyraźnie poirytowany. — Niechże pan wreszcie powie, o co chodzi!

— Pan Holmes nalegał, abym przybył tutaj niezwłocznie i pana sprowadził. Chce zostać jak najprędzej wynajęty.

Space wydał nieprzyjemny dźwięk przypominający parsknięcie.

— Nie ma o czym mówić! Kiedy ostatni raz wynająłem jeden z robotów Huberta, ta przeklęta maszyna zrobiła placek z mojego mechanicznego kota.

Zjeżyłem się na te słowa.

— Sherlock Holmes to znacznie więcej niż „przeklęta maszyna”, panie Space. Pan Holmes posiada wybitny umysł, którego zdolność dedukcji nie ma sobie równiej w całym Układzie Słonecznym.

— Cóż, może i posiada, kiedy nie ma poprzestawianych drucików. Ale po co miałbym go wynajmować? Pomoc mi niepotrzebna. Nie powiem, żebym się w tej chwili uskarżał na nadmiar pracy.

— Nie rozumie pan sytuacji — powiedziałem. — Jako robot należący do pana Huberta Albina mój przyjaciel nie jest niezależnym agentem. Nie może sam zaoferować swoich usług. Aby mógł pracować nad sprawą, musi być pozyskany przez uprawnioną do tego osobę trzecią. Pan, panie Space, jest tą osobą.

— Chce pan powiedzieć, że miałbym go wynająć, żeby mógł zająć się sprawą, która go nurtuje?

— Dokładnie o to chodzi! Holmes doszedł do wniosku, że jego usługi są pilnie potrzebne w Baskerville Hall. Rodowa klątwa znów zbiera przerażające żniwo. Dwóch męskich potomków rodu w linii prostej zostało w ciągu kilku ostatnich miesięcy zamordowanych w bestialski sposób na okolicznych moczarach. W obu przypadkach głowa nieszczęsnej ofiary została oderwana od ciała. — Z przejęcia zacząłem mówić podniesionym głosem. — Tylko Sherlock Holmes może uratować ostatniego dziedzica fortuny Baskerville’ów. Nawet teraz, kiedy tu rozmawiamy, życie tego człowieka wisi na włosku. — Podniosłem się z fotela, wymachując laską. — Powiadam panu, że pies Baskerville’ów znów grasuje na trzęsawisku Grimpen!

Space przyglądał mi się z uśmiechem.

— Niezła przemowa, doktorku. Przypomina mi pan gościa, dla którego rozpracowywałem kiedyś świńską aferę na Neptunie. Ten sam patos i pompa. Miał fikuśny wąsik, kropka w kropkę taki jak pan. Wynajął mnie, żebym wyśledził, kto mu podkrada najcenniejsze okazy z jego neptuńskiej hodowli. Ucharakteryzowałem się na tuczniaka i zacząłem węszyć w chlewiku — paskudna robota, mówię panu — dopóki nie pojawiły się te dwa świniokrady.

Typy spod ciemnej gwiazdy, mówię panu. Żabokształtne istoty z roju Luani. Mają długą zielone jęzory, którymi łapia owady, więc ja...

— Panie Space, czy musi pan mnie raczyć beżużyteczną paplaniną na temat swojej przeszłości? Jestem tutaj w niecierpiącej zwłoki sprawie dotyczącej domu Baskerville'ów. Nie mamy czasu na bajdurzenie o świniach!

— Świetnie — powiedział Space. — Chce pan rozmawiać o Baskerville'ach? Wiem o nich wszystko. Bogaci jak trolle. Kiedy w ubiegłym roku wyemigrowali do Bubble City, kazali zdemontować cały zamek i dostarczyć go tutaj specjalną rakieta. Nawet swoje moczary tu sprowadzili. I z tego, co pan mówi, wynika, że przywlekli również ze sobą rodową kłatwę.

— W rzeczy samej! — potwierdziłem. Zapytał detektyw znów prychnął z przekąsem.

— DUBY SMALONE! Nie ma żadnej kłatwy i nigdy jej nie było. Ten pies to czysty wymysł, bajeczka do straszenia idiotów bez pomysłu. Czytałem o tych dwóch morderstwach i jest oczywiste, że ktoś zagiął parol na całą rodzinę. Może jakiś dawny wróg. Albo psychol, który ich nienawidzi jak zarazy. Nie wiem, kto ukatrupił tych nieszczęsnych pacanów na moczarach, ale może pan być pewien, że nie zrobił tego żaden pies z piekła rodem.

— Jest pan niepoprawnym cynikiem, panie Space.

— Nie, jestem po prostu realistą. Nie wierzę w bajki i już. Westchnąłem.

— Niech pan wierzy, w co pan chce, ale pańska zatwardziałość nie ma nic wspólnego z powodem mojej wizyty. Czy zechce pan, w imieniu prawa, wynająć pana Sherlocka Holmesa, aby mógł uratować życie Jonathana Baskerville'a?

— Dlaczego ja? Dlaczego Baskerville'owie sami nie wynajmą pańskiego blaszanego kumpla?

— Ponieważ nie mają po temu uprawnień. Detektyw — robot może być zaangażowany jedynie przez stróża prawa, przedstawiciela sądu albo licencjonowanego prywatnego detektywa. Takie są zasady.

— Dobra, szefuńciu, powiedzmy, że zgodzę się zagrać w te pańskie kręgle. Co będę z tego miał? Przydałby się solidny zastrzyk gotówki.

— To nie stanowi najmniejszego problemu. Jak się pan orientuje, jeśli chodzi o finanse, Baskerville'owie są wyjątkowo szczerze obdarowani przez los. Holmes dopilnuje, żeby koszta wynajmu zostały panu zrefundowane, a panu za współpracę w tej materii została wypłacona okrągła suma.

— Jak bardzo okrągła?

— Wspomniał o pięciu tysiącach słonecznych kredytów.

Detektyw w wymiętym przyodziewku wstał.

— Doktorku... właśnie pan ubił interes.

Podniósł klosz, wyjął swój klasyczny kapelusz, nasadził go na głowę i wraz ze mną opuścił biuro.

Kości, jak zwykł mawiać mój uczony przyjaciel, zostały rzucone.

* * *

Pan Hubert Albin, który nas powitał w swojej Klinice Przystępczości, wydawał się szczerze uradowany spotkaniem z niechlujnym detektywem.

— Hej, Sam! Kopę lat! — Energicznie potrzęsła dłonią przyjaciela.

— Ano, uzbierało się trochę.

— Wiesz, myślałem sobie właśnie ostatnio o tym gościu z Neptuna... tym, który cię wykiwał z zapłatą, kiedy odstawiałeś tucznika, żeby przyskrzynić tamtych dwóch żabonów.

Space skinął głową.

— Ten gad naprawdę wyciął mi numer. Musiałem zastawić mojego elektronicznego szympansa, żeby opłacić czynsz za lokal. Naprawdę kochałem tę małpę — powiedział, kręcąc smutno głową.

— Co się z nim stało?

— Z szympansem?

— Nie, z facetem od świń.

— To długa historia... — zaczął Space.

— Panowie, panowie! — zaprotestowałem. — Jesteśmy tu, żeby się spotkać z Sherlockiem Holmesem. Czy te świńskie wspominki nie mogą zaczekać na stosowniejszą chwilę?

Albin zerknął z uśmiechem na Space'a.

— A więc doktor ek cię przekonał, żebyś wynajął naszego drogiego Sherlocka, he?

— Zgadza się, Hu. Dlatego tu jestem.

Kiedy jechaliśmy szybkobieżną windą na górę, Space zapytał Albina o interesy.

— Wiesz, w czasie świąt przestępczość zawsze jest niezła, więc wypożyczałem swoje roboty tu i tam, ale utrzymanie ich w formie to ciężka sprawa. Panna Marple w kółko trąluje o swoich odmrożeniach, a Philo Vance wciąż moczy łóżko. A znowu Travis McGee bryknął w zeszłym tygodniu na Florydę z automatyczną pokojówką.

— Czy Holmes funkcjonuje prawidłowo? — zapytał Space. — Nie mam ochoty znów się znaleźć na muszce jakiegoś przedpotopowego gnata.

— Jest w doskonałym stanie. Dopiero co miał przewijaną instalację w korze mózgowej.

Albin otworzył drzwi do numeru 221 b i niechlujny detektyw gwizdnął przez zęby.

— A niech to! Odwaliłeś tu kawał roboty!

— Kosztowało niezły grosz, wierz mi — rzekł Hubert Albin z dumą. — To wierna kopia londyńskiego salonu przy Baker Street. — Wskazał niedźwiedzią skórę na podłodze, słoniową stopę służącą za stojak na parasole, głęboki fotel przy kominku, perski pantofel służący Holmesowi za kapciuch na tytoń, wysoki regał zapchany literaturą techniczną i czasopismami, kolekcję zabytkowych fajek na biurku, a w kącie laboratorium naukowe, sownie zaopatrzone w chemikalia i wszelkiego rodzaju akcesoria. Dwie alabastrowe lampy odbijały się w szerokim lustrze nad obramowaniem kominka, a na indyjskim stoliku do kawy stała kryształowa karafka napoleona.

Poczułem, jak przenika mnie ciepło. Bardzo lubiłem ten pokój.

— Masz powód do dumy, Hu — powiedział Space. — Ale gdzie jest Sherlock?

— W szafie dźwiękoszczelnej — wyjaśnił Albin. — Nie mogę znieść, jak piłuje te swoje piekielne skrzypce.

— Aha, od takiego pitolenia można dostać kuku na muniu. Gdyby grał na porządnej trąbce jazzowej, to co innego...

Albin otworzył drzwi od szafy.

— Hej, Sherl, masz towarzystwo.

Zwracanie się do Holmesa per „Sherl” było dla mnie czymś horrendalnym, ale wielki człowiek przyjął to bez emocji, uśmiechając się nieznacznie i odkładając skrzypce na bok. Wyciągnął dłoń o szczupłych palcach do uśmiechniętego od ucha do ucha detektywa.

— A więc znów się spotykamy, panie Space. Mam nadzieję, że wybaczył mi pan moje nieco odbiegające od normy zachowanie, kiedy ostatnio zaszczyił pan swoją obecnością te skromne progi?

— Jasne, jasne, nie ma sprawy. Holmes uśmiechnął się szerzej.

— Cieszę się ogromnie, że był pan tak dobry i dał się nakłonić doktorowi Watsonowi do przybycia, mimo tak pospiesznego trybu zaproszenia.

— Moja dobroć nie ma z tym nic wspólnego — sprostował Space. — Interesuje mnie szmal.

— Ależ oczywiście. Osobiste wynagrodzenie to zawsze czynnik pierwszorzędny. Jestem przekonany, że nasz drogi doktor wymienił sumę, jaką gotów jestem uiścić za pośrednictwem państwa Baskerville'ów?

— Uhm. Pięć kawałków plus to co wydam, żeby pana wynająć.

— A więc osiągnęliśmy porozumienie? — Jak najbardziej.

Holmes zdjął z wieszaka na ubrania swój płaszcz z pelerynką i myśliwską czapkę.

— Musimy się pospieszyć, Watsonie. Czas jest niezwykle cenny, jeśli mam wkroczyć w tę ciemną sprawę i ocalić ostatniego męskiego potomka Baskerville'ów od bolesnej i makabrycznej śmierci na moczarach.

Albin miał już przygotowane odpowiednie formularze umowy wynajmu i z chwilą gdy pan Space złożył swój podpis i uiścił odpowiednią sumę, transakcja była dopełniona. Wielki człowiek mógł działać.

— Może pan teraz wrócić do swojego zapyziałego biura, panie Space, a Watson i ja zajmiemy się tą palącą sprawą — powiedział Holmes. — Rzecz jasna dopilnuję, mój dobry człowieku, aby uzgodniona suma została panu doręczona, gdy tylko...

— Nic z tego, panie Sherlock! — przerwał mu bezceremonialnie Space. — Nie odstąpię pana na krok. Jeśli urwą panu głowę na tych moczarach, nie dostanę zapłaty, moja kaucja przepadnie i jeszcze będę musiał płacić za pańską nową głowę.

— W porządku — zgodził się Holmes. — Pod warunkiem że będę mógł prowadzić sprawę dokładnie tak, jak to uznam za stosowne, bez żadnej ingerencji. Czy to jasne?

— Dobra — przytaknął Space. — Sprawa należy do pana, od początku do końca.

— Wobec tego udajmy się od razu do Baskerville Hall. — Holmes odwrócił się do mnie.

— Watsonie, czy byłbyś tak dobry i wezwał taksówkę?

Kiedy wychodziłem, żeby to zrobić, usłyszałem chichot pana Albina.

— Powodzenia Sam. Mam nadzieję, że ty i Sherlock wrócićie w jednym kawałku.

Było to życzenie, pod którym się podpisywałem obiema rękami.

* * *

Baskerville Hall stanął na obrzeżach Bubble City, w ramach nowego Marsjańskiego Projektu Urbanistycznego, sponsorowanego przez burmistrza i radę miasta. Baskerville'om przyznano wielkie, wolne od podatku tereny w zamian za emigrację na Czerwoną Planetę. Jako najbogatsza rodzina w Bubble City podnosili prestiż całej okolicy. Przynajmniej do momentu gdy sprawa kłętwy stała się powszechnie znana po wstrząsającej śmierci Alexandra i Reginalda Baskerville'ów. Obecnie rodzina kojarzona była z szaleństwem i mordem.

Dom był masywną, rozczłonkowaną, przypominająca zamek budowlą. Kamień, drewno, szkło, cegła, zębate wieże i wieżyczki, blanki, dziedzińce oraz francuskie ogrody zajmowały pół hektara.

Ciotka Jonathana, lady Agatha, tęga rumiana, pięćdziesięciokilkuletnia niewiasta, która pierwsza zadzwoniła do Holmesa do Kliniki Przystępczości, oprowadziła nas po domu. Holmes okazał szczególne zainteresowanie biblioteką o sklepieniu w stylu Tudorów i drzwiach zwieńczonych wdzięcznym łukiem, przyglądając się pilnie kilku bogato oprawnym tomom należącym do księgozbioru.

Na koniec zaprowadzono nas do wschodniego skrzydła, w którym rezydował sir Jonathan Rodney Baskerville, ostatni dziedzic ogromnej rodowej posiadłości. Młodzieniec nie był żonaty, nie było też innych dzieci, które nosiłyby nazwisko Baskerville.

Sir Jonathan oczekiwał nas w urządzonej z królewskim przepychem sypialni, wsparty na poduszkach w antycznym złożonym fotelu o wysokim oparciu, przed płonącym na kominku

ogniem. Podał każdemu z nas kościstą, zimną dłoń, co stanowiło dla niego tak wielki wysiłek, że opadł wyczerpany na poduszki z jękiem przejmującego bólu.

— Jonathan jest przerażony — wyjaśniła lady Agatha. — Uważa, że bestia znajdzie sposób, aby go dopaść, choć rzadko kiedy wychodzi poza te cztery ściany.

Młody człowiek był przeraźliwie szpetny. Misernej postury, o cienkich, ptasich nóżkach, rachitycznych ramionach i długiej, chudej szyi. Jego zbyt mała głowa sterczała nad spadzistymi ramionami niczym jajo zatknięte na patyk. Choć miał niewiele ponad dwadzieścia lat, był niemal zupełnie łysy. Rzadziutka mgielka włosów nie przykrywała wysokiej kopuły czoła. Blade wodniste oczy tkwiły nad ostrym nosem przypominającym ptasi dziób i wąskimi, niemal pozbawionymi warg ustami. Jednym słowem, wyjątkowo mało pociągające indywiduum.

Po przywitaniu się z młodym dziedzicem Holmes mówił bardzo niewiele, rozglądał się po pokoju. Podszedł do wysokich witrażowych okien, odsunął grube zasłony z brokatu. W dole niczym brudny szary koc ciągnęły się moczary Grimpen. Było późne popołudnie i złowrogie skały z czarnego granitu rzucały długie, poszarpane cienie na nagi przestwór bagniska. Było to martwy, posępny krajobraz pełen paproci i kolczastych jeżyn, brodatych mchów, kikutów drzew o powykręcanych konarach, porostów i ciernistego janowca, pokrytych zielonym liszajem stawów, grząskich zapadlisk i kamiennych kopców.

— Błagam, niech pan zaciągnie zasłonę! — zaskrzeczał Jonathan. — Nie mogę znieść tego okropnego widoku. To dla mnie straszliwa udreka.

— Dlaczego zatem, sir Jonathan, pozostaje pan w pokoju z widokiem na moczary? — zapytał Holmes. — Mógłby pan zająć inne lokum.

Młody Baskerville pokręcił łysiejącą głową.

— Nie, nie. Muszę stawić czoło mojemu wrogowi. Ten pies tam jest, nie mogę negować jego plugawej obecności.

— Czy widział pan tę istotę? — zapytałem.

— Tak! Dwukrotnie. W te noce, kiedy moich braci dosięgło przeznaczenie. Pierwszy raz ujrzałem tę bestię, kiedy patrzyłem z okien swojego pokoju, jak mój brat Alex idzie przez moczary. Nagle jak spod ziemi wyskoczył zza głązów olbrzymi pies, skąpany w upiornym ogniu, z czerwonymi fosforyzującymi ślepiami. Pognał za moim bratem, pokonując przestrzeń z przerażającą szybkością. Alex usłyszał, jak nadbiega, i odwrócił się w jego stronę, wyciągając ręce, aby osłonić twarz. Stwór skoczył naprzód i... i...

Baskerville zamknął oczy na wspomnienie tego straszliwego widoku, a jego ciałem wstrząsnęło łkanie.

— I miesiąc później był pan świadkiem śmierci zadanej w ten sam sposób? — zapytał Holmes.

— Tak!... Dobry Boże, tak.

— Czy jest prawdą, sir Jonathan, że w obie fatalne noce bliźniacze marsjańskie księżycy były w pełni?

— Tak. Dlatego widziałem tak wyraźnie, co się działo na moczarach. Byłem świadkiem obu morderstw z tego oto pokoju!

— Widzi mi się, że mógł pan otworzyć okno i wrzasnąć, żeby ich ostrzec — powiedział Space, stojąc teraz na wprost Baskerville'a. — Kiedy pan zobaczył tę bestię deptającą im po piętach, czemu, u diabła, nie narobił pan krzyku?

— Byłem sparaliżowany strachem — przyznał blady młodzieniec. — Gardło miałem ściśnięte z przerażenia. A nawet gdybym krzyknął, cóż by to dało? Los moich braci był przesądzony z chwilą, gdy postawili stopę na moczarach.

Zadałem zasadnicze pytanie:

— Jak to się stało, że po strasznej śmierci Alexandra sir Reginald zdecydował się pójść na moczary po zmroku?

— Reggie był upartym głupcem, który ubzdurał sobie, że jest w stanie pokonać istotę, która zabiła Alexa. Robiłem co w mojej mocy, aby go uprzedzić o rodzinnej klątwie, ale mnie wyśmiał i zlekceważył moje gorące błagania, aby nie wychodził na moczary po zachodzie słońca.

— Czy sir Reginald był uzbrojony? Gazety wspominały, że w pobliżu ciała znaleziono dwie sztuki broni.

— Zgadza się — potwierdził młodzieniec. — Reggie miał ze sobą tamtej nocy parę załadowanych pistoletów. Kiedy został zaatakowany, widziałem, jak mierzy prosto w bestię, posyła w jej kierunku prawdziwy grad pocisków, ale było to całkowicie bezskuteczne. Powiadam panu, panie Holmes, ta istota nie jest ze śmiertelnego ciała, ale z materii iście diabelskiej.

Holmes splótł dłonie za plecami, a w jego pociemniałych oczach pojawił się błysk determinacji. Widywałem go takiego wiele razy i wiedziałem, że za chwilę zrobi coś niezwykłego.

— Zamierzam tej nocy zbadać moczary — oznajmił. — Oba księżycy będą w pełni, więc warunki powinny być idealne.

Nie wierzyłem swoim uszom.

— Idealne? Idealne do czego, na litość boską? Do diabelskiej napaści? Holmesie, wielki Szkocie, czy postanowiłeś szukać zguby w paszczy tego potwora?

— Bynajmniej, drogi Watsonie — powiedział Holmes lekkim tonem. — Mam już teorię na temat tego psa i zapewniam cię, że jeśli się nie mylę, żadne wielkie niebezpieczeństwo mi nie grozi.

— A jeśli się mylisz?

Holmes uśmiechnął się pobłaźliwie, składając przed sobą dłonie złączone czubkami długich palców.

— Czy kiedyś się pomyliłem w sprawach dedukcji?

— To, co mówi doktorek, moim zdaniem ma ręce i nogi — wtrącił się Space. — Jeśli się pan uprze, żeby wypuścić się w nocy na te piekielne moczary, będę musiał iść z panem, żeby chronić swoją inwestycję. A wierz mi pan, to ostatnie miejsce, w którym chciałbym się znaleźć!

— Zawracanie głowy, przyjacielu — rzekł Holmes. — Pańskie podszyte silnymi emocjami obawy są całkowicie bezpodstawne. Jestem przekonany, że nikt nie będzie narażony na niebezpieczeństwo. Czy ty również masz zamiar mi towarzyszyć, Watsonie?

Skinąłem głową z powagą.

— Będę u twojego boku bez względu na cenę. Choć według mnie ta akcja to czyste szaleństwo.

Jonathan pochylił się do przodu, jego oczy miały dziki wyraz. Wątlą dłonią chwycił Holmesa za łokieć.

— Błagam pana i pańskich dwóch towarzyszy... nie chodźcie tej nocy na moczary! Ten pies tam jest i z całą pewnością zaatakuje! Żadna broń, którą moglibyście ze sobą zabrać, nie zda się na nic, gdyż nic nie jest w stanie go powstrzymać. Nic!

Holmes delikatnie uwolnił ramię z kościstych palców młodego Baskerville'a i ruszył w stronę drzwi.

— Mam teraz zamiar zjeść lekki posiłek w swoim pokoju, a później trochę poczytać w bibliotece. Potem zdrzemnę się aż do czasu naszego spotkania na skraju moczarów.

Po tych słowach Holmes opuścił sypialnię, pozostawiając nas osłupiałych, spoglądających na siebie w milczeniu.

* * *

Znałem Holmesa wystarczająco dobrze, aby rozpoznać pragnienie przemyslenia w samotności sprawy, nad którą pracował, uważałem więc, aby nie zakłócić jego spokoju czy w jakikolwiek inny sposób nie naruszyć jego prywatności przez resztę długiego wieczoru. Po kolacji, którą podano mi w południowym skrzydle, aby złagodzić jakoś moje narastające poczucie lęku, rozegrałem z panem Space'em kilka brawurowych partii szachów. Jego znajomość tej gry stanowiła dla mnie miłą niespodziankę, gdyż nie spodziewałem się, że człowiek tak niskiej kondycji społecznej mógł opanować jej arкана. A opanował je nieźle, wydzierając mi zwycięstwo trzy razy na pięć rozegranych partii. Na swoją obronę muszę nadmienić, że nie byłem sobą, jeśli chodzi o sprawność umysłu, w połowie zaabsorbowanego rozważaniem niebezpieczeństw, jakie nieuchronnie niosło ze sobą coraz bliższe spotkanie z bestią.

I tak płynęły godziny...

* * *

Wreszcie znaleźliśmy się pośród głębokiej nocy na skraju moczarów. Zerwał się jęklivy wiatr, przez co zrobiło się jeszcze bardziej nieprzyjemnie, a nierówny teren rozciągający się przed nami zdawał się kryć niewidzialną grozę.

Lady Agatha poinformowała nas, że Jonathan, rozstrojony perspektywą naszej szaleńczej wyprawy, zamknął się na klucz w swoim pokoju i położył do łóżka. Sama była równie przejęta, zalecała nam wypatrywać ze szczególną uwagą zdrażliwych trzęsawisk i bagnistych dziur bez dna.

Dobrze pamiętam wyraz napięcia na twarzy tej dobrej kobiety, kiedy wypowiadała słowa straszliwej przestrogi.

— Te moczary potrafią wciągnąć konia z wozem w minutę. Widziałam to na własne oczy i był to najbardziej przerażający widok w moim życiu. Przez cały czas trzymajcie się suchych ścieżek i twardej ziemi. Błagam was, posłuchajcie mej rady!

Tak więc mieliśmy jeden więcej powód do niepokoju oprócz groźby ze strony upiornego psa. Holmes był jak zawsze niewzruszony i bezwzględnie stanowczy. Stojąc u jego boku na skraju trzęsawiska, czułem, że udziela mi się odrobina jego odwagi.

Sięgając do kieszeni płaszcza, aby spojrzeć na swój złoty zegarek, Holmes skinął głową w naszą stronę.

— Czas ruszać, panowie. Naprzód! Kości zostały rzucone.

Ruszyliśmy żwawo wąską ścieżką wiodącą przez rozległe moczary. Ponad nami bliźniacze księżycy Marsa rozjaśniały konchę nocnego nieba. Moje nozdrza przenikała niesiona wiatrem woń pokrytej szlamem roślinności, gnijących paproci i zarośniętych stawów, trujący fetor pleśni i rozkładu właściwy takim zakazanym miejscu.

Pomimo zapewnień sir Jonathana, że broń będzie bezużyteczna, byliśmy dobrze uzbrojeni. Ja miałem pod ręką naładowany pistolet, Space niósł w kaburze przerzuconej przez ramię śmiertcionośny ziemski automat kalibru .45. Holmes również, jak to barwnie określił Space, „miał w zanadrzu małe co nieco” — policyjny rewolwer za pasem.

Z pewnością żadne zwierzę, choćby nie wiem jak groźne, nie zdołałoby się przeciwstawić takiej sile ognia. Pomimo to niepokojące słowa sir Jonathana wciąż przebijały się na powierzchnię mojej świadomości. „Powiadam panu... ta istota nie jest ze śmiertelnego ciała, ale z materii istic diabelskiej!”.

Uszliśmy już dobry kilometr, podążając szlakiem trawiastych ścieżek biegnących zygakiem przez moczary i właśnie miniliśmy wysoki wał porośniętego mchem czarnego granitu, kiedy nocną ciszę rozdarło mrozące krew w żyłach wycie. Brzmiała w nim tak nieopisana groza, że stanęliśmy jak wrośnięci w ziemię.

Wycie strasznego psa!

— Oho — mruknął Holmes, śledząc spod zmrużonych powiek połać trzęsawiska. — Widzę, że nasz monstrualny przyjaciel istotnie znajduje się w pobliżu, dokładnie tak jak przypuszczałem. Idę o zakład, że w niedługim czasie złoży nam osobistą wizytę.

Mówił tonem lekkiej zadumy, nie okazując ani śladu paniki, jaka wzbierała we mnie. Space też był śmiertelnie blady w srebrzystym świetle dwóch księżyców. Obaj dobyliśmy broni, wpatrując się z lękiem w spowijający świat mrok. Gdzie była bestia? Jak blisko?

— Chodźmy, panowie — rzekł Holmes. — Postępujemy naprzód, ale z największą ostrożnością, pilnie wypatrując naszego strasznego przeciwnika.

Kiedy ruszyliśmy ponownie, ustawicznie rozglądałem się wokół, usiłując wypatrzeć skradający się ku nam widmowy kształt. Jonathan miał rację: tylko głupiec mógł się tutaj dobrowolnie zapuścić w tak przerażających okolicznościach. W tej brzemiennej grozie chwili nie byłem w stanie odpędzić myśli, że wszyscy trzej jesteśmy głupcami. Może obwody Holmesa szwankowały? To by wyjaśniało jego chłodną obojętność mimo grożącego nam niebezpieczeństwa.

Nagle... rozległo się kolejne mrozące krew w żyłach wycie, znacznie bliższe.

Doganiał nas, słyszałem teraz dudnienie potężnych łap na ścieżce za nami. Łup... łup... łup... Coraz bliżej.

Odwrociłem się na pięcie, oczy niemal wyszły mi z orbit z przerażenia, mróz przebiegł mi po plecach. Uniosłem pistolet, odciągając kurek. Space zaklął pod nosem, ściskając swoją czterdziestkę — piątkę.

— Tak — powiedział Holmes, odwracając się, aby stawić czoło pędzącemu na nas przeciwnikowi — pora dobyć broni, ale nie spodziewajcie się, że wasze pociski powstrzymają to stworzenie.

— Na Boga, Holmesie! — krzyknąłem. — Przyprowadziłeś nas tutaj na naszą zgubę!

Holmes ścisnął mnie za ramię.

— Spokojnie, Watsonie, spokojnie!

— Ty zbzikowany robocie! — wrzasnął Space. — Nie mamy z tym czymś szans, u diabła!

— U diabła być może nie — powiedział Holmes, trzymając rewolwer w pogotowiu. — Ale tutaj, na trzęsawisku Grimpen, sytuacja jest zupełnie inna. Głowy do góry, panowie, bestia nadchodzi!

Wtedy go zobaczyliśmy. Sadził w naszą stronę potężnymi susami, z głuchym pomrukiem, z obnażonymi kłami, okryty najeżoną, zmierzwiłą sierścią. Jego ślepie płonęły piekielnym ogniem wśród księżycowej nocy.

Space i ja wypaliliśmy równocześnie, pakując w cel całą zawartość magazynków, ale nasze pociski przeszły na wylot przez szarżujące monstrum, niczym woda przez sito. Wszystko było stracone, stanęliśmy wobec pewnej, niechybnej zguby.

Gdy zaledwie kilka metrów dzieliło nas od ociekającej śliną paszczy potwora, Holmes uniósł rewolwer i oddał pojedynczy strzał. Olbrzym zawył z bólu, padając na grzbiet i zsuwając się ze ścieżki w grząską topiel. Bagno natychmiast zaczęło go wciągać.

— Szybko, Watsonie! — krzyknął Holmes. — Pomóż mi go wyciągnąć. Nie możemy go stracić!

— Ale... właściwie dlaczego nie? — wyjąkałem. — Czy nie o to nam chodziło?

— Nie dyskutuj za mną, człowieku, tylko pomóż!

Sam Space też się przyłączył i wspólnymi siłami zdołaliśmy wydostać z powrotem pokrytego błotnistą mazią potwora na twardy grunt.

Jak sobie to później uświadomiłem, Holmes precyzyjnie zaplanował czas naszej przygody. Błada smużka światła zaczynała właśnie rozjaśniać skraj marsjańskiego nieba. Wkrótce nad horyzontem miało ukazać się słońce.

Patrzyłem na naszego przerażającego wroga. Było oczywiste, że zwierzę jest martwe, najeżoną kłami paszczę miało ohydnie rozdziawioną, szeroko otwarte oczy nieruchome. Szkarłatna piana sączyła się z otwartego pyska, a kudły pokrywające pierś były pozlepiane krwią. Strzał Holmesa okazał się śmiertelny.

— Ależ paskudnik — powiedział Space, odwracając się do Holmesa z grymasem zdumienia na twarzy. — Skąd pan miał pewność, że go ukatrupi? I to w dodatku jednym strzałem? Nasze kule nie zrobiły na cholernym bydlaku najmniejszego wrażenia. Wielu rzeczy tu nie rozumiem.

Wówczas Sherlock Holmes wyjaśnił nam zagadkę...

— Pierwszą sprawą, która wydała mi się podejrzana podczas rozmowy z sir Jonathanem w Baskerville Hall, była skrywana wrogość, jaką żywił dla swoich dwóch nieżyjących braci. Wyczuwałem jego pogardę dla Alexandra, pamiętacie też, że nazwał sir Reginalda upartym głupcem. Nie okazał najmniejszego żalu z powodu ich gwałtownej śmierci. Wszystkie uczucia, jakie demonstrował, były na pokaz.

Holmes zawsze posiadał niezwykłą zdolność wnikania pod powierzchnię czyjejś osobowości i wydobywania na światło dzienne ukrytej prawdy drzemiącej w każdym z nas.

— Zapewne — ciągnął dalej — pamiętacie moje zainteresowanie faktem, że sir Jonathan zajmował pokój z bezpośrednim widokiem na teren budzący, jak twierdził, jego lęk i odrazę. Dlaczego miałby pozostawać w pomieszczeniu, którego okna wychodzą na moczary, skoro mógł się przenieść do innego lokum? Kiedy go o to zapytałem, nie udzielił zadowolającej odpowiedzi. Prawda jest taka, panowie, że moczary to teren jego zbrodni. Był tam, dokładnie tam, w obie noce, kiedy jego bracia zostali tak bestialsko zamordowani.

— Ależ Holmesie! — zaprotestowałem. — Lady Agatha powiedziała mi, że słysząc krzyki rozpaczliwie dobiegające z moczarów w obie pamiętne noce, popędziła na górę i zamknęła drzwi do pokoju Jonathana od zewnątrz, aby go uchronić od nieszczęścia. Kiedy później je otworzyła, żeby zobaczyć, co się z nim dzieje, był w sypialni i opowiedział, co zobaczył przez okno. Tak było zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem. A więc skoro, jak twierdzisz, był na moczarach w czasie, gdy dokonano obu mordów, to jak się wydostał z pokoju, nie mówiąc o powrocie, kiedy nie miał własnego klucza?

— Dedukcja, mój drogi — powiedział Holmes. — Podczas oględzin sypialni sir Jonathana dostrzegłem małą grudkę zeschniętej ziemi, która utknęła pomiędzy dywanem a ścianą. Na podstawie jej charakterystycznego koloru i konsystencji upewniłem się, że pochodziła z trzęsawiska Grimpen. Później odkryłem za zaciągniętą draperią ukryte drzwi, zespolone gładko ze ścianą i niezwykle trudne do rozpoznania. Nie musiałem ich otwierać, żeby się dowiedzieć, że znajdujące się za nimi schody prowadzą prosto na moczary. Dlatego właśnie Jonathan wybrał ten pokój na swoją sypialnię. Grudka ziemi spadła niezauważona z jego buta, kiedy wracał do siebie po jednej ze swoich zbrodniczych wypraw.

— Zdumiewające! — wyszeptalem, pełen autentycznego podziwu dla tego człowieka. — Absolutnie zdumiewające.

— Wreszcie — ciągnął Holmes — zauważyłem w bibliotece kilka tomów poświęconych wiedzy tajemnej, wszystkie opatrzone osobistym ekslibrisem Jonathana Rodneya Baskerville'a. Wiedza zawarta w tych księgach miała bezpośredni związek z bliźniaczymi księżycami Marsa.

— Jakiego rodzaju związek? — zapytał Space.

— Z faktu, że księżyce były w pełni w obie noce, wywnioskowałem, że ów pies nie był zwyczajnym zwierzęciem. Podczas pełni księżyca niektóre indywidua cofają się do

prymitywnego, zwierzęcego stanu. Nabierają ogromnej siły i zręczności, czego świadkami byliśmy w tym przypadku.

Wpatrywałem się w leżące ciało. Wiatr ustał i rąbek słońca zaczął się właśnie wysuwać nad burym bezkresem moczarów.

— Chcesz powiedzieć, że to sir Jonathan był psem Baskerville'ów? — zapytałem.

— Nie psem Watsonie, tylko wilkiem — sprostował Holmes. — Ściśle biorąc, wilkołakiem.

Pod dotknięciem słonecznych promieni w wyglądzie bestii zaczęły zachodzić zmiany. Zmierzwiona sierść zdawała się wsiąkać z powrotem w ciało, najeżona kłami paszcza zmieniła się w wąskie usta, dzikie ślepia złagodniały, stając się oczami...

— Sir Jonathan — wykrztusił Space wstrząśnięty.

— My nie byliśmy w stanie go zabić! — powiedziałem. — Nasze strzały nie zdały się na nic. W jaki sposób ty zdołałeś...

— Użyłem tego — wyjaśnił Holmes, wyjmując jeden nabój ze swojego rewolweru. Podniósł go wyżej i nabój zamigotał jasnym blaskiem. — Srebrna kula — powiedział. — Jedyne pewny sposób, żeby zabić wilkołaka.

— Przywiózł pan ze sobą srebrne naboje? — zdziwił się Space.

— Nigdy nie lekceważę żadnego przesądu — powiedział wybitny detektyw. — I choć nigdy wcześniej nie spotkałem wilkołaka, trzymałem na wszelki wypadek kilka sztuk srebrnej amunicji wśród moich zapasów. Kiedy dowiedziałem się z prasy, że w obie noce księżycy były w pełni, uznałem, że roztropnie będzie zabrać ze sobą te specjalne pociski do Baskerville Hall.

— A więc życiu sir Jonathana nic nie zagrażało — stwierdziłem.

— Zabił swoich dwóch braci, aby odziedziczyć rodzinną fortunę. Przekleństwo upiornego psa było zwykłą mistyfikacją.

— Nie do końca — powiedział Holmes. — Pamiętaj, Watsonie, że miało tu swój udział przekleństwo. Mroczne przekleństwo likantropii...

Spojrzałem na niepozorne blade ciało leżące nieruchomo w świetle poranka. Wzdrygnąłem się. Człowiek przemieniony w wilka, a teraz wilk zamieniony w człowieka...

Nigdy nie zdołamy w pełni pojąć wszystkich cudów i dziwów naszego skomplikowanego wszechświata.

Końcowa adnotacja dotycząca kuriozalnej sprawy:

Ostatnimi czasy, jako pozostałość po tej niewiarygodnej przygodzie na trzęsawisku Grimpen, nęka mnie niepokojące przekonanie, że mój drogi przyjaciel i towarzysz Sherlock Holmes jest w rzeczywistości nikczemnym geniuszem zbrodni, profesorem Moriartym.

Hubert Albin zapewnił mnie jednak, że będę jak nowy, kiedy zostaną mi wymienione cewki. Ma zamiar przeprowadzić tę operację w dzień Bożego Narodzenia.

Co dla strapionego robota będzie całkiem sympatycznym i mile widzianym prezentem gwiazdkowym.

przełożyła Małgorzata Dobrowolska

ZŁOTE LATA STALOWEGO SZCZURA

Literatura science fiction dorobiła się również galerii charakterów czarnych jak noc i geniuszy zbrodni. Szef gangu noszący cudownie złowrogie miano Blackie DuQuesne był profesorem Moriartym dla Richarda Seaton — kosmicznego Holmesa z cyklu „Skylark” E. E. Smitha, publikowanego w tanich wydaniach książkowych w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku. Dziesięć lat później Philip Jose Farmer dał czytelnikom Johna Carmody’ego, zatwardziałego kryminalistę, który zadziwił wszystkich, porzucając złą drogę i zostając księdzem. Roger Żelazny stworzył charyzmatycznego zoczyńcę, Widmowego Jacka. Jednak spośród wszystkich antybohaterów science fiction największą popularność wśród współczesnych zdobył chyba szczwany Jim di Griz, znany w galaktyce jako Stalowy Szczur. Pojawił się po raz pierwszy w „Stalowym Szczurze” (1961), od tamtego czasu dokonał zemsty, uratował świat, został powołany do wojska, a nawet wystartował w wyborach prezydenckich. W kolejnych książkach opisujących jego przygody lawirował pomiędzy prawem a jego drugą stroną z zapierającym dech, pełnym nieodpartego komizmu tupetem.

Harry Harrison urodził się w 1925 roku w Connecticut i podobnie jak Bill Nolan pracował przez jakiś czas jako ilustrator, nim dał się poznać jako autor science fiction po publikacji „Planety śmierci” — przygnębiającego opisu kolonizacji planety opanowanej przez niszczycielskie formy życia. Harrison napisał później dwa kolejne tomy cyklu, stworzył też godnego kontynuatora di Griza w osobie Billa, bohatera galaktyki, którego szaleńcze eskapady zaprowadziły między innymi na planetę zabutelkowanych mózgów (1990), planetę dziesięciu tysięcy barów (1991) oraz planetę hippisów z piekła rodem (1992). W wielu swoich utworach Harrison świadomie parodiował konwencje literatury science fiction, zwłaszcza w opowiadaniach o Stalowym Szczurze, w których brał na celownik przecie wszystkim biurokrację. W „Złoty lata Stalowego Szczura” (1993) di Griz znajduje się, jak zazwyczaj, w sytuacji podbramkowej i raz jeszcze, — przemyślnością i siłą, musi utorować sobie drogę do wolności...

* * *

— Niech mnie diabli, jeśli to nie ten stary łajdak Jim di Griz! — uśmiechnął się obleśnie brzydki jak kupa klawisz, gdy rosły gliniarz, do którego byłem przykuty, zadzwonił do drzwi.

Nie ukrywając radości klawisz otworzył je szeroko, poczekał aż glina rozkuje kajdanki i złapał mnie za ramię pociągając za sobą. „Złapał” to najwłaściwsze określenie, bo aż mi w oczach pociemniało. Udało mi się utrzymać równowagę, co było niezłym osiągnięciem, i w pionie przekroczyć drzwi, nad którymi wisiała zaśniedziała, mosiężna tablica z następującym tekstem:

PRZEZ TĘ BRAMĘ PRZECHODZĄ JEDYNIEM EMERYTOWANI PRZESTĘPCY GALAKTYKI. Ładnie napisane i typowo policyjne — dokopać leżącemu. Zacząłem zwawiej przebierać nogami, bo ciągnący mnie klawisz złośliwie przyspieszył kroku.

— Muszę usiąść... — wyszeptalem, szarpnąwszy się słabo na widok ławeczki przy ścianie.

— Nasiedzisz się jeszcze, dziadku, nasiedzisz. Nic więcej tu nie będziesz robił, ale najpierw musisz się zobaczyć z dyrektorem.

Ponieważ nie bardzo mogłem stawiać opór, zaciągnął mnie przez pół korytarza do stalowych drzwi, w które głośno zapukał. Zatoczyłem się i spojrzałem na samego siebie w wiszącym na ścianie lustrze, na którym ktoś złośliwie wypisał:

UMYŁEŚ SIĘ?

UCZESAŁEŚ?

KIEDY OSTATNI RAZ WYTARŁEŚ NOGI?

— Nie pamiętam... — wymamrotałem, przyglądając się sobie z odrazą.

Siwy kołtun na głowie, strużka śliny ciekąca z opuszczonej dolnej wargi, przekrwione oczy podkrążone jak po trzydniowym pijaństwie i cera blada jak mgła na cmentarzu, tu i ówdzie poznaczona plamami wątrobowymi. Obrzydliwość.

— Do środka! — rozległo się polecenie, gdy nad drzwiami błysnęła zielona lampka, i poparte zostało solidnym pchnięciem tłustej łapy.

Potknąłem się o próg, ale utrzymałem równowagę. Drzwi zamknęły się ze szcęknięciem, a ja przyjrzałem się siedzącemu za biurkiem facetowi. Wyglądał wypisz, wymaluj jak nie ogolony wielbłąd cierpiący na sraczkę.

— Twoje — skrzywił się pokazując grubaśne akta, które właśnie przeglądał. — Akta przestępcy Jamesa di Griz pseudo Stalowy Szczur. Teraz zresztą nie bardzo stalowy, raczej przerdzewiały, he, he... Widzisz, Zardzewiały Szczurze, ja dopadam wszystkich. Nawet najcwańszy i najlepiej ukrywający się rzezimieszek w końcu też się zestarzeje, refleks mu siądzie. Zrobi o ten jeden błąd za dużo i wtedy trafia do mnie, do dyrektora Sukksa rządzącego Wieczystym Aresztem, a przynajmniej tak się ten przybytek oficjalnie nazywa. Wiesz jak go zwą na co dzień...?

— Przedpiekle — odparłem odruchowo.

— Właśnie. Ale tak nazywają to tylko na zewnątrz, my tu nie bawimy się w takie eufemizmy. Dla nas jest to Purgy, skrót od Purgatory albo Czyśćca, gdybyś nie wiedział. Słowo to oznacza...

— Muszę do toalety! — pisałem podskakując. Skrzywił się z odrazą.

— Zawsze to samo z wami, gerontami! — ale włączył coś tam i drzwi się otworzyły. — Bogger pokaże ci gdzie jest kibiel, a potem zaprowadzi na badanie. Musimy dbać o twoją kondycję, żebyś mógł długo zażywać naszej gościnności.

Jego śmiech gonił mnie w drodze do kibla, ale powitanie, przyznając, nie wywarło na mnie większego wrażenia.

* * *

Badanie też nie. Sanitariusze byli chamscy, tępi i znudzeni. Rozebrali mnie do rosołu i zaczęli ciągać od jednego aparatu diagnostycznego do drugiego ignorując słabe protesty, za to komentując rezultaty.

— Gwóźdź w biodrze... wygląda na stary.

— Ale nie taki stary jak te plastikowe stawy kolanowe, hi, hi...

— Doktorkowi się to spodoba: plamy na płucu!

— Skończone? — Bogger pojawił się jak złe wspomnienie.

— Skończone, jest twój.

Zanim zdążyłem się ubrać, złapał mnie za ramię i zaciągnął do celi, po czym zabrał rzeczy, które kurczowo przyciskałem do piersi i opróżnił kieszenie, wyrzucając osobiste drobiazgi na podłogę. Następnie cisnął na pryczę stos więziennych łachów i parę papuci i oznajmił:

— Kolacja o szóstej zero zero, drzwi otwierają się minutę wcześniej. Jak się spóźnisz, nie będziesz jadł.

I wyszedł z moimi rzeczami, zamykając za sobą drzwi.

Klapnąłem ciężko na pryczę i schowałem twarz w dłoniach, stanowiąc smętny obrazek dla podglądającego, gdyż ani przez chwilę nie miałem wątpliwości, że w celi jest przynajmniej

jedna kamera. Jeśli była, to z uwagi na moje dłonie nie mogła zarejestrować złośliwego uśmiechu: udało się!

Nie trwało to długo. Później spróbowałem odczytać godzinę na porysowanej do nieprzyzwoitości tarczy taniego, plastikowego zegarka.

— Kolacja o szóstej — wymamrotałem — drzwi się otworzą...

Począłem do nich w chwili, w której szczęknął zamek, i wyszedłem na zewnątrz, czyli na korytarz. Kierunek do jadalni łatwo było określić, a to dzięki łańcuchowi trzęsących się gerontów, którzy podążali w jej stronę. Dołączyłem grzecznie do nich, doczłapałem do sali, wziąłem tacę i dałem sobie nałożyć coś, co wyglądało jak świeże krowie gówno seryjnej produkcji. Na szczęście mniej śmierdziało. Dotarłem do stolika i drżącą dłonią zaczerpnąłem łyżkę tej brei — była bez smaku, co stanowiło miłe zaskoczenie, bo nastawiłem się już na najgorsze.

— Nigdy cię tu nie widziałem — zagaił wychudzony jak szczapa łysol. — Szpicel?

— Współwięzień.

— Witamy w Purgu — zarechotał bez złośliwości. — Porwałś kiedyś liniowiec?

— Zdarzyło się.

— Mnie też, całe trzy razy. Ten ostatni to była pułapka, ale jak człowiek ma osiemdziesiątkę na karku, a kasa się skończyła, to coś trzeba robić, no nie...

Mamrotał tak z krótkimi przerwami, ale nie siliłem się nawet na udawanie, że słucham. Skoncentrowałem uwagę na wepchnięciu w siebie zawartości talerza, zanim obrzydzenie weźmie górę nad rozsądkiem. Skończyłem w momencie gdy poprzez odgłosy siorbania i mamrotania dotarł znajomy już głos:

— Te, Zardzewiały Szczurek, skończyłeś jeść, to wędruj do doktora!

— A jak go znajdę?

— Idź, ofiaro, po zielonych strzałkach na ścianach. Zielone strzałki oznaczone czerwonym krzyżem, pamiętaj.

Ruszyłem, ciągnąc stopy po wyświeconej posadzce. Doszedłem do ściany, ma się rozumieć, po czym przytknąłem do niej nos i odszukałem zieloną strzałkę. Było ich tam od nagłej krwi i to w obu kierunkach. Potem powlokłem się przed siebie.

— Siadaj — oznajmił lekarz, ledwie mnie zobaczył. — Moczysz się?

Młody był, biedak, i niecierpliwy, a ja się doskonale bawiłem i miałem mnóstwo czasu. Podrapałem się w ciemię z namysłem i wymamrotałem:

— Nie wiem tak po prawdzie...

— Musisz wiedzieć!

— Nie muszę wiedzieć, co znaczy każde głupie słowo! — oburzyłem się całkiem szczerze.

— Chodzi mi o to, czy w nocy lejesz w łóżko?

— Tylko kiedy jestem pijany.

— No to masz tu raczej nikłe szansę. Twoje wyniki są kiepskie, jesteś wrakiem, stary: plamy na płucach, płytki w czaszce...

— Życie nie jest usłane różami...

— Pewnie. Dam ci kilka zastrzyków na wzmocnienie i tabletki. Masz je zażywać trzy razy dziennie.

Wziąłem podany słoik i podejrzliwie przyjrzałem się pigułkom do złudzenia przypominającym małokalibrową amunicję.

— Trochę duże...

— A ty jesteś trochę chory. Są specjalnie sprokurowane dla twojego organizmu i miej je cały czas przy sobie. Brzęczyk zainstalowany w wieczku da ci znać kiedy trzeba je wziąć. Teraz podwiń rękawy.

Trudno w to uwierzyć, ale dając mi te zastrzyki tępym gwoździem, bez powodzenia udającym igłę, zdołał dojść do kości. Artysta, żeby go kulawe kaczki pokopały!

Wyszedłem wreszcie z tej sali tortur z obolałymi przedramionami, zgubiłem się, i po parokrotnym rozpytaniu o drogę w końcu dotarłem do swojej celi. Drzwi zamknęły się ze szczękiem ledwie wszedłem, a po krótkiej chwili światło przygasło, toteż czym prędzej przebrałem się w obrzydliwą, jadownicę pomarańczową piżamę i wsunąłem pod koc.

Przedpiekle — całkiem trafna nazwa, bo wyjść stąd można było tylko nogami do przodu, ale opieka medyczna i stałe posiłki dawały gwarancję, że nastąpi to najpóźniej jak tylko się da.

Jako że byłem przykryty wraz z głową, uśmiechnąłem się szeroko — zobaczymy czy tylko nogami do przodu!

Swędziało mnie pod przezroczystymi nalepkami, więc się radośnie poklepałem. Niewidzialne dla oka, gdyż w kolorze skóry, pokryte były mieszaniną sprokuirowaną na bazie ołowiu i antymonu, która dawała piękne efekty na zdjęciach rentgenowskich. Zaryzykowałem, opierając się na sensownym założeniu, że taki przybytek jak ten nie będzie miał nowoczesnych i drogich tomografów czy innych urządzeń, i wygrałem. Na zwykłym, dwuwymiarowym zdjęciu wyglądały zgodnie z rolą, jaką miały do spełnienia — a to jako plamy na płucu, a to jako plastikowe stawy, to znów jako metalowe wszczepy po trepanacji czaszki. Rozpuszczą się i znikną po pierwszym myciu, ale wyniki badań pozostaną. Tak więc pierwsza część zadania była wykonana, choć samo dostanie się tutaj było łatwiejsze niż znalezienie danych, gdzie to „tutaj” konkretnie się mieści.

* * *

Wszystko zaczęło się pewnego pięknego wieczoru przy okazji przypadkowo usłyszaney informacji w wiadomościach wieczornych. Zdążyłem ją wydrukować i pokazałem Angelinie, która przeczytała i zamilkła.

— Powinniśmy coś zrobić — zaproponowałem.

— Nie.

— A ja myślę, że tak. Jesteśmy mu coś winni.

— Nonsens. Dorosły i pełnoletni facet sam odpowiada za swoje postępowanie.

— Owszem, ale i tak chcę wiedzieć, gdzie siedzi.

No i dopiąłem swego, zgłaszając się do różnych oficjalnych archiwów. Dowiedziałem się nie tylko gdzie to jest, ale też i całej masy innych informacji o tym więzieniu–szpitalu dla emerytowanych przestępców. I ani trochę mi się to nie spodobało, choć przyznaję, że nastąpiło w idealnym wręcz momencie: bliźniacy od paru już lat byli samodzielni i nieźle prosperowali, a my oboje mieliśmy czasowy urlop z Korpusu, bo w galaktyce od lat był spokój i żyliśmy jakby na wcześniejszej emeryturze, choć naturalnie nie z emerytur. Angelinie to nawet odpowiadało — pałętaliśmy się po planetach wypoczynkowych i przelotach turystycznych luksusową trasą tu obrabiając bank, tam kradnąc ładny jacht, ale ja powoli dostawałem szału z nudów. To nie było życie — to była wegetacja, kiedy człowiek zabija czas, by nie zwariować. Doszukałem się więc samodzielnie, czego chciałem, po czym o wynikach poinformowałem Angelinę. Sądząc po minie, wieści jej także się nie spodobały.

— Masz rację — przyznała, gdy skończyłem. — Rzecz jest niebezpieczna i prawie samobójcza, ale jesteś jedynym jakiego znam, któremu może się udać. Z moją pomocą, ma się rozumieć.

— Ma się rozumieć. Znasz może jakiegoś łapiducha albo najmimordę, to jest chciałem powiedzieć lekarza i prawnika, którzy by się oparli brzęczącym argumentom?

— Żartujesz? Jak sam mówisz, cudów nie ma. A właśnie, jak tam nasze konto?

— Nieco nadszarpnięte, przydałoby się nam trochę gotówki. Może ja się zajmę uzupełnianiem, a ty znajdziesz lekarza?

* * *

Pomimo wysiłków minął prawie rok, zanim przygotowania można było uznać za zakończone. Powód był prosty — nie należało się spieszyć, gdyż każdy nie dopracowany szczegół mógł spowodować, że spędzę w tym nietypowym pierdlu znacznie więcej czasu niż planowałem.

Angelina przybyła po mnie do kliniki i aż ją cofnęło, gdy mnie zobaczyła.

— Jim, coś ty ze sobą zrobił?! — jęknęła. — Wyglądasz upiornie!

— Miło słyszeć, bo niełatwo mi to przyszło. Strata wagi i postarzenie skóry to pestka, włosy i reszta to zupełny drobiazg, ale zanik mięśni to dopiero sztuka. Tyle że cholernie mi ich brakuje.

— Mnie też.

— Enzymy, jak widać, czynią cuda. Jeśli mam być starym, zniszczonym przestępcą, to muszę na takiego wyglądać. Nie martw się: parę miesięcy ćwiczeń, gdy tylko to się skończy, i wrócę do formy.

I to by było w zasadzie wszystko. Potem wystarczył partacki skok na bank na Heliotrope-2, czyli tam skąd pochodziła oryginalna wiadomość, która wszystko spowodowała, i wylądowałem gdzie chciałem.

* * *

Tydzień trwało, nim zaznajomiłem się z rozkładem pomieszczeń, alarmów i kamer, i zacząłem fazę drugą, ale nie był to czas zmarnowany. Tegoż ranka przy śniadaniu sprawdziłem czy obiekt moich zainteresowań jest obecny i już zdecydowałem się nawiązać z nim kontakt, gdy zauważyłem niespodziewanie kogoś, kogo nie widziałem od lat. Co prawda był siwy i pomarszczony niczym stary kamasz, ale jak się z kimś spędzi dwa miesiące w lodowej jaskini, to zawsze się go pozna. Przy pierwszej więc okazji, czyli w świetlicy, siadłem obok i spytałem:

— Długo tu jesteś, Burin?

Wytrzeszczył na mnie oczy w sposób typowy dla krótkowidza, ale po chwili zaskoczył.

— Jim di Griz jak żywy! — ucieszył się szczerze.

— I rad, że cię widzi całego i zdrowego. Burin Bache, najlepszy fałszerz w dziejach galaktyki!

— Miło to słyszeć, zwłaszcza od ciebie. Kiedyś to była prawda, teraz... — przestał się uśmiechać, więc pospiesznie spytałem:

— Dalej cię strzyka w kolanach na mróz?

— Pewnie, że tak! Lodu do drinka nie mogę włożyć, bo mnie trzęsie na sam widok.

— Przecież w tej jaskini spędziliśmy tylko momencik...

— Ładny mi momencik! Ale w jednym miałeś, Jimmy, rację: po tym, co wtedy złapaliśmy, nie musiałem nic robić przez dziesięć lat. Byłeś młody, ale genialny. Szkoda, że skończyłeś tak jak ja... nigdy nie myślałem, że cię dostaną.

— Zdarza się najlepszym — mruknąłem, pisząc jednocześnie na palcu tak, by nie rzucało się to w oczy.

Potem przyłożyłem tenże palec do brody i poczekałem, aż Burin na mnie spojrzy. Opuściłem dłoń i z zadowoleniem stwierdziłem, że oczy rozszerzają mu się ze zdumienia.

— Muszę iść — poinformowałem go, zmazując poślinionym palcem odbitą na brodzie wiadomość. — Na razie.

Skinał tylko głową nie mogąc wyjść z szoku, co trudno mu mieć za złe. Mógł się biedak spodziewać różnych rzeczy, ale na pewno nie tego, że jeszcze kiedyś zobaczy magiczne słowo: UCIEKAMY.

* * *

Potężna łapówka, jaką Angelina wręczyła jednemu z urzędników, warta była uzyskanych informacji; choć plany lokalizacyjne budynku nie były kompletne, wskazały nam to czego szukaliśmy: jego słabe punkty i drogę ucieczki. Następnego dnia znalazłem się w pobliżu pokoju, który wybraliśmy, i wsadziłem w dziurkę od klucza pisak. Po godzinnym trzymaniu pod pachą obsadka miała konsystencję plasteliny, toteż w chwilę po zetknięciu z zimnym metalem zastygła w doskonałe, lustrzane odbicie wnętrza.

Codziennie mogliśmy przez godzinę przebywać w ogrodzie, gdzie wyszukałem ławkę położoną z dala od możliwego usytuowania kamer, i przesiadywałem tam regularnie drzemiąc nad otwartą książką. Tego dnia zrobiłem to samo i jedynie ktoś stojący nade mną byłby w stanie zobaczyć, czym naprawdę się zajmowałem.

Rano zerwałem część plastikowej okładziny wysłużonego portfela i starannie przeżułem. Smakowało lepiej niż niejeden posiłek, jaki nam serwowano. Plastik wszedł w reakcję z moją śliną i nabrał przyjemnej, plastycznej konsystencji; w takiej postaci pozostał w mojej kieszeni. Teraz przycisnąłem go do odbitki wnętrza zamka, usunąłem resztki masy wypływającej po bokach i wystawiłem na słońce. Katalizator niemal natychmiast zareagował pod wpływem światła słonecznego i zastygł na kamień.

Zgodnie z logiką powinienem użyć klucza wtedy, gdy było to przewidziane, ale nie lubię niespodzianek, więc postanowiłem go wypróbować i usunąć ewentualne problemy wcześniej, a nie dopiero w ostatniej chwili, gdy nade wszystko liczył się czas. Burin pomógł mi z dziką radością. Zgraliśmy zegarki i po chwili, gdy ja dotarłem do drzwi, on wywrócił się na stolik, przy którym rżnięto w pokera na zapalki. Zadyma się z tego zrobiła pierwszorzędną, bo słyszałem ją aż na korytarzu, toteż spokojnie zabrałem się do roboty.

Z początku wytrych nie zaskoczył, jednakże po paru sekundach prób z wykorzystaniem wieloletnich doświadczeń coś cicho zgrzytnęło i zamek puścił. Pospiesznie wśliznąłem się do wnętrza, zamknąłem drzwi i dłuższą chwilę nasłuchiwałem. Żadnego alarmu, krzyków czy czegoś równie niemiłego — pięknie. Rozejrzałem się uspokojony po pomieszczeniu i zrobiło mi się jeszcze przyjemniej — byłem w niewielkim magazynku wypełnionym drukami, formularzami i inną makulaturą tak drogą sercu każdego urzędasza. Przez małe okno wpadało światło w ilości wystarczającej by nieźle widzieć, toteż usunąłem jedynie stojące na drodze pudło i wyszedłem.

W hallu panowała cisza, za to ze świetlicy dochodziły dziwne odgłosy. Gdy stanąłem w drzwiach, wszystko się wyjaśniło — miał w niej miejsce autentyczny sparring bokserski, o tyle ciekawy, że w wykonaniu zwawych sześćdziesięciolatek (na zwolnionych obrotach). Mrugnąłem do Burina i poszedłem sobie.

* * *

Uzgodniliśmy z Angeliną minimum kontaktu, by niepotrzebnie nie ryzykować, a ten jedyny raz, gdy musieliśmy się widzieć, a nie tylko słyszeć, zaplanowany został po

zapadnięciu zmroku, na tyle jednak wcześniej, by nie położono nas jeszcze do łóżek. W umówiony wieczór po kolacji pospieszyłem do łazienki, za którą znajdował się wybrany jako miejsce rendez-vous magazynek. Dostałem się do niego bez problemów i z zegarkiem w ręku dotarłem do okna.

Paskiem od zegarka przeciąłem zamek w oknie, co nie było specjalnie trudne, gdyż pod warstwą tandetnego tworzywa kryła się elastyczna piłka z plaststeelu. Schowałem zegarek i otworzyłem okno. Na zewnątrz, używając molekularnych butów i rękawic do wspinaczki, czekała przylepiona do ściany Angelina, cała na czarno, łącznie z twarzą wysmarowana pastą do butów. Bez słowa wcisnęła mi w ręce niewielką paczkę i zniknęła.

Zamknąłem okno, wróciłem do celi (zawiniątko przemyciłem pod ubraniem) i czym prędzej położyłem się do łóżka. Paczka powędrowała pod poduszkę po uprzednim wyjęciu z niej detektora pluskiew, a ja poczekałem aż światło zgaśnie i zacząłem się niespokojnie wiercić.

— Cholerny reumatyzm... — wymamrotałem po paru minutach i wstałem pocierając prawą nogę.

Równocześnie sprawdziłem kontrolkę detektora, z miłymi rezultatami: w celi była tylko jedna optyczna pluskwa umieszczona nad drzwiami, co dawało dwa martwe pola w kątach przy ścianie, w której ją zamontowano. Zadowolony poszedłem spać. Zapowiadał się pracowity dzionek.

* * *

Burina zacząłem szukać dopiero koło południa i znalazłem w ogrodzie. Siadłem na ławeczce po delikatnym sprawdzeniu okolicy — była w miarę czysta.

— Możemy zachowywać się swobodnie — oznajmiłem — ale nie za głośno.

— Masz wszystko?

— Mam, a teraz bądź łaskaw zamknąć się na chwilę, bo mam w gębie komunikator laserowy i właśnie słyszę kroki przez kości czaszki.

— Nic nie rozumiem — przyznał uczciwie.

— Słyszę kroki Angeliny wdrapującej się na dach tego wieżowca, który widzisz za murem. To, co mam w ustach, umożliwia mi bezpośrednią łączność i jest nie do podsłuchania. Teraz milcz!

Oparłem się wygodnie i uśmiechnąłem w kierunku punktowca. Nie musiałem zbyt precyzyjnie celować, gdyż Angelina miała sześciostopową soczewkę odbiorczą (składaną, ma się rozumieć).

— Witaj, kochanie.

— Jim, cieszę się, że jesteś cały — zadudniło mi pod czaszką — żałuję, że to zaczęliśmy.

— Ale teraz trzeba dokończyć, co przy twoich umiejętnościach i sile...

— Jeśli dodasz „w twoim wieku”, to obedrę cię żywcem ze skóry jak wyjdiesz!

— Nic takiego nie miałem zamiaru powiedzieć! Chcę natomiast spytać, czy według ciebie możemy zabrać dwóch zamiast jednego? Spotkałem tu starego znajomego, który kiedyś uratował mi życie w jaskini lodowej. Opowiem ci jak wyjdę.

Przez chwilę panowała cisza — Angelina rzadko mówiła coś bez przemyślenia.

— Możemy — odparła — muszę tylko zmienić środek transportu.

— Doskonale. W takim razie postaraj się o coś odpowiedniego dla sześćdziesięciu pięciu osób...

— Są zakłócenia! Powtórz, bo zrozumiałam, że sześćdziesiąt pięć.

— Dobrze zrozumiałaś! — postarałem się, żeby zabrzmiało to radośnie, ale nie dała się nabrać.

— Nie próbuj! Znam cię za dobrze. Sześćdziesięciu pięciu to pewnie wszyscy pensjonariusze?

— Zgadza się. Proponowałbym autokar. Kiedyś podobny numer mi wyszedł. Do usłyszenia jutro o tej samej porze, muszę kończyć, bo ktoś nadchodzi — i wyłączyłem się.

Miała święte prawo być wściekła, a nie miałem ochoty stać się obiektem rozładowania tejże wściekłości, wolałem więc dać jej dwadzieścia cztery godziny na ochłonięcie. Długoletnie pożycie małżeńskie doskonale wpływa na rozwój instynktu samozachowawczego.

— Koniec? — zdziwił się Burin. — Coś do siebie mamrotałeś, to wszystko co słyszałem.

— I bardzo dobrze. Wszystko zgodnie z planem, nie licząc niewielkich poprawek, które będą w mojej małżonce głębokie i serdeczne emocje.

— Co proszę?

— Szczegóły później, teraz chodź na lunch. Aha, nie pij wody.

— Dlaczego?

— Bo jest aż gęsta od środków uspokajających i otumaniających. Dlatego wszyscy tu mamrocą do siebie i łązą jak błędne owce. Większość jest w zdecydowanie lepszej kondycji niż na to wyglądają.

* * *

Angelina faktycznie ochłonęła. Można nawet śmiało powiedzieć, że ostygła: nawet przez ten zniekształcający dźwięki system łączności bez trudu dawało się wyczuć oziębły ton, przypominający nie tylko lodową jaskinię, ale wręcz cały lodowiec.

— Autokar kupiony. Co jeszcze będzie potrzebne?

— Uniform kierowcy, by uzasadnić twoją miłą obecność za kółkiem, i parę drobiazgów...

— Jakich? — głos o temperaturze ciekłego azotu. Gdy podałem listę, osiągnął zero absolutne.

— To najgłupszy i najbardziej niemożliwy do wykonania plan, o jakim w życiu słyszałam. Zrobię co mogę, by się udał, bo chcę, żebyś wyszedł z tego cało, abym osobiście mogła cię zabić.

— Kochanie, żartujesz.

— Założymy się? — powiedziała i przerwała transmisję. Może to faktycznie nie był doskonały pomysł, ale teraz już nie mogłem się z niego wycofać. Czując coraz większą depresję przypominałem sobie o piersiówce umieszczonej w paczce na taką właśnie okoliczność.

Wydostałem ją, niby to ścieląc pryczę, i siadłem w martwym polu kamery. Na butelce było napisane: UWAGA — DYNAMIT i w pewnym sensie była to prawda, zawierała bowiem studziesięcioprocentowy alkohol, który dwanaście lat leżakował w dębowej beczce. Dobry humor wrócił mi błyskawicznie.

* * *

Przez sześć kolejnych dni gawędziliśmy za pomocą lasera i cały czas Angelina była uprzejmie oziębła, ignorując moje wysiłki zmierzające do rozładowania nastroju. Jak się nie da zwalczyć, trzeba przywyknąć. Trudno.

* * *

Ostatniego dnia konwersacja była bardziej niż lakoniczna: Angelina powiedziała jedno słowo i przerwała połączenie. Wyłączyłem nadajnik i oznajmiłem Burinowi, który znacznie się ożywił, odkąd przestał pić wodę:

— Data ustalona!

— Kiedy?

— Powiem ci po kolacji.

Spojrzał dziwnie, ale nie zadawał więcej pytań, rozumiejąc starą prawdę: sekret, o którym wiedzą trzy osoby, przestaje być sekretem.

* * *

Tego wieczoru, gdy stukot łyżek zastąpiło siorbanie kisielu, zaniósłem swoją tacę do kuchni i wychodząc starannie zamknąłem kuchenne drzwi, po czym nałożyłem na kontakt w ścianie niewielki metalowy dysk.

— Proszę o uwagę! — zawołałem, waląc łyżką w blat. Oczekałem, aż na sali się uciszy, i wskazałem boczne wyjście.

— Wychodzimy przez nie za chwilę, a otwierający je właśnie facet jest waszym przewodnikiem. Teraz się zamknijcie i nie zadawajcie głupich pytań, wszystko zostanie wyjaśnione później. Powiem wam jedynie, że władzy na pewno nie spodoba się to, co teraz zrobimy.

To wywołało ogólne zadowolenie, jako że wszyscy obecni przez całe życie żywili do władzy (i to jakiegokolwiek) głęboką pogardę. Dzięki temu (jak i ogłupiaczom, które regularnie dostawali) spokojnie robili to co kazałem, czyli wędrowali gęsiego za Burinem. Stałem przy drzwiach uśmiechając się do przechodzących i starając się nie okazać niecierpliwości: z każdą minutą wzrastała bowiem szansa odkrycia tej masowej migracji. Co prawda kucharze razem z dwoma strażnikami chrapali cicho w spiżarni, pluskwa w kontakcie przekazywała odgłosy posiłku nagrane kilka dni wcześniej, a pozostałe drzwi do stołówki były zamknięte, ale nigdy nic nie wiadomo. Najślabszym ogniwem całego planu były te właśnie drzwi — zwykle nikt nie wchodził, gdy jedliśmy, ale zdarzały się wyjątki. Mogłem mieć tylko nadzieję, że tym razem nie nastąpią.

Gdy wreszcie minęły mnie ostatnie przygarbione plecy, zamknąłem starannie wyjście z jadalni i ruszyłem za szurającym ludzkim węzem w dół po schodach, korytarzem służbowym i do piwnic, a konkretnie do kotłowni, zamykając wszystkie drzwi, jakie były po drodze. Ostatnie były przeciwpożarowe, toteż wymagały więcej wysiłku, ale łupnęły satysfakcjonująco. Rozejrzałem się po obecnych i zatarłem dłonie.

— Co się dzieje? — spytał któryś nieco bystrzejszy.

— Wychodzimy stąd — spojrzałem na zegarek — dokładnie za siedem minut.

Jak należało się spodziewać, wywołało to spore poruszenie.

— Cisz! — wrzasnąłem. — Nie jestem ani szalony, ani tak stary jak wyglądam. Dałem się aresztować i zamknąć tu tylko w jednym celu: by uciec. Teraz odsuńcie się od tej ściany; pewnie nie wiecie, ale ten budynek stoi na zboczku wzgórza, dzięki czemu jego przeciwległy bok jest osadzony głęboko w ziemi, a ten wychodzi na drogę biegnącą wokół tegoż wzgórza. Jak widzicie zakładam właśnie kulisty ładunek macternitu; odpalony powinien otworzyć nam drogę ucieczki.

Zgodnie z tym co mówiłem, przylepiłem do ściany owal z szarej masy plastycznej, zalałem utwardzaczem i wcisnąłem zapalnik. Po pięciu sekundach na ścianie pojawiło się koło ognia,

plonące wesoło i dymiące umiarkowanie. Na szczęście w pomieszczeniu nie było automatycznego systemu przeciwpożarowego, rozwinąłem więc wiszący na haku wąż podłączony do hydrantu i spryskałem ścianę, w którą całkiem głęboko wgryzł się już ogień. Towarzyszyły temu kłęby pary i napad kaszlu wśród moich podopiecznych.

Gdy przestało dymić, wyłączyłem wodę i solidnie kopnąłem mur wewnątrz wypalonego kręgu. Ściana była porządna, toteż grzecznie wypadła z łoskotem.

— Zgaś światła! — poleciłem Burinowi i w kotłowni zapadła ciemność rozświetlona blaskiem ulicznych lamp wpadającym przez dziurę w murze. Do wnętrza wjechała majestatycznie rolka czerwonego chodnika na automatycznym podajniku, który drgnął i zaczął rozwijać ją u moich stóp.

— Wychodź pojedynczo! — zakomenderowałem, gdy chodnik znieruchomiał. — Nie gadać i nie dotykać muru, bo gorący. Chodnik jest dobrze izolowany, więc nie poparzycie stóp. Burin, dopilnuj, żeby żaden nie został.

— Jim, to działa!

— A co ma robić? — parsknąłem i przeskoczyłem przez otwór, wpadając prawie na Angelinę. — Kochanie...

— Zamknij się i do autobusu — zaproponowała sensownie. — Przypilnuj, żeby wszyscy wsiedli.

Chodnik prowadził do drzwi turystycznego autokaru, ozdobionego transparentem na burcie. Widniał na nim napis:

TAJEMNICZA PODRÓŻ EMERYTEK

— Tędy! — skierowałem najbliższego we właściwą stronę i podprowadziłem do drzwi. — Przejdź do tyłu, zajmij fotel i włóż ubranie, które na nim znajdziesz. Perukę też!

Powtarzałem to do przybycia Burina, który przejął moją rolę, i zagoniłem opiesziałych do wnętrza.

— Wszyscy — oznajmiłem radośnie wsiadając. — Kiedyś udał mi się podobny numer, tylko z rowerami...

Rozejrzałem się z uznaniem: Angelina siedziała za kierownicą ponura niczym zapowiedź nowych podatków, autobus zaś pełen był siwiejących emerytek. Ruszyliśmy, a ja pospiesznie włożyłem kieckę i perukę, po czym zacząłem uczyć obecnych śpiewu, co na tyle dobrze mi poszło, że gdy stanęliśmy przed pośpiesznie zorganizowanym punktem kontroli, natychmiast kazano nam wynosić się do wszystkich diabłów. Co też zrobiliśmy wśród furkotu chusteczek do nosa.

* * *

Prawie o północy dotarliśmy do drogowskazu:

WESOŁA WDÓWKA — DOMEK SPOKOJNEJ STAROŚCI.

Wysiadłem, otworzyłem kutą bramę, poczekałem aż Angelina przejedzie, i zamknąłem ją za autokarem.

— Prosimy do środka — oznajmiłem, gdy stanęliśmy na podjeździe. — Herbata, ciasteczka i bar czekają.

To ostatnie wywołało znaczne ożywienie — mało się nie pozabijali, pchając się do drzwi i pozbywając po drodze peruk i sukien. Angelina rozejrzała się jakoś tak bezradnie, co było nienormalne, więc podszedłem do niej.

— Co ja mam mu powiedzieć? — spytała cicho.

— Myślałem, że jesteś na mnie zła?

— Było — minęło, teraz... — przerwała dostrzegając, iż obiekt naszej rozmowy powoli podchodzi do nas.

— Chciałbym wam podziękować — wykrztusił — za to, co dla nas wszystkich zrobiliście.

— Akurat tak się złożyło, Pepe — odparłem ciepło. — Prawdę mówiąc zorganizowaliśmy to wszystko, żeby uwolnić ciebie, a akcja się jakoś tego, no... sama rozrosła.

— Więc nadal mnie pamiętasz? — spojrzał pałającym wzrokiem na Angelinę. — Poznałem cię od pierwszego wejrzenia.

— To był mój pomysł — oznajmiłem szybko, żeby nie było nieporozumień. — Zobaczyłem wiadomość o twoim aresztowaniu i stwierdziłem, że coś by trzeba z tym zrobić. Choćby w imię dawnych czasów. Jakby nie patrzeć, to ja cię aresztowałem za kradzież pancernika.

— A ja wprowadziłam w świat przestępczy — dodała Angelina. — Uważaliśmy, że jesteśmy ci to winni.

— Zwłaszcza że niejako dzięki tobie od lat jesteśmy szczęśliwym małżeństwem, nie wspominając o synach — zakończyłem, wykładając kawę na łąkę. — Gdybyśmy nie byli partnerami w tej kradzieży, mógłbym jej nigdy nie spotkać.

— Zawsze myślałem, że nadaję się na przestępcę — stwierdził Pepe Nero. — Cóż, chyba się napiję.

— To niezły pomysł — przytaknąłem.

— Toast! — zdecydował Burin. — Za naszych wybawców: Jima i Angelinę!

Rozległ się brzęk szkła i ochryply ryk zachwyty wszystkich obecnych. Objąłem Angelinę i coś mi się zaszkliło w oku. Łza?!

Przekład: Jarosław Kotarski

NIE BĘDZIE JUTRA

I na koniec jeszcze jeden spośród nieśmiertelnych tematów literatury science fiction — koniec świata, o którym, zdawałoby się, trudno powiedzieć coś zabawnego. Jedną z pierwszych autorek eksploatujących temat apokalipsy była Mary Shelley, która niedługo po wielkim sukcesie „Frankensteina” napisała opowieść o ostatnim człowieku, „The Last Man” (1826). Trzydzieści lat później dołączył do niej Edgar Allan Poe ze swoim opowiadaniem o zniszczeniu Ziemi przez kometa, „The Conversation of Eiros and Charnion”. H.G. Wells. M.P. Shiel i R.H. Benson wzbogacili ten nurt, każdy na swój sposób, ale dopiero w latach pięćdziesiątych pisarze zmierzli się z tematem w stylu, który można było uznać za satyrę. Należałoby tu wymienić opowiadanie „Ostatni Adam i ostatnia Ewa” (1950) Damona Knighta, opisujące spotkanie dwojga ostatnich ludzi, powieść „Doktor Strangelove” Petera Georga (1963), której filmową adaptację upamiętniła niesamowita, szalona kreacja Petera Sellersa, oraz opowiadanie Roberta Silverberga „Wycieczka na koniec świata”. Opowiadanie „Nie będzie jutra” Arthura C. Clarke’a jest, być może, najoryginalniejszym humorystycznym ujęciem tego tematu.

Arthur C. Clarke (1917–2008), wizjoner, który trafnie przewidział wiele innowacji w dziedzinie nowoczesnej technologii podboju kosmosu, zaczynał jako młody entuzjasta science fiction w rodzinnym Somerset, nim stał się jednym z filarów gatunku. Choć znany jest przede wszystkim ze swojego wkładu w epokowy film Stanleya Kubricka „Odyseja kosmiczna 2001” (1968), nakręcony na podstawie jego opowiadania „Posterunek” (1951), oraz ze swoich najważniejszych powieści, takich jak „Piaski Marsa” (1951), „Spotkanie z Ramą” (1973) i „Pieśni dalekiej Ziemi” (1986), był też obdarzony zaraźliwym poczuciem humoru. Jego zamiłowanie do żartu znalazło ujście w szeregu opowiadań zebranych w tomie „Tales from the White Heart (1957) bądź publikowanych oddzielnie, jak „Wyprawa ratunkowa” (1946), „Dziewięć miliardów imion Boga” (1953) i „Nie będzie jutra”, które napisał w 1954 roku. Jego komentarz, jak i samo opowiadanie, stanowi idealne zakończenie tego zbioru: „Opowieści o kosmicznej apokalipsie zawsze były sztandarowym produktem literatury science fiction. Ale jest wśród nich jedno, które wyróżnia się wśród pozostałych swoją niefrasobliwością. Nie przypominam sobie innego humorystycznego opowiadania na temat końca świata...”

* * *

— Ależ to straszne! — myślał Najwyższy Uczony. — Na pewno coś możemy zrobić!

— Tak, Jaśnie Oświecony, ale to niesłychanie trudne. Ta planeta znajduje się w odległości ponad pięciuset lat świetlnych i bardzo trudno się z nią skontaktować. Uważamy jednak, że możemy przerzucić most. Niestety, to nie jedyny problem. Dotychczas w ogóle nie mogliśmy porozumieć się z tymi istotami. Ich zdolności telepatyczne są nadzwyczaj szczątkowe... może nawet nie istnieją. A jeśli nie możemy z nimi rozmawiać, nie ma sposobu udzielenia im pomocy.

Między umysłami obu mężczyzn zapadło długie milczenie, podczas którego Najwyższy Uczony analizował sytuację i, jak zwykle, doszedł do właściwego wniosku.

— W każdej inteligentnej rasie musi być choć kilku osobników ze zdolnościami telepatycznymi — rozmyślał. — Trzeba wysłać setki obserwatorów, nastrojonych na uchwycenie śladów pierwszej zbłąkanej myśli. Jeśli znajdziecie choć jeden reagujący umysł, na nim skoncentrujcie wszystkie swe wysiłki. Musimy przekazać tę wiadomość.

— Doskonale, Jaśnie Oświecony, tak zrobimy.

Przez otchłań, wskroś przestrzeń, którą światło pokonuje w ciągu pół tysiąca lat, umysły mieszkańców planety Thaar słały wici w rozpaczliwym poszukiwaniu choć jednej istoty ludzkiej zdolnej odczuć ich obecność. Szczęśliwie się złożyło, że trafiły na Billa Crossa.

Przynajmniej wówczas tak uważali, lecz później nie byli tego pewni. W każdym razie nie mieli wyboru. Zbieg okoliczności, który otworzył przed nimi umysł Billa, trwał zaledwie kilka sekund i było nieprawdopodobne, aby mógł znów się powtórzyć po tej stronie wieczności.

Na ten cud złożyły się trzy czynniki i trudno powiedzieć, który z nich odegrał najważniejszą rolę. Pierwszy z nich to przypadek, który zadecydował o pozycji. Butelka z wodą, kiedy pada na nią światło słońca, może stać się naturalną soczewką, skupiającą promienie na niewielkim obszarze. Na nieporównywalnie większą skalę gęste jądro Ziemi skupiło fale docierające z Thaar. Promienie wysyłane przez myśl zwykle nie ulegają wpływom materii — przechodzą przez nią z łatwością jak światło przez szkło. Lecz na każdej planecie jest raczej mnóstwo materii i Ziemia stała się gigantyczną soczewką. Tak się złożyło, że Bill znajdował się akurat w jej ognisku, kiedy słabe impulsy myśli z Thaaru osiągnęły tysiąckrotne skupienie.

Wprawdzie miliony innych ludzi przebywały w równie dogodnych miejscach, lecz nie byli oni inżynierami budującymi rakiety i przez długie lata nie zajmowali się myśleniem i marzeniami o Kosmosie, które by się stały częścią ich istnienia.

Nie spili się też tak kompletnie, prawie do utraty resztek świadomości, jak Bill próbujący uciec przed rzeczywistością w świat marzeń, w którym nie było rozczarowań i niepowodzeń.

Rozumiał oczywiście wojskowy punkt widzenia.

— Płacimy panu, doktorze Cross — powiedział mu generał Potter z niepotrzebnym naciskiem — za projektowanie pocisków, a nie, hm, statków kosmicznych. Co pan robi w wolnym czasie, to pańska sprawa, ale muszę pana prosić, aby nie używał pan urządzeń przedsiębiorstwa dla własnego hobby. Od dziś wszystkie zlecenia dla sekcji komputerowej muszą być zatwierdzone przeze mnie. To wszystko.

Oczywiście nie mogli go wylać — był im za bardzo potrzebny. Ale nie miał pewności, czy sam chce tam pozostać. Tak naprawdę nie był pewien niczego poza tym, że praca ta wywarła niepożądany wpływ na jego sprawy osobiste, bo w końcu Brenda odeszła z Johnnym Gardnerem — by zacząć od najważniejszego wydarzenia.

Trochę załamany, podpierając brodę dłońmi, Bill wpatrywał się bezmyślnie w pomalowaną na biało ścianę, pod którą stał stół. Jediną jego ozdobę stanowił kalendarz Lockheeda oraz błyszcząca pocztówka Aerojetu, przedstawiająca start L'il'Abner Mark I z dopalaczem. Bill patrzył posepnie w punkt leżący w połowie między tymi obrazkami, opróżniwszy umysł z wszelkiej myśli. Nie było już żadnych barier...

W tym momencie zmasowane umysły Thaaru wydały bezgłośny okrzyk triumfu i ściana przed Billem z wolna rozplynęła się w wirującej mgłę. Zdawało mu się, że patrzy w głąb tunelu ciągnącego się w nieskończoność. I rzeczywiście tak było.

Bill patrzył na to zjawisko z umiarkowanym zainteresowaniem. Miało w sobie coś nowego w porównaniu z poprzednimi halucynacjami. A kiedy w jego umyśle przemówił ten głos, pozwolił mu tam błędzić przez jakiś czas, zanim cokolwiek uczynił. Nawet kiedy był pijany, żywił staromodne uprzedzenie do rozmów z samym sobą.

— Bill — zaczął ten głos — posłuchaj uważnie. Mamy ogromne trudności z kontaktowaniem się z wami, a jest to niezwykle ważne. Bill wątpił w to z zasady. Dla niego nic już nie było ważne.

— Mówimy do ciebie z bardzo dalekiej planety — ciągnął dalej głos po przyjacielsku nagłym tonem. — Jesteś jedyną istotą ludzką, z którą udało nam się nawiązać kontakt, musisz więc zrozumieć, co do ciebie mówimy.

Bill zaniepokoił się nieco, choć raczej bezosobowo, gdyż trudno mu było skoncentrować się teraz na własnych sprawach. Zastanawiał się, czy stan jego jest aż tak poważny, że słyszy głosy? Cóż, najlepiej zachować spokój. Możesz ich słuchać, albo nie, doktorze Cross, pomyślał. Posłuchamy sobie, póki nie staną się nieźnośne.

— W porządku — odezwał się tonem znudzonej obojętności. — Mówcie dalej. Nie mam nic przeciwko temu, jeśli to będzie interesujące.

Nastąpiła przerwa. Potem głos mówił dalej w sposób zdradzający pewne zaniepokojenie.

— Nie bardzo rozumiemy. To, co chcemy powiedzieć, nie jest ot tak, po prostu interesujące. To sprawa najwyższej wagi dla całej waszej rasy i musisz niezwłocznie zawiadomić o tym rząd.

— Służę uprzejmie — rzekł Bill. — To mnie trochę zajmie.

W odległości pięciuset lat świetlnych Thaarowie spieszenie się naradzali. Coś było nie w porządku, lecz nie mogli dokładnie ustalić co. Niewątpliwie nawiązali kontakt, lecz nie oczekiwali takiej reakcji. Mogli więc tylko przystąpić do rzeczy i mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

— Słuchaj, Bill — kontynuowali. — Nasi naukowcy właśnie odkryli, że wasze słońce wkrótce wybuchnie. Nastąpi to za trzy dni, a dokładnie za siedemdziesiąt cztery godziny. Nic nie może powstrzymać eksplozji. Ale nie trzeba wpadać w panikę. Możemy was uratować, jeśli zrobicie, co powiemy.

— No, to jazda — rzekł Bill. Ta halucynacja była nawet zabawna.

— Możemy stworzyć coś, co wy nazywacie mostem. Jest to rodzaj tunelu w przestrzeni jak ten, który teraz widzisz. Jego podstawy teoretyczne są bardzo skomplikowane i trudno je wytłumaczyć nawet waszym najlepszym matematykom.

— Zaraz, zaraz! — zaprotestował Bill. — Ja sam jestem matematykiem i to cholernie dobrym, nawet po trzeźwemu. Przeczytałem wszystko na ten temat w czasopiśmie fantastyczno—naukowych. Przypuszczam, że mówicie o czymś w rodzaju skrótu przez jakiś wyższy wymiar w przestrzeni. Stara historia, jeszcze sprzed Einsteina.

Do mózgu Billa z wolna docierało wrażenie wyraźnego zaskoczenia.

— Nie wiedzieliśmy, że jesteście tak zaawansowani — powiedzieli Thaarowie. — Ale nie mamy czasu na teoretyczne rozważania. Krótko mówiąc, jeśli wejdiesz w otwór, który widzisz przed sobą, natychmiast znajdziesz się na innej planecie. To jest właśnie, jak ty to określiłeś, skrót, w tym wypadku przez trzydziesty siódmy wymiar.

— I prowadzi na waszą planetę?

— Ależ skądże! Tutaj nie moglibyście żyć. Ale we wszechświecie jest mnóstwo planet podobnych do Ziemi i znaleźliśmy taką, która będzie dla was odpowiednia. Takie mosty przetrzucimy do różnych punktów na całej Ziemi i wystarczy, że wasi ludzie przez nie przejdą, by się uratować. Oczywiście, w nowym miejscu będą musieli od początku budować cywilizację, ale to ich jedyna nadzieja. Musisz dalej przekazać tę wiadomość i powiedzieć im, co mają robić.

— Akurat mnie posłuchają — odparł Bill. — Dlaczego nie idziecie z tym do prezydenta?

— Bo tylko z twoim umysłem mogliśmy się skontaktować. Pozostałe wydają się dla nas zamknięte. Nie rozumiemy dlaczego.

— Mógłbym wam powiedzieć — rzekł Bill.

Popatrzył na stojącą przed nim prawie pustą butelkę. Z pewnością warto było ją kupić. Umysł ludzki jest wspaniały! W tym dialogu nie było oczywiście nic oryginalnego — wiadomo, skąd się to wszystko wzięło. Zaledwie tydzień temu czytał opowiadanie o końcu świata, a te mosty i tunele to tylko pobożne życzenia, będące najwyraźniej nagrodą za pięcioletnie borykanie się z krnąbrnymi raketami.

— A jeśli słońce wybuchnie — spytał nagle Bill, próbując zaskoczyć halucynację — to co się stanie?

— Też pytanie. Wasza planeta natychmiast się stopi. Właściwie wszystkie planety, łącznie z Jowiszem.

Bill uznał to za doskonały pomysł. Jego umysł bawił się tą myślą. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej mu się podobało.

— Moja kochana halucynacyjko — odezwał się z politowaniem. — Gdybym ci wierzył, wiesz, co bym ci powiedział?

— Ale ty musisz nam wierzyć! — wykrzyknął zrozpaczony głos z odległości pięciuset lat świetlnych.

Bill zignorował go. Coraz bardziej zapalał się do tego pomysłu.

— I tak ci powiem. To najlepsze, co mogłoby się wydarzyć. Tak, to by oszczędziło całego mnóstwa cierpień. Nikt już nie musiałby przejmować się Rosjanami, bombą atomową i rosnącymi kosztami utrzymania. Ach, jak byłoby cudownie! Tego właśnie każdy naprawdę pragnie! To miło, że przyszliście nam to powiedzieć, ale wracajcie do domu i zabierajcie ten wasz głupi most ze sobą.

Na Thaarze zapanowała konsternacja. Mózg Najwyższego Uczonego, unosząc się jak wielka masa koralu w zbiorniku z roztworem odżywczym, lekko zzółkł na brzegach, czego nie robił od czasu inwazji z Xantil przed pięcioma tysiącami lat. Co najmniej piętnastu psychologów załamało się nerwowo i nigdy już nie było sobą. Główny komputer Instytutu Kosmo—fizyki zaczął dzielić przez zero każdą liczbę zakodowaną w obwodach swej elektronicznej pamięci i przepaliły mu się wszystkie bezpieczniki.

A na Ziemi Bill Cross był w swoim żywiole.

— Spójrzcie na mnie — rzekł, wskazując drżącym palcem na swą pierś. — Przez całe lata starałem się, by rakiety robiły coś pożytecznego, a oni mówią, że wolno mi tylko budować pociski kierowane, żebyśmy mogli wysadzić się wzajemnie w powietrze. Słońce robi to lepiej od nas, a gdybyście dali nam inną planetę, zaczęliśmy to całe draństwo od początku.

Przerwał ze smutkiem, porządkując niezdrowe myśli.

— A teraz Brenda wyjeżdża z miasta, nie zostawiając nawet kartki. Wybaczcie mi więc brak entuzjazmu dla tej waszej harcerskiej akcji.

Bill uświadomił sobie, że nie może wymówić słowa „entuzjazm”, lecz w myślach powtarzał je z łatwością, co było dlań interesującym odkryciem naukowym. A jeśli będzie coraz bardziej pijany, to czy w końcu zacznie myśleć słowami jednosylabowymi? Oj, niemal zbiło go to z pantałyku!

W ostatnim, rozpaczliwym wysiłku Thaarowie wysłali swe myśli korytarzem wśród gwiazd.

— Chyba naprawdę tak nie myślisz, Bill! Czy wszystkie istoty ludzkie są takie jak ty?

No, nareszcie interesująca kwestia filozoficzna! Bill zastanowił się nad tym głęboko, albo raczej na tyle głęboko, na ile pozwalała mu ciepła, różowa mgiełka, która teraz zaczęła go otaczać. Mimo wszystko mogło być gorzej. Chyba poszuka innej pracy, choćby tylko dla samej przyjemności powiedzenia generałowi Potterowi, gdzie może sobie wsadzić swoje trzy gwiazdki. A jeśli idzie o Brendę — cóż, kobiety są jak tramwaje: za minutę będzie następna.

Doskonale, że jest ta druga butelka whisky w segregatorze z napisem „ściśle tajne”. Ach, co za wspaniały dzień! Niepewnie wstał i zatoczył się po pokoju.

Thaar przemówił do Ziemi po raz ostatni.

— Bill! — powtórzył rozpaczliwie. — Na pewno nie wszyscy ludzie są tacy jak ty!

Bill odwrócił się i spojrzał w wirujący tunel. Dziwne — zdawał się jarzyć plamkami światła gwiazd i wyglądał naprawdę pięknie. Bill był dumny z siebie: nie każdego stać na wyobrażenie sobie czegoś takiego.

— Jak ja? — rzekł. — Nie, nie są.

Posłał uśmiech zadowolenia z siebie przez lata świetlne, kiedy rosnąca fala euforii wyrwała go z przygnębienia.

— Jak się nad tym zastanowić — dodał — to kupie ludzi powodzi się znacznie gorzej niż mnie. Tak, chyba mimo wszystko należę do szczęśliwców.

Lekko zdziwiony zamrugał oczami, bo tunel nagle się zapadł i Bill znów ujrzał pomalowaną na biało ścianę, dokładnie w tym samym miejscu, co zawsze. Thaar umiał przegrywać z honorem.

— No i po halucynacji — pomyślał Bill. — W każdym razie zaczynała mnie już trochę męczyć. Zobaczmy, jaka będzie następna.

Tak się składa, że nie było następnej halucynacji, gdyż pięć sekund później Bill zupełnie stracił przytomność podczas nastawiania szyfru zamka szafy z segregatorami.

Przez następne dwa dni chodził jak błędny z zaczerwienionymi oczami i całkiem zapomniał o tej rozmowie.

Trzeciego dnia coś w głębi umysłu nie dawało mu spokoju i może wszystko by sobie przypomniał, gdyby znów nie pojawiła się Brenda i nie zajęła go udzielaniem jej przebaczenia.

A czwartego dnia oczywiście nie było.

przełożył Marek Cegiela

PODZIĘKOWANIA

Redaktor pragnie wyrazić szczególną wdzięczność Colinowi Smythe'owi za pomoc w wyborze opowiadań do niniejszego zbioru, a także Billowi Nolanowi i Stevenowi Millerowi, którzy również służyli w tej materii radą oraz pomogli dotrzeć do trudno dostępnych utworów. Redaktor i wydawca są także wdzięczni następującym autorom, ich wydawcom i agentom za zgodę na włączenie do tej książki opowiadań chronionych prawem autorskim: Colin Smythe Limited i za ich pośrednictwem Terry'emu Pratchettowi za „Turntables of the Night” (copyright © by Terry Pratchett), A.P. Watt Literary Agency za „A Slice of Life” P.G. Wodehouse'a, Mercury Press Inc. za „The Better Mousetrap” L. Sprague'a i Fletchera Pratta, Harper&Row za „Sam Small's Better Half” Erica Knighta, The Estate od Mervyn Peake za „Danse Macabre” Mervyna Peake'a, The Estate of C. S. Lewis za „The Shoddy Lands” CS. Lewisa, Random Publishing Group i Jonathan Cape Ltd za opowiadanie „Harrison Bergeron” Kurta Vonneguta., Ziff-Davis & Co, Inc. za „Possible to Rue” Piersa Anthony'ego, Peters, Fraser & Dunlop za „The Right Side „Johna Colliera, Elizabeth C. Brown za opowiadanie „Nasty” Fredrica Browna, Coward-McCann za „The Gripes of Wraith” Nelsona Bonda, Victor Gollancz Ltd za „The Roaches” Thomasa M. Discha i „The Lady od the House of Love” Angeli Carter, Orion Publishing Group za „The Stone Thing” Michaela Moorcocka, A.M. Heath Literary Agency za „The Shrink and the Mink” Roberta Blocha, Telegraph Newspapers Ltd za „Ah Sweet Mystery of Life” Roalda Dahla, Penguin Publishing Group za „The Man in Asbestos” Stephena Leacocka i „Female of the Species” Johna Wyndhama, Scott Meredith Literary Agency za opowiadania „From Gustible's Planet” Cordwainera Smitha, „Specialist” Roberta Sheckleya i „No Morning After” Arthura C. Clarke'a, Williamowi F. Nolanowi za opowiadanie „The Adventure of the Martian Moons” i Abner Stein Literary Agency za „The Golden Years of the Stainless Steel Rat” Harry'ego Harrisona. Podjęto wszelkie starania, aby uzyskać zgodę na publikację opowiadań zamieszczonych w tym zbiorze, jednakże w razie jakiegokolwiek nieumyślnego naruszenia praw autorskich ich posiadacze proszeni są o kontakt z wydawcą.

przełożyła Małgorzata Dobrowolska